

**WŁADYSŁAW  
STANISŁAW  
REYMONT**

CHŁOPI

# Władysław Stanisław Reymont

## Chłopi

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55844058](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55844058)*

*Chłopi:*

### **Аннотация**

Powieść Władysława Reymonta, za którą otrzymał Nagrodę Nobla w 1924 roku, publikowana w tomach między 1904 a 1909 rokiem. To utwór przedstawiający losy społeczności zamieszkałej we wsi Lipce. Fabuła powieści obejmuje 10 miesięcy i opisuje losy Macieja Boryny, jego rodziny i innych mieszkańców Lipiec. Ukazuje zarówno problemy społeczne, z którymi spotykają się chłopi, jak i przedstawia ich codzienność, święta oraz tradycje, życie uzależnione od pór roku i pogody, wpisuje także chłopów w tradycję historyczną, a także skupia się na indywidualnych przeżyciach. Chłopi to wnikliwe studium nad rzeczywistością chłopską, powieść panoramiczna, realizująca założenia naturalizmu i realizmu.

# Содержание

Część pierwsza – Jesień	4
I	5
II	21
III	47
IV	82
V	111
VI	146
VII	163
VIII	189
IX	208
X	224
XI	254
XII	296
Część druga – Zima	327
I	327
II	358
III	383
IV	410
Конец ознакомительного фрагмента.	414

# Władysław Stanisław Reymont

## Chłopi

### Część pierwsza – Jesień

*Miriamowi*

*(Zenonowi Przesmyckiemu)*

# I

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co?

– We świat, do ludzi, dobrodzieju kochany – w tyli świat!...

– zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu.

Ksiądz spojrział bezwiednie w tę dal i rychło przywarł<sup>1</sup> oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słońce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby...

– Wypędzili was Kłębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlekła ciężko starymi, wypełzłymi<sup>2</sup> oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi zanurzonej w sadach.

– I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie – krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. Z cudzego woza to złaż choć i w pół morza.

Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże – darmo mi to dadzą warzę<sup>3</sup> abo i ten kąt do spania?...

A że rychtyk<sup>4</sup> i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę, tom i zrobiła miejsce...

---

<sup>1</sup> *przywrzeć* – przymknąć. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *wypelzły* – wyblakły. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *warza* – gotowany posiłek; por. warzyć: gotować. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *rychtyk* – akurat, właśnie. [przypis edytorski]

jakże, bydłatek szkoda, Boże stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani tej łyżki strawy nie żałują, że se człowiek kiej jaka gospodyni paraduje...

A na zimę we świat, po proszonym.

Niewiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do zwiesny<sup>5</sup> z Panajezusową łaską przechyrlam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi – to rychtyk la nich na przednowek<sup>6</sup>... krewniaki przeciech...

A już ta Jezusiczek przenajsłodszy biedoty opuścić nie opuści.

– Nie opuści, nie – zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

– Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łyzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej<sup>7</sup> jak te jesienne podorówki<sup>8</sup>.

– Idźcie z Bogiem, idźcie – szeptał zakłopotany podnosząc ją z ziemi.

Zebrała drżącymi rękami torby i kijaszek z jeżem<sup>9</sup> na końcu,

---

<sup>5</sup> *zwiesna* – wiosna. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *przednowek* – dawniej najtrudniejszy do przetrwania na wsi okres, po zimie (w czasie której ludzie żywili się zapasami zebranymi jesienią), a przed nowymi zbiorami. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *zradlony* – poorany, naznaczony bruzdami (jak pocięta radłem ziemia). [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *podorówka* – pole płytko zaorane po jesiennych zbiorach i w ten sposób przygotowane do wiosennej orki. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *kijaszek z jeżem* – dawnym zwyczajem wędrowni żebracy nabijali na koniec kostura,

przeżegnała się i poszła szeroką, wyboistą drogą ku lasom; raz wraz tylko odwracała się ku wsi, ku polom, na których kopano kartofle, i na te dymy pastusich ognisk, co się snuły nisko nad ścierniskami – poglądała żałośnie, aż i zniknęła za przydrożnymi krzami.

A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz<sup>10</sup>, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pogrążonych ziemiach, to po bladym niebie błądziły lub zatrzymywały się na parobku, pochylonym nad pługiem.

– Walek... bruzda krzywa... te... – zawołał unosząc się nieco i chodził już oczami krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebiegać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętymi dziobami podskakiwały w bruzdzie i raz wraz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, zeszcpane skiby.

– Walek! a śmignij no prawą po portkach, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoż po bacie prawa już równo ciągnęła,

---

którym się podpierali, skórkę jeża, która służyła im do obrony przed napastliwymi psami. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *brewiarz* – zbiór modlitw przeznaczonych do liturgii godzin (znanej zarówno kościołowi rzymskokatolickiemu, jak grekokatolickiemu i mającej swój odpowiednik w różnych kościołach protestanckich); duchowni katolicycy są zobowiązani do codziennego odmawiania całego brewiarza. [przypis edytorski]

a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po karkach, aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

– Heeet–aa! – wołał śpiewnie Walek, wyciągnął błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociąły z miejsca, aż zgrzytnęły orczyki – i orał dalej wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi wątek zgrzebnych skib rozciągał się aż ku wsi, leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonych i żółtawych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej – wisało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeszcłe twarde skiby kładły za się cienie mocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu, przymglonym kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękitcie leżały gdzieniegdzie bezładnie porzrucane ogromne białe chmury niby zwały śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod nimi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów – misa, przez którą, jak srebrne przedziwo rozbłysłe w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łożin nadbrzeżnych. Wzbierała

w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu, leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów – niby czerwono-żółta liszka, zwinięta na szarym liściu łośnianu, od której do lasów wyciągało się długie, splecione nieco przedziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin – tylko gdzieniegdzie w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota – łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to białe omdlałe, wyschłe łozyska strumieni albo leżały piaszczyste senne drogi i nad nimi rzędy potężnych topoli z wolna wspinały się na wzgórze i pochylały ku lasom.

Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo długi, żaloszny ryk rozległ się gdzieś niedaleko, aż wrony poderwały się z krzykiem i skośnym rzutem leciały na kopaniska – a czarny migocący cień biegł za nimi dołem po rżyskach i podorówkach.

Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce – drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę; gdy przechodziła obok, pochwaliła Boga i chciała skrócić, aby ksiądz pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu ryczeć zaczęła.

– Na sprzedanie prowadzisz, co?

– Ni... ino do młynarzowego bysia... a stójże, zapowietrzona... Wściekłaś się czy co! – wołała zadyszana, usiłując powstrzymać, ale krowa ją pociągnęła, że już obie gnały w dyrdy, aż kurz je zakrył obłokiem.

A potem włókł się ciężko po piaszczystej drodze Żyd

szmaciarz<sup>11</sup>, pchał przed sobą taczki dobrze naładowane, bo raz wraz przysiadł i ciężko dyszał.

– Co tam słyszać, Moszku?

– Co słyszać?... Komu dobrze, to i dobrze słyszać... Kartofle chwala Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę – temu dobrze słyszać! – Pocałował księdza w rękaw, założył na kark pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo zaczynał się spadek łagodny.

A potem szedł środkiem drogi w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad prowadzony przez tłustego kundla na sznurku.

A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten ujrawszy księdza przy drodze okrążył go z dala i biegł na przelaj pól do karczmy.

To znowu chłop z sąsiedniej wsi wioził zboże do młyna albo Żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzany życzliwym słowem i spojrzeniem księdza, któren, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Walka:

– Doórz do brzózek i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnym, pełnym kochania spojrzeniem ogarniał pola...

...Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach... rozlegał

---

<sup>11</sup> *szmaciarz* – czyli zajmujący się zbieraniem zniszczonych materiałów do recyklingu. [przypis edytorski]

się grochot zsypywanych do wozów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatej pasły się na ugorach... długie, popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi niby płaty śniegów bielily się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami... Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słyhać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk nie wiadomo skąd powstały leciał nisko, tłukł się po brzdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnymi pajęczynami, w pustych sennych drogach, nad którymi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włóczono role i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a spod niego niby z obłoku wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą – szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i z wolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył kolistym wirem padało na ziemię.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom, obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie całowali w rękaw sutanny.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco:

– Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok<sup>12</sup> gruszek mieć nie będziecie.

– My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo<sup>13</sup>  
– ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach.

– Szczęść Boże w robocie!

– Boże zapłać, dziękujemy! – odpowiedzieli razem, prostując się, i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

– Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? – mówił, wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn – brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

– Juści, kartofle kiej kocie łby i dużo pod krzami.

– Ha, to świnię zdrożają, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.

– Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły, a i do Prus kupują.

– Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?

---

<sup>12</sup> *na bezrok* – w przyszłym roku. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *gapie gniazdo* – gniazdo wron (zwanych też gapami). [przypis edytorski]

– A Borynowe.

– Gospodarza nie widzę, tom i rozeznać nie rozeznał.

– Ociec pojechali z moim ano do boru.

– A to wy, Anna, jakże się macie? – zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która, że ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała.

– Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcił?

– Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrów się chowa i coś niecoś bałykuje<sup>14</sup>.

– No, zostańcie z Bogiem.

– Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi, przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł niskie, kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała wpośród pożółkłych brzoź i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

– Lepszego to i na całym świecie nie znaleźć – zaczęła któraś z kobiet.

– Juści, chciały go też zabrać do miasta... żeby ociec z wójtem nie jeździli prosić biskupa, to byśwa go i nie mieli... Kopta no, ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało

---

<sup>14</sup> *bałykować* – raczkować. [przypis edytorski]

wiele<sup>15</sup>! – mówiła Anna wysypując swój kosz na kupę żółcą się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschniętych łęcin.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słychać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś niektoś wyprostował zgięty i zbolący grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.

Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za nimi bieleły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz wraz popłakując.

– A tak i stara poszła we świat – zaczęła Jagustynka.

– Kto? – spytała Anna podnosząc się.

– A stara Agata.

– Na żebry...

– Juści, że na żebry! Hale! nie na słodkości, ino na żebry.

Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puścili na wolny dech.

– Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebeczkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś; zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena... A wujna, a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelązka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w sieni ani we chliwie. Ścierwy, psie krewniaki i zapowietrzone – wybuchała Jagustynka i taki gniew

---

<sup>15</sup> *mało wiele* – niewiele, niezbyt wiele. [przypis edytorski]

ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

– Biednemu to zawsze na ten przykład wiatr w oczy – dorzucił jeden z komorników, stary, wynędzniały chłop z krzywą gębą.

– Kopta no, ludzie, kopta – popędzała Anna nierada tokowi rozmowy.

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to spojrzała na siejącego i rzekła:

– Te Paczesie to stare chłopy, że jaże im już kłaki na łbach puszczają...

– Ale kawalery zawdy – rzekła insza kobieta.

– A tyle dziewuch się starzeje albo i służby szukać idzie...

– Przeciech, a one mają cały półwłóczek i jeszcze łączkę za młynem.

– Juści, abo to im matka da się żenić... abo to im popuści...

– A kto by krowy doił, kto by opierał, kto by kole gospodarstwa abo i śwyni chodził...

– Obrządzają se matulę i Jagusię, bo jakże, Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dziedziczka, ino się stroi... a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zaplata.

– I patrzy ino, kogo by puścić pod pierzynę, któren aby mocny! – dorzuciła znowu ze złym uśmiechem Jagustynka.

– Józek Banachów posyłał z wódką – nie chciała.

– Cie... dziedziczka zapowietrzona.

– A stara ino w kościele siaduje, a na książce się modli, a na odpusty chodzi!

– Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzonowym

krowom to chto mleko odebrał, co? A jak na Jadamowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakieś złe słowo powiedziała, to mu się zaraz taki kołtun zbił i tak go pokręciło, Jezus!

– I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą...

– A drzewiej, kiej jeszcze krowy pasalam tatusiowe, to baczę, że takie ze wsi wyganiaли – dodała znowu Jagustynka.

– Tym się krzywda nie stanie, bo ma ją kto strzec... – i zniżając głos do szeptu, a patrząc z ukosa na Annę, co kopała na przedzie pierwszą z kraja redlinę, szeptała Jagustynka sąsiadkom:

– A pono pierwszy do obrony to ano chłop Hanki... cieka się on za Jagną kiej ten pies...

– Laboga... moiściewy... cudeńka prawicie... Hale! to by już grzech i obraza boska była... – szeptały do siebie kopiąc i nie podnosząc głów.

– A bo to on jeden... a to jak za suką, tak chłopaki za nią ganiają.

– A bo też urodę ma, to ma; wypasiona kiej jałowica, biała na gębie, a ślepie to ma rychtyk<sup>16</sup> jak te lnowe kwiatki... a mocna, że i niejeden chłop jej nie uradzi...

– A bo to co robi, ino żre a wysypia się, to nie ma urodna być...

Milczały długą chwilę, bo trzeba było kartofle wysypywać na

---

<sup>16</sup> *rychtyk* – akurat, właśnie, dokładnie. [przypis edytorski]

kupe.

A potem już z rzadka pogadywały to o tym, to o owym, aż i zamilkły, bo któraś dojrzała, że od wsi rżyskiem bieży Józka Borynianka.

Jakoż i ta nadbiegała zziajana i już z daleka krzyczała:

– Hanka, a chodźcie ino do chałupy, bo krowie się cosik stało.

– Jezus Maria, a której?...

– A to ci graniastej... a to ci... tchu złapać nie mogę...

– Loboga, aże mnie zatknęło, myślałam, że mojej... – zawołała z ulgą Anna.

– Witek ją co dopiero przygnał, bo gajowy ich wypędził z zagajów. Krowa się zlachala, bo taka śpaśna... i zaraz przed oborą upadła... i ani pić nie pije, ani żreć nie żre, ino się tarza, a ryczy, że loboga!

– Ojca to nie ma?

– Ni, tatulo jeszcze nie przyjechali. O Jezus, mój Jezus, taka krowa, co na raz dobrze i garniec mleka dawała. A chodźciez rychło.

– Duchem ci lecę, w to oczymgnienie.

Jakoż i wyjęła dziecko z płachty, nadziała mu czapczkę z kutasikami<sup>17</sup>, okręciła zapaską i poszła żywo, a taka była strwożona wieścią, że nawet nie opuściła wełniaka, zapomniała do cna, aż jej odsłonięte do kolan nogi bieleły się po roli. Józka biegła przodem.

---

<sup>17</sup> *kutasik* (daw., gw.) – frędzel, pompon; element dekoracyjny stroju wykonany ze związanego w pędzel pęczka nici. [przypis edytorski]

A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się z wolna, kopiąc leniwiej, jako że nikt nie pilił i nie poganiał.

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym czerwieniło się kołem ogromnym i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał i pełzał już po polach; sunął brzdami, czał się po rowach, wzbierał w gąszczach i z wolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumił barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami.

A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichym, omroczonym powietrzu.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański spizowym świegotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów, niby szemranie opadających listków, padał w mroki.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołymi spędzano bydło z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste.

Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały, całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

– Ale szkoda, ta graniasta to sielna<sup>18</sup> krowa.

– I... nie na biedaka trafiło.

– A tak i bydlątka żal, co się zmarnuje.

– Gospodyni Boryna nie ma, to wszystko leci kiej przez sito.

– A bo to Hanka nie gospodyni?

---

<sup>18</sup> *sielna* – silna, potężna, wielka, dorodna. [przypis edytorski]

– La siebie... jakby na komornym u ojca siedzą, to juści patrzą, aby ino na swoją stronę coś niecoś urwać, a ojcowego niechta pies pilnuje.

– A Józka, że to jeszcze skrzat głupi, to i cóż poradzi?

– Hale, albo to Boryna nie mógłby gront oddać Antkowi, co?

– A sam pójdzie do nich na wycug, co?... Starzyście, Wawrzku, a do cna jeszcze głupi – zaczęła żywo Jagustynka. – Ho, ho, Boryna jeszcze krzepki, może się ożenić, a głupi by był, żeby dzieciom zapisywał.

– Hale, krzepki to juści, że jest, ale już ma ze sześćdziesiąt років.

– Nie bój się, Wawrzku, każda młódka pójdzie za niego, niechby tylko rzekł.

– Już dwie żony pochował.

– Niech se pochowa i trzecią, Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom, póki żyw, nie daje ni staja, ni liszki jednej, ni tyle, co trepem przydepnie. Ścierwy, wyrzutowałyby go, kiej moje mnie. Dałyby mu wycugi, że na wyrobek by chodził, z głodu by zdychał albo i na żebry, po proszonym szedł. Oddaj ino, co masz, dzieciom – to ci oddadzą; rychtyk ci tego starczy na sznureczek albo i na ten kamień do szyi...

– Ludzie, a to czas do domu, mroczeje.

– Czas, czas! Słońce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, to dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego miedzą, pogadując coś niecoś, a tylko stara Jagustynka wykrzykiwała wciąż namiętnie na dzieci własne,

a potem już i na wszystkich pomstowała.

A równo z nimi jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała cienkim głosem:

Aj, nie chodź kiele woza,  
Aj, nie trzymaj się osi,  
Aj, nie daj chłopu gęby,  
Aj, choć cię pięknie prosi.

– Cie, głupia, wrzeszczy, kiejbym ją kto ze skóry obdzierał.

## II

Na borynowym podworcu obstawionym z trzech stron budowlami gospodarskimi, a z czwartej sadem, który go oddzielał od drogi, już się zebrało dość narodu; kilka kobiet radziło i wydziwiała nad ogromną czerwono-białą krową, leżącą przed oborą na kupie nawozu.

Stary pies, kulawy nieco i z oblażłą na bokach sierścią, oganiał graniastą, obwąchiwał ją, szczekał, to wypadał w opłotki i gnał dzieci na drogę, co się były wieszaly na płotach i zazierały ciekawie w obejście, albo docierał do maciory, co legła pod chałupą i rozwalona jęczała cicho, bo ssaly ją białe, młode prosięta.

Hanka nadbiegła właśnie zziajana, przypadła do krowy i jęła ją głaskać po gębuli i łbie.

– Granula, biedoto, granula! – wołała łzawo, aż buchnęła płaczem i lamentem serdecznym.

A kobiety radziły raz wraz nowe ratowanie chorej; to sól rozpuszczoną wlewali jej w gardło, to topiony z poświęcanej gromnicy воск z mlekiem; radził ktosik mydła z serwatką – insza znowu wołała, żeby krew puścić – ale krowie nic nie pomagało, wyciągała się coraz dłużej, niekiedy podnosiła łeb i porykiwała długo, jakby o ratunek, boleśnie, aż jej piękne oczy o białkach różowych mętniały mgłą i ciężki, rogaty łeb opadał z wysilenia, że ino wysuwała ozór i polizywała ręce Hanki.

– A może by Ambroży co poradził? – zaproponowała któraś.

– Prawda, na chorobach on jest znający – zawtórowali.

– Bieżyj no, Józia! Na Anioł Pański dzwoniłi, to musi jeszcze być przy kościele. Laboga, a jak ociec nadjadą, będzie to pomstowanie, będzie. – A przeciech my niczego niewinowate! – narzekała płacźliwie.

A potem siadła na progu obory, wsadziła chłopakowi w usta, bo popłakiwał, białą pełną pierś i z trwogą niezmierną spoglądała na krowę rzeżącą, to przez opłotki na drogę i nasłuchiwała.

W pacierz abo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.

Jakoż i przyszedł zaraz dziad może stuletni, prosty jak świeca, choć o nodze drewnianej i o kiju; twarz miał suchą, pomarszczoną jak kartofel na zwiesnę i szarą takóź, wygoloną i pociętą szramami, włosy białe jak mleko kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był z gołą głową.

Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.

– Oho, widzę, że świeże mięso jedli będzietą.

– A dyć jej pomóżcie co, wylekujcie<sup>19</sup>, a toć krowa ze trzysta złotych warta – i dopiero po ciełęciu, a dyć pomóżcie! O mój Jezu, mój Jezu! – zawołała Józia.

Ambroży wyjął z kieszeni puszczađło, powecował<sup>20</sup> je po cholewie, przyjrzał się pod zorzę ostrzu i przeciął granuli arterie pod brzuchem – ale krew nie trysnęła, a ciekła wolno czarna,

---

<sup>19</sup> wylekujcie – wyleczcie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> powecować (z niem. *wetzen*) – ostrzyć. [przypis edytorski]

spieniona.

Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.

– Za późno! Oho, bydłatko ostatnią parę puszcza – rzekł uroczyście Ambroży. – Nic to, ino paskudnik albo i co innego... trza było zaraz, kiej zachorzała... ale te baby to ino juchy do płakania są mądre, a jak trza radzić, to w bek kiej owce. – Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej w oczy, przyjrzał się ozorowi, obtarł zakrwawione ręce o jej miękką, lśniącą skórę i zabierał się do odejścia.

– Na ten pochówek dzwonił nie będę; zadzwonita w garki sami.

– Ociec z Antkiem! – krzyknęła Józka i wybiegła na drogę naprzeciw, bo głuchy, ciężki turkot rozległ się z drugiej strony stawu, gdzie w rozczzerwienionej zorzami zachodu kurzawie czerniał długi wóz i konie.

– Tatulu, a to... graniasta już zdycha – wołała, dobiegając do ojca, który skręcał właśnie na tę stronę stawu. Antek szedł w końcu i podtrzymywał, bo wieźli długą sosnę.

– Nie pleć byle czego po próznicy – mruknął podcinając konie.

– Jambroży puszcza krew i nic... i wosk topiony lali jej w gardziel i nic... i sól... i nic... pewnie paskudnik... Witek pedał, co borowy wygnał ich z zagajów i co granula zara się pokładała i stękała, jaże ją i przygnał...

– Graniasta, najlepsza krowa, ażeby was, ścierwy, pokreć, kiej tak pilnujecie! – rzucił lejce synowi i z batem w garści

pobiegł przodem.

Baby się rozstały, a Witek, który cały czas coś najspokojniej majstrował pod chałupą, skoczył w ogród i przepadł ze strachu, nawet Hanka podniosła się na progu i stała bezradna, strwożona.

– Zmarnowali mi bydlę!... – wykrzyknął wreszcie stary, obejrzawszy krowę.

– Trzysta złotych jak w błoto! Do miski to ścierwów aż gęsto, a przypilnować nie ma kto. Taka krowa, taka krowa! A to człowiek ruszyć się z domu nie może, bo zaraz szkoda i upadek...

– Dyc ja od południa samego byłam przy kopaniu – tłumaczyła się cicho Hanka.

– A bo ty co kiej widzisz! – krzyknął z wściekłością. – A bo ty stoisz o moje!... Taka krowa, taki haman, że i drugiej nie w każdym dworze by znalazł!

Wyrzekał coraz żałośniej i obchodził ją, próbował podnieść, ciągał za ogon, zaglądał w zęby, ale krowa dyszała chrapliwie i coraz ciężej, krew przestała płynąć, tylko krzepła w czarne, spieczone żużle – wyraźnie już zdychała.

– Nie ma co, ino ją trza dorznać, choć tyla się wróci! – rzekł w końcu, przyniósł kosę ze stodoły, poostrzył ją nieco na taczalniku, co stał pod okapem obory, rozdział się ze spencerka<sup>21</sup>, zawinął rękawy koszuli i zabrał się do zarzynania...

Hanka z Józią buchnęły płaczem, bo granula, jakby czując śmierć, uniosła z trudem łeb, zaryczała głucho i... padła z przerżniętym gardłem, grzebiąc ino nogami...

---

<sup>21</sup> *spencerek* – kurtka z kołnierzem i kieszeniami. [przypis edytorski]

Pies zlizywał krzepnącą na powietrzu krew, a potem skoczył na doły od kartofli i szczekał na konie stojące z wozem w opłotkach, bo tam je zostawił Antek, a sam spokojnie przyglądał się jatce.

– Nie bucz, głupia! Ojcowa krowa to nie nasza strata! – powiedział ze złością do żony i zabrał się do wyprzęgania i rozbierania koni, które już Witek ciągnął za grzywy do stajni.

– Ziemniaków w polu dużo? – zagadnął Boryna, myjąc pod studnią ręce.

– A bogać tam mało, będzie ze dwadzieścia worków.

– Trzeba dzisiaj zwieźć.

– Hale, zwoźcie se sami, ja już kulasów nie czuję ni krzyża... a i licowy kuleje na przednią.

– Józka, zwołaj no Kubę od kopania, niech żróbkę założy za licowego i trza dzisiaj zwieźć. – Deszcz ano być może.

Ale wrzał złością i zmartwieniem, bo coraz to przystawał przed krową i kłął siarczyście, a potem łąził po podwórzu i zaglądał to do obory, to do stodoły, to pod szopę i sam nie wiedział, czego szuka, żarła go ano taka strata.

– Witek! Witek! – jął wołać i odpinał szeroki ramię z bioder, ale chłopak się nie pokazał.

Ludzie się porozchodzili, bo rozumieli, że taka szkoda i taka markotność musi się skończyć bitką, jako że do niej Boryna był skory zazwyczaj, ale stary kłął tylko dzisiaj i poszedł do izby.

– Hanka, a daj no jeść! – krzyknął na synową w otwarte okno i poszedł na swoją stronę.

Dom był zwykły, kmiący – przedzielony na przestrzał sienią ogromną; szczytem wychodził na podwórze, a frontem czterookiennym na sad i na drogę.

Jedną połowę od ogrodu zajmował Boryna z Józią, a na drugiej siedzieli Antkowie. Parobek z pastuchem sypiali przy koniach.

W izbie było już czarniawo, bo przez małe okienka, przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mroczyło już na świecie, że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża, ale przygnieciona czarnym pułapem i ogromnymi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy siennej ścianie, było nieco swobodnego miejsca.

Boryna się rozzuł i poszedł do ciemnego alkierza<sup>22</sup>, zamykając drzwi za sobą, odsunął z małej szybki deskę, że zachodnie światło krwawym brzaskiem zalało alkierz.

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach, w poprzek przewieszonych, wisały kozuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwinięte w kłęby brudne runa owiec i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napełnionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hankę w pierwszej izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś

---

<sup>22</sup> *alkierz* – ustronny pokoik, często w narożniku budynku; garderoba. [przypis edytorski]

długo grzebał w zbożu.

A na ławie pod oknem już się dymiło jadło; od ogromnego tygla z kapustą rozchodził się zapach słoniny, jak i od jajecznicy, której niezgorsza miseczka stała obok.

– Gdzie Witek paśł krowy? – zapytał, krając potężny glon chleba z bochna, jak przetak<sup>23</sup> wielkiego.

– Na dworskich zagajach i borowy go stamtąd wygonił.

– Ścierwy, zmarnowali mi bydłę.

– Przeciech, tylo krowa, to się zlachąła w tym gonieniu, że się w niej cosik zapaliło.

– Dziadaki, psiekrwie. Paśniki są nasze, w tabeli stoi kiej wół, a one ciągiem wyganiają i pedają, co<sup>24</sup> ich.

– Drugich też powyganiali, a chłopaka Walkowego tak zbił, tak zbił...

– Ha! do sądu trza abo i do komisarza. Trzysta złotych warta, jak nic.

– Pewnie, pewnie – przytakiwała rada niezmiernie, że ociec się udobruchali.

– Powiedzcie Antkowi, że skoro ziemniaki zwieją, to niech się wezmą do krowy, trza ją obłupić i poćwiertować. Przyndę od wójta, to wama pomogę. W sąsieku<sup>25</sup> u belki ją powiesić – będzie

---

<sup>23</sup> przetak – rodzaj sita. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> pedają, co – powiadają, że. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> sąsiek – wydzielona część spichlerza, w której składowano w skrzyniach ziarno. [przypis edytorski]

przespiecznie<sup>26</sup> ode psów lebo jenszej gadziny...

Skończył wrychle<sup>27</sup> jeść i wstał, bych się nieco przyogarnąć, ale takie ociążenie poczuł w sobie, takie ciągotki w kościach, taką senność, że jak stał, rzucił się na łóżko, by się z pacierz<sup>28</sup> przedrzymać.

Hanka poszła na swoją stronę i krzątała się po izbie, i coraz to wychylała się przez okno spojrzeć na Antka, który pożywiał się na ganku, przed domem; odsadził się od miski obyczajnie i z wolna ciągnął łyżkę za łyżką, skrzybiąc mocno o wręby i spozierając czasami przed się na staw – bo zachód już był i na wodzie czyniły się złotopurpurowe tęczę i płomienne koliska, przez które niby białe chmurki przepływały z gęgotem gęsi, rozlewając dziobami sznury krwawych pereł.

Wieś zaczynała się mrowić i wrzeć ruchem; na drodze, z obu stron stawu, ciągle podnosiły się kurzawy i turkoty wozów, i porykiwania krów, które wchodziły do stawu po kolana, piły wolno i podnosiły ciężkie łby, aż cienkie strugi wody, niby bicze opali, opadały im z szerokich gębul.

Gdzieś, od drugiego końca stawu, słyhać było trzask kijanek<sup>29</sup> bab piorących i głuchy, monotony łopot cepów<sup>30</sup>

---

<sup>26</sup> *przespiecznie* – bezpiecznie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *wrychle* – szybko. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *pacierz* – tu: miara czasu (tyle, ile potrzeba na odmówienie pacierza). [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *trzask kijanek* – kijanka był to przyrząd drewniany, za pomocą którego kobiety prały bieliznę i ubrania w rzece, uderzając kijanką materiał zanurzony w wodzie. [przypis edytorski]

w jakiejś stodole.

– Antek, urąb no pieńków, bo sama nie poradzę – prosiła nieśmiało i z obawą, bo nic to nie było u niego skłąć abo i zbić z leda powodu.

Nie odrzekł nawet, jakby nie słyszał, że ona nie śmiała powtórzyć i już sama poszła udziabywać trzaski z pni – i milczał zły, zmęczony całodzienną pracą srodze, i patrzył teraz na staw, na drugą stronę, w duży dom, świecący białymi ścianami i szybami okien, bo zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginii wychylały się zza kamiennego płotu i paliły jaskrawo na tle ścian, a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać, ale twarzy rozeznac nie można było, bo co chwila ginęła w sieni, to pod drzewami.

– Śpią se kiej dziedzic, a ty, parobku, rób – mruknął ze złością, bo ojcowe chrapanie rozlegało się aż na ganku.

Poszedł na podwórze i raz jeszcze przyjrzał się krowie.

– Juścik, ojcowa krowa, ale i nasza strata – rzekł do żony, która, że to Kuba przywiózł ziemniaki z pola, rzuciła łupanie drzewa i szła do woza.

– Doły jeszcze nie wyporządzone, to trza zesuć<sup>31</sup> na klepisko.

– Kiej ociec mówili, żebyś na klepisku krowę z Kubą obdarł

---

<sup>30</sup> *cep* – proste narzędzie służące do młócenia zboża, zbudowane z dwóch połączonych ze sobą rzemieniem lub łańcuchem kijów, z których dłuższy (dzierżak) służył jako uchwyt, a krótszy (bijak) do uderzania w zboże, ułożone na twardym podłożu; dzięki umiejętnemu uderzaniu (bijak powinien spadać płasko, a nie na sztorc) oddziela się ziarno od plew i słomy. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *zesuć* – zsunąć. [przypis edytorski]

i wporządził.

– Zmieści się i krowa, zmieszczą się i ziemniaki – szeptał Kuba, otwierając wierzeje stodoły na roścież.

– Ja ta nie jestem drzyk, cobym krowę obłupiał ze skóry – rzucił Antek.

I już nie mówili, słychać było tylko grochot zsypywanych na klepisko ziemniaków.

Słońce zgasło, wieczór się robił, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzepłej krwi i ostygłego złota i posypywały na staw jakby pyłem miedzianym, że wody ciche drgały rdzawą łuską i szmerem sennym.

Wieś zapadała w mrokach i w głęboką, martwą ciszę jesiennego wieczora. Chałupy malały, jakby się przyplaszczały do ziemi, jakby się tuliły do drzew sennie pochylonych, do płotów szarych.

Antek z Kubą zwozili ziemniaki, a Hanka z Józią uwijały się koło gospodarstwa, bo gęsi trza było zagnać na noc, to świnię nakarmić, bo z kwikiem cisnęły się do sieni i wsadzały żarłoczne ryje do cebratek<sup>32</sup>, gdzie stało picie dla bydła, to krowy wydoić, bo właśnie Witek przygnał resztę z pastwiska i zakładał im za drabiny po garści siana, żeby spokojniej stały przy dojeniu.

Jakoż Józia zabrała się doić pierwszą z brzegu, gdy Witek wylazł od żłobów i spytał cicho, trwożnie:

– Józia, a gospodarz źli?...

– O Jezu, spiera cię, chudziaku, spiera... tak pomstowali –

---

<sup>32</sup> *cebratka* – wiaderko (zdrobn. od cebro). [przypis edytorski]

odpowiedziała, wytykając ku światłu głowę i osłaniając ręką twarz, bo krowa chlastała ogonem, oganiając się od much.

– Ale... bom to winowaty... ale... borowy mię wygnał i jeszcze chciał kijem sprać, inom uciekł... a granula zarno<sup>33</sup> się jąła pokładać, a porykiwać, a stękać, żem do chałupy przygnał...

Zamilkł, ale słychać było ciche, bolesne chlipanie i siurkanie nosem.

– Witek... a nie bucz kiej cieie, bo ci to pierwszyczna, że cię ociec spiera?...

– Juści, że nie pierwszyczna, ale zawdy tak się bojam... bo nijakiej wytrzymałości na bicie nie mam...

– Głupiś, parobek tyli, a boja się... już ja przełożę tatusiowi...

– Przełożysz, Józia? – zawołał radośnie – bo to borowy mię wygnał z krowami, bo...

– Przełożę, Witek, ino się już nie bojam!...

– Kiej tak... to naści tego ptaka! – szepnął z radością i wyjął z zanadru drewniane cudło. – Obacz ino, jak się sam rucha.

Postawił go na progu obory, nakręcił, i ptak zaczął się kiwać, podnosić nogi długie i spacerować...

– Bociek, Jezu a dyc się rucha kiej żywy! – zawołała zdumiona, odstawiła szkopek<sup>34</sup>, przykucnęła przed progiem i z najżywszą radością i zdumieniem patrzyła.

– Jezu! to z ciebie mechanik! I to się sam tak rucha, co?

– A sam, Józia, ino go kołeczkiem nakręcę, to już se spaceruje

---

<sup>33</sup> *zarno* – zaraz, od razu. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *szkopek* lub: *skopek* – naczynie, kubek, kubetek. [przypis edytorski]

kiej dziedzic po obiedzie – o... – odwrócił go, i ptak poważnie a śmiesznie zarazem podnosił długą szyję, podnosił nogi i szedł.

Zaczęli się śmiać serdecznie i bawić się jego ruchami, tylko Józia czasami podnosiła oczy na chłopaka – podziw w nich był a zdumienie.

– Józia! – rozległ się głos Boryny sprzed chałupy.

– A czegoj?... – odkrzyknęła.

– Chodzi ino.

– Kiej dojem krowy.

– Pilnuj tu, bo idę do wójta – powiedział, wsadzając głowę do ciemnej obory – nie ma tutaj tego znajdka, co?

– Witka?... ni, pojechał po ziemniaki z Antkiem, bo Kuba miał urznąć siczki dla koni... – odpowiedziała prędko i trochę niespokojnie, bo Witek przycupnął za nią ze strachu.

– Ścierwa ten chłopak, to ino pasy drzeć, żeby zmarnować taką krowę – mrucał powracając do izby, gdzie się odział w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnymi tasiemkami, nadział wysoki czarny kapelusz, okręcił się czerwonym pasem i poszedł drogą nad stawem ku młynowi.

– Roboty jeszcze tyła... zwózka drzewa... siew nie skończony... kapusta w polu... ściółka nie wygrabiona... podorać by trza na kartofle... dobrze by i pod owsy... a tu jedź na sądy... Laboga, że to człek nigdy obrobić się nie obrobi, ino ciągiem jak ten wół w jarzmie... że i wyspać się nie ma czasu ni odpocząć... – rozmyślał. – A tu i ten sąd... Tłumok ścierwa, hale, ja z nią sypiałem... żebyś ozór straciła... lakudro jakaś...

suka... – splunął ze złością, nabił fajeczkę machorką<sup>35</sup> i długo pocierał zwilgotniałe zapałki o portki, nim zapalił.

Pykał od czasu do czasu i włókł się wolno; bolały go wszystkie kości i żale za krową raz wraz go markociły i rozbierały.

A tu ani odbić się na kim, ani wyzalić, nic... sam jak ten kołek; sam o wszystkim myśl, sam deliberuj łbem, sam kiele wszystkiego obiegaj kiej ten pies... a do nikogój słowa przemówić i rady znikąd ni pomocy – a ino strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino skubią, a patrzą, kiedy ozerwą w kawały...

Ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był ciepły, buchały smugi ognisk i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze skwarkami; gdzieniegdzie jedli w sieniach albo i zgoła przed domami, że ino skrzybot łyżek słychać było a pogadywania.

Boryna szedł coraz wolniej, bo ocieżało go rozdrażnienie, a potem przypomnienie nieboszczki, co ją na zwieszę był pochował, ułapiło go za grdykę...

– Ho! ho!... przy niej, co ją wspominam wieczorem w dobry sposób, nie przygodziłoby się tak granuli... gospodyni to była, gospodyni!... Juści, że i mamrot, i przeklętница też, że i dobrego słowa nikomu dać nie dała i ciągiem się z babami za łby wodziła... ale zawždy żona i gospodyni! – Tu westchnął pobożnie na jej intencję, i żal go jeszcze większy dusił, bo przypominał, jak to bywało...

---

<sup>35</sup> machorka – tytoń kiepskiej jakości. [przypis edytorski]

Przyszedł z roboty, spracowany – to i jeść tłusto dała, i często gęsto kiełbasy podtykała kryjomo przed dzieciskami... A jak się wszystko darzyło!... i cielaki, i gąski, i prosiaki... że co jarmarek było z czym jeździć do miasta, i grosz był zawsze gotowy, na zakład z samego przychówku... A już co kapusty z grochem, to już jensza zgoła tak nie potrafi...

A teraz co?...

Antek ino na swoją stronę ciągnie, kowal też wypatruje, aby co chyć, a Józka? Skrzat głupi, któremu plewy jeszcze we łbie, co i nie dziwota, bo dzieusze mało co na dziesiąty rok idzie... Hanka kiej ta ćma łązi, a choruje jeno, i tyle robi, co ten pies zapłacze...

Toć i marnieje wszystko... granule trza było dorznać... we żniwa wieprzak zdechł... wrony gąski tak przebrały, że z połowa ostała!... Tyle marnacji, tyle upadku!... Przez sito wszyćko leci, przez sito...

– Ale nie dam! – wykrzyknął prawie głośno – póki rucham tymi kulasami, to ani jednej morgi nie odpiszę i do waju<sup>36</sup> na wycug<sup>37</sup> nie pójde...

Ino Grzela z wojska do dom powróci, to niechta se Antek na żoniną gospodarkę wróci... nie dam...

– Niech będzie pochwalony! – zabrzmiał jakiś głos.

– Na wieki!... – odrzucił machinalnie i skręcił z drogi

---

<sup>36</sup> do waju (gwar.) – do was. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> wycug – dożywotnie utrzymanie, jakie powinny zapewnić dzieci rodzicom, po przepisaniu przez nich majątku na dzieci. [przypis edytorski]

w szerokie i długie opłotki, bo wójtowa osada leżała trochę w głębi.

W oknach się świeciło i pieski ujadać poczęły.

Wszedł prosto do świetlicy.

– Wójt doma? – zapytał tłustej kobiety, klęczącej przy kołysce i karmiącej dziecko.

– Zarno wróca, pojechał po ziemniaki. Siadajcie, Macieju, a dyć i ci też czekają na niego – wskazała ruchem brody na dziada siedzącego przy kominie; był to ten stary ślepiec, wodzony przez psa; czerwonawe światło szczap ostro opływało jego ogromną, wygoloną twarz, łysą czaszkę i szeroko otwarte oczy, zasnutę bielmem, nieruchomo tkwiące pod siwymi, krzaczastymi brwiami...

– Skąd to Pan Bóg prowadzi? – zapytał Boryna, siadając po drugiej stronie ognia.

– Ze świata, a skądże by, gospodarzu? – odpowiadał wolno rozlazłym, jęczącym, iście proszalnym głosem i nadstawiał pilnie uszów, a wyciągnął tabakierkę.

– Zażyjcie, gospodarzu.

Maciej zażył rzetelnie i kichnął raz po raz trzy razy, aż mu łzy w oczach stanęły.

– Tęga jucha! – i rękawem tarł załzawione oczy.

– Niech wam będzie na zdrowie. Peterburka, dobrze ano robi na oczy.

– Wstąpcie jutro do mnie, krowem dorznął, to się tam jaka sztuczka la was znaleźć znajdzie.

– Bóg zapłać... Boryna, widzi mi się, co?... —

– A juści, żeście to rozeznali?... no, no.

– Po głosie ino, po gadaniu.

– Cóż ta we świecie słyhać? Wędrujecie ciągiem?

– Moiściewy, a cóż by! – A to źle, a to i dobrze, a to i różnie, jak we świecie. A wszyscy piszcza, a narzekają, jak przyjdzie dziadowi co dać abo i drugiemu, ale na gorzałę mają.

– Prawdę rzekliście, bo ano tak i jest.

– Ho, ho! tyle roków się człek telepie po tej świętej ziemi, to się i wie różnie.

– A gdzieście to podzieli tego znajde, co was prowadzał łoni?  
– zapytała wójtowa.

– Poszedł se ścierwa, poszedł, wyłuskał on mi dobrze torbeczki... Miałem coś grosza od ludzi ochfiarnych, com go niósł na wotywy do Częstochowskiej Paniienki, to mi jucha podebrał i poszedł we świat! Cichoj, Burek! bo to pewnikiem wójt! – pociągnął sznurkiem i pies warczeć przestał.

Zgadł, bo wójt wszedł, bat rzucił w kąt i od progu wołał:

– Żono, jeść, bom głodny kiej wilk – jak się macie, Macieju; a wy czego, dziadu?...

– Ja do was, Pietrze, wedle tej mojej sprawy, co ma być jutro.

– Ja zaś se poczekam, panie wójcie. Każecie w sieniach – dobrze i tam będzie, a ostawicie przy ogniu, że to stary jestem, ostanę, a dacie tę miseczkę ziemniaków abo i chleba skibkę, to pacierz za was zmówię jeden abo i drugi... jakbyście dali gotowy grosz abo i dziesiątkę...

– Siedźcie se, dostaniecie i kolację, a chcecie, to zanocujcie...

I wójt siadł do miski, okrytej parą świeżo utłuczonych ziemniaków i polanych obficie skwarkami, w drugiej donicy stało zsiadłe mleko.

– Siadajcie, Macieju, z nami, zjecie, co jest – zapraszała wójtowa, kładąc trzecią łyżkę.

– Bóg zapłać. Przyjechałem z boru, tom se już dobrze podjadł...

– Bierzcie się ano za łyżkę, nie zaszkodzi wam, teraz już wieczory długie...

– Długi pacierz i duża miska, jeszcze bez to niktoj nie pomarł – rzucił dziad.

Boryna wzdragał się, ale w końcu, że słonina mocno razila mu nozdrza, przysiadł się do ławki i pojadał z wolna, delikatnie, jak obyczaj kazał.

A wójtowa raz wraz wstawiała i dokładała kartofli, to mleka przylewała.

Dziadowski pies się kręcił i skamlał zdziebko do jadała.

– Cichoj, Burek, gospodarze ano jedzą... i ty dostaniesz, nie bój się... – uspokajał go dziad i wciągał nozdrzami smakowitą woń, a przygrzewał ręce przy ogniu.

– To Jewka was podobno zaskarżyła – zaczął wójt, podjadłszy nieco.

– A ona ci! Żem to jej zasług nie wypłacił! Zapłaciłem, jak Bóg w niebie, i jeszcze ponadto z dobrego serca księdzu za chrzciny dał worek owsa...

– Ona powie, że ten dzieciak to...

– W imię Ojca i Syna! Wściekła się czy co?

– Ho, ho, stary z was, a jeszcze majster! – Wójtowie poczęli się śmiać.

– Staremu prędzej się przytrafi, bo praktyk ci jest i znający!

– szeptał dziad.

– Cygani jak ten pies, anim ją tknął. Jeszcze by, taki tłumok... taka pode płotem zdychała, a skamlala, coby ją za samą warzę a kąt do spania wziąć, bo na zimę szło. Nie chciałem, ale nieboszka pedo<sup>38</sup>: „Weźmiesz, przyda się w domu, co mamy przynajmować? będzie swoja pod ręką...” Nie chciałem ja, jako że zimą roboty nijakiej, a jedna gęba więcej do miski. Ale nieboszka pedo: „Nie turbuj się, umie pono wełniaki i płótno tkać, zasadzę ją i niechta se ścibie, zawsze coś uścibie.” No i ostała, odpasła się ino i zarno się postarała o przychówek<sup>39</sup>... A kto w spółce, to już różnie gadali...

– Ona skarży na was.

– Zakatrupię ścierwę, cygana pieskiego!

– Ale do sądu trza wam iść.

– Pójdę. Bóg zapłać, żeście mi powiedzieli, bo wiedziałem ino, że o zasługi – ale zapłaciłem, na co świadków mam! A pyskacz zapowietrzony, a dziadówka! Loboga, tyle umartwienia, że jaż chyba udziżyć nie udziżę – a to mi i krowa padła, że dorznać musiałem, roboty nie pokończone, a tu

---

<sup>38</sup> *pedo* – powie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *przychówek* – potomstwo. [przypis edytorski]

człowiek sam kiej ten palec.

– U wdowca to kiej między wilkami owca – powiedział znowu dziad.

– O krowiem słyszał, mówili mi już na polu...

– To dworska sprawa, bo pono borowy wygnał z zagajów. Najlepsza krowa! Ze trzysta złotych wartała, zegnała się, bo ciężka była, zapaliły się w niej wąpia, żem dorznać musiał... Ale dworowi tego nie daruję... Podam do sądu.

Ale wójt zaczął mu tłumaczyć i przekładać, żeby się wstrzymał, jako w pierwszej złości zawsze się źle radzi, bo stał za dworem, a w końcu, żeby zwrócić rozmowę w inną stronę, mrugnął na żonę i powiedział:

– Bobyście się, Macieju, ożenili i miałby kto gospodarstwa pilnować.

– Kpicie czy co?... A dyć na Zielną skończyłem pięćdziesiąt i osiem roków. Co wama też w głowie, jeszcze tamta dobrze nie ostygła...

– Weźcie kobitę do swego wieku, a zaraz się wam zgoi wszystko – dodała wójtowa i jęła sprzątać ze stołu.

– Dobra żona głowy mężowej korona – dorzucił dziad, obmacując miski, które przed nim postawiła wójtowa.

Żachnął się Boryna, ale zamedytował głęboko, że mu to samemu do głowy nie przyszło. Boć jaka się tam kobieta nadarzy, a zawsze z nią lepiej niżli samemu biedować...

– Która i głupia jest, i niemrawa, która znów kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po

muzykach i karczmach, a zawsze chłopu z nią lepiej i wygodą – ciągnął dziad, pojedając.

– Dopiero by na wsi wydziwiali – powiedział Boryna.

– Hale – ludzie wama zwrócą krowę albo i co poradzą, albo i kiele gospodarstwa chodzić będą, albo się nad wami użalą – zagadała gorąco wójtowa.

– Albo i ciepłą pierzynę narządzą – zaśmiał się wójt. – A we wsi tyle jest dziewuch, że jak się idzie między chałupami, to bucha kiej z pieca.

– Ale, widzisz go, rozpustnik... czego mu się zachciewa...

– A Zośka Grzegorzowa na ten przykład, śmigła, piękna i wiano niegorsze.

– A cóż to Maciejowi potraza wiana, nie gospodarz to pierwszy we wsi?

– Kto by ta miał dobra a i grontu dosyć – zaoponował dziad.

– Ni Grzegorzowa nie la nich – podjął wójt – za mdła i młódka to jeszcze.

– A Jędrkowa Kasia? – wyliczała dalej wójtowa.

– Zmówiona. Wczoraj Rochów Adam posyłał z wódką.

– Jest ci jeszcze Stachowa Weronka.

– Mamrot, latawiec i jedno biedro ma grubsze.

– A wdowa po Tomku, jakże to jej?... całkiem jeszcze do żeniaczki...

– Troje dzieci, cztery morgi, dwa krowie ogony i stary kozuch po nieboszczyku.

– A Ulesia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi?...

– I... to la kawalera... z przychówkiem, chłopak mógłby już być do pasionki, ale Maciejowi tego nie potrza, ma już pastucha swojego.

– Jest ci jeszcze, jest tego nasienia pannowego, ale ino wybieram takie, co by pasowały la Macieja.

– A zabaczyłaś<sup>40</sup> o jednej, co by była la nich w sam raz.

– Którna?...

– A Jagna Dominikowa?

– Prawda, całkiem o niej przepomniałam.

– Sielna dziewucha, a rośla, że bez płot nie przejdzie, bo żerdki pod nią pękają... a piękna, biała na gębie, a urodna kiej jałowica.

– Jagna – powtórzył Boryna słuchający w milczeniu wyliczania – a to powiedają o niej, że łasa na chłopaków.

– Ale, był to kto przy tym, to wie! Pleciuchy pletą, byle pleść, a wszystko ino przez zazdrość – broniła mocno wójtowa.

– Ja też nie powiedam sam z siebie, ino tak pogadują. Ale trza mi iść – poprawił pasa, wraził węgielek we fajkę i pyknął parę razy.

– Na którą to w sądzie? – zapytał spokojnie.

– Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie do dnia wstać, jeśli na piechty.

– I... żróbką se wolno pojedę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za pożywienie i somszedzką radę.

---

<sup>40</sup> *zabaczyć* – zapomnieć. [przypis edytorski]

– Idźcie z Bogiem, a pomyślcie, cośwa wama raili<sup>41</sup>... Powiecie, to z wódką pójde do pani matki i jeszcze przed Godami sprawim wesele...

Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczami i wyszedł.

– Jak stary młódkę bierze, diabeł się cieszy, bo profit z tego miał będzie – rzekł dziad poważnie, skrobiąc głośno po dnie miski.

Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu raili. Nie dał poznać po sobie tam u wójtów, że mu się ta myśl strasznie udała<sup>42</sup>, bo jakże, gospodarz był, a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem, a na wspominek o żeniacze aże kwiczy i z nogi na nogę przeddeptuje.

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą pobłyskiwały z ciemnych, głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i owdzie spoza drzew mżyły się słabe światełka... czasem wilgotny podmuch zawiął z łąk, że drzewa poczęły się lekko chybotać i z cicha poszmerywać listkami.

Boryna nie wrócił drogą, jaką był przyszedł, a tylko puścił się w dół, przeszedł most, pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stronę stawu – wody leżały ciche i lśniły się czarniawo, pobrzeżne drzewa rzucały na taflę czarne cienie i jakby ramą obejmowały

---

<sup>41</sup> *cośwa wama raili* – cośmy wam raili; *raić* – polecać, rekomendować, swatać. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *udała mu się* – spodobała. [przypis edytorski]

brzegi, a w pośrodku stawu, gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy niby w zwierciadle stalowym.

Maciej sam nie wiedział, dlaczego nie poszedł prosto do domu, a wybrał dłuższą drogę, może aby przejść koło domu Jagny? a może aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

– Juści, że byłoby niezgorzej! juści! A co tam o niej mówią, to taka prawda. – Splunął. – Sielna kobieta! – Dreszcz nim wstrząsnął, bo i chłód wilgotny szedł od stawów, a u wójtów gorąc był silny.

– A bez kobiety trza zmarnieć abo dzieciom gospodarkę odpisać – myślał – a duża jucha i kiej malowana. – A krowa najlepsza padła, a kto wie jutra?... Może to i trza poszukać żony? Tyle obleczenia<sup>43</sup> po nieboszce jest – przygodziłoby się. Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, mają chałupę i gront, to by na swoim ostała. Troje ich, a mają piętnaście morgów, to niby na Jagnę pięć i splata za chałupę i lewentarz<sup>44</sup>! Pięć morgów to rychtyk te pola za mojem kartofliskiem, żyto, widzi mi się, posiały latoś, tak... Pięć morgów do moich to... trzydzieści i pięć bez mała! Karwas pola!...

Zatarł ręce i poprawił pasa. – To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywdą ludzką a precentami, a oszukaństwem tyła nabrał... A na bezrok podwiózłbym gnoju, a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; konia by trzeba przykupić, a i po granuli krowinę jaką... Prawda, krowę by dostać dostała...

---

<sup>43</sup> *obleczenie* – ubranie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *lewentarz* – inwentarz; zwierzęta w gospodarstwie wiejskim. [przypis edytorski]

I tak rozmyślał, liczył, rozmarzał się gospodarsko, aż czasem i przystawał z ciężkiej deliberacji. A że mądry chłop był, to wszystko zasię zbierał w sobie i głęboko w głowę patrzył, coby czego nie prześlepić i nie zapomnieć.

– Wrzeszczałyby juchy, wrzeszczały! – pomyślał o dzieciach, ale wnet fala mocy i pewności zalała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia.

– Gront mój, wara komu drugiemu do niego. A nie chceta, to... – nie skończył, bo stanął przed chałupą Jagny.

Świeciło się u nich jeszcze i przez otwarte okno padała szeroka smuga światła i szła przez kierz georginiowy i niskie drzewa śliwkowe aż na płot i drogę.

Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.

Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się buzować tęgi ogień, bo słychać było trzask świerczyny i czerwone światło zapełniało ogromną, mroczną po kątach izbę; stara, skulona przed kominem, czytała cosik głośno, a Jagna przeciw niej twarzą do okna siedziała; w koszuli była tylko i z podwiniętymi do ramion rękawami – podskubywała gęś.

– Urodna jucha, to urodna! – myślał.

Podnosiła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała ciężko, to znowu brała się skubać pióra, aż gęś zagegała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami, że puch się rozwiął po izbie białym tumanem. Uspokoili ją rychło i mocno ścisnęła kolanami, że gęś jeno pogęgiwała z cicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy z podwórza.

– Piękna kobieta – pomyślał i odszedł spiesznie, bo mu uderzyło do głowy, aż się podrapał, zapiął pętlę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk stał naprzeciw, tyło że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi uchylone lunęła struga światła i jak błyskawica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjeś mocne stąpania zadudniły, i rozległ się chlupot wody nabieranej, a w końcu wskroś ciemni i mgieł, co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony:

Ja za wodą, ty za wodą,  
Jakże ja ci buzi podom?...  
Podam ci ją na listeczku,  
A naścizę, kochaneczku...

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł i światła wkrótce pogasły.

Na niebo wtaczał się zza lasów księżyc w pełni i rozsrebrał czuby drzew, i siał przez gałęzie światło na staw, i zaglądał w okna chat, co mu były naprzeciw. Psi nawet pomilkli, cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie.

Boryna obszedł podwórze, zajrzał do koni, parskały i gryzły obroki; wsadził głowę do obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem. Krowy leżały przeżuając a postępując, jako to jest zwyczajnie u bydlatek. Przywarł wrota do stodoły.

Zdjąwszy kapelusz, szedł do izby i mówił półgłosem pacierz.

A że spali już wszyscy, rozzuł się po cichu i zaraz legł spać.

Ale zasnąć nie mógł, to pierzyna go parzyła, że nogi spod niej wysuwał, to mu po głowie chodziły sprawy różne, a turbacje, a pomyślenia... to mu brzuch ano ciężył srodze, że postękiwał i mruczał.

– Zawždy mówię, że zsiadłe mleko ino rozpiera brzucho, coby na noc nie dawać...

A potem jął myśleć o Jagnie; jak by to dobrze było, bo i urodna, i gospodarna, i tyle pola... To znowu przypominał sobie dzieci, to te gadania na Jagnę, że mąciło się w nim wszelakie rozeznanie, i już nie wiedział, co począć, że uniósł się nieco, i jak to było zwyczajnie, chciało mu się do drugiego łóżka zawołać i poradzić:

– Maryś! Żenić się czy to się nie żenić z Jagną?...

Ale w czas sobie przypomniął, że Maryś już od zwiesny na cmentarzu, a tam se śpi Józka i chrapie, a on jest sierotą, która poradzić się nikogo nie ma; to ino westchnął ciężko, przeżegnał się i jął mówić zdrowaśki za nieboszczkę i wszystkie dusze w czyścju ostające.

### III

Już świt ubielił dachy i zgrzebną, szarą płachtą przysłonił noc i gwiazdy pobladły, gdy ruch się uczynił w Borynowym obejściu.

Kuba zwłókł się z wyrka i wyjrzał przed stajnię – szron leżał na ziemi i szaro było jeszcze, ale już zorze rozpalały się na wschodniej stronie i czerwieniły czuby drzew oszroniałych – przeciągnął się z lubością, ziewnął parę razy i poszedł do obory, aby krzyknąć na Witka, że czas wstawać, ale chłopak uniósł nieco senną głowę i szepnął:

– Zaraz, Kuba, zaraz! – i przytulił się do legowiska.

– Pośpij se dziebko, biedoto, pośpij! – Przyokrył go kożuchem i pokuszykał, bo że nogę miał kiedyś przestrzeloną w kolanie, kulał srodze i ciągnął ją za sobą; umył się pod studnią, przyglądał dłonią rzadkie, wyleniałe włosy, co mu się były pozwijają w kołtuny, i klęknął na progu stajni odmawiać pacierze.

Gospodarz spali jeszcze, w oknach chałupy zapalały się krwawe brzaski zórz, a gęste, białe mgły zwlekały się z wolna ze stawów, kołysały ciężko i posuwały w górę podartymi szmatami.

Kuba przesuwiał w palcach koronkę i modlił się długo, a biegał oczami po podwórzu, po oknach chałupy, po sadzie omroczonym jeszcze na dole, po jabłonkach, obwieszonych jabłkami niby pięście; rzucił czymś do budy, co stała zaraz koło drzwi, w biały łeb Łapy, aż pies zawarczał, zwinął się i spał

dalej.

– Ale, do samego słońca spał będziesz, jucho! – i rzucił w niego raz, drugi, że pies wylazł, przeciągał się, ziewał, machał ogonem, przysiadł w podłe i jął się drapać i czynić zębami w gęstych kudłach porządek.

...I ochfiaruję ten pacierz Tobie i wszystkim świętym. Amen!

– Bił się długo w piersi, a powstając, rzekł do Łapy:

– Hale! aligant jucha, wybiera se pchły kiej baba na wesele!

A że robotny był, to się zajął obrządkiem – wóz wytoczył ze stodoły i nasmarował, napoił konie i przyłożył im siana, aż parskać zaczęły i bić kopytami, a potem przyniósł z sąsiedka nieco zgonin, dobrze okraszonych owsem, i wsypał to klaczy do żłobu, bo stała w gródce, osobno.

– Żrej, stara, żrej; żróbka mieć będziesz, to ci mocy trza, żrej! – Pogładził ją po nozdrzach, aż klacz położyła mu łeb na ramieniu i pieszczotliwie chwytła wargami za kołtuny.

– ...Ziemniaki do południa zwieziemy, a pod wieczór do lasu, po ściółkę – nie bój się, ściółka letka, nie zgonię cię...

– A ty, wałkoniu, batem dostaniesz, widzisz go, owies mu pachnie, próżniakowi – mówił do wałacha, co stał obok i łeb wtykał między deski przegrody, do żłobu klaczy – grzmotnął go pięścią w zad, aż koń uskoczył w bok i zarżał.

– Hale, parob żydowski! Żreć to byś choć i czysty owies żarł, a do roboty cię nie ma, bez bata, jucho, z miejsca nie ruszysz, co?

Wyminął go i zajrzał do żróbki, co stała przy ścianie samej i już z daleka wyciągała do niego kasztanowaty łeb ze strzałką

białą na czole i rżała cicho.

– Cichoj, mała, cichoj! Podjedz se ano, bo pojedziesz z gospodarzem do miasta! – Uwił kłak siana i wyczyścił jej bok zawałany. – Tyla klacz, że już do ogiera czas, a świniaś. Utytlesz się zawdy kiej maciora – pogadywał wciąż i poszedł do chlewów wypuścić świnie, bo kwiczały, a Łapa chodził za nim i zaglądał mu w oczy.

– Zjadłbyś i ty, co? To naści–że chlebaszka, naści! – Wyjął zza pazuchy kawałek i rzucił, pies pochwycił i schował się do budy, bo świnie ano leciały mu wydrzeć.

– Hale, te swynie to kiej człowiek niektóry, aby ino chycić cudze i zechlać...

Zajrzał do stodoły i długo patrzył na wiszącą u belki krowę.

– Głupie to jeno bydle, a i temu na koniec przyszło. Widzi mi się, co jutro zgotują mięsa... Tyle i z ciebie, biedoto, że człek se podje w niedzielę...

Westchnął do tego jadła i powlókł się budzić Witka...

– Słońce ino, ino – zarno się pokaże... Krowy trza wypędzać.

Witek mamrotał coś, bronił się, przykładał do kożucha, ale w końcu wstać wstał i łaził ociężały i senny po podwórzu.

Gospodarz zaspali dzisiaj, bo słońce już weszło i rozczzerwieniło szrony, i zapaliło łuny w wodach i szybach, a z chałupy nikt się nie pokazywał...

Witek siedział na progu obory i podrapywał się zajadle, i przewiewał, a że wróble poczęły zlatywać z dachów do studni

i trzepać się w korycie, to przyniósł drabkę<sup>45</sup> i wlaź pod okap zajrzeć do gniazd jaskółczych, bo cicho tam jakoś było.

– Pomarzły czy co?

I jał wyciągać delikatnie pomorzone ptaszki i kłaść je za pazuchę.

– Kuba, wiecie, nie żyją, o! – Pobiegł do parobka i pokazywał sztywne, pogasłe jaskółki.

Ale Kuba wziął ino w rękę, przyłożył do ucha, dmuchnął w oczy i rzekł:

– Zdrętwiały, bo przymrozek galanty<sup>46</sup>. Ale że to głupie nie poszły jeszcze do ciepłych krajów, no, no... – I poszedł do swojej roboty.

A Witek siadł pod chałupą, w szczycie, bo słońce już tam dochodziło i oblewało bielone ściany, po których i muchy łązić poczynały; wyciągał zza koszuli te, które już ogrzane nieco jego ciałem, gmeraly się trochę, chuchał na nie, rozdziawiał im dziobki, poił z ust własnych, aż ożywiały się, otwierały oczy i poczynały wydzierać się do ucieczki; wtedy prawą ręką czaił się po ścianie i raz wraz zagarnął jaką muchę, nakarmił nią i puszczał.

– Lećta se do matuli, lećta – szeptał, patrząc, jak jaskółki siadały na kalenicy obory, czesały się dziobkami i szczebiotały jakby dziękczynienia.

A Łapa siedział przed nim na zadzie i skomlał ucieszenie, a co

---

<sup>45</sup> *drabka* – drabinka. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *galanty* – porządny. [przypis edytorski]

który ptaszek wyfruwał, rzucał się za nim, biegł kilka kroków i zwracał z powrotem stróżować.

– Ale, złap wiatery w polu – mruzczał Witek i tak się zatopił w rozgrzewaniu jaskółek, że ani widział, kiedy Boryna wyszedł z za węgła i stanął przed nim.

– Ptaszkami się, ścierwo, zabawiasz, co?

Porwał się, by uciekać, ale już gospodarz chyzył go krótko za kark i drugą ręką szybko odpasywał szeroki, twardy pas rzemienny.

– A dyć nie bijcie, a dyć! – zdążył krzyknąć jeno.

– Takiś to pastuch, co? Tak to pilnujesz, co? Najlepsza krowa się zmarnowała, co?... Ty znajdku, ty pokrako warsiaska! Ty! – I bił zapamiętałe, gdzie popadło, aż rzemień świszczą, a chłopak wił się kiej piskorz i wrzeszczał:

– Nie bijta! Loboga! Zabije mię! Gospodarzu!... O Jezu, ratujta!...

Aż Hanka wyrzała z chałupy, co się dzieje, a Kuba splunął i schował się do stajni.

A Boryna łoił go rzetelnie, wybijał mu na skórze swoją stratę tak zajadle, że Witek miał już gębę posinioną i z nosa puściła mu się krew, krzyczał wniebogłosy i cudem jakimś się wyrwał, chwycił się obu rękami z tyłu za portki i gnał w opłotki.

– Jezu, zabili mę, zabili mę! – ryczał i tak pędził, aż mu reszta jaskółek wylatywała z za pazuchy i rozsypywała się po drodze.

Boryna pogroził jeszcze za nim, opasał się i wrócił do chałupy, i zajrzał na Antkową stronę.

– Słońce już na dwa chłopa, a ty się jeszcze wylegujesz! – krzyknął na syna.

– Zmogłem się wczoraj kiej bydłę, to muszę się wywczasować.

– Do sądu pojedę... Zwieź ziemniaki, a jak ludzie skończą kopanie, to zagnać je do grabienia ściółki, a ty mógłbyś kołki pozabijać do ogacenia<sup>47</sup>.

– Ogaćcie se sami chałupę, nama tutaj nie wieje.

– Rzekłeś... to swoją stronę ogacę, a ty marznij, kiejś wałkoń.

Trzasnął drzwiami i poszedł na swoją stronę.

Józka już rozpałała ogień i szła doić krowy.

– Rychło daj jeść, bo trza mi jechać...

– Przecięch się nie ozedrę, dwóch robót razem nie poradzę – i poszła.

– Spokojnego oczymgnięcia nie ma, ino kłyżnij się<sup>48</sup> ze wszystkimi! – myślał i wziął się do obleczenia, ale zły był i zgryziony. Jakże, ciągnęła wojna z synem, słowa nie można rzec, bo zaraz do oczów z pazurami skacze albo rzeknie coś, co jaże we wątpiach poczujesz. Na nikogo się spuścić, ino haruj i haruj!

Złość w nim zbierała, aż poklinał z cicha i rzucał szmatami po izbie a butami.

– Słuchać się powinny, a nie słuchają! Czemu to? – myślał.

– Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyć się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyżnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze

---

<sup>47</sup> *ogacenie* – ocieplenie. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *kłyżnić się* – kłócić się. [przypis edytorski]

wagował<sup>49</sup>, żeby zgorszenia we wsi nie czynić. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach, i z rodu nie bele chto – Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie!... – Tu przyszedł mu na myśl zięć, kowal, któren wszystkich po cichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu, a już na resztę chciał poczekać...

– To niby kiej zamrę! Poczekaj, jucho, poczekaj – myślał ze złością. – Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! Widzisz go, mądrala!

Kartofle już mocno perkotały w kominie, gdy Józka przysła od udoju i wnetki narządziła śniadanie.

– Józka! A mięso sama przedawaj. Jutro niedziela, ludzie się już zwiedziały, to się ich tu naleci; ino nie borguj<sup>50</sup> nikomu. Pośladek ostaw la nas; zawoła się Jambroża, to zasoli i przyprawi...

– A dyć i kowal umieją...

– Ale, podzieliłby się kiej wilk z owcą.

– Magdzie będzie markotno, że to nasza krowa, a ona nawet nie obaczy.

– To la Magdy wytnij jaką sztuczkę i zanieś, ale kowala nie wołaj.

– Dobryście, tatulu, dobry.

– Hale, córuchno, hale! Pilnuj tutaj, a już ci bułeczkę przywiezę abo i co.

---

<sup>49</sup> *wagował* – wahał. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *borgować* – dawać na kredyt. [przypis edytorski]

Podjadł se niezgorzej, opasał się pasem, przyglądził poślinioną dłońią zwichrzone i rzadkie włosy, ujął bat i jeszcze się rozglądał po izbie...

– Bym czego nie przepomniał. – Chciało mu się zajrzeć do komory, ale się powstrzymał, bo Józka patrzyła, więc się przeżegnał i ruszył.

A już z wasąga, zbierając w garść parciane lejce, rzekł Józce na ganek:

– Skończą ziemniaki, to zaraz iść grabić ściółkę, kwitek jest za obrazem. A niechta zetną jakiego grabka albo i chojkę – przyda się.

Wóz ruszył i już był w opłotkach, gdy Witek mignął pod jabłoniami.

– Zahaczyłem... prru... Witek! Prru! Witek, puść krowy na łąki, a pilnuj, bo cię, jucho, spierę, że popamiętasz!

– Ale, pocałujta mę gdzieś... – odkrzyknął hardo znikając za stodołą.

– Będiesz tu pyskował, jak zleżę, to obaczysz...

Skręcił z opłotków na lewo, na drogę wiodącą ku kościołowi; podciął batem żróbkę, że podyrdała truchcikiem po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

Słońce było już chyła tyła nad chałupami i świeciło coraz cieplej, bo z oszroniałych strzech podnosiły się opary i woda skapywała, tylko w cieniach – pod płotami w sadach, po rowach, leżał jeszcze siwy mróz; po stawie wlekły się ostatnie zrzędłe mgły i woda poczynąła spod bielm wrzeć brzaskami

i odbłyskiwać słońce.

We wsi poczynął się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że zaś przymrozek orzeźwił powietrze, to i raźniej się poruszali, i zgiełkliwiej; wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami a koszykami na rękę, dojadając śniadań; którzy z pługiem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykრęcali ku lasom z grabiami na ramionach, ściółkę grabić – że ino dudniło po obu stronach stawu i krzyk się wzmagął, bo drogi były zatłoczone bydłem ciągnącym na paszę, szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchały raz wraz z niskiej, ciężkiej kurzawy, jaka się była wznosiła z orosiałych dróg.

Boryna wymijał trzody ostrożnie, czasem śmignął po wełnie jakie jagniątko głupie, co się nie usuwało przed żrebicą, to cielę jakie, aż i wyminął wszystkich i koło kościoła, który stał osłonięty potężnym wałem lip żółknących i klonów, wjechał na szeroki gościniec, obsadzony z obu stron ogromnymi topolami.

A że w kościele była msza święta, bo sygnaturka przedzwoniła ofiarę i huczały przyciszonym głosem organy, zdjął kapelusz i westchnął pobożnie.

Droga była pusta i zasłana opadłym liściem tak obficie, że wyboje i głęboko powyrzynane koleiny pokryły się rdzawozłocistym kobiercem, pociętym gęstymi pręgami cieniów, jakie rzucały pnie topoli, bo słońce z boku świeciło.

– Wio, maluśka, wio! – Świsnął batem i żrebica przez kilka

stajań poszła raźniej, ale potem opadła i wlekła się wolno, bo droga, choć nieznacznie, szła pod wzgórze, na których czerniały lasy.

Boryna, że go ta cisza mroczyła sennością, to poglądał przez kolumnadę topoli na pola, pławiące się w różowym, porankowym świetle, albo myśleć usiłował o sprawie z Jewką, to o granuli – ale nie mógł sobie dać rady, tak go śpik<sup>51</sup> morzył...

Ptaszki ćwierkały w gałęziach, to czasem wiatr przegarnął leciuchnymi palcami po czubach drzew, że ino jaki taki listeczek, kieby motyl złoty, odrywał się od maci, spadał kolisto na drogę abo i na zakurzone osty, co zaognionymi oczami kwiatów hardo patrzyły w słońce – a topole zagwarzyły, poszemrały z cicha gałązkami i pomilkły kiej te kumy, co na Podniesienie oczy podniesą, ręce rozłożą i westchną modlitewnie, a padną wnetki w proch przed Majestatem, ukrytym w tej złotej monstrancji, zawisłej nad ziemią świętą, nad rodzoną...

Dopiero pod lasem przecknął na dobre i wstrzymał konia.

– Wschodzi niezgorzej – szepnął, przyjrząwszy się pod światło szarym zagonom, ordzawionym krótką szczotką wschodzącego żyta.

– Kawał pola, a przyległo do mojego, kieby kto z umysłu narządził! Żyto, widzi mi się, wczoraj posiały.  
– Ogarnął pożądlivym spojrzeniem zbronowane zagony, westchnął i wjechał w las.

---

<sup>51</sup> śpik – senność. [przypis edytorski]

Poganiał często konia, bo droga szła po równym i twardsza była, tylko gęsto przerośnięta korzeniami, na których wóz podskakiwał i turkotał.

Ale już nie drzemał, owiany surowym i chłodnym dechem lasu.

Bór był ogromny, stary – stał zbitą gęstwą w majestacie wieku i siły, drzewo przy drzewie, sama sosna prawie, a często dąb rosochaty i siwy ze starości, a czasem brzozy w białych koszulach, z rozplecionymi warkoczami żółtymi, że to jesień już była. Podlejsze krze, jako leszczyna, to karłowata grabina, to osiczyna drżąca tuliły się do czerwonych, potężnych pni tak zwartych koronami i poplątanych gałęziami, że ino gdzieniegdzie przedzierało się słońce i pełzało niby złote pająki po mchach zielonych i paprociach zrudziałych.

– Zawszy mojego tu są cztery morgi! – myślał i pożerał oczami las, i już na oko wybierał co najlepszy. – Przeciech Pan Jezus nie da nas ukrzywdzić – abo i same się nie damy, nie... Dworowi widzi się dużo, a nam mało. Zarno... moje ze cztery, a Jagusine z morga... cztery i jedna... Wio! głupia, sroków się będzie bojała! – Trzepnął ją batem, bo na suszce, co dźwigała Bożą Mękę, kłóciły się sroki tak zajadle, aż źrebica strzygła uszami i przystawała.

– Srokowe wesele – deszczu będzie wiele. – Przypiął parę batów źrebicy i jechał kłusem.

Dobrze było już po ósmej, bo ludzie na polach siadali do śniadaniowych dwojaków, gdy wjeżdżał do Tymowa, na puste

uliczki, obstawione pozapadanymi domostwami, co przysiadły niby stare przekupki nad rynsztokami, pełnymi śmieci, kur, Źydział obdartych i nierogacizny.

Zaraz na wjeździe obstąpili go Źydzi i Źydówki i nuż zaglądać do wasągu, macać pod grochowinami, pod siedzeniem, czy nie wiezie czego na sprzedanie.

– Poszły, parchy! – mruknął, wjeżdżając na rynek, pod cień starych, poobdzieranych kasztanów, konających na środku placu, gdzie już stało kilkanaście wozów z wyprzęgniętymi końmi.

I swój wasąg tam umieścił, żrebicę wyłożył łbem do półkoszka, nasuł jej do kobiałki obroku, bat schował na dno, pod siedzenie, otrzepał się ze słomy i ruszył prosto do Mordki, tam gdzie błyszcząły trzy mosiężne talerze, aby się nieco przyogolić – wyszedł wkrótce czysto ostrugany i tylko z jednym zacięciem na brodzie, zalepionym papierem, przez który sączyła się krew.

Sądy nie były jeszcze zaczęte.

Ale przed domem sądowym, co stał zaraz w rynku, naprzeciw ogromnego poklasztornego kościoła, czekało już sporo narodu. Siedzieli na wydeptanych stopniach, to kupili się pod oknami i raz wraz zagląдали do środka, kobiety zaś przykucnęły pod bielonymi ścianami, opuściły czerwone zapaski z głów na ramiona i rajcowały.

Boryna, że dojrzał Jewkę z dzieckiem na ręku, stojącą w gromadzie swoich świadków, to się zeźlił zarno, jako że skory był do złości, splunął i wszedł do sieni drugiej, biegnącej na przestrzał sądowego domostwa.

Po lewej stronie był sąd, a po prawej mieszkał sekretarz, bo jakoż właśnie Jacek wyniósł samowar przed sam próg i tak go rozdmuchiwał cholewą zawzięcie, że dymił niby komin fabryczny, a co chwila ostry, gniewny głos krzyczał z głębi zadymionej sieni:

– Jacek! buciki panienkom!

– Zaraz, zaraz!

Samowar już niby wulkan huczał i buchał płomieniami.

– Jacek! wodę panu do mycia.

– Dyć zara, zrobi się wszystko, zrobi! – I spocony, nieprzytomny, ganiał po sieni, aż dudniło, powracał, dmuchał i znowu leciał, bo pani krzyczała:

– Jacek! kulfonie jeden, gdzie moje pończochy?!...

– Ale! ścierwa, nie samowar!

Trwało to wszystko dobrych parę pacierzy, abo i z koronkę, aż wreszcie drzwi sądowe się otwarły i naród począł napętniać dużą, wybieloną izbę.

Jacek, już teraz jako woźny, boso, w modrych portkach i takimże lejniku z mosiężnymi guzikami, z czerwoną, spoconą twarzą, którą raz wraz obcierał rękawem, uwijał się za czarnymi kratami, dzielącymi izbę na dwie połowy, i rzucał łbem niby koń, kiej go giez ukąsi, bo płowe włosy spadały mu grzywą na oczy, to zaglądał ostrożnie do sąsiedniej stancji i potem siadał na chwilę pod zielonym piecem.

A narodu się nawaliło, że ani palca wetknąć, i parli się coraz

krzepciej<sup>52</sup> na kraty, aż trzeszczały; gwar zrazu cichy podnosił się z wolna, szemrał, przewalał po izbie, huczał czasami, przechodził miejscami w kłótnię, że jakie takie mocne słowo padało coraz gęściej.

Żydzi szwargotali pod oknami, a jakieś baby na głos opowiadały swoje krzywdy i jeszcze głośniej popłakiwały, ale nie można było rozeznaczyć, kto i gdzie, bo ciasnota była i głowa przy głowie, jako ten zagon pełen maków czerwonych i kłosów żytnich, co go to wiaterek żenie, a on się zakolebie i gwarzy, i szumi, a potem staje równo kłos przy kłosie. To znowu Jewka, dojrawszy Borynę wspartego o kraty, jęła dogadywać i wykrzykiwać na niego, że zeżłony odrzekł ostro:

– Zamilknij, suko, bo ci gnatkę porachuję, że rodzona nie pozna.

A na to Jewka rozsznogała już pazury wyciągać i drzeć się do niego przez gęstwą ludzką, aż jej chustka spadła z głowy i dzieciak się rozkrzyczał, że nie wie, na czym by się skończyło, gdy naraz Jacek się zerwał, otworzył drzwi i krzyknął:

– Cicho!ta, ścierwo, bo ano sąd idzie!...

Jakoż i sąd wszedł; najpierw gruby, wysoki dziedzic z Raciborowic, a za nim dwóch ławników i sekretarz, który usiadł przy bocznym stoliku pod oknem i rozkładał papiery a patrzył na sędziów, jak stanęli przy wielkim stole, okrytym czerwonym sukniem, i nałożyli złote łańcuchy na grube karki...

Cicho się zrobiło, że słyhać było tych, co na ulicy pod oknami

---

<sup>52</sup> *coraz krzepciej* – coraz silniej (od: *krzepki* – silny). [przypis edytorski]

gwarzyli.

Dziedzic rozłożył papiery, chrząknął, spojrzął na sekretarza i grubym, donośnym głosem oznajmił, że sądy się rozpoczynają.

Potem sekretarz przeczytał sprawy na dzień dzisiejszy, coś szepnął pierwszemu ławnikowi, ten oddał to sędziemu, który kiwnął głową potakująco.

Sądy się rozpoczęły.

Pierwsza szła sprawa ze skargi strażnika na jakiegoś łyczka o nieporządku w podwórzu.

Skazany zaocznie.

Potem o pobicie chłopaka za wypasanie końmi koniczyny.

Pogodzili się – matka dostała pięć rubli, a chłopak nowe portki i lejbik.

Sprawa o woranie się<sup>53</sup>.

Odłożona z braku dowodów.

Sprawa o kradzież leśną w borze sędziego; stawał rządca – oskarżeni chłopcy z Rokicin.

Skazani na kary pieniężne lub odsiedzenie w areszcie po dwa tygodnie.

Nie przyjęli wyroku, pójdą do apelacji.

I tak głośno zaczęli wykrzykiwać na niesprawiedliwość, bo las był wspólny, serwitutowy, aż sędzia skinął na Jacka, i ten zagrzmiął:

– Cichojta, cichojta, bo tu sąd, nie karczma.

I tak szła sprawa za sprawą, kieby skiba za skibą, równo i dość

---

<sup>53</sup> woranie się – zaoranie kawałka cudzego pola. [przypis edytorski]

spokojnie, czasem tylko podnosiły się skargi albo chlipanie, albo i przekleństwo, ale te Jacek wnet przyciszał.

Z izby ubyło nieco ludzi, ale w ich miejsce przybyło tyle nowych, że stali zbici kieby w snop, że nikt nie poruszył się nie mógł i zrobił się taki gorący, iż ani odetchnąć, aż sędzia polecił otworzyć okna.

Teraz szła sprawa Bartka Kozia z Lipiec o kradzież świni u Marcjanny Antonówny Pacześ. Świadkowie: też Marcjanna, syn jej Szymon, Barbara Piesek itd.

– Świadkowie czy są? – zapytał ławnik.

– Jesteśmy! – zawołali chórem.

Boryna, który dotąd samotnie a cierpliwie stał przy kracie, przysunął się nieco do Paczesiowej przywitać, boć to była Dominikowa, matka Jagny.

– Oskarżony, Bartek Kozioł, bliżej, za kratę.

Niski chłop przepychał się ze środka tak gwałtownie, aż kłąc poczęli, że depcze po kulach i przyodziewek ozdiera.

– Cichojsza, ścierwo, bo prześwietny sąd mówi! – krzyknął Jacek, wpuszczając go.

– Wy Bartłomiej Kozioł?

Chłop drapał się fraszobliwie po gęstych, równo obciętych włosach; głupowaty uśmiech skrzywił mu suchą, wygoloną twarz, a małe rudawe oczki chytrze skakały po sędziach niby wiewiórki.

– Wy Bartłomiej Kozioł? – zapytał znowu sędzia, bo chłop milczał.

– Dyc juści, on ci Bartłomiej Kozioł, dopraszam się łaski prześwietnego sądu! – piszczała ogromna kobieta, wpychając się siłą za kraty.

– A wy czego?

– Dopraszam się łaski, a dyc ja żona tego chudziaka, Bartka Kozła – i kłaniała się ręką do ziemi, aż wyrurkowanym czepcem zawadzała o stół sędziowski.

– Świadkujecie?

– Niby to za świadka? ni, jeno dopraszam się...

– Woźny, wyrzuć ją za kratę.

– Wychodźta, kobieto, bo nie la was tu miejsce... – Chwycił ją za ramiona i pchał zadem.

– Dopraszam się prześwietnego sądu, kiej mój ano nie dosłyszcy na ten przykład... – krzyczała.

– Wychodźta, póki po dobremu – i aż jęknęła, tak ją ciepnał na kratę, bo ani kroku po dobroci ustąpić nie chciała.

– Wyjdźcie, będziemy głośno mówili, to choć on Kozioł, a usłyszcy!

Zaczęło się wreszcie badanie.

– Jak się nazywacie?

– He?... a, przezywam?... Przeciech wołali mę, to niby wiedzieć wiedzą...

– Głupiś. Jak się nazywacie? – indagował nieubłagane sędzie.

– Bartek Kozioł, prześwietny sądzie – rzuciła żona.

– Ile lat?

– He?... a, lat?... bo ja to pomnę! Matka, wiele to ja mam

roków?...

– Pięćdziesiąt i dwa, widzi mi się, będzie na zwiesnę.

– Gospodarz?...

– I... trzy morgi piachu i ten jeden krowi ogon... sielny<sup>54</sup>  
gospodarz.

– Był już karany?

– He?... karany?...

– Czy siedzieliście w kozie?

– To niby w kreminalu?... karany?... Matka, byłem to  
w kreminalu, he?...

– A byłeś, Bartku, byłeś, a to cię te ścierwy dworskie o to  
zdechłe jagniątko...

– Juści, juści... na paśniku znalazłem zdechłe jagnię...  
wzionem, co miały psy rozwłóczyć... poskarżyły, przysięgły,  
com ukradł, sąd przysądził... wsadziły mę i siedziałem...  
Niesprawiedliwość jest ino, niesprawiedliwość... – mówił  
głucho i obzierał się nieznacznie na żonę.

– Oskarżeni jesteście o kradzież maciory Marcjannie Pacześ!  
Wzięliście ją z pola, zagnali do domu, zarżnęli i zjedli! Co macie  
na swoją obronę?...

– He? Zjadłem! Żeby tak Boga przy skonaniu nie oglądał,  
że nie zjadłem... Moiściewy, zjadłem!... o świecie, świecie  
rodzony, ja zjadłem! – wołał żałośnie.

– Cóż macie na swoją obronę?

– Obronę?... miałem to co rzec, matka?... Juści, baczę;

---

<sup>54</sup> *sielny* – silny, potężny, wielki; tu: ironicznie. [przypis edytorski]

niewinowatym, świni nie zjadłem, a Marcjanna Dominikowa, na ten przykład, szczeka bele co, kiej ten pies, że ino chycić za ten paskudny pysk a sprać... a...

– O ludzie, ludzie!... – jęknęła Dominikowa.

– To już sobie później zrobicie, a teraz mówcie, jakim sposobem świnia Paczesiowej znalazła się u was?...

– Świnia Paczesiowa... u mnie?... Matka, co to wielmożny dziedzic rzekli?...

– A dyć, Bartku, to o tym prosiaku, co to za tobą przylazł do chałupy...

– Baczę, juści, że baczę, bo prosiak to był, a nie świnia żadna; dopraszam się łaski wielmożnego sądu, niech słyszą, com ano rzekł, i przywtórzę; prosiak to był, a nie świnia; biały prosiak, a kiele ogona abo i zdziebko poniżej czarno łaciaty.

– Dobrze, ale skąd się wziął u was?

– Niby u mnie?... Zarno wszystko dokumentnie rzeknę, z czego się pokaże la prześwietnego sądu i la zgromadzonego narodu, co jestem niewinowaty, a Dominikowa cygan jest baba, pleciuch i ozornica zapowietrzona!

– Ja cyganię! A dyć tej Najświętszej Paniienki uproszę, żeby was pierun bez świętej spowiedzi nie trzasnął! – rzekła cicho, z westchnieniem ciężkim do obrazu Matki Boskiej, wiszącego w rogu izby, Dominikowa, a potem, że to już ścierpieć nie mogła, wyciągnęła zwiniętą, chudą pięść do niego i syknęła:

– Ty złodzieju świński! ty zbój! ty!... – i rozczapierzyła palce, jakby go chycić chciała.

Ale Bankowa rzuciła się do niej z krzykiem.

– Co! biłabyś go, suko jedna, biłabyś, czarownico, kacie synowski, ty!

– Uciszyć się! – zawołał sędzia.

– Stulta pyski, kiej sąd mówi, bo waju wyciepnę na osobność.

– poparł Jacek, podciągając parcianki, bo mu się był obertelek<sup>55</sup> oberwał.

Uciszyło się zaraz, a baby, że to blisko było do chwycenia się za łby, stały już cicho, ino się oczami jadły a wzdychały ze złości...

– Mówcie, Bartłomiej, mówcie wszystko a prawdę.

– Prawdę?... Samą czystą kiej szkło prawdę rzeknę, rzetelnie powiem, kiej na spowiedzi, kiej gospodarz do gospodarzy, kiej swój do swojaków, bom gospodarz z dziada pradziada, a nie komornik, nie prefesjant jaki abo i jenszy miescki zdzier. To tak było.

– Patrz dobrze w głowę, byś czegój nie przepomniał – radziła.

– Nie przepomnę, Magduś, nie. To było tak. Szedłem se... a baczę, że to rychtyk zwiesna była... i za Wilczym Dołem, wedle Borynowej koniczyny... idę se i mówię pacierz, bo na ten przykład przedzwonili już na Anioł Pański... nocka też szła... idę se... jaż tu słyszę: głos nie głos?... Loboga, myślę se: chrząka albo i nie chrząka?... Oglądnałem za się – niczegój nie widno, cicho całkiem. Złe mę kusi czy co?... Ide dalej i że mę dziebko mrówki oblaży ze strachu, mówię se Pozdrowienie Anielskie.

---

<sup>55</sup> *obertelek* – drewniany kołeczek spełniający funkcję guzika. [przypis edytorski]

Chrząka znowu! Cie! myślę sobie, nic, jeno swynia to abo i zasje prosiak. Zlazłem zdziebko w bok, w koniczynę i obejrzałem się... juści, że cosik lizie za mną, przystanąłem ja – przystaństwo i to, a białne, niskie i długie... a ślepie świeciły się kiej u żbika abo zgoła u złęgo... Przechęgnąłem się, a że i skóra mi ścierpła, tom ruszył lepszym krokiem – jakże, abo to wiadomo, co się po nocach tłucze?... A wszyscy w Lipcach wiedzą, co na Wilczych Dołach straszy.

– Juści, że prawda, bo łoni, kiej Sikora przechodził tam nocą, to go ułapiło za grdykę i rzuciło o ziemię, i tak zbito, że chłop chorzał dwie niedziele – objaśniała żona.

– Cichoj, Magduś, cichoj! Idę, idę... idę... a to fort lezie za mną i chrząka! A że to był rychtyk miesiącek wylazł se na niebo, to patrę, a to ino prosiak, nie złe. Ozgniewałem się, bo co se ten głupi myśli – straszyć, tom rzucił nań patykiem i idę ku domowi. Szedłem se miedzą, między Michałowymi burakami a pszenicą Borynową, a potem między jarką Tomka a owsem tego Jaśka, co go łoni do wojska wzieni, a którego to kobieta akuratnie wczoraj zległa... Prosiak fort za mną kiej pies, to se idzie obok, to wlaź w kartofle Dominikowej i tu pysknie, i tam pysknie, i chrząknie, i kwiknie, a nie ostaje, ino za mną...

Skręciłem na ścieżkę, co bieży na przelaj – ona za mną. Gorąco mi się zrobiło, bo laboga, taka świnia, co może nie świnia! Skręciłem na drogę wedle figury, prosiak za mną... Widziałem, biały był, a kiele ogona, poniżej zdziebko, czarno łaciaty! Ja bez rów – ona za mną, ja na te mogliki, co za figurą

są – ona za mną, ja na kamionki, a ona kiej mi się nie rzuci pod kulasy – rymnąłem kiej długi. Opętana czy co?... Ledwie się pozbierał, a ona kiej nie zadrze ogona i w skok przede mną! A lećże se, zapowietrzona, pomyślałem. Ale nie uciekła, ino wciąż przede mną leciała – aż do samej chałupy – aż do samej chałupy, prześwietny sędzie, aż w ogrodzenie weszła, aż do sieni weszła, a że drzwi do izby były wywarte, to i do izby poszła... Tak mi Panie Boże dopomóż. Amen!

– A potem zarznąłście i zjedli, prawda? – rzekł sędzia rozbawiony.

– He! Zarznął i zjedli?... A cośwa zrobić mieli? Przeszedł dzień – prosiak nie odchodzi; przeszedł tydzień – jest, ani jej wygonić, bo z kwikiem wraca!... Moja podtykała jej, co mogła, bo jakże głodem morzyć, Boże stworzenie też... Prześwietny sąd jest mądry, to sprawiedliwie se wymiarkuje, że com z nią biedny sierota miał zrobić? Niktoj po nią nie przychodził, a w domu bieda – a żarła, że i dwie drugie tyle nie zechlają... Jeszcze z miesiąc, to by nas zeżarła i z bebechami... Co było radzić? Miała ona nas – tośwa my ją zjadły, a i to niecała, bo na wsi się zwiedziały, a Dominikowa poskarżyła, że to jej, przyszła ze sołtysem i zabrała wszystko...

– Wszystko?... a cały zad to gdzie?... – syknęła złowrogo Dominikowa.

– Gdzie? Spytajta się Kruczka i drugich piesków. Wynieśliśmy na noc do stodółki. Psy, że to czujne psie pary, a wrota były dziurawe, wyciągnęły i bal se sprawiły moją krwawicą, że

chodziły obzarte kiej te dziedzice.

– Hale, świnia sama poszła za nim, głupi uwierzy, ale nie sąd. Złodziej jucha, a barana młynarzowi, a gęsi dobrodziejowi to kto pokradł, co?...

– Widziałaś, co? Widziałaś! – wrzasnęła Kozłowa, przyskakując z pazurami.

– A kartofle z organistowego dołu to kto?... A cięgiem cosik komuś we wsi ginie, to gąska, to kury, to sprzęt jaki – ciągnęła nieubłaganie.

– Ty ścierwo! Coś ty robiła za młodu, a i co twoja Jagna teraz wyprawia z parobkami, to ci tego nikt nie wypomina, a ty kiej ten pies...

– Wara ci od Jagny! Wara, bo ci ten pysk tak spierę, że... Wara!... – ryknęła wielkim głosem, ugodzona jak w żywe mięso.

– Cicho! Jta, pyskacze, bo za drzwi wyciepnę! – uciszał Jacek, podciągając parcianek.

Zaczęło się przesłuchiwanie świadków.

Najpierw świadczyła poszkodowana, Dominikowa – a zeznawała cichym, nabożnym głosem i przysięgała co chwila przed tą Częstochofską, jako świnia jej, i żegnała się, i biła w piersi, że prawda jest, jako ją ukradł z pastwiska Kozioł, i nie żądała od prześwietnego sądu kary na niego, niech mu już tam Jezusiczek czyścica za to nie pożałuje – ale domagała się wielkim głosem sądu i kary za to, że tak spostonował ją i Jagnę wobec całego narodu.

Świadczył potem Szymek, syn Dominikowej; czapkę powiesił

na rękach złożonych jak do pacierza, oczów nie spuścił z sędziego i jęklwym, nieprzytomnym głosem zeznawał, że świnia była matczyzna, że białna była cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała, a ucho rozerwane, bo ją był Łapa Borynowy chycił na zwieszę, a tak kwiczała, że chociaż w stodółce był – usłyszał...

Potem zawezwano Barbarę Piesek i innych.

Świadczyli po kolei i przysięgali, a Szymek wciąż stał z czapką na rękach, wpatrzony pobożnie w sędziego, a Kozłowa darła się za kratę z krzykiem zaprzeczeń i złorzeczeń, a Dominikowa ino wdychała do obrazu, a poglądała na Kozła, który skakał oczami, nasłuchiwał, a obzierał się na swoją Magdusię.

Naród słuchał uważnie i raz wraz szmer, to uwagi złośliwe albo śmiech się rozległ głuchy pod powałą, aż Jacek musiał przyciszać groźbą.

Sprawa ciągnęła się długo, aż do przerwy, w której sąd poszedł do sąsiedniej izby na naradę, a naród wysypał się do sieni i przed dom odetchnął nieco: kto pojeść zdziebko, kto ze swoimi świadkami się zmówić, kto wywodzić krzywdy swoje, a jenszy znowuj wyrzekać na niesprawiedliwość a pomstować, jak to zwyczajnie bywa na rokach.

Po przerwie i odczytaniu wyroków przyszła na stół sprawa Boryny.

Jewka stanęła przed sądem i pohuśtując dziecko, obwinęte w zapaskę, jeła płaczkliwie wywodzić krzywdy swoje i żale; jako służyła u Boryny i pracowała, jaże jej kulasy ustawały, a nigdy

dobrego słowa nie usłyszała, kąta nie miała na spanie ani jadła dość, że się u sąsiadów pożywiać musiała, a potem zasług nie zapłacił i z jego własnym dzieckiem wygnał ją w cały świat... buchnęła w końcu ogromnym płaczem i rzuciła się na kolana przed sędziami z krzykiem:

– Krzywda to moja, krzywda! a dzieciak jego, prześwietny sądzie!

– Cygani jak ten pies – mruknął Boryna ze zgrozą.

– Ja cyganie?! A dyć wszystkie, a dyć całe Lipce wiedzą, że...

– Żeś suka i latawiec...

– Wielmożny sądzie, a przódzi to mi ino mówili: Jewka, Jewuś, i jeszcze słodziej, a to mi paciorki przywieźli, a to często gęsto bułkę z miasta i mówili: „Naści, Jewuś, naści, boś mi najmilejsza...” – a teraz, o mój Jezu, mój Jezu!... – poczęła ryczeć.

– Cygan, jucha, mozem cię jeszcze pierzyną przyodziać i mówić: „Śpij se, Jewuś, śpij!...”

Izba zatrzęsa się śmiechem.

– Abo nie, co? Abośta nie skamłali, jako ten pies przed drzwiami, abośta mało obcowali, co?

– Loboga, ludzie, że to pierun nie zabije taką pokrakę? – zakrzyknął zdumiony.

– Wielmożny sądzie, cały świat wiedział, jak to było, całe Lipce mogą przyświadczyć, co prawdę mówię. Służyłam u nich, to mi ciągiem spokoju nie dawał. O biedna ja sierota, biedna! ... O dola moja nieszczęśliwa!... Abo tom się mogła obronić

przed tylim chłopem?... Krzyczałam, to mę sprął i zrobił, co chciał... A gdzież ja się podzieję z tym dziecięckiem, gdzie?... Świadki powiedzą i przyświadczą! – wołała wśród płaczu i krzyków.

Ale świadkowie w rzeczywistości nic nie zeznali prócz plotek i domysłów, więc znowu jąta dowodzić i przekonywać, aż w końcu jako ostatni dowód rozpowiła dziecko i położyła je przed sędziami; dziecko wierzgało nagimi nóżkami i krzyczało wniebogłosy.

– Wielmożny sąd sam obaczy, czyje ono; o, ten ci sam nos kiej kartofel, te same bure ślepie i kaprawe... Kropla w kroplę nikt jenszy, jeno Boryna!... – wołała.

Ale już i sąd nie mógł powstrzymać się od śmiechu, a naród aż huczał z uciechy, przyglądali się dziecku, to Borynie i raz wraz ktoś powiedział:

- To ci pannica, kiej ten pies odarty ze skóry!
- Boryna wdowiec, ożeniłby się z nią, a chłopak zdałby się do pasionki...
- Lenieje ci ona kiej krowa na zwiesnę.
- A urodna! jeno grochowinami przytrząść i w proso wsadzić – wszystkie gapy<sup>56</sup> uciekną...
- Już i tak psy uciekają, kiej Jewusia bez wieś idzie!...
- A gębusię ci ma kiej pomyjami wymalowaną...
- Bo gospodarna, raz w rok się myje, coby na mydło nie wydawać...

---

<sup>56</sup> *gapa* – wrona. [przypis edytorski]

– Żydom w piecach pali, czasu nie ma, to i nie dziwota!

Dogadywali coraz złośliwiej i okrutniej, a ona zmiłkła i nieprzytomnymi oczami psa zgonionego patrzyła po ludziach i ważyła coś w sobie...

– Cicho! To grzech tak się naśmiewać nad biedotą! – krzyknęła Dominikowa tak mocno, aż pomilkli, i jaki taki drapał się po łbie ze wstydu.

Sprawa skończyła się na niczym.

Boryna poczuł niezmierną ulgę, bo chociaż nie był winien, ale zawsze bojał się ludzkiego obmówiska, no i tego, że przysądzić mogą, by płacił – bo prawo juści jest ci takie, że nikiej nie wiada, kogo za łeb chyci, winowatego czy sprawiedliwego. Bywało już tak nie raz, nie dwa, nie dziesięć... bywało.

Wyszedł zaraz ze sądu i czekając na Dominikową, jął medytować i rozważać w sobie całą tę sprawę. Nie mógł zrozumieć, po co i dlaczego skarżyła.

– Ni, to nie jej rozum i głowa, to jenszy, ktoś drugi przez nią sięga, ale kto?...

Poszli z Dominikową i z Szymkiem do karczmy napić się i przegryźć coś niecoś, bo było już dobrze po południu, i chociaż mu Dominikowa napomykała z lekka, że cała ta Jewczyzna sprawa to musi być robota kowala, zięcia jego, nie mógł uwierzyć.

– Co by mu z tego przyszło?

– Tyla, żeby was pokłyźnić a podać na pośmiewisko i umartwienie. Drugi człowiek jest taki, że z jenszego la samej uciechy pasy by darł.

– Dziwno mi tej zawziętości Jewczynej! Bom nie ukrzywdził w niczym, a jesczem za chrzest tego jej bękarta dał dobrodziejowi worek owsa...

– Służy ona u młynarza, a ten w kompanii z kowalem chodzi... miarkujecie?!...

– Miarkuję, ino że nic rozeznąć nie mogę! Napijwa się jeszcze!

– Bóg zapłać, pijcie przódzi, Macieju!

Napili się raz i drugi, zjedli drugi funt kiełbasy z półbochenkiem chleba, stary kupił rząddek bułek dla Józi i zabierali się do powrotu.

– Siadajcie, Dominikowa, ze mną, cknno samemu, pogwarzym...

– A dobrze, ino skoczę jeszcze do klasztoru zmówić pacierz.

Poszła, ale w dobre dwa pacierze już była z powrotem, i zaraz pojechali.

Szymek włókł się za nimi wolno, bo w jedną szkapę i piachy były srogie, ale rozebrało go nieco, że to nie był zwyczajny picia i oszołomiony sądem, to się ino kiwał sennie w półkoszkach i raz wraz przecykając<sup>57</sup> zdzierał czapkę ze łba, zęgnął się nabożnie i wpatrzony nieprzytomnie w ogon szkapy, jakoby w dziedzicową twarz na sądzie, mamrotał: „...Świnia matczyna, białna cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała...”

Słońce się już było przetaczało ku zachodowi, gdy wjechali w las.

---

<sup>57</sup> *przycykać (się)* – budzić się z drzemki. [przypis edytorski]

Mało wiele pogadywali, choć siedzieli w podłe siebie na przednim siedzeniu.

Czasem któreś zagadnęło jakimś słowem, że to nieobyczajnie siedzieć jak te mruki, ale ino tyła tego było, żeby śpik nie morzył i język nie zasechł...

Boryna poganiał żróbkę, bo wolniła, że to już do pół boków spotniała z umęczenia i gorąca, czasem pogwizdał a milczał, i coś żuł, coś ważył w sobie, coś kalkulował i często a niewidnie poglądał na starą, na jej suchą kieby z blichowanego wosku twarz, całą w podłużnych bruzdach zastygłą – poruszała bezzębnymi wargami, jakby się modliła po cichu; czasem pociągała czerwoną zapaskę barzej na czoło, bo słońce świeciło prosto w oczy, i siedziała nieruchomo, ino jej bure oczy gorzały.

– Wykopaliście ta już, co? – zagadnął wreszcie.

– A juści. Obrodziły latoś niezgorzej.

– Przychować będzie wama łacniej.

– Wsadziłam też wieprzka do karmika, bo w zapusty może się zdać...

– Pewnie, pewnie... mówiły, że Walek Rafałów przysyłał z wódką?...

– Nie on jeden, nie... ale po próżnicy ino grosz tracą... nie la takich Jaguś moja, nie.

Podniosła głowę i jastrzębimi oczami wpiła się w niego, ale Boryna, że człek był w latach, nie wicher żaden, to twarz pokazał zimną i spokojną nie do rozeznania. Długo nie rzekli ni słowa, jakby się tą niemotą mocując ze sobą.

Borynie nijako było zaczynać pierwszemu, bo jakże, w latach już był i gospodarz na całe Lipce pierwszy; no i mógł to zasię tak prosto rzec, co mu się Jaguś udała?... Honor przeciech swój miał i pomyślenie – ale że krwie gorącej był z przyrodzenia, to aże go złość porywała, że musi tak baczyć na siebie, tak kołować a zabiegać.

Dominikowa przezierała go coś niecoś i miarkowała zasię, co go tak markoci i rozbiera, ale ni słówkiem nie pomogła, ino raz wraz poglądała nań, to w ten świat i te dalekości niebieskie, aż i rzekła niehcący:

– Gorąc ci taki, kieby we żniwa.

– Rzekliście.

Jakoż i tak było, bo drogę otaczały potężne ściany boru, że żaden wiater ni przewiew nijaki nie przedzierał się z pól, a słońce wisiało prosto nad głowami i tak dogrzewało, że rozprażone drzewa stały bez ruchu i omdlałe czuby pochylały nad drogą, i tylko raz wraz puszczały bursztynowe igliwo, co kołujący sphywało na drogę. Grzybny zapach bajorów i liścia dębowego aż wiercił w nozdrzach.

– Wiecie, dziwno to mnie, a i drugim, że taki gospodarz, co to i pomyślenie nie bele jakie ma, i grontu tela, i posłuch u narodu – kiej wy na ten przykład, a do urzędu ambitu nie macie...

– Utrafiliście, że ambitu nijakiego nie mam. Co mi po tym? Sołtysem byłem bez trzy roki, tom dopłacił gotowym groszem. A com namarnował siebie i konisków! com się nakłyźnił i nabiegał, że i ten pies polowy nie więcej... A upadek

w gospodarstwie był i marnacja, że jaże mi moja nie dała dobrego słowa...

– Miała i ona swój rozum. Urzędnikiem być zawždy to i honor jest, i profit.

– Bóg zapłać. Strażnikowi się kłaniaj, pisarza obłapiaj za nogi i bele ciaracha, co z urzędu – też... Wielgi mi honor! Nie płacą podatków, most się popsowa, wścieknie się pies, który weźmie kłonicą po łbie – kto winowaty?... Sołtys winowaty, do śtrafu sołtysa ciągnąją! Hale, jest profit. Dosyć ja pisarzowi i do powiatu nanosił i kur, i jajków, i gąskę niektórą...

– Prawdę mówicie, ale Pietrkowi wójtostwo do grdyki nie wraca, nie; grontu już dokupił i stodółkę dostawił, i konie ma kiej te hamany!...

– Juści, ino nie wiada, co mu z tego ostanie, kiej się urząd skończy...

– Myślicie...

– Oczy swoje mam i miarkuję se zdziebko...

– Dufny ci on w siebie i z dobrodziejem<sup>58</sup> koty drze.

– A że mu się darzy, to ino bez kobietę; on se wójtuje, a ona w garści wszyćko dzierży.

Milczeli znowu z pacierz dobry.

– A wy to nie poślecie z wódką do której?... – zapytała ostrożnie.

– I... nie bierą mę już ciągotki do kobiet, za starym...

– Nie powiadajcie po próżnicy! Ino ten stary, co się ruhać

---

<sup>58</sup> z dobrodziejem – tj. z księdzem. [przypis edytorski]

nie może, łyżki sam do gęby nie doniesie i na przypiecku se dochodzi... Widziałam, kiejście worek żyta nieśli.

– Juści, zem w sobie krzepki jeszcze, ale która by ta poszła za mnie?...

– Któren nie probant, co wie? Obaczycie!

– Starym, dzieci dorastają... a pierwszej z brzegu nie wezmę...

– Zróbcie ino zapis, a i co najpierwsze się wama nie sprzeciwią...

– La zapisu! Kiej te świnię! Za tę morgę to i młódka najczystsza a pójdzie choćby za dziada spod kościoła...

– A chłopcy to za wianem nie patrzą, co?

Nie odrzekł już, jeno skropił batem źrebicę, że ruszyła z miejsca galopem.

Milczeli długo.

Dopiero gdy wyjechali z lasu na pola, między przydrożne topole, Boryna, który cały ten czas burzył się w sobie i przegryzał, wybuchnął:

– Na psy takie urządzenie we świecie! Za wszystko płąć, choćby i za to dobre słowo! Źle jest, że i gorzej być nie było. Już nawet dzieci na ojców nastają, posłuchu nie ma nijakiego, a wszystkie się żrą ze sobą kiej psy.

– Bo głupie, nie baczą, że wszystkich jednako ta święta ziemia pokryje.

– Leda jeden abo drugi od ziemi odrósł, a już do ojców z pyskiem, coby mu jego część dawali. Ze starszych się ino

prześmiewają! Ścierwy, we wsi im ciasno, porządki stare im złe, ubieru nawet wstydzą się niektórzy!

– To wszystko bez to, że Boga się nie boją...

– Bez to i nie bez to, a źle jest.

– Nie idzie na lepsze, nie.

– Ma iść, kto ich ta zniewoli?

– Kara boska! Bo przyjdzie ta godzina sądu Panajezusowego, przyjdzie.

– Ale co się przódzi narodu namarnuje, tego nikt nie odbierze.

– Czasy takie, że lepiej, coby mór przyszedł.

– Czasy! Juści, ale i ludzie są winne. A kowal to co? A wójt? Z dobrodziejem się drą, ludzi buntują a tumania, a głupie wierzą.

– Ten kowal to moja trucizna, chociaż i zięć też...

I tak se już społecznie wyrzekali na ten świat, poglądając na wieś, co była już coraz bliżej widna, przez topole.

Pod smętarzem czerwienił się już z dala rząd kobiet pochylonych i zasnutych delikatną mgłą dymów, a wkrótce i głuchy, monotonny trzepot miądlic jał raz wraz dopływać z powiewem, co się był podnosił z nizinnych łąk.

– Dobry czas na miądlenie. Zlezę przy nich, bo jest tam i Jaguś moja.

– Nic mi z drogi, to was podwiezę...

– Dobrzyście, Macieju, że jaże mi dziwno... – uśmiechnęła się chytrze.

Skrecił z topolowej na polną dróżkę, co biegła do smętarnich wrótni, i podwiózł pod smętarz, gdzie pod kamiennym szarym

płatem, w cieniu brzoź, klonów i tych krzyżów, co się z mogiłek pochylały ku polom, kilkanaście kobiet miądliło zawzięcie suchy len, aż mgła pyłów wisiała nad nimi i długie włókna czepiały się żółtych listków brzoź i wisiały u czarnych ramion krzyżów; w podle, na prętach rozpiętych, nad dołami, w których paliły się ognie, przesuszano len mokrawy jeszcze.

Miądlice ostro kłapały, aż cały rząd kobiet pochylał się ciągle w krótkich a prędkich drganiach, i tylko coraz któraś się prostowała, roztrzepywała przygarść lnu z ostatnich październicy, zwijała ją w kukłę libo w chochoła i rzucała na rozpostartą płachtę przed siebie.

Słońce, że się już było przetoczyło nad lasy, świeciło im prosto w twarze, ale nic to – robota, śmiechy, wesołe słowa nie ustawały ani na to oczymgnienie.

– Szczęść Boże na robotę! – zawołał Boryna do Jagny, która miądliła z kraja zarno; w koszuli była ino a w czerwonym wełniaku i w chustce na głowie od kurzu.

– Bóg zapłać! – odrzuciła wesoło i modre, ogromne oczy podniosła na niego, i uśmiech przeleciał przez jej urodną, opaloną twarz.

– Suchy, córuchno, co? – pytała stara, obmacując obmiądłone garście.

– Suchy kiej pieprz, jaże się łamie... – Znowu spojrziała na starego z uśmiechem, aż ciarki przeszły po nim, że świsnął batem i odjechał, ale raz wraz się obracał za nią, choć już widna nie była, bo mu jak żywa stała w oczach...

– Dzieucha kiej łania... W sam raz – rozmyślał.

## IV

Była niedziela – cichy, opajęczony, przesłoneczniony dzień wrześnieowy.

Na ściernisku, tuż za stodołami, pasł się dzisiaj cały inwentarz Borynowy, a pod brogiem<sup>59</sup> wysokim i pękatym, okrążonym zieloną szczotką żyta, wykruszonego przy układaniu, leżał Kuba, dawał baczenie na inwentarz i uczył pacierza Witka – często pokrzykiwał na niego albo i zasie szturchał biczyskiem, bo chłopak mylił się i latał oczami po sadach.

– Bacz, coć rzekłem, bo to pacierz – upominał poważnie.

– Dyć baczę, Kuba, baczę.

– To czegoś ślepiasz po sadach?

– Widzi mi się, co są jeszcze jabłka u Kłębów...

– Zjadłbyś! A sadziłeś je to, co? Powtórz „Wierzę”.

– Wyście też nie wywiedli kuropatwów, a wzieniście całe stado.

– Głupiś! Jabłka są Kłębowe, a ptaszki Panajezusowe, rozumiesz!

– Aleście je wzieni z dziedzicowego pola...

– I pole jest Panajezusowe. Hale, jaki mądrała, powtórz „Wierzę”.

Powtarzał prędko, bo go już kolana bolały od klęczenia, ale

---

<sup>59</sup> *bróg* – oparte na czterech słupach słomiane zadaszenie, pod którym składowano zboże przed młóceniem, a niekiedy również inne zbiory. [przypis edytorski]

nie ścierpiał...

– Widzi mi się, co żróbka idzie w Michałową koniczynę! – krzyknął gotowy do biegnięcia.

– Nie bój się o żróbkę, a patrz pacierza...

Kończył wreszcie, ale już nie mógł wytrzymać, przysiadł na piętach, wykręcał się na wszystkie strony, a zoczywszy bandę wróbli na śliwkach, śmignął w nie grudką ziemi i spieszenie bił się w piersi.

– A ochfiarowanie to zjadłeś kiej ułęgałkę, co?

Powiedział ochfiarowanie i z wielką ulgą wziął się do śpiącego Łapy i jął z nim baraszkować.

– Ale, gził się ciągiem będzie, kiej ten cielak głupi.

– Poniesiecie dobrodziejowi ptaszki?

– Poniesę...

– Spieklibym w polu.

– Spiecz se ziemniaków. Co mu się zachciewa!

– Idą już do kościoła! – zawołał Witek, spostrzegając przez płoty i drzewa migające czerwone zapaski na drodze.

Słońce przygrzewało niezgorzej, że wszystkie okna i drzwi chałup powywierano na przestrzał; gdzieniegdzie, pod przyzbami, myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zapletano warkocze, gdzie wytrzepywano świąteczne szmaty, zmięte całotygodniowym leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginie żółte, co dokwitały pod ścianami, libo te nagietki i nasturcje – tak szły kobiety strojne, szły dziewczyny, szli parobcy, szły dzieci, szli

gospodarze w białych kapotach, podobni do ogromnych żytnich snopów, a wszyscy dążyli wolno ku kościołowi drogami nad stawem, któren niby misa złota odbijał w sobie słońce, aż oczy raziło.

A dzwony wciąż biły radosnym głosem niedzieli, odpocznienia, modlitwy.

Kuba czekał, aż przedzwonią, ale że nie mógł się doczekać, schował pęk ptaków pod kapotę i rzekł:

– Witek, jak wydzwonią, spędź bydło do obór i przychodź do kościoła.

Ruszył, ile mógł, rychło, bo kulał srodze, dróżką biegnącą pod ogrodami, a tak zaślana żółtym liściem topoli, że szedł kieby po szafranowym kilimie.

Plebania stała na prost kościoła, przedzielona tylko odeń drogą, w głębi wielkiego ogrodu, pełnego jeszcze gruszek zielonych i jabłek rumianych.

Przed gankiem, obrośniętym w poczerwieniałe wino, Kuba się zatrzymał bezradnie, spozierając nieśmiało w okna i w sień, powywierane na oścież; a że wejść nie śmiał, cofnął się pod wielki klomb, pełen róż, lewkonii i astrów, od których bił słodki, upajający zapach; stado białych gołębi łaziło po zielonym, omszonym dachu i sfruwało na ganek.

Ksiądz chodził po ogrodzie z brewiarzem w rękę, ale raz wraz potrzasał gruszą, to jabłonką, że słyhać było ciężkie pacanie owoców o ziemię, pozbierał je w połę sutanny i niósł do domu.

Kuba zastąpił mu drogę i pokornie podjął za kolana.

– Cóż to powiecie? Aha... Kuba Borynowy.

– Juści... dyć parę kuropatków dobrodziejowi przyniosłem.

– Bóg ci zapłać. Chodź za mną.

Kuba wszedł ino do sieni i ostał przy progu, bo nijak nie śmiał wejść na pokoje, poglądał tyła co przez drzwi otwarte na obrazy wiszące po ścianach i przeżegnał się pobożnie, i westchnął, a tak się czuł olśniony tymi ślicznościami, że aże łzy miał w oczach i koniecznie chciało mu się zmówić pacierz, jeno że się bojał klęknąć na błyszczącej, śliskiej posadzce, żeby jej nie powalać.

Ale i ksiądz zaraz wyszedł z pokojów, dał mu złotówkę i rzekł:

– Bóg ci zapłać, Kuba, dobry z ciebie człowiek i pobożny, bo co niedziela chodzisz do kościoła.

Kuba podjął go za nogi, ale był tak ogłuszony radością, że ani wiedział, kiedy znalazł się na drodze...

– Cie, za te parę ptaszków, a tylachna pieniędzy! Dobrodziej kochany! – szeptał, przyglądając się pieniądzwowi. Nieraz ci on nosił dobrodziejowi różne ptaszki, to zajączka, to grzybków, ale nigdy jeszcze tyła nie dostał; co najwyżej to dziesiątkę abo i to dobre słowo... A dzisiaj!... Jezu mój kochany! Całą złotówkę, i na pokoje go wołał, i tyła dobrości mu powiedział... Jezus! Aże za grdykę go coś ułapiło i łzy same leciały mu z oczów, a w sercu poczuł taką gorącość, jakby mu kto zarzewia nasuł za pazuchę...

– Ino jeden ksiądz uszanuje człowieka, ino on jeden!... Niech ci Bóg da zdrowie i ta Panienska Częstochowska... Dobry z ciebie pan, dobry!... Boć cała wieś: i parobki, i gospodarze, i wszystkie, to ino go kulasem przezywali, a niezguła, a darmożjadem, a nikto

dobrego słowa nigdy nie dał, nikto nie pożałował – chyba ino te koniska abo i te pieski... a przecież rodowy był... gospodarski syn... nie znajda żaden... nie obieżyświat, a chrześcijan prawy, katolik...

Podnosił głowę coraz wyżej i coraz hardziej, prostował się, jak mógł, i z góry, wyzywająco prawie patrzył na świat, na ludzi wchodzących na smętarz i na te konie, co stały pod murem przy wozach; nadział czapę na skołtunioną głowę i wolno, godnie ruszył do kościoła, jak gospodarz jaki, zatykając ręce za pas i tak zamiatając krzywą nogą, że kurzawa za nim wstawała.

Nie, nie ostał dzisiaj w kruchcie jak zawdy, jak przystało la niego, jeno się mocno jął przepychać przez ciżbę i parł prosto aż przed wielki ołtarz – aż tam, gdzie stawały same gospodarze, gdzie stał Boryna i wójt sam; kaj stawały te, co nosiły baldach nad dobrodziejem, abo i te, co ze świecami kiej kłonicie trzymali straż przy ołtarzu w czas Podniesienia.

Patrzyli na niego ze zdumieniem i zgrozą, a często gęsto usłyszał przykre słowo i odebrał takie spojrzenie, jako ten pies, któren się tam ciśnie, gdzie go nie wołają. Ale Kuba nic sobie z tego dzisiaj nie robił; ścisnął w garści pieniądz, a duszę miał pełną słodkości i dobroci, jakoby po spowiedzi się czuł abo zasie i lepiej.

Zaczęło się nabożeństwo.

Uklęknął przy samej kracie i śpiewał z innymi, zapatrzony pobożnie w ołtarz, gdzie u góry był Bóg Ociec, siwy Pan i srogi, rychtyk podobny do dziedzica z Drzazgowej Woli,

a w pośrodku sama Częstochowska w złocistym obleczeniu patrzyła na niego... a wszędy lśniła się pozłota, jarzyły się świece i stały bukiety papierowych czerwonych kwiatów... a ze ścian i z okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte, surowe twarze, i smugi złota, purpury, fioletu niby tęcza padały na jego twarz i głowę, całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem, kiedy słońce bije w wodę. I poczuł się jakoby w niebie w tych ślicznościach, że ruchać się nie śmiał, ino klęczał wpatrzony w czarniawą, słodką, matczyną twarz Częstochowskiej, ino mówił pacierz za pacierzem spieczonymi wargami, a potem ino śpiewał tak żarliwie, tak ze wszystkich sił duszy wierzącej, tak sercem pełnym ekstazy, że jego zaschły, skrzypiący głos rozlegał się najdonośniej.

– Beczycie, Kuba, kiej ta koza żydowska! – szepnął mu ktoś z boku.

– La Pana Jezusa i tej Paniienki... – mruknął, przerywając, bo się kościół uciszył. Ksiądz wszedł na ambonę, i wszyscy zadarli głowy i wpatrywali się w dobrodzieja, którego w białej komży pochylił się nad narodem i czytał Ewangelię – a światła i farby biły na niego z okien, że widział się wszystkim jako ten anioł płynący na tęczy... Ksiądz mówił długo i tak mocno, że jaki taki westchnął skruszonym sercem, niejednemu łzy pociekły, a którego znów zasie spuszczał oczy i kajał się w sumieniu – i obiecywał poprawę... A Kuba patrzył w dobrodzieja, jak w obraz święty, i aż mu dziwno było, że to ten sam dobry pan, co mówił do niego i dał mu złotówkę – bo teraz wyglądał

jak archanioł na ognistym wozie brzasków, twarz mu pobladła, oczy ciskały błyskawice, gdy zaczął podnosić głos i wypominać narodowi grzechy wszelkie, a skąpstwo, a pijaństwo, a rozpustę, a czynienie szkód, nieszanowanie starszych, bezbożność! I wołał wielkim głosem o upamiętanie się, błagał, zaklinał, prosił – aż Kuba nie wytrzymał i jął się trząść w sobie z winy tych wszystkich grzechów, z żalów, ze skruchy i ryknął głośnym płaczem, a za nim naród cały: kobiety, gospodarze nawet, że płacz się uczynił w kościele, chlupanie, wycieranie nosów, a gdy ksiądz z pokutną modlitwą zwrócił się do ołtarza i padł na kolana – jęk przeleciał kościół, i naród, jak las przygięty wichurą, runął twarzami na podłogę, aż kurz się podniósł i niby obłokiem osłonił te serca skruszone i łzami, westchnieniami, krzykiem wołające do Pana o zmiłowanie.

A potem cichość zapadła, cichość rozmodlenia i serdecznej rozmowy z Panem, bo zaczęła się suma – organy huczały zgłuszonym, pokornym a głębokim głosem, aż dusza Kuby zamierała z lubości i szczęścia nieopowiedzianego...

A potem głos księdza podnosił się z nagłą od ołtarza i płynął nad pochylonymi głowami strugą brzmień przenikających i świętych; to dzwonki krótką salwą dźwięczały, to dymy kadzideł biły pachnącymi słupami i niby obłokiem pokrywały klęczących i rozmodlonych – a Kubę napełniały taką rozkoszą, że wzdychał ino, rozkładał ręce, bił się w piersi i zamierał z tej słodkiej niemocy, a szmery modlitw, westchnienia, nagłe wykrzyki i jęki gdzieniegdzie, gorące oddechy, światła, dymy,

głos organów – zatapiały go jakoby w świętym śnie, jakoby w zapamiętaniu.

– Jezus! Jezus mój kochany! – szeptał olśniony i nieprzytomny, a złotówkę mocno dzierzył w garści, bo gdy po Podniesieniu Jambroży zaczął obchodzić z tacką i pobrzękiwać, by słyszeli, że zbiera na światło, Kuba powstał, rzucił mocno pieniąż i długo, jako że tak czynili gospodarze, wybierał sobie reszty dwadzieścia i sześć groszy.

– Bóg zapłać – usłyszał z lubością.

I kiedy roznosili świece, bo nabożeństwo było z wystawieniem i procesją, Kuba wyciągnął śmiało rękę, i chociaż okrutnie chciało mu się wziąć całą – wzion jednak najmniejszą, ogarek prawie, bo spotkał się z surowym, karcącym wzrokiem Dominikowej, co stała w podlego z Jagusią – zapalił ją wnet, bo już i ksiądz ujął monstrancję, obrócił się z nią do ludu, że padli na twarz. Zaintonował pieśń i schodził wolno po stopniach ołtarza w ulicę z nagłą uczynioną z głów rozśpiewanych, świateł płonących, barw ostrych i głosów jęklowych; procesja ruszyła, organy huknęły potężnie, dzwonki poczęły rytmicznie dzwonić, lud pochwycił wtór i śpiewał jednym ogromnym głosem wiary; a przodem ciżby, w skrętach rozchwianych świateł, migotał srebrny krzyż, kołysały się niesione feretrony, całe w tiulach a kwiatkach i koronach szychowych, a już we drzwiach wielkich, którymi przez obłoki dymów kadzielnych buchało słońce, rozwijały się na wietrze pochylone chorągwie i niby ptaki purpurowe i zielone łopotały skrzydłami.

Procesja obchodziła kościół.

Kuba osłaniał dłonią świecę i trzymał się uparcie tuż przy księdzu, nad którym Boryna i kowal, i wójt, i Tomek Kłęb nieśli czerwony baldachim, a spod niego promieniała monstrancja złota i tak była cała w ogniach słońca, że przez środek szklany widać było bladą, przezroczystą Hostię świętą...

Tak był nieprzytomny, że raz wraz się potykał i nadeptywał drugim na nogi.

– Uważaj, niedojdo!

– Pokraka, kulas jeden! – rzucali mu, poszturchując nierzadko.

Nie słyszał nic z tego; śpiew ludu brzmiał potężnym głosem, podnosił się jak słupek, jak fala, zda się, płynął i bił w słońce blade; dzwony huczały nieustannie spiżowymi ustami, aż trzęsły się lipy i klony, i raz wraz jakiś czerwony liść odrywał się i niby ptak spłoszony spadał na głowy, a wysoko, wysoko nad procesją, nad czubami drzew pochylonych, nad wieżą kościoła krążyło stado gołębi zestraszonych...

A po nabożeństwie naród wysypał się na smętarz przykościelny; wyszedł i z innymi Kuba, ale się dzisiaj nie śpieszył do domu, chociaż wiedział, że będzie na obiad mięso z tej dorzniętej krowy – nie, postawał, pogadywał ze znajomkami, a przysuwał się do swoich gospodarzy, bo i Antek z żoną stajali w kupie z drugimi i poredzali, jak to w niedzielę po sumie zwyczajnie.

A w drugiej gromadzie, co się już była skupiła za wrotniami na drodze, rej wodził kowal, duży chłop, ubrany już całkiem z miejska, bo w czarnej kapocie, pokapanej woskiem na plecach, i w granatowym kaszkiecie, spodnie miał na buty i srebrną dewizkę na kamizelce; twarz miał czerwoną i rude wąsy, i włosy pokręcone; rajcował donośnie a pośmiewał się, że aż rechotał, bo wykpis to był na całą wieś, że niech Bóg broni dostać mu się na jezor. Boryna ino strzygł oczami ku niemu a nadśluchiwał, bo się bojał jego gadania, że to nawet rodzonemu kowal nie przepuścił, a cóż dopiero teści, z którym był w wojnie o wiano żonine, ale nic nie wymiarkował, bo mu się nawinęły pod oczy Dominikowa z Jagną, wychodzące z kościoła – szły wolno, jako że i gęsto było narodu na smętarnu, i że się witały to z tym, to z owym i pogadywały słowem niektórym, bo chociaż wszystkie były sobie znajome a pokumane i powinowate i z wieś jednej, że często ino bez płot libo o miedzę siedzieli a zawždy pogwarzyć przed kościołem miło jest i potrzeba... Dominikowa rozwodziła się cichym, nabożnym głosem o dobrodzieju, a Jagna rozglądała się po ludziach, jako że wzrostem równa była i chłopom najroślejszym, a strojna dzisiaj była, że aż oczy rwała parobków, co się w kupę zbili przed wrotniami, na drodze, kurzyli papierosy i szczyrzyli do niej zęby. Bo i urodna była, i strojna, i takiej postury, że i drugiej dziedzicównie z nią się nie mierzyć.

Dziewuchy ano i kobiety żeniate, przechodzące mimo, spozierały na nią z zazdrością abo i zgoła przystawały w podle, abych nasycić oczy tym jej wełniakiem pasiastym i sutym, co

jak tęczę mazurską mienił się na niej, to na jej czarne trzewiki wysokie, zasnurowane aż po białą pończochę czerwonymi sznurowadłami, to na gorset z zielonego aksamitu, tak wyszyty złotem, że aż się w oczach mieniło, to na sznury bursztynów i koralu, co otaczały jej białą, pełną szyję – pęk różnobarwnych wstążek zwieszał się od nich na plecach i gdy szła, wił się za nią niby tęcza.

Ale Jagna nie widziała zazdrosnych spojrzeń, błędziła modrymi oczami po głowach i natknąwszy się na wlepione w siebie oczy Antka, oblała się rumieńcem i pociągnąwszy matkę za rękaw, ruszyła przodem, nie czekając.

– Jagna, poczekaj! – krzyknęła za nią matka witając się z Boryną.

Zatrzymała się na drodze, bo i parobcy hurmem ją otoczyli i poczęli witać a przymawiać złośliwie Kubie, któren szedł za nią, wpatrzon kieby w obraz.

Splunął jeno i powlókł się do domu, bo i gospodarze już ciągnęli, i trza było zajrzeć do koni.

– Całkiem kiej na tym obrazie! – zawołał bezwiednie, siedząc już w ganku.

– Kto, Kuba? – pytała Józia, szykująca obiad.

Spuścił oczy, bo wstyd mu się zrobiło i strach, żeby nie poznali.

Ale że obiad był syty a długi, to i wrychle zapomniał; bo mięso było, była i kapusta z grochem, był i rosół z ziemniakami, a na amen postawili niezgorszą miseczkę kaszy jęczmiennej,

uprażonej ze słoniną.

Jedli wolno, poważnie i w milczeniu, dopiero kiej zasycili pierwszy głód, jęli pogadywać i smakować w jadło...

Józia, że to ona dzisiaj była za gospodynią, to ino przysiadła czasami na kraju ławki, pojadła spieszenie, a pilnie baczyła, czy warza nie schodzi, by przynieść z izby garnki i dołożyć, by nie powiedzieli, że w misce dnieje.

A obiadowali na ganku, że to czas był cichy i ciepły.

Łapa kręcił się i skamlał, to obcierał się o nogi jedzących, zazierał do misek, aż mu raz wraz ktoś rzucił kostkę jaką, z którą uciekał pod przyzbę, abo zasie ucieszon obecnością gospodarzy i że wspomnianano jego imię, szczekał radośnie i gonił za wróblami, co się były wieszaly po płotach, oczekując na okruszyny.

A drogą często ktoś przechodził i pozdrawiał jedzących, że hurmem odpowiadali.

– Pono ptaszki nosiłeś dobrodziejowi? – zagadnął Boryna.

– Nosilem, nosilem! – Położył z nagła łyżkę i jął opowiadać, jako go to ksiądz wezwał na pokoje, jako tam pięknie, że tyła księgow.

– Kiedy to on wszystkie przeczyta? – ozwała się Józia.

– Kiedy? A wieczorami! Chodzi se po pokojach, popija arbatę i ciągiem czyta.

– Musi być... nabożne wszyckie – wtrącił Kuba.

– Przeciech nie lementarze<sup>60</sup>.

---

<sup>60</sup> lementarz – elementarz. [przypis edytorski]

– A gazety to co dnia stójka przynosi – dorzuciła Hanka.

– Bo w gazetach piszą, co się dzieje we świecie... – ozwał się

Antek.

– I kowal z młynarzem trzymają gazetę.

– I... to i taka kowalowa gazeta! – rzekł urągliwie Boryna.

– Takutka sama kiej księża – powiedział ostro Antek.

– Czytałeś? Wiesz?

– Czytałem i wiem, a bo raz!

– I nie zmądrzałeś nic z tego, że się zadajesz z kowalem.

– La ojca to ino ten mądry, co chocia z półwłóczek ma abo i ogonów krowich z mendel.

– Zawrzyj gębę, pókim dobry! A to ino okazji szuka, żeby się kłyźnić! Chleb cię to rozpiera, widzę... mój chleb...

– Ością on mi już stoi we grdyce, ością...

– Szukaj se lepszego, na Hanczynych trzech morgach będziesz jadł bułki.

– Będę żarł ziemniaki, ale mi ich niktój nie wymówi.

– Nie wymawiam ci i ja...

– Ino kto drugi?... Haruj jak ten wół, jeszcze ci słowa dobrego nie dadzą...

– We świecie jest lekziej, nie trza robić, a dadzą wszystko...

– Pewnie, że jest lepiej.

– To se idź i posmakuj.

– Z gołymi rękami nie pójdę.

– Kijek ci dam, cobyś się miał czym od piezków oganiać.

– Ociec! – wrzasnął Antek zrywając się z ławki, ale opadł

zaraz, bo Hanka ujęła go wpół, a stary popatrzył groźnie, przeżegnał się, jako że już było po obiedzie, i odchodząc do izby rzekł twardo:

– Na wycug do ciebie nie pójdę, nie!

Porozchodzili się zaraz, ino Antek ostał na ganku i medytował; a Kuba wyprowadził konie na koniczysko za stodoły, uwalił się pod brogiem, aby się przespać, ale spać nie mógł, ciężko mu w żywocie jedzenie, a i ta myśl, że gdyby miał jaką strzelbę, to by mógł tyle ustrzelać ptaszków abo i zajączka niektórego, że co niedzielę nosiłby dobrodziejowi.

Kowal by strzelbę zrobił, jako to i borowemu zmajstrował taką, że jak strzeli w lesie, to aż we wsi się rozlega!

– Mechanik jucha! Ale pięć rubli trza mu za taką zapłacić! – rozmyślał. – Hale skąd wziąć?... na zimę idzie, kozuch trza kupić, buty też dłużej jak do Godów<sup>61</sup> nie wydzierzą... Juści, winne mi są jeszcze dziesięć rubli i dwoje szmat, portki i koszulę... Kozuch choćby i z pięć... krótki będzie... buciska ze trzy... a to i czapka by się zdała... a rubla trza zanieść dobrodziejowi na wotywę za ojców... Ścierwa... że i nic nie ostanie!... – Splunął i zaczął z kieszeni w lejbiku wybierać okruchy tytoniowe i natrafił na ten pieniądz, o którym był zapomniał w czasie obiadu...

– Jest ci gotowy grosz, jest! – Odechciało mu się spać nagle; od karczmy rozlegał się daleki, precedzony głos muzyki i jakby

---

<sup>61</sup> *Gody* – Święta Bożego Narodzenia, obchodzone co roku 25 i 26 grudnia. [przypis edytorski]

echa pokrzyków.

– Tańczą se juchy i gorzałę piją, i papirosy kurzą! – westchnął i legł znowu na brzuchu, i patrzył na spętane konie, że zbiły się w kupę i gryzły po karkach, a rozmyślał, że wieczorem musi i on zejść do karczmy i kupić sobie tytoniu, i chociaż popatrzeć na balujących. Raz wraz oglądał pieniądz i spoglądał na słońce, wysoko było jeszcze i szło dzisiaj tak wolno ku zachodowi, jakby se też krzynkę odpoczywało niedzielnie... A rwało go tak do karczmy, że wydzierżec nie mógł, przekładał się ino z boku na bok i postękiwał z tęskności, ale nie poszedł zaraz, bo akuratnie zza stodoły wyszedł Antek z Hanką i szli miedzą w pola.

Antek szedł przodem, a Hanka z chłopakiem na rękę za nim, czasem coś rzekli i szli wolno, a coraz to Antek pochylał się nad rolę i dotykał ręką wschodzących ździebeł.

– Idzie... gęste kiej szczotka... – mruknął i obejmował oczami te morgi, które obsiewał za odrobek ojcu.

– Gęste, ale ojcowe lepsze, idzie kiej bór! – mówiła Hanka patrząc na sąsiednie zagony.

– Bo rola lepiej doprawiona.

– Mieć ze trzy krowy, to by i ziemia się pożywiła.

– I konia swojego.

– I przychować co na sprzedaż. A tak, co? Każdą plewę, każdą obierzynę ociec rachują i mają za wielgie rzeczy.

– I wszystko wypomina!...

Zamilkli nagle, bo uczucie krzywdy załało im serca żalem, gniewem i głuchym, szarpiącym buntem.

– Ino osiem morgów by wypadło – wykrzyknął bezwiednie.

– Juści, że nie więcej. Przecież to i Józka, i kowalowa, i Grzela, i my – wyliczała.

– Kowalowe by spłacić i ostać przy chałupie i półwłóczku...

– A masz to czym?... – jęknęła aże w tym uczuciu bezsilności tak silnym, że łzy jej pociekły po twarzy, gdy ogarnęła oczami te pola ojcowe, tę ziemię jak złoto czyste, gdzie i pszenica, i żyto, i jęczmień, i buraki od skiby do skiby siać było można... Tyle dobra, a to wszystko cudze... nie ich...

– Nie bucz, głupia, zawsze z tego osiem morgów nasze...

– Żeby chociaż z połowa z chałupą i z tym kapuśniskiem! – wskazała na lewo, w łąki, gdzie modrzały długie zagony kapusty; skęcili ku nim.

Siedli na kraju łąk pod krzami, Hanka pokarmiała dziecko, bo płakać poczęło, a Antek skęcił papierosa, zapalił i ponuro patrzył przed się...

Nie mówił on żonie, co go żarło we wątpiach, ni co mu leżało na sercu niby węgiel rozżarzony, bo aniby mógł wypowiedzieć, niby zrozumiała go dobrze...

Zwyczajnie, jak kobieta, co ni pomyslenia nie ma, ni niczego nie wymiarkuje sama, ino żyje se jako ten cień padający od człowieka...

– A gospodarstwo, a dzieci, a kumy – to i cały świat la niej. Każda kobieta taka, każda... – rozmyślał gorzko i aż go ścisnęło za serce... – Ten ptak, co polatuje nad łęgami, ma lepiej niżli człowiek drugi... Co mu tam za kłopoty! Polatuje se,

pośpiewuje, a Pan Jezus obsiewa ła niego pola, że ino mu zbierać a pożywiać się...

– A bo to i gotowych pieniędzy ociec mieć nie ma? – zaczęła Hanka.

– Przeciech!...

– A Józce to kupił korale takie, że i krowę by kupił za nie, a Grzeli to ciągiem do wojska śle pieniądze.

– Śłać śle... – odpowiadał myśląc o czym innym.

– A przeciech to ukrzywdzenie wszystkich! A szmaty po matce to dusi w skrzyni i nawet na oczy nie pokaże... A wełniaki takie, a chusty, a czepki, a paciorki... – jęła długo wyliczać dobro wszelkie i krzywdy, i żale, i nadzieje, a Antek milczał zawzięcie, aż zniecierpliwiona szturchnęła go w ramię.

– Śpisz to?...

– Słucham, gadaj se, gadaj, to ci ulży! A jak skończysz, to mi powiedz...

Hanka, że to płaksiwa była, a i zebrało się jej dużo w duszy, buchnęła płaczem i jęła mu wyrzucać, że mówi do niej jak do dziewczki jakiej, że nie dba o nią ani o dzieci.

Aż Antek zerwał się na równe nogi i zawołał urągliwie:

– Wykrzykuj sobie, te gapy ano cię usłyszą i pożałą się nad tobą! – Wskazał oczami na wrony lecące mimo nad łąkami, nacisnął czapkę i wielkimi krokami poszedł ku wsi...

– Antek! Antek! – wołała za nim żałośnie, ale ani się odwrócił.

Obwinęła chłopaka i popłakując szła miedzami z powrotem do domu; ciężko jej było na sercu – ani pogadać, ani wyzalić

się przed kim na dołą swoją. A to człowiek żyje ciągiem jak ten samson, że nawet do sąsiadów pójść nie pójdzie i pogadaniem serca nie ucieszy. Dałby jej Antek kumy! Nic, ino siedź w chałupie a haruj, a zabiegaj, a jeszcze słowa dobrego nie usłyszysz! Inne do karczmów chodzą a na wesela... a ten Antek... bo to mu dogodzić można?... Czasem taki, że i do rany przyłoż... to znowu całe tygodnie ledwie bąknie jakie słowo i ani spojrz... nic, jeno medytuje a medytuje... Prawda, że ma i o czym! Bo i ten ociec nie mógłby to już gront im odpisać, nie czas to staremu iść na wycug? A dyć dogadzałaby mu, że i rodzonemu nie byłoby u niej lepiej...

Chciała przysiąc do Kuby, ale przypiął się plecami do brogu i udawał, że śpi, choć mu słońce świeciło prosto w oczy, dopiero gdy zniknęła za węglem stodoły, podniósł się, otrzepał ze słomy i wolno jął się przebierać pod sadami ku karczmie... paliła go ano ta złotówka...

A karczma stała na końcu wsi, za plebanią, na początku topolowej drogi.

Ludzi było mało co; muzyka czasem pobrzękiwała, ale nikt nie tańcował jeszcze, za rano było, i młodzi woleli gzić się w sadzie albo wystawać na podjeździe i pod ścianami, gdzie na świeżych, żółtych jeszcze belkach siedziało sporo dziewczyn i kobiet, a w wielkiej izbie z czarnym, okopconym pułapem pusto prawie było, małe przepalone szybki przesiewały czerwone przedzachodnie światło tak słabo, że ino smuga leżała na powybijanej podłodze, a w kątach mrok zalegał. Jakieś ludzie

siedzieli za stołami pod ścianą, ale rozeznąć nie rozeznął, kto taki?

Jeden Jambroży z brackim od światła stał pod oknem z buteleczką w garści – przepijali gęsto do siebie i pogadywali...

Basy buczały jako ten bąk, kiej się wedrze do izby ze dworu i lecący huczy... a czasem skrzypka z nagłą zapiskała cienko jakoby ptaszek wabiący abo i bębenek zahurkotał i pobrzękiwał... ale wnet cichość zalegała.

Kuba poszedł prosto do szynkwasu, za którym siedział Jankiel w jarmułce i w koszuli tylko, bo ciepło było, pogłaskiwał siwą brodę, kiwał się i wyczytywał w książce, przykładając oczy prawie do samych kart.

Kuba się namyślał, przestępował z nogi na nogę, przeliczał pieniądze, podrapywał się po kołtunach i stał tak długo, aż Jankiel spozierał na niego i nie przestając się kiwać i modlić, brzęknął raz i drugi kieliszkami...

– Półkwaterek, ino krzepkiej! – zarządził wreszcie.

Jankiel w milczeniu nalewał i lewą rękę wyciągał po pieniądze...

– W szkło? – zapytał, zgarnawszy do opałki<sup>62</sup> zaśniedziałe miedziaki.

– Juści, że nie w but!...

Usunął się na sam koniec szynkwasu, wypił pierwszy kieliszek, splunął i jął poglądać po karczmie; wypił drugi, przyjrzał się buteleczce pod światło, stuknął nią mocno.

---

<sup>62</sup> opałka – koszyk. [przypis edytorski]

– Dajcie no drugi i machorki! – rzekł śmieiej bo błoga ciepłość go przejęła po gorzałce i dziwna moc rozlała mu się po kościach.

– Zasługi dzisiaj Kuba odebrał?

– Gdzieby... Nowy Rok to?

– Może dolać araku?

– Ale... nie chwaci... – Przeliczył pieniądze i żałośnie spojrzał na flaszkę araku.

– Poborguję, albo ja to Kubie nie znam!...

– Nie trzeba... chto borguje, ten się z butów zzuje... – powiedział ostro.

Mimo to Jankiel postawił przed nim flaszczykę araku.

Opierał się, już nawet brał się wyjść, ale jucha harak tak zapachniał, że jaże w nosie wierciło, więc się i nie zмагаł dłużej, jeno wypił nie medytując.

– Zarobiliście w lesie?... – pytał Jankiel cierpliwie.

– Nie w lesie... – ptaszków, com je w sidła chyził, zaniestem dobrodziejowi sześć i dali mi złotówkę...

– Złotówkę za sześć! Ja bym za każdego dał Kubie dziesiątkę.

– Jakże, przeciech kuropatwy to koszerne?... – zdumiał się.

– Niech Kubę głowa o to nie boli... niech tylko przyniesie dużo, a za każdą dostanie zaraz do ręki po dziesiątkę. Asencję postawię na zgodę, co?

– I po całym dziesiątku Jankiel zapłaci?...

– Moje słowo nie ten wiatr. A za te sześć... to Kuba miałby nie dwa półkwatki czystej, a cztery z arakiem i śledzia, i bułkę,

i paczkę machorki... rozumie Kuba?...

– Juści... cztery półkwatki z arakiem i śledzia... i... juści, nie byłem przeciech, to miarkuję... rychtyk prawda! Cztery półkwatki z harakiem... i machorka, i bułków... i całego śledzia... – Mroczyła go już wódka i nieco rozbierała.

– Przyniesie Kuba?...

– Cztery półkwatki... i śledź... i... Przyniesę... Cie, żebym to miał strzelbę... – ozwał się przytomniej i jął znowu obliczać – kozuch na ten przykład z pięć rubli... buty by się zdały... ze trzy ruble... ni, nie chwaci... a kowal by chcieli z pięć rubli za fuzję... tyła co od Rafała... ni... – myślał głośno.

Jankiel zrobił szybkie obliczenie kredą i szepnął mu cicho do ucha:

– Zastrzełiłby Kuba sarnę?...

– Ale, z pięści nie zastrzeli, a z fuzji to bym juchę ustrzełił...

– Kuba umie strzelić?...

– Jankiel jest Żyd, to i nie wie, a we wsi wiedzą wszystkie, że chodziłem z dziedzicami do boru, że mi ten kulas przestrzelili... to umieć umiem...

– Ja dam strzelbę, dam proch, dam, co potrzeba... a Kuba, co ustrzełi, przyniesie do mnie! Za sarnę dam całego rubla... słyszy?... Całego rubla! Za proch Kuba zapłaci piętnaście kopiejek od sztuki, odtrącę... A za to, co się fuzja będzie psuć, to Kuba przyniesie ćwiartkę owsa...

– Rubla za sarnę... a niby ja za proch piętnaście... całego rubla!... niby jak to?...

Jankiel znowu wyliczał mu szczegółowo...

– Owsa?... Przeciech koniom od pyska nie odejmę... – to jedno zrozumiał.

– Po co brać koniom! U Boryny jest i gdzie indziej...

– To niby... – wytrzeszczał oczy i kalkulował.

– Wszystkie tak robią! A Kuba myślał, skąd parobcy mają pieniądze?... Każdemu trzeba machorki, a kieliszka wódki, a potańcować w niedzielę!... To skąd wziąć?...

– Jakże... złodziej to jestem, parchu jeden, czy co?... – zagrzmiął nagle bijąc pięścią w stół, aż kieliszki podskoczyły.

– Co się Kuba rzuci! Niech Kuba płaci i idzie sobie do diabła!

...

Ale Kuba nie zapłacił i nie poszedł, nie miał już pieniędzy i winien był Żydowi... to się ino sparł ciężko o szynkwias i jał sennie obliczać, a Jankiel udobruchał się i raz jeszcze nalał mu, ale już czystego araku... i nic nie mówił...

Tymczasem do karczmy napływało coraz więcej ludzi, bo już mrok gęstniał, zapalili światło, muzyka raźniej się ozwała i gwar się podnosił; naród kupił się przy szynkwasiu, pod ścianami albo i zgoła w pośrodku izby i raił, pogadywał, użalał się, a kto niekto i przepijał do drugiego, ale z rzadka, bo nie na pijaństwo przyszli, jeno tak sobie, po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypic posłuchać abo i basów, coś niecoś posłyszec nowego; niedziela przeciech, to odpocząc ni folgę dać ciekawości nie grzech, a choćby i ten kieliszek wypić z kumami... byle przystojnie i bez obrazy boskiej się obyć obyło, to i sam

dobrodziej nie bronił... Jakże, i bydlę na ten przykład po pracy odpocząć rade i musi. A zaś przy stole zasiedli gospodarze starsi i kobiety niektóre, przyodziane w czerwone wełniaki i chusty, że widziały się jako te małwy rozkwitłe, a że razem wszyscy mówili, to ino szum szedł po karczmie, kieby boru, i tupot nóg, jakoby bicie cepami w klepisko, i głos tych skrzypic, co ciągiem śpiewały figlujący.

– „A chto będzie za mną gonił?... za mną gonił...”

– „Oto ja... oto ja... oto ja...” – odbąkiwały stękające basy, a bębenek trząśł się ino, a chichotał, a baraszkował i wrzawę czynił brzękadłami.

Niewiela ludzi tańcowało, ale tak ostro przytupywali, aże dyle podłogi skrzypiały i stół dygotał, że raz wraz flaszki pobrzękiwały i wywracały się kieliszki...

Ale ochoty wielkiej nie było, bo i okazji, jako to przy weselach bywa abo i zrękowinach, nie było. Tańcowali ot tak sobie, la uciechy jednej abo dla wyprostowania nóg i grzbietów; tylko chłopaki, co mieli późną jesienią do wojska stawać, zabawiali się mocniej i pili na frasunek, co i nie dziwota, bo mieli ich w tyli świat pognać, do obcych.

A wójtów brat najgłośniej wykrzykiwał, a po nim Marcin Białek, Tomek Sikora i Paweł Boryna, stryjeczny Antka, któren i sam przyszedł do karczmy o zmroku, tylko że nie tańcował dzisiaj, a siedział w alkierzu, z kowalem i z drugimi, i Franek młynarczyk, niski, krępy i kędzierzawy, ten ci gadatywus był największy i zbereźnik, i kpiarz, i na dzieuchy tak łakomy, że

często gęsto pysk miał zbity i podrapany. Ale że dzisiaj ochlął się zaraz z miejsca, jak to nieboskie stworzenie, to ino stał przy szynkwasio z grubą Magdą od organisty, która była już w szóstym miesiącu.

Dobrodziej już to wypominał na ambonie i naganiał go do ożenku, ale Franek słuchać nie chciał, że to do wojska stawać miał jesienią, to co mu ta po babie...

Magdusia właśnie ciągnęła go w ką, do nalepy, i cosik mu mówiła płaczącym głosem, a on jej na to raz wraz powiadał:

– Głupiaś! Nie latałem za tobą... Chrzcziny zapłacę i z rubla rzucę, jak mi się spodoba!... – Nieprzytomny był i pchnął ją, aż przysiadła na nalepie komina w podle Kuby, którego już spał w popiele, a z nogami na izbie – chlipała tam sobie cicho, a Franek poszedł znowu pić i brać dziewczyny do tańca – gospodarskie nie chciały, bo młynarczyk, cóż to? Parobek prawie. A proste dziewczki też, bo pijany był i w tańcu zberezeństwa czynił, to ino splunął i wziął się z Jambrożym całować i z gospodarzami, którzy że mieli w młynie zboże, stawiali swoje...

– Wypijcie, Franek, a zmielcie rychlej, bo już mi baba głowę kołacze, że na kluski nie ma i ździebka mąki.

– A moja o kaszę ciągiem mi turkocze...

– Że to i ospa la karmika potrzebna... – mówił trzeci.

Franek pił, obiecywał i przechwalał się głośno, że we młynie wszystko idzie jego głową, że młynarz słuchać go musi, bo jakby nie... to on zna takie sztuki, że robaki zalegną się w skrzyniach...

woda wyschnie... ryby wyzdychają, skoro jeno chuchnie na staw... mąka się tak zwarzy, że i placka z niej nie upiecze...

– Oskubałabym ci ten łeb barani, żebyś mnie tak zrobił!  
– wykrzyknęła Jagustynka, która zawsze bywała tam, gdzie i wszyscy, bo chociaż nie pijała, że to mało kiedy był ten grosz gotowy, ale zdarzyć się mogło, co kum postawił półkwatereką jaką albo powinowaty drugą, bo się jej ostrego języka bali. Toć i Franek, choć był pijany, a zląkł się jej i zmlknął, bo wiedziała o nim różne różności, jak to we młynie gospodarzy, a ona, że to już była podpiła nieco, ujęła się pod boki, przytupywała w takt i nuż wykrzykiwać:

– Tańczuj kiej muchy w smole! Jewka, a ruchajże się. Ganiała gdziesik po nocy, a teraz śpi w tańcu. Tomek! A prędeż! A to ci tak cięży ta ćwiartka, coś ją Jankłowi sprzedał, co?... Nie bój się, ociec jeszcze nie wiedzą. Marysia! Zadawaj się z rekrutami, zadawaj, a proś mę z miejsca na kumę...

I tak dalej dogryzała po kolei tanecznikom; niepomiarkowana była i zła na wszystkich, że to dzieci ją skrzywdziły, a ona na starość na wyrobek chodzić musiała, ale że nikt nie odpowiadał, wykrzyczała się i poszła do alkierza, gdzie siedział kowal z Antkiem i kilku młodszych gospodarzy.

Lampa wisiała u czarnego pułapu i mdłym żółtawym światłem rozjaśniała jasne, powichrzone głowy – siedzieli dokoła stołu, wsparli się mocno na rękach i wszyscy oczy utkwili w kowala, którego pochylony nad stołem, czerwony, rozkładał szeroko ręce, czasem bił pięścią i gadał z cicha:

– Prawdę mówię, bo tak stoi w gazecie wypisane, wyraźnie jak wół... Nie tak ludzie żyją we świecie jak u nas, nie! – Co jest? Dziedzic ci panuje, ksiądz ci panuje, urzędnik ci panuje – a ty ino rób a z głodu zdychaj i każdemu się nisko kłaniaj, żebyś po łbie nie oberwał...

– A grontu mało, że niedługo to i po zagonie na człowieka nie starczy!

– A dziedzic ma sam więcej niż dwie wsie razem...

– Powiadali wczoraj na sądach, że nadawać będą nowe grunta.

– Jakie?

– Czyjeż by – a dworskie!

– Ale! Daliśta dziedzicom, to odbierać będzieta! Ale cudzym już się rządzą – krzyknęła Jagustynka nachylając się do nich ze śmiechem.

– ...I sami się rządzą – ciągnął dalej kowal nie zważając na babie powiedzenie nic – a wszyscy we szkołach się uczą, we dworach mieszkają i panami są...

– Gdzie to tak? – zapytała Antka, któren zaraz z kraju siedział.

– W ciepłych krajach! – odrzucił.

– To kiej tak dobrze, czemuż to kowal tam nie pojechał, co?...

Smoluch jucha, łże jak ten pies i tumani, a wy głupie wierzyta! – zawołała namiętnie.

– Mówię po dobremu: idźcie sobie, Jagustynko, skądżeście przyszli...

– A nie pójdę! Karczma la wszystkich, a ja taka dobra za swoje trzy grosze jak i ty! Ale, nauczyciel jaki, Żydom

się wystługuje, z urzędnikami trzyma, o stałę czapkę przed dziedzicem zdejmuje, a te mu wierzą!... Pyskacz jeden!... Wiem ja... – ale już nie skończyła, bo ją kowal krzepko ujął pod żebra, nogą otworzył drzwi i wyrzucił do wielkiej izby, że padła jak długa w pośrodku.

Nie pomstowała nawet, tylko powstawszy rzekła wesoło:

– Krzepki jucha kiej koń, zdałby mi się taki na chłopca...

Naród gruchnął śmiechem, a ona wyszła zaraz pomstując z cicha.

Ale już i karczma pustoszała, muzyka zmiłkła, ludzie się rozchodzili do domów, to stawali kupkami przed karczmą, bo to i wieczór był ciepły i jasny, księżyc świecił, tylko rekruci jeszcze ostali i pili na umor i wykrzykiwali, a Jambroży, spity jako bydłę, wylazł na środek drogi i wyśpiewywał, taczając się ze strony na stronę.

A i ci z alkierza, z kowalem na czele, wyszli.

Potem, kiedy już Jankiel począł gasić światła, rekruci się wytoczyli, ujęli się mocno pod ręce i szli całą drogą śpiewający z gardła wszystkiego, aże psy ujadły i jaki taki z chałupy wyrztał...

Kuba tylko spał wciąż w popiele tak krzepko, aż go Jankiel budzić musiał, ale parobek wstać nie chciał, kopał, to grzmocił w powietrze i mrucał:

– Pódzi, Żydzie. Jak chcę, tak spał będę... gospodarz jestem, to wolę swoją mam, a tyś zółtek i parch!...

Wiadro wody pomogło, że wstał i wytrzeźwiał nieco, jeno

ze strachem a zdumieniem słuchał, jako całego rubla przepił – którego winien jest...

– Jakże?... dwa półkwatki z harakiem... całego śledzia... machorki... i jeszcze dwa półkwatki... to już cały rubel?... Jakże?... dwa... – majączyło mu się.

Jankiel przekonał go w końcu i porozumieli się co do strzelby, którą Żyd miał mu przywieźć z jarmarku, a na zgodę postawił esencji ze spirytusem...

Tylko owsa stanowczo Kuba przynosić nie obiecywał.

– Ociec Kubów złodziej nie był, to i syn jego złodziej nie jest.

– Idźcie już sobie, czas spać... a ja mam jeszcze pacierze odmawiać...

– Cie!... spekulant jaki! Do złodziejstwa namawia, a pacierze mówił będzie... – mruczał idąc ku domowi i jał sobie przypominać i kalkulować, bo nijak nie chciało mu się w głowie pomieścić, że całego rubla przepił... ale że jeszcze nie wytrzeźwiał i powietrze go rozebrało, to potaczał się ździebko, a i raz wraz włąził na płoty, to na budulec leżący gdzieniegdzie przed chałupami i kłał...

– Żeby was, juchy, pokręciło!... Łajdusy jedne... żeby tak drogę pozastawiać!... nic, jeno się pochlały... zbereźniki... a dobrodziej na darmo wypomina... a dobrodziej... – tu się zastanowił długo i miarkował, aż i wreszcie chyciło się go rozeznanie i żałość taka, aż przystanął, oglądał się dookoła, pochylał szukając czego by twardego do ręki... ale zapomniał wnet i chwycił się za kudły, i jał się prać po pysku kułakiem

i wykrzykiwać:

– Pijanica jesteś i świnia zapowietrzona! Do dobrodzieja cię zawlekę, niech cię wypomni przed całym narodem, żeś pies i pijanica... żeś dwa po dwa półkwatki... żeś całego rubla przepił... żeś jako to bydlę abo i gorszy!... żeś...

I żałość z nagłą go objęła nad sobą, że przysiadł na drodze i buchnął płaczem.

Jasny, ogromny księżyc płynął w przestrzeniach ciemnych, a gdzieniegdzie, z rzadka kieby srebrne gwoździe, gwiazdy błyskały; mgły szarą, nikłą przedzą motały się nad wsią i przesłoną powlekały nad wodami. Niezgłębiona cichość nocy jesiennej przejmowała świat, tylko gdzieniegdzie wyrwały się śpiewy wracających z karczmy albo ujadania psów.

A na drodze przed karczmą Jambroży taczał się ze strony na stronę i śpiewał wciąż, nieustannie, aż do wytrzeźwienia:

Da Maryś moja, Maryś!

Da komu piwo warzysz?

Da komu piwo warzysz?...

Da Maryś moja, Maryś!...

## V

Jesień szła coraz głębsza.

Blade dni wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze – niby te święte Hostie w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie – dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach, i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwiłało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś znad zórz, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za nimi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łzy – krwawe łzy umarłego lata, i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie – wsie budziły się później: leniwiej było szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwością i pustką pól, i ciszej, trwoźniej tętniło życie samo – a niekiedy przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogate, potężne łby podnosiły się od traw pożółkłych i przezuwając z wolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żaloszny ryk tłukł się po pustych polach.

A co świtanie – mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do

wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to wieszwały się na nagich drzewach lub krążyły nad ziemią kracząc głucho – jakoby pieśń zimy śpiewając żalną.

Południa były słoneczne, ale tak martwe i nieme, że poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki rozlegał się jak łkanie bolesne, a szczątki babiego lata rwały się nie wiadomo skąd i przepadały w ostrych, zimnych cieniach chałup.

A smutek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w odartych z liści sadach czaiła się głęboka melancholia żalości i trwogi zarazem.

I często, coraz częściej niebo powlekało się burymi chmurami, że już o letnim podwieczorku musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat...

Doorywano podorówki, że niektórzy kładł skibę ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do dom obzierał się jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na przedwieczerzę często spadały deszcze, krótkie były jeszcze, ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku – do długiego jesienno zmroku, w którym jak kwiaty złote płonęły okna chat i szklily się kałużami puste drogi – a mokra, zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.

Nawet ten bociek z przetrąconym skrzydłem, co się był ostał i którego widywano samotnie brodzącym po łąkach, przychodzić jął pod bróg Boryny abo i zasię na samo podwórze, gdzie mu Witek skwapliwie podrzucał na przynętę jadło.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te

zwyczajne, proszalne, co z torbą głęboką i z pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków – a były i drugie, insze, takie, co od miejsc świętych ciągnęły i znały Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwarię, a rade opowiadały długimi wieczorami, co się gdzie we świecie dzieje i jakie cuda się gdzie stały, a trafiał się niekiedy i taki, którego po cichu powiadał się aż z Ziemi Świętej i takie cudenka prawił, takie kraje znał, przez takie wielgachne morza jechał, tyła przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, a niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko... Ale chciwie słuchoł, jako że kaźden rad się czegoś nowego dowiedział, a i wieczory były długie, i do świtu wyspać się jeszcze można było choćby i na oba boki.

Hej! Jesień to była, późna jesień!

I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesołych, ni tego ptaszków piukania, ni nawoływań nie słychoć było we wsi – nic, jeno ten wiatr, pojękujący w strzechach, jeno te dżdże, sypiące jakoby szkliwem po szybach, i to głucho, wzmagające się co dnia bicie cepów po stodołach.

Lipce martwiały równo, jako te pola okólne, co wyczerpane, szare, odarte w odpocznieniu leżały i cichości tężenia; jako te drzewiny nagie, poskręcane, żalobne, drętwiejące z wolna na długą, długą zimę...

Jesień to była, rodzona matka zimy.

Ino się tym pokrzepiano, że nie ma jeszcze pluchy, że drogi nie bardzo rozmiękły i może wytrzyma pogoda do jarmarku, na

któren całe Lipce się wybierały, jakby na odpust jaki.

Bo jarmark miał być na świętą Kordulę, walny i ostatni już przed Godami, więc się nań wszyscy szykowali należycie.

Już na parę dni przedtem deliberowano po wsi, co by się sprzedać dało, czy z inwentarza, czy z ziarna abo też z drobnego przychówku. A że na zimę szło, to i kupować trza było niemało i z przyrodziewku, i ze sprzętów, i z różnych różności gospodarskich, z czego i różne turbacje poszły, i swary, i kłótnie po chałupach, boć wiadomo przeciech, że u nikogój się nie przelewa, a o grosz gotowy coraz to trudniej.

A tu i rychtyk w ten czas i płacić przychodziło podatki, to gminne składki i spłaty różne między sobą, a często i przednówkowe pożyczki, a jak niejeden to i zasługi służbie – tyła tego razem, że niektóren, choćby i z półwłókowych, ciężko wzdychał i kalkulował, a nic nie wychodziło bez wyprowadzenia na jarmark konia abo i krowy, a już o biedniejszych to i nie ma co rzec.

Więc też i jaki taki wyprowadzał krowinę przed oborę, wycierał jej ognojone boki wiechetkiem i na noc przyrzucał koniczyny, to gotowanego jęczmienia z kartoflami, byle jeno wypęczniała ździebko; któren znów przysposabiał stare, pośleple całkiem wywłoki, żeby chyla tyła do koni były podobne na ten przykład.

Insze znowu młóciły zawzięcie dnie całe, żeby zdążyć na jarmark.

I u Borynów sposobiono się rażnie; stary z Kubą domłócał

pszenicy, a Józka z Hanką, co im ino czasu ostawało, to podpasaly macioreę i te gąski wybrane z ostawianych na chowanie, Antek zaś z Witkiem, że to leda dzień spodziewano się deszczów, jeździli do boru po susz na ogień i po ściółkę, z której co poszło do obory, a resztę zwalali pod chałupę do ogacenia ścian.

I tak ta przyspieszona robota trwała aż do późna w noc ostatnią przed jarmarkiem; dopiero gdy pszenica już we worach leżała na wozie wtoczonym do stodoły i wszystko było przyrządzone na jutro – siedli wszyscy razem do wieczery w Borynowej izbie.

Na kominie buzował się wesóły ogień ze świerczyny, potrzaskujący ciągiem, a oni jedli wolno i w milczeniu, że to po spracowaniu nikomu się odzywać nie chciało, aż dopiero kiedy skończyli i gdy już kobiety posprzątały miski i garnki z ławy, Boryna rzekł, coś niecoś przysuwając się do komina:

– Przed świtaniem trza ruszyć!

– Juści, że nie później – odrzekł Antek i zabrał się do smarowania uprzęży, Kuba strugał bijak do cepów, a Witek obierał kartofle na rano i raz wraz poszturchiwał Łapę, któryen leżał obok i wybierał sobie pchły zębami.

Cichość się uczyniła, że ino ogień trzaskał i świerszcze za kominem poskrzypiwały niekiedy, a z drugiej strony domu dochodził plusk wody i szczękание mytych garnków.

– Kuba, ostaniesz to w służbie dłużej, co?

Kuba spuścił ośnik, którym strugał, i zapatrzył się w ogień tak długo, aż Boryna mu przypomniał.

– Słyszałeś, com ci rzekł?

– Słyszeć słyszałem, ino tak w głowę zachodzę, że po prawdzie to krzywdy mi nijakiej u was nie było... Juści, ale ino...

– urwał zakłopotany.

– Józia, daj no gorzałki i co przegryźć, co mamy na sucho radzić, kiej Żydy jakie – zarządził stary i przysunął przed komin ławkę, na której Józia wnet postawiła butelkę, wianek kiełbasy i chleb.

– Napij się, Kuba, i rzeknij swoje słowo.

– Bóg zapłać, gospodarzu... Ostać, to bym się ostał, ino... ino...

– Postąpię ci coś niecoś!...

– Przydać by się przydało, bo to i kozuch zlatuje ze mnie, i buciska też, a i kapot jaki kupiłbym... już jak ten dziadak jaki jest człowiek, że nawet do kościoła iść, to ino do kruchty... bo jakże mi przed ołtarz w takim obleczeniu...

– A w niedzielę nie baczyłeś na to, inoś się pchał tam, gdzie najpierwsze... – rzekł surowo Boryna.

– Juści... Hale... Prawda... – bąkał srodze zawstydzony i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

– A to i dobrodziej naucza, żeby szanować starszych. Napij no się, Kuba, na zgodę i słuchaj, coć rzeknę, a sam się pomiarkujesz, że co parobek, to nie gospodarz... Kuźden ma swoje miejsce i la każdego co innego Pan Jezus wyznaczył. Wyznaczył ci Pan Jezus twoje, to go się pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynoś się nad drugie – bo zgrzeszysz ciężko. I sam

dobrodziej ci powtórzy to samo, że tak być musi, bych porządek na świecie był. Miarkujesz se, Kuba?

– Nie byłem przeciech i swoje pomyslenie mam.

– To baczże, byś się nad drugie nie wynosił.

– I... inom bliżej ołtarza chciał być...

– Pan Jezus z każdego kąta słyszy, nie bój się. I po co się pchać między najpierwsze, kiej wszyscy wiedzą, ktoś jest?

– Juści, juści... gospodarzem byłbym, to i baldach nosić bym nosił, a i dobrodzieja pod pachę wiódł, i w ławkach siadał, i z książki głośno śpiewał... a zem ino parobek, chocia i syn gospodarski, to mi w kruchcie stać abo przed drzwiami, jako te pieski... – powiedział smutno.

– Takie już na świecie urządzenie jest i nie twoja głowa zmieni.

– Pewnie, że nie moja, pewnie.

– Napij się jeszcze, Kuba, i rzeknij, co ci mam zasług dodać.

Kuba wypił, ale że go już nieco zamroczyła gorzałka, to uwidziało mu się, że w karczmie siedzi z Michałem od organisty abo i z drugim kamratem i rajcują se swobodnie, wesoło, jak równy z równym. Rościebnał ździebko kapotę, wyciągnął nogi, buchnął pięścią w ławkę i zakrzyknął:

– Cztery papierki i rubla zadatku dołoży – to ostanę.

– Widzi mi się, żeś pijany abo ci się w głowie popsuło – zawołał Boryna, ale Kuba szedł już za myślą swoją i dawnym marzeniem, a zresztą i nie słyszał gospodarskiego głosu, więc rozprostowywał skurczoną duszę, rósł w ambit i taką pewność

siebie, jakoby samym gospodarzem się poczuł.

– Cztery papierki i jeszcze jeden zadatku dołoży, to u niego ostaną, a nie, to psiachmać na jarmark pójdę i służbę se znajdę, choćby i na furmana do cugowych we dworze... Znają mię, iżem robotny i na wszystkim w polu czy kiele domu się znajdujący, że niejednemu gospodarzowi bydło paść u mnie a uczyć się... A nie, to ptaszki strzelał będę i dobrodziejowi nosił abo i Jankłowi... a nie...

– Cie... Kuternoga jeden, jak bryka. Kuba! – krzyknął ostro stary.

Kuba zamilkł, wytrzeźwiał z rozmarzenia, ale hardości nie stracił, bo jął się nieustępliwym czynić, że Boryna rad nierad dorzuczał mu po półrublu, to po złotówce, aż i stanęło, że obiecał mu na przyszły rok dołożyć trzy ruble i dwie koszule miasto zadatku.

– Ho, ho, ptaszek z ciebie – wołał stary przepijając do niego na zgodę, choć zły był, że tyła pieniędzy wywalić musi, ale wagować się nie było co, bo Kuba wartą i więcej, robotny parob, choćby i za dwóch, gospodarskiego nie ruszył i o inwentarz dbał więcej niżli o siebie, choć i kulawy był, i mocy wielkiej nie miał, ale na gospodarstwie się znał – można się całkiem spuścić na niego, że wszystko, jak przynależało, zrobi i jeszcze najemnika przypilnuje.

Poradzili jeszcze o tym i o owym, i gdy się rozchodzili, Kuba już ode drzwi nieśmiało całkiem się ozwał:

– Zgoda na trzy ruble i dwie koszule, ino... ino... nie

przedawajcie żrebicy... przy mnie się uległa... kozuchem swoim przyodziewałem, żeby nie przemarzła... to bym nie ścierpiał, żeby ją Żyd jaki bijał albo i łachmytek z miasta... Nie sprzedawajcie... złoto, nie żrebica... kiej ten dzieciak posłuszna... koń taki, że i drugi człowiek – prosty pies przy niej. Nie sprzedawajcie...

– Ani mi to w głowie nie powstało.

– Bo w karczmie powiedali i... bojałem się...

– Opiekuny, psiekrwie, zawsze najlepiej wiedzą!

Kuba byłby go za nogi ułapił z radości, ino śmieć nie śmiał, to nadział czapę i poszedł rychło, jako że i czas było spać bacząc na jarmark jutrzejszy.

Jakoż i nazajutrz, jeszcze przed świtaniem, że nieledwie po drugich kurach, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa ruszali się ludzie.

Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark.

Nad ranem upadł mocny deszcz, ale po wschodzie przetarło się nieco, ino niebo było zasnute burymi chmurzyskami, a nad nizinnymi ziemiami wisiały mgły szare, kieby zgrzebne płótna, do cna przemiękłe, i po drogach szklily się kałuże, a gdzieniegdzie po dołkach błoto chlupało pod nogami.

I z Lipiec wychodzono od wczesnego rana.

Na topolowej drodze za kościołem i hen, aż do lasów, widny był łańcuch wozów, toczących się wolno, krok za krokiem, taka ciżba była, a bokami, po obu stronach, ino się mieniło od

czerwonych wełniaków i białych kapot chłopskich.

Tyla narodu szło, jakby wieś cała wychodziła.

Szli gospodarze co biedniejsi, szły kobiety, szły parobki i dziewczyny, i komornicy też szli, a i biedota sama – najemnicy także ciągnęli, bo jarmark to był ten, na którym godzono się do robót i zmieniano służby.

Kto co kupić, kto sprzedać, a jensi byle jarmarku użyć.

Któren wiódł na postronku krowinę albo i ciołaka, kto zaś gnał przed sobą maciorę z prosiętami, co ino pokwikiwały i rwały się tak, że trza je było ciągiem oganiać i stróżować, bych pod wozy nie wpadły; jenszy człapał się na szkapie; drugie oganiały wystrzyżone barany, gdzieniegdzie zaś bielito się stadko gęsi z podwiązanymi skrzydłami, to grzebieniaste koguty wyzierały spod zapasek kobiecych... A i wozy niezgorzej jechały wyładowane, raz wraz z jakiegoś półkoszka spod słomy wyzierał ryj karmnika i kwiczał, aż gęsi gęgały zestrachane i psy, co szły zarówno z ludźmi, doszczekiwać poczynały przy wozach. I szli tak całą drogą, że choć szeroka była, a pomieścić się trudno wszystkim było, że jaki taki schodził na pole w bruzdy.

O dużym już dniu, kiej się tak przetarło na niebie, że ino, ino słońca było patrzeć, wyszedł i Boryna z chałupy; przódzi już, bo o świtaniu, Hanka z Józką pognały maciorę i podpasionego wieprzka, a Antek powiózł dziesięć worków pszenicy i pół korczyka czerwonej koniczyny. W domu ostawał tylko Kuba z Witkiem i Jagustynka, przywołana, żeby jeść uwarzyła i krów dojrzała.

Witek beczał w głos pod oborą, bo chciało mu się na jarmark.

– Czego się to głupiemu zachciewa! – mruknął Boryna, przeżegnał się i poszedł pieszo, bo liczył, że się po drodze przysiedzie do kogo; jakoż i zaraz tak się stało, bo tuż za karczmą dopędził go organista, jadący bryczką w parę tęgich koni.

– Cóż to, na piechty, Macieju?

– La zdrowia... Niech będzie pochwalony.

– Na wieki. Siadajcie z nami, zmieścimy się! – proponowała organiścina.

– Bóg zapłać. Doszedłbym, ale jak powiadają, zawsze milej duszy, kiej ją wóz ruszy – odrzekł sadowiąc się na przednim siedzeniu, plecami do koni.

Podali sobie przyjaźnie ręce z organistami i konie ruszyły.

– A pan Jaś skąd się wziął, to już nie w klasach? – zapytał chłopca, siedzącego z parobkiem i powożącego.

– Przyjechałem tylko na jarmark! – zawołał wesoło organiściuch.

– Zażyjcie, francuska... – proponował organista pstrzykając w tabakierkę.

Zażyli i pokichali solennie.

– Cóż tam u was? Sprzedajecie co dzisiaj?

– Bogać ta nie, powieźli do dnia pszenicę, a kobiety pognały świnię.

– Aż tyle! – wykrzyknęła organiścina. – Jasiu, weź szalik, bo chłodno! – zawołała do syna.

– Ciepło mi, zupełnie ciepło – zapewniał, lecz mimo to

okręciła mu czerwonym szalem szyję.

– Abo to wychody małe? Już nie wiada, skąd brać na wszystko...

– Nie narzekajcie, Macieju, chwalić Boga, macie dosyć...

– Przeciech tej ziemi nie ugryzę, a gotowego grosza w zapasie nie ma.

– Bo rozpożyczacie... mało to macie po ludziach?... Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi!...

Ale Boryna, nierad tym wypominkom przy parobku, pochylił się szybko i cicho zapytał:

– A pan Jaś długo będzie jeszcze w klasach?

– Do świąt jeno.

– Wróci do dom czy też do urzędu pójdzie?

– Moiściewy, a cóż by w domu robił na tych piętnastu morgach. A mało to jeszcze drobiazgu!... A czasy ciężkie, jak z kamienia... – westchnęła.

– Bo i prawda, chrztów to ta jeszcze jest dosyć, ale co z tego za profit!

– Pochówków nie brakuje przeciech – dorzucił ironicznie Boryna.

– I... co za pochówki, sama biedota mrze, a ledwie parę razy w rok zdarzy się jakiś gospodarski pogrzeb, z którego coś kapnie.

– A i wotywy coraz mniej, a i targują się jak te Żydy! – dorzuciła.

– Z biedy to wszystko idzie i ze złych czasów – usprawiedliwił Boryna.

– Ale i z tego, że ludzie o zbawienie swoje ani tych w czyściu ostających nie zabiegają. Proboszcz nieraz o tym mówił do mojego.

– I dworów coraz mniej. Dawniej, kiedy się jeździło po snopkach czy z opłatkami, czy po kołędzie, czy też po spisie – to jak w dym do dworu – nie żałowali i zboża, i pieniędzy, i leguminy. A teraz, Boże zmiłuj się, każdy gospodarz się kurczy i jak ci da snopczynę żyta, to pewnie zjedzoną przez myszy, a jak tę ćwiartczynę owsa dostaniesz, to pewnie plew w nim więcej niżli ziarna. Niech żona powie, jakie mi to jajka dawali latoś za spis wielkanocny – więcej niż połowa była zbuków. Żeby człowiek nie miał tej trochy gruntu, to by jak dziad żebrać musiał – zakończył podsuwając Borynie tabakierkę.

– Juści, juści... – potakiwał Boryna, ale nie jego tumanić, wiedział ci on dobrze, że organista pieniądze ma i na procenta albo i na odrobek komornikom rozpożycza, to ino uśmiechał się na te wyrzekania i znowu spytał o Jasia...

– I cóż, do urzędu pójdzie?...

– Co? Mój Jaś do urzędu, na pisarka? Nie po tom sobie od gęby odejmowała, żeby skończył szkoły, nie. Do seminarium pójdzie na księdza...

– Na księdza!

– A bo mu to źle będzie? A bo to któren ksiądz ma źle?...

– Pewnie, pewnie... a i honor jest, i to, jak powiadają, że kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie... – powiedział wolno i z szacunkiem poglądał przez ramię na

chłopaka, pogwizdującego koniom, że to przystanąły nieco dla potrzeby swojej...

– Mówili, że i młynarzów Stacho księdzem miał być, a teraz jest pono we wielkich szkołach i na doctora praktykuje...

– Ale, księdzem by być takiemu łajdusowi, przecież moja Magda jest już w szóstym miesiącu, i to od niego...

– Powiedali, że to od młynarczyka.

– Ale, prawda była, młynarzowa tak gada, żeby swojego zaślonić. Rozpustnik to, że niech ręka boska broni, prawie mu iść na doktora.

– Juści, że księdzem być lepiej, bo to i Panu Jezusowi chwała, i ludziom na pociechę – pogłaskał ją chytrze Boryna, bo co się tam miał spierać z kobietą, i całkiem uważnie słuchał jej wywodów, a organista raz po raz uchylał czapki i głośnym: „Na wieki!” odpowiadał na pozdrowienia wymijanych ludzi. Jechali truchtem i Jasio chwacko wymijał wozy, to ludzi, to inwentarz prowadzony, aż dopadł lasu, gdzie już luźniej było i droga szersza.

Zaraz na skraju dopędzili Dominikową, jechała z Jagną i Szymkiem, a krowa uwiązana za rogi szła za wozem, z którego wyglądały białe szyje gąsiorów, ciągiem syczących, jako te żmije.

Pochwalili Boga, a Boryna aż się wychylił przy mijaniu i zawołał:

– Spóźnita się!

– Zdażym na czas! – odkrzyknęła Jagna ze śmiechem.

Przejechali, ale organiściuch parę razy obracał się za nią, aż w końcu spytał:

– To Jagusia Dominikowa?

– Ona ci sama, ona – powiedział Boryna patrząc z oddalenia na nią.

– Nie poznałem, bo dobrze już ze dwa lata jej nie widziałem.

– Młódka to jest jeszcze, a wtedy było pasaż. Rozbuchała się ino, kiej jałowica na koniczynie – i aż się wychylił, żeby spojrzeć na nią.

– Bardzo ładna – rzucił chłopak.

– Jak wszystkie dziewczki – powiedziała organiścina pogardliwie.

– Juści, że gładka. Udała się dzieucha, toteż nie ma tygodnia, żeby kto do niej z wódką nie posyłał.

– Przebierna! Stara myśli, że co najmniej to już jaki rządca zjedzie po nią, i parobków odgania... – szepnęła zjadliwie.

– Bo mógłby ją wziąć i taki, co siedzi choćby i na włóce... warta tego...

– To tylko wam posłać swatów, Macieju, kiedy ją tak chwalicie! – zaczęła się śmiać, a Boryna już się nie ozwał ni słowem.

– Hale, taki tam łachmytek miescki, wielga mi osoba, co ino gospodarskim kurom pod ogon uważa, czy la niej jajków nie niesą, abo i ludziom w garście, będzie się ta przekpiwała z rodowych gospodarzy! Wara ci od Jagusi! – myślał, zeżłony silnie, i ino poglądał przed się, na czerwieniejący zapaskami wóz

Dominikowej, która ostawała coraz dalej, bo Jasio tego prążył konie, że rwały z kopyta, aż się błoto otwierało.

Próżno organiścina pogadywała o tym i owym, kiwał głową, cosik tam mamrotał pod nosem i tak się zawzięł, że ozwać się nie chciał ni słowem jednym.

I skoro tylko wjechali na wyboisty bruk miasteczka, zsiadł z bryczki i jął dziękować za podwiezienie.

– Pod wieczór wracamy, chcecie, to się przysiądźcie do nas – proponowała.

– Bóg zapłać, mam przeciech swoje konie. Powiedziałyby, że się do kalikowania godzę, na pomocnika organiście... a ja ta nuty nijakiej nie wyciągnę i świeców gasić nienauczny...

Pojechali w boczną uliczkę, a on się z wolna przedzierał przez główną, do rynku, bo jarmark był sielny i choć to jeszcze dość rano, a narodu już się gęstwiło niezgorzej; wszystkie ulice, place, zaułki i podwórza zawałone były ludźmi, wozami i towarem różnym – nic, jeno ta wielka woda, do której ciągiem jeszcze ze wszystkich stron dopływały nowe rzeki ludzkie i cieśniły się, kolebały, toczyły po ciasnych uliczkach, aż domy się trząść zdały i rozlewały po wielkim placu klasztorным. Niewielkie jeszcze po drodze błoto, tutaj bite i rozrabiane tysiącami nóg, było już po kostki i tryskało spod kół na wszystkie strony.

Gwar już był znaczny, a wzrastał się z każdą chwilą; głucha wrzawa huczała niby bór, kiej morze się kolebała, biła o ściany domów i przewalała z końca w koniec, że tylko niekiedy słychać było ryki krów, to granie katarynki przy karuzeli, to

płaczliwe lamentacje dziadów albo ostre, przenikające piszczałki koszykarzy.

Jarmark był wielki, co się zowie, narodu skupiło się tyle, że i przejść było niełatwo, a już w rynku pod klasztorem to Boryna przez siłę pchać się musiał, taki gąszcz się czynił między kramami.

Było też tego, że ani przeliczyć, ni objąć – gdzieby zaś tam kto poradził.

A najpierwej te płócienne, wysokie budy, co stały wzdłuż klasztoru we dwa rzędy, zapchane całkiem towarem kobiecym – a płótnami, a chustkami, co wisiały na żerdkach i jako te maki były czerwone, że aż się w oczach ćmiło, a drugie zaś całkiem żółte się widziały, a insze buraczkowe... i kto je tam wszystkie spamięta! A dzieuch i kobiet pełno tu przed nimi, że i kija nie było gdzie wrazić – która targowała i wybierała sobie, a drugie aby ino popatrzeć i oczy se ucieszyć ślicznościami.

A potem znów szły kramy, co się aż lśniły od paciorków, lusterek, szychów, a wstążek, a kryzków onych na szyję, a kwiatuszków zielonych, złotych i różnych... a czepków i Bóg ta wie czego jeszcze.

Gdzie znowu święte obrazy przedawali w pozłocistych ramach i za szkłem, że choć stały pod ścianami albo i zgoła na ziemi leżały, a szedł od nich blask, że jaki taki do czapki sięgał i znak krzyża czynił świętego.

Boryna kupił jedwabną chustkę na głowę dla Józki, którą był jeszcze na zwiesnę obiecał dziewczynie za pasionkę, wsadził za

pazuchę i jął się przepychać do targowiska świńskiego, co było za klasztorem.

Ale szedł wolno, że to ciżba była sroga i że się popatrzyć było na co.

Gdzie czapnicy pod domami porozwieszali szerokie drabiny, zawieszane od góry do dołu czapkami.

Gdzie znów szewcy tworzyli całą ulicę wysokich kozłów drewnianych, na których, szczepione za uszy, wisały szeregi butów, i takich zwyczajnych, żółtych do smarowania przetopionym sadłem, żeby wody nie puściły, i takich już pod glanc przyszykowanych, i ciżem kobiecych z czerwonymi sznurowadłami a na wysokich obcasach.

A za nimi ciągnęły się rymarze z chomątami na kołkach i uprzężą rozwieszoną.

A potem powroźnicy i ci, co sieci sprzedawali.

I ci, co z sitami po świecie jeździli.

I ci, co z kaszą po jarmarkach się wodzili.

A kołodzieje, a garbarze.

Gdzie znowu krawce i kożuszarze rozwiesili swoje towary, od których bił taki zapach, aże w nozdrzach wierciło; te miały odbyt niezgorszy, że to na zimę szło.

A potem całe rzędy stołów, nakrytych płóciennymi daszkami, a na nich zwoje kiełbas czerwonych i grubych kiej liny, wały żółtego sadła, boczki wędzone, połcie słoniny, szynki – spiętrzały się na kupach, a gdzie znów na hakach wisały całe wieprzki wypaproszone i broczące jeszcze posoką, że trza było

odganiać piesków, co się cisnęły.

A w podle rzeźników, jako te braty rodzone, stali piekarze i na podestanej grubo słomie, na wozach, na stołach, w koszach i gdzie się dało, leżały góry bochnów wielkich jak koła, placków żółtych, bułek, kukiełek...

Gdzie zaś i kto przeliczy, i spamięta te wszystkie kramy i to, co w nich sprzedawali?...

Były z zabawkami i takie z piernikami, gdzie z ciasta lepione były zwierze różne, a serca, a żołnierze i cudaki takie, że i nie rozeznać bele komu; były takie, gdzie kalendarze, gdzie książki nabożne, gdzie historie o zbójach i srogich Magielonach sprzedawali i lementarze też; były i takie, gdzie piszczałki, organki i gliniane kuraski, i jensze muzyczne rzeczy, w które juchy żółtki la zachęty grali, że taki jazgot się czynił, że i wytrzymać trudno było – bo ci tu kurasek piszczy, tam trąbka potrzebuje, gdzie z piszczałek przebieraną nutę wyciągają, tam ci znowu skrzypki piskają, a owdzie bęben pobekuje stękający – jaże we łbie łupało od wrzasku.

Zaś w pośrodku rynku dookoła drzew rozciągali się bednarze, blacharze i garncarze, porozstawiali tyle misek i garnków, że ledwie przejść można było, a za nimi stolarze; łóżka i skrzynie malowane, i szafy, i półki, i stoły aże grały tymi farbami, że oczy trza było mrużyć...

A wszędy, na wozach, pod ścianami, wzdłuż rynsztoków, gdzie ino miejsca było, rozsiadły się kobiety sprzedające; która cebule we wiankach albo i we workach; która z płótnami swojej

roboty i wełniakami; która z jajkami a serkami, a grzybami, a masłem w osełkach, poobwijanych w szmatki; inna znów zasię ziemniaki, to gąsków parę, to wypierzoną kureę, to len pięknie wyczesany albo i motki przędzy miała; a każda siedziała przy swoim i poredzały se godnie, jak to zwyczajnie na jarmarkach bywa, a trafił się kupiec, to sprzedawały wolno, spokojnie, bez gorącości, po gospodarsku, nie tak, jako te Żydy, co wykrzykują, handryczą i ciskają się kiej głupie.

Gdzieniedzie zaś pomiędzy wozami i kramami kurzyło się z blaszanych kominków – tam sprzedawali gorącą herbatę – a i inne jadło, jako to: kiełbasę prażoną, kapustę, barszcz z ziemniakami też mieli.

I dziadów zlazło się ze wszystkich stron co niemiara: ślepych, kulawych, niemych i zgoła bez rąk i nóg, tyła jak na odpuszcie jakim. Wygrywali na skrzypicach pieśni pobożne, drugie śpiewali pobrzękując w miseczki, a wszystkie spod wozów, spod ścian i prosto z blocka żebrali lękliwie i wypraszały sobie ten grosik jakiś abo jensze wspomóżenie.

Przejrzał to wszystko Boryna, podziwował się nad niejednym, pogwarzył coś niecoś ze znajomkami i dopchał się wreszcie na targowisko świńskie, za klasztor, na ogromny piaszczysty plac, z rzadka ino obsadzony domami, gdzie pod samym murem klasztoru, zza którego wychylały się ogromne dęby, pełne jeszcze żółtych liści, kupiło się dosyć ludzi, wozów i leżały całe zagony świń spędzonych na sprzedaż.

Rychło odnalazł Hankę z Józką, bo zaraz z krają były.

– Sprzedajeta, co?

– Hale, już tu targowali rzeźnicy macioreę, ale mało dają...

– Świnie drogie?

– Bogać tam drogie, spędzili tyła, że nie wiada, kto to rozkupi.

– Są ludzie z Lipiec?

– O, hań tam mają prosięta Kłęby, a i Szymek Dominików stoi przy wieprzku.

– Uwińta się rychło, to se ździebko popatrzycie na jarmark.

– Już też i ckno tak siedzieć.

– Wiele dają za macioreę?

– Trzydzieści papierków, powiadają, że niedopasiona, bo ino w gnatach gruba, a nie w słoninie.

– Ocyganiają, jak ino mogą... ale, ma ci słoninę na jakie cztery palce... – rzekł, omacawszy maciorze grzbiet i boki. – Wieprzak chudy na bokach, ale portki ma niezgorsze na szynki – dodał spędziwszy go z mokrego piasku, w którym do pół boków leżał zanurzony.

– Za trzydzieści pięć sprzedajcie, zajrzę do Antka ino i zaraz do was przylecę. Jeść wam się nie chce?...

– Pojadłyśmy już chleba.

– Kupię wam i kielbasy, ino sprzedajcie, a dobrze.

– Tatulu, a nie zabaczcie<sup>63</sup> o chustce, coście to jeszcze na zwiesne obiecali...

Boryna sięgnął za pazuchę, ale się wstrzymał, jakby go coś tknęło, bo tylko machnął ręką i rzekł odchodząc:

---

<sup>63</sup> zabaczyć – zapomnieć. [przypis edytorski]

– Kupię ci, Józia, kupię... – i aż w dyrdy ruszył, bo dojrzał twarz Jagny między wozami, ale nim doszedł, szczyła gdzieś do cna, jakby się w ziemię zapadła; jął więc odszukiwać Antka; niełacno to było, bo w tej uliczce, prowadzącej z targowiska na rynek, stał wóz przy wozie, i to w rzędów parę, że środkiem i z trudem niemałym a baczeniem można było przejechać, ale wnet się na niego natknął. Antek siedział na workach i smagał batem żydowskie kury, co się stadami uwijały koło kobiałek, z których jadły konie, a półgębkiem odpowiadał kupcom:

– Powiedziałem siedem, to powiedziałem.

– Sześć i pół dają, więcej nie można, pszenica ze śniedzią.

– Jak ci, parchu, lunę przez ten pysk paskudny, to ci wnet ześniedzieje... Ale, pszenica czysta jak złoto.

– Może być, ale wilgotna... Kupię na miarę i po sześć rubli i pięć złotych.

– Kupisz na wagę i po siedem, rzekłem!

– Co się gospodarz gniewa! Kupię nie kupię, a potargować można.

– A targuj się, kiej ci pyska nie szkoda. – I nie zwracał już uwagi na Żydów, którzy rozwiązywali worki po kolei i oglądali pszenicę.

– Antek, pójde ino do pisarza i w to oczymgnienie przyjde do cie...

– Co? Na dwór skargę podajecie?

– A bez kogo to padła moja graniasta?

– Dużo ta wskóracie!

– Swojego darować nie daruję.

– I... borowego przyprzeć gdzie w boru do chojaka, sprać czym twardym, żeby mu aż żebra zapiszczały – zaraz byłaby sprawiedliwość.

– Borowy? Juści, że mu się to należy, ale dworowi też – rzekł twardo.

– Dajcie mi złotówkę.

– Na co ci?

– Gorzałki bym się napił i przegryzł co...

– Nie masz to swoich?... ciągiem ino w ojcowe garść uważasz.

Antek odwrócił się gwałtownie i jął pogwizdywać ze złości, a stary, chociaż z żalem i markotnością, wysupłał złotówkę i dał.

– Żyw wszystkich swoją krwawicą... – myślał i spieszenie się przeciskał do ogromnego, narożnego szynku, gdzie było już sporo ludzi pożywiających się; w alkierzu od podwórza mieszkał pisarz.

Właśnie siedział pod oknem przy stole z cygarem w zębach, w koszuli był tylko, nie umyty i rozczochrany; jakaś kobieta spała na sienniku w kącie, przykryta paltem.

– Siadajcie, panie gospodarzu! – zrzucił ze stołka obłocone ubranie i podsunął Borynie, któren zaraz opowiedział dokumentnie całą sprawę.

– Wasza wygrana, jak amen w pacierzu. Jeszcze by! Krowa zdechła i chłopak choruje z przestachu! Dobra nasza! – zatarł ręce i szukał papieru na stole.

– Hale... kiej zdrowy chłopak.

– Nic nie szkodzi, mógł zachorować. Bił go przecież...

– Nie, bił ino chłopaka sąsiadów.

– Szkoda, to by było jeszcze lepsze. Ale to się jakoś zesztukuje, tak że będzie i choroba z pobicia, i zdechła krowa. Niech dwór płaci.

– Juści, o nic nie idzie, ino o sprawiedliwość.

– Zaraz się napisze skargę. Frania, a rusz no się, wałkoniu! – krzyknął i tak mocno kopnął leżącą, że podniosła rozczochraną głowę. – Przynieś no gorzałki i co zjeść...

– Ani dydka nie mam, a wiesz, Guciu, że nie zborgują... – mruzczała i podniósłszy się z barłogu, jęła ziewać i przeciągać się; wielka była jak piec, twarz miała ogromną, obrzękłą, posiniaczoną i przepitą, a głos cienki, jakby dzieciątka.

Pisarz pracował, aż pióro skrzypiało, pociągał cygara, puszczał dym na Borynę, który przypatrywał się pisaniu, zacierał chude, piegowate ręce i raz wraz odwracał wynędzniałą, okroszczoną twarz na Franke; zęby przednie miał przyłamane, usta sine i wielkie czarne wąsy.

Napisał skargę, wziął za nią rubla, wziął na marki drugiego i ugodził się na trzy za stawanie w sądzie, jak sprawa przyjdzie na stół.

Boryna się na wszystko zgodził skwapliwie, choć mu ta pieniędzy było żal, bo miarkował, że dwór mu wszystko zapłaci, i z nawiązką.

– Sprawiedliwość musi być na świecie, to sprawa wygrana! – rzekł na odchodnym.

– Nie wygramy w gminnym, to pójdziemy do zjazdu, zjazd nie poradzi, pójdziemy do okręgowego, do izby sądowej – a nie darujemy.

– Zaśbym tam darował swoje! – zawołał z zawziętością Boryna. – I komu jeszcze, dworowi, co ma tyle lasów i ziemi!... – rozmyślał wychodząc na rynek i zaraz jakoś przy czapnikach natknął się na Jagnę.

Stała w czapce granatowej na głowie, a drugą jeszcze targowała.

– Obaczcie no, Macieju, bo ten żółtek powiada, że dobra, a pewnikiem cygani...

– Galanta, la Jędrzycha?

– Juści, Szymkowi już kupiłam.

– Nie za mała to będzie?

– Takusińką ma ci głowę kiej moja...

– Piękny z ciebie byłby parobczek...

– Abo i nie! – zawołała zuchowato, bakierując nieco czapkę...

– Wnetki by cię tu godziły do siebie...

– Hale... inom za droga do służby. – Zaczęła się śmiać.

– Jak komu... mnie byś ta za droga nie była...

– I w polu robić bym nie robiła...

– Robiłbym ja za ciebie, Jaguś, robił... – szepnął ciszej i tak spojrzął na nią namiętnie, aż dziewczyna cofnęła się zakłopotana i już bez targu zapłaciła za czapkę.

– Sprzedaliście krowę? – zapytał po chwili opamiętawszy się nieco i wychnawszy z owej lubości, co mu jak gorzałka buchnęła

do głowy.

– Kupili ją la księżda do Jerzowa. Matka poszła z organistami, bo chcą zgodzić parobka.

– A to my sobie choćby na ten kieliszek słodkiej wstąpimy!...

– Jakże to?

– Zziębłaś, Jaguś, to się ździebko ogrzejesz...

– Gdziebym zaś z wami szła na wódkę!...

– A to przyniese i tutaj się napijem, Jaguś...

– Bóg zapłać za dobre słowo, ale mi matki trza poszukać.

– Pomogę ci, Jaguś... – szepnął cichym głosem i poszedł przodem, a tak robił łokciami, że Jagna swobodnie szła za nim wskroś ciżby, ale gdy weszli między płócienne kramy, dziewczyna zwolniła, przystawała i aż jej oczy rozgorzały do tych różności porozkładanych.

– To ci śliczności, mój Jezus kochany! – szeptała przystając przed wstążkami, które uwieszone w górze, kołysały się na wietrze niby tęcza paląca.

– Która ci się widzi, Jaguś, to se wybierz... – rzekł po namyśle przewyciężając skąpstwo.

– Hale, ta żółta w kwiaty, z rubla kosztuje abo i dziesięć złotych!

– Nie twoja w tym głowa, weź ino...

Ale Jaguś przez siłę i z żalem oderwała ręce od wstążki i poszła dalej do drugiego kramu, Boryna ino pozostał na chwilę.

A w tym znowu chustki były i materie na staniki i kaftany.

– Jezus mój, jakie śliczności, Jezus! – szeptała oczarowana

i raz wraz zanurzała ręce drżące w zielone atłasy, to w czerwone aksamity i aż się jej ćmiło w oczach i serce dygotało z rozkoszy. A te chustki na głowę! Pąsowe jedwabne z zielonymi kwiatami przy obrętku; złociste całe kiej ta święta monstrancja; a modre jako to niebo po deszczu; a białe; a już najśliczniejsze te mieniące, co się lśkniły kiej woda pod zachodzącym słońcem, a lekkie, kieby z pajęczyny! Nie, nie ścierpiała i jęła przymierzać na głowę a przeglądać się w lusterku, które przytrzymywała Żydówka.

Ślicznie jej było, jakoby zorze namotała na swoich lnianych włosach; a one modre oczy tak rozgorzały z radości, aż fiołkowy cień padał od nich na twarz pokraśniałą; uśmiechała się do siebie, aż ludzie poglądali na nią, taka była urodna i taka młodość i zdrowie biło od niej.

– Dziedzicówna jaka przebrana czy co? – szeptali.

Przyglądała się sobie długo i z ciężkim westchnieniem zdjęła chustkę, ale wzięła się targować, bo choć kupić nie miała, a ino tak sobie, żeby oczy dłużej nacieszyć.

Ostygła wnetki, bo kupcowa powiedziała pięć rubli, że i sam Boryna ją zaraz odwodzić.

Przystanęli jeszcze przed paciorkami – a było ich tam niemało, jakby kto cały kram posuł tymi kamuszczkami drogimi, że się lśniły a połyskały ino, aże oczów oderwać było trudno: bursztyny żółte, jakoby z żywicy pachnącej uczynione; korale, kieby z tych kropel krwi nanizane, a perły białe, wielkie jak orzechy laskowe, a drugie ze srebra i złota...

Przymierziała Jaguś niejedne i przebierała między nimi, a już się jej widział najśliczniejszym sznur koralu, obwinęła nim białą szyję we cztery rzędy i zwróciła się do starego.

– Uważacie, co?

– Pięknie ci, Jaguś! Mnie ta nie dziwota korale, bo ano leży we skrzyni coś z osiem biczków po nieboszce, a wielkich jak dobry groch polny!... – rzekł z rozmysłem, od niechcienia niby.

– Co mi ta z tego, kiej nie moje! – rzuciła ostro paciorki i spiesznie już szła, zachmurzona i smutna.

– Jaguś, a to przysiadźmy se ździebko.

– Ale, do matki mi czas.

– Nie bój się, nie odjedzie cie.

Przysiedli na jakimś dyszlu wystającym.

– Sielny jarmarek – rzekł po chwili Boryna rozglądając się po rynku.

– Przeciech nie mały! – Poglądała jeszcze ku kramom z żalnością i często sobie westchnęła, ale już ją odchodziła smutność, bo powiedziała:

– Tym dziedzicom to dobrze... Widziałam dziedziczkę z Woli z panienkami, to tyła sobie kupowały, że aże lokaj za nimi nosił! I tak co jarmark!

– Kto ciągiem jarmarczy – temu długo nie starczy.

– Im tam wystarczy.

– Póki Żydy dają – rzucił złośliwie, aż Jaguś obejrzała się na niego i nie wiedziała, co rzec na to, a stary, nie patrząc na nią, zagadnął cicho:

– Byli to od Michała Wojtkowego z wódką u ciebie, Jaguś, co?...

– A byli i poszli!... Niezguła jeden, jemu też swatów posyłać... – zaśmiała się.

Boryna powstał prędko, wyjął z zanadrza chustkę i coś jeszcze w papier owinięte.

– Potrzyj no to, Jaguś, bo mnie trzeba zajrzeć do Antka.

– Jest to na jarmarku? – oczy jej pojaśniały.

– Ostał przy zbożu, tam ano w ulicy. Weź sobie, Jaguś, to la ciebie – dodał widząc, że Jagna zdumionymi oczami wodziła po chustce.

– Dajecie?... Naprawdę la mnie? Jezus, jakie śliczności! – wykrzyknęła rozwijając wstążkę tę samą, co się jej tak podobała.

– Hale, ino tak przekpiwacie se ze mnie, za cóż by mnie?... Kosztuje tyła pieniędzy... a chustka czysto jedwabna...

– Weź, Jaguś, weź, la ciebie kupiłem, a jak ta któren parobek będzie przepijał do ciebie, nie odpijaj, na co sie spieszyć... mnie już czas iść.

– Moje to, prawdę mówicie?

– Zaśbym tam ocyganiał cię!

– I uwierzyć trudno. – I rozkładała ciągle chustkę, to wstążkę.

– Ostaj z Bogiem, Jaguś.

– Bóg wam zapłać, Macieju.

Boryna odszedł, a Jagna raz jeszcze rozwinęła i przepatrywała, naraz zawinęła wszystko razem i chciała biec z nim i oddać... bo jakże jej brać od obcego, nie krewny żaden

ni pociotek nawet... ale już starego nie było.

Pociągnęła wolno szukać matki i z lubością, ostrożnie dotykała chustki, wsadzonej za pazuchę. Taka była uradowana, że ino jej białe zęby połyskiwały w uśmiechu, a twarz gorzała rumieńcem.

– Jagusia!... Do wspomżenia... biedna sierota... ludzie kochane... krześcijany prawdziwe... Zdrowaś Maria za te duszyczki... Jagusia!...

Jagna oprzytomniała i jęła oczami szukać, kto ją wołał i skąd, i wnet dojrzała Agatę siedzącą pod murem klasztoru na garści słomy, że to błocko w tym miejscu było po kostki.

Przystanąła, żeby jakiego grosza poszukać, a Agata uradowana z obaczenia swojaczki, nuż wypytywać się, co tam w Lipcach się dzieje...

– Wykopaliśta już?

– Do cna!

– Nie wiecie, co u Kłębów?

– Wygnali was w tyli świat, na żebry, a ciekawiście ich?

– Wygnali, nie wygnali, samam poszła, bo trza było... jakże, darmo to mi dadzą ten kąt abo jeść, kiej sie u nich nie przelewa... A ciekawam, boć krewniaki...

– A co z wami?

– A co, chodzę od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, od jarmarku na jarmarek i tą modlitwą upraszam se u dobrych ludzi gdzie kąt, gdzie warzy łyżkę, gdzie grosik jaki! Dobre są ludzie, ubogiemu nie dadzą umrzeć z głodu, nie... Nie wiecie, zdrowi

tam wszyscy u Kłębów? – zapytała nieśmiało.

– Zdrowi, a wy nie chorujecie?

– I... gdzie zaś, w piersiach mę cięgiem poboliwa, a jak się naziębię, to i żywą krwią pluję... Niedługo mi już, niedługo... Choć ino do zwiesny dociągnąć, wrócić do wsi i tam se między swojemi zamrzeć – o to ino Jezusiczka proszę, o to jedynie... – rozłożyła ręce, okręcone różańcami, wzniesła zapłakaną twarz i jęła się modlić tak gorąco, aż lzy jej pociekły z zaczerwienionych oczów.

– Zmówcie pacierz za tatula – szepnęła Jagna wtykając jej pieniądz.

– To będzie za tych w czyścju ostających, a za swoich to już ja i tak się cięgiem modłę i Boga proszę, za żywych i umarłych, Jaguś, a nie przysyłali to z wódką?

– Przychodzili.

– I żaden ci się nie uwidział?...

– Żaden. Ostajcie z Bogiem, a na zwiesnę do nas zajrzyjcie...

– powiedziała prędko i poszła do matki, którą ujrzała z dala z organistami.

Boryna zaś powracał do Antka wolno, raz, że ciżba była, a drugie, że mu Jaguś cięgiem w myśli stała, ale nim doszedł, spotkał się z kowalem.

Przywitali się i szli w podle siebie milcząc.

– Skończycie to ze mną, hę? – zaczął ostro kowal.

– Niby z czym? Mogłeś mi to samo i w Lipcach powiedzieć.

– Zły już był.

– Przecież już cztery roki czekam.

– Przybaczyłeś se dzisiaj! To se jeszcze poczekaj ze czterdzieści, kiej zamrę.

– Już i ludzie mi redzą, żeby do sądu podać... ale...

– Podaj. Powiem ci, gdzie skargi piszą, i na pisarza dam rubla...

– Ale se myślę, że po dobremu się zagodzimy... – skrecił chytrze.

– Prawda, z kim nie wojną – z tym zgodą.

– Sami to miarkujecie niezgorzej.

– Mnie ta z tobą ni zgody, ni wojny nie potrzeba.

– Zawszy to pierwszy żonie powiadam, że ociec jest za sprawiedliwością.

– Kuźden jest za sprawiedliwością, komu ją w kumy prosić potrza – mnie nie potrza, bom ci nic niewinowaty – powiedział twardo, aż kowal zmiękł, że to z tej strony go napocząć nie napocznie, i jakby nigdy nic, najspokojniej i prosząco rzekł:

– Napiłbym się czego, postawicie?...

– Postawię. Jakże, najlepszy zięć prosi, to choćby i całą kwartę – przekpiwał zdziebko wchodząc do narożnego szynku; był już tam i Jambroży, ale nie pił, siedział w kącie markotny jakiś i smutny.

– Po gnatach mę łupie, to pewnie na pluchę – wyrzekął.

Wypili raz i drugi, ale w milczeniu, bo obaj dość złości mieli do się na wątpiach.

– Kiej na pogrzebie pijeta! – ozwał się Jambroży, zły juści, że

go to nie poprosili, bo od rana jakby nic w gębie nie miał.

– Jakże gadać? Ociec tyła dzisiaj sprzedaje, to muszą uważać, komu pieniądze na precenta dać...

– Macieju! Mówię wam, Macieju, że Pan Jezus...

– Komu Maciej, to Maciej, a tobie wara! Widzisz go, juchę.

Za pan brat świnia z pastucha. – Ozeźlił się srodze.

A kowal, że to już po dwóch mocnych, nabrał rezonu i rzekł cicho:

– Ociec, powiedzcie to słowo: dacie czy nie?

– Powiedziałem: do grobu ze sobą nie zabierę, a przódzi ni morga nie popuszczę. Na wycug do waju nie pójdę... jeszcze mi miły ten rok abo i dwa na świecie.

– To spłatę dajcie.

– Rzekłem, słyszałeś?

– Za trzecią kobietą się oglądają, to co im ta znaczą dzieci – szepnął Jambroży.

– A bo i pewnie.

– Spodoba mi się, to się i ożenię. Zabronisz?

– Zabronić nie zabronię, ale...

– Jak mi się spodoba, to z wódką poślę choćby jutro.

– Ślijcie, a bo ja to wam przeciwny! Dajcie mi chociaż tego ciołka, co wam ostał po graniastej, to i sam pomogę. Rozum wy swój macie, to miarkujecie, z czym wam najlepiej. Nie raz i nie dwa przekładałem żonie, co wam ano kobiety potrzeba, żeby upadku w gospodarstwie nie było...

– Mówiłeś to tak, Michał?...

– Żebym tak spowiedzi świętej nie doczekał. Mówiłem. Całej wsi przecież redzę, jak komu potrzeba, a nie wiedziałbym, co wam potrzeba!

– Cyganisz ty, jucho, aż się kurzy, ale jutro przyjdź, ciołka dostaniesz, bo jak prosisz – dam; a prawować się zechcesz ze mną – to ten patyk złamany weźmiesz albo i co gorsze.

Napili się jeszcze, kowal już postawił i przyzwał jeszcze do kompanii Jambroża, którego ochotnie się przysiadł i jał gadki ucieszne opowiadać, a przekpiwać się, że raz wraz śmiechem wybuchali.

Niedługo cieszyli się ze sobą, bo każdemu pilno było iść do swoich, a i do spraw różnych; rozeszli się w zgodzie, ale jeden drugiemu nie wierzył ani tyła, co za paznokciem – znali się dobrze jak te łyse konie i przezierali na wskroś, kieby przez szyby.

Jambroży tylko ostał, oczekiwał na kumów albo i znajomków, żeby mu kto postawił jeszcze jaką półkwaterekę, bo dobra i psu mucha, póki kto całego gnata nie rzuci, a napić się lubiał niezgorzej i samemu stawiać sobie było trudno, a nie dziwota, kościelnym był ino.

I jarmark dobiegał już końca.

W samo południe zaświeciło słońce, ale tylko tyła, coby kto lustrem mignął po świecie, i zaraz się schowało za chmury; a już przed wieczorem sposepniało na świecie, chmurzyska wlekły się nisko, że prawie na dachach leżały, i drobny deszcz jał siać kiej przez gęste sito. To i rozjeżdżali się prędzej, każdy spieszył do

dom, żeby się dostać przed nocą i większą pluchą.

I handlerze rychlej zdejmowali kramy i pakowali się na wozy, że to deszcz zacinał coraz gęstszy i zimniejszy.

Mrok zapadał prędko ciężki i mokry.

Miasteczko pustoszało i milkło.

Tylko dziady jeszcze gdzieniegdzie pojękiwali spod ścian i w karczmach podnosiły się wrzaski pijaków i kłótnie.

Jakoś już o samym wieczorze wyjechali z miasta Borynowie; sprzedali wszystko, co mieli, nakupowali różności i użyli jarmarku, co się zowie. Antek podcinał koni i jechał, aż się błoto otwierało, bo i ziąb był, i podpiłi sobie wszyscy niezgorzej, stary, choć skąpy był i aż piszczął za groszem, a tak ich dzisiaj ugaszczał i jadłem, i napitkiem, i tym dobrym słowem, że aż dziwno było.

Noc się zrobiła zupełna, gdy dojechali do lasu.

Ciemno było, że choć oko wykol; deszcz padał coraz grubszy i gdzieniegdzie po drodze rozlegały się turkoty wozów i ochryple śpiewy pijaków, albo i ktosik człapał się wolno po błocie.

A środkiem topolowej drogi, co ino szumiała głucho i pojękiwała jakby z zimna, szedł Jambroży pijany już całkiem, taczał się z boku na bok, czasem utknął na drzewo abo i w błoto, ale się rychło podnosił i ciągiem podśpiewywał na całe gardło, jak to miał we zwyczaju.

Plucha szła taka i ciemność, że koniom ogonów nie rozeznał, a i światła wsi widziały się ledwie jako to wilczych ślepiów migotanie.

## VI

Deszcze się rozpadały na dobre.

Już od samego jarmarku świat z wolna zatapiał się w szarych, mętnych szkliwach deszczów, że tylko obrysy borów i wsi majaczyły blade, niby z przemięklej przędzy utkane.

Szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne.

Siwe, lodowate bicze deszczów siekły bezustannie ziemię i przemiękały do głębi, aż drzewo każde, źdźbło każde dygotało w bezmiernym bólu.

A spod ciężkich chmur, skłębionych nad ziemią, spod zielonawych szarug wychylały się chwilami szmaty pól poczerniałych, przemiękłych, rozplaszczonych – to wyblyskiwały strugi spienionej wody, płynącej bruzdami, albo czerniały drzewa samotne na miedzach – jak przygięte, nabrzmiące wilgocią, trzęsły ostatnimi łachmanami liści i szamotały się rozpacznie, niby psy na uwięzi.

Drogi opustoszałe rozlały się w błotniste, gnijące kałuże.

Krótkie, smutne, bezsłoneczne dni wlekły się ciężko przegniłymi smugami światła, a noce zapadały czarne, głuche, rozpaczliwe bezustannym, monotonnym chłupotem...

Przerażająca cichość ogarnęła ziemię.

Umilkły pola, przycichły wsie, ogłuchły bory.

Wsie poczerniały i jakby silniej przywarły do ziemi, do płotów, do tych sadów nagich, poskręcanych i jęczących z cicha.

Szara kurzawa deszczów przysłoniła świat, wypięła barwy, zgasiła światła i zatopiła w mrokach ziemię, że wszystko wydało się jakby sennym majaczeniem, a smutek wstawał z pól przegniłych, z borów zdrętwiałych, z pustek obumarłych i włókł się ciężkim tumanem; przystawał na głuchych rozstajach, pod krzyżami, co wyciągały rozpacznie ramiona, na pustych drogach, gdzie nagie drzewa trzęsły się z zimna i łkały w męce – do opuszczonych gniazd zaglądał pustymi oczami, do rozwalonych chałup – na umarłych cmentarzach tłukł się wśród mogił zapomnianych i krzyży pogniłych i płynął światem całym; przez nagie, odarte, splugawione pola, przez wsie zapadłe i zaglądał do chat, do obór, do sadów, aż bydło ryczało z trwogi, drzewa się przyginały z głuchym jękiem, a ludzie wzdychali żałośnie w strasznej tęsknocie – w nieutulonej tęsknocie za słońcem.

Deszcz mżył bezustannie, jakoby kto drobnym szkliwem przysłaniał świat, że Lipce całe tonęły w gęstych tumanach szarugi, spod której tylko gdzieniegdzie czerniały dachy, to obmoknięte płoty kamienne lub te brudne kołtuny dymów, co się wiły nad kominami i wlekleły po sadach.

Cicho było we wsi, tylko gdzieniegdzie młócono po stodołach, ale z rzadka, bo wieś cała była na kapuśniskach.

Pustka leżała na błotnistej, rozmięklej drodze i pusto było w obejściach i przed domami, czasami tylko ktoś zamajaczył we mgle i ginął wnetki, że tylko człapanie trepów po błocie było słyhać albo wóz naładowany kapustą włókł się wolno

od torfowisk i rozganiał gęsi, brodzące za liśćmi spadłymi z wozów.

Staw szamotał się w ciasnych brzegach i przybierał ciągle, bo aż się przelewał w niższych miejscach na drogę po Borynowej stronie, sięgał płotów i bryzgał pianą na ściany chałup.

Cała wieś była zajęta wycinaniem i zwożeniem kapusty; pełno jej było po klepiskach, sieniach i izbach, a jak u niektórych i pod okapami siniały kupy główek.

Przed domami, wystawione na deszcz, mokły ogromne beczki.

Spieszono się na gwałt, bo deszcz prawie nie ustawał, a drogi robiły się grząskie, nie do przebycia.

I u Dominikowej dzisiaj wycinano.

Już od rana pojechała na kapuśnisko Jagna z Szymkiem, bo Jędrzych ostał i łątał ano dach, że to przeciekał w paru miejscach.

Pod wieczór to już było i jakby się ździebko mroczyć zaczynało, to stara raz wraz wychodziła przed dom i patrzyła w mgły, ku młynowi, i nasłuchiwała, czy nie jadą jeszcze?...

A na kapuśniskach, leżących nisko za młynem, w torfowiskach, wrzała jeszcze na dobre robota.

Czarniawe mokre mgły leżały na łąkach, że tylko gdzieniegdzie błyskały szerokie rowy pełne siwej wody i wysokie zagony kapusty, siniejącej bladą zielenią albo rdzawej niby pasy blachy żelaznej, a tu i owdzie majaczyły we mgle czerwone wełniaki kobiet i kupy wyciętych główek.

W dali przemglonej, nad rzeką, co płynęła z szumem wskroś

gęstych zarośli, siniejących niby chmura, czerniały stogi torfu i wozy, do których donoszono kapustę w płachtach, bo z powodu rozmiękłego gruntu dojechać nie było można do kapuśnisków.

Docinali już niektórzy i zabierali się do domu, więc i głosy coraz mocniejsze rozlegały się w mgle i leciały z zagonu na zagon.

Jagna skończyła dopiero co swój zagon, zmęczona była srodze, głodna i przemoczona do skóry, bo nawet i trepy zapadały się w rudy, torfiasty grunt po kostki, że raz wraz je zzuwała, żeby wylać wodę.

– Szymek, a dyć się ruchaj prędzej, bo już kulasów nie czuję! – wołała żałośnie, a widząc, że chłopak nie może sobie zadać, wyrwała mu niecierpliwie ogromny tobół, zarzuciła go na plecy i poniesła na wóz.

– Parobek z ciebie tyli, a miętki jesteś w grzbiecie, kiej kobieta po rodach – szepnęła pogardliwie, wsypując kapustę do półkoszków wystanych słomą.

Szymek przywstydzony mamrotał coś pod nosem, skrobał się po kołtunach i zaprzęgał konia.

– Spiesz się, Szymek, bo noc! – nagoniała go znosząc co chwila kapustę na wóz.

Jakoż i noc nadchodziła, mrok gęstniał i czerniał, a deszcz się wzmagał, że tylko pluskało po rozmiękłej ziemi i rowach, jakby kto ziarnem sywał.

– Józia! skończycie to dzisiaj? – zawołała do Boryniańki, która z Hanką i Kubą wycinała w podle.

– Skończymy! Bo i czas do domu, taka plucha, że mnie już do koszuli przejęło. Jedzicie to już?

– Juści. Noc zaruteńko i taka ćma, że się drogi nie rozezna. Jutro się zwiezie resztę. Sielną macie kapustę! – dodała pochylając się ku nim i patrząc na majaczące w mgle kupy.

– I wasza niezgorsza, a już co korpiele<sup>64</sup>, to macie największe...

– Z nowego nasienia była rozsada, dobrodziej przywieźli z Warszawy.

– Jagna! – ozwał się znowu z mgieł głos Józki – wiecie, a to jutro Walek Józefów śle z wódką do Marysi pociotkowej...

– Taki skrzat! A ma to ona już lata? Widzi mi się, że jeszcze łoni krowy pasaż!...

– La chłopca to już lata ma, ale i morgów ma tyła, że się parobki śpieszą.

– Będą się i do ciebie śpieszyły, Józka, będą...

– Jak się tatuś z trzecią nie ożenią! – zakrzyczała Jagustynka gdzieś z trzeciego zagona.

– Co wam też w głowie, a toć dopiero na zwieszę matkę pochowali – powiedziała przetrwożonym głosem Hanka.

– Co ta chłopcu szkodzi. Kuźden chłop to jak ten wieprzak, żeby nie wiem jak był nachlany, to do nowego koryta ryj wrazi... Ho, ho, jedna jeszcze nie dojdzie... nie ostygnie całkiem, a już za drugą się ogląda... pieski to naród... A jak to zrobił Sikora?

---

<sup>64</sup> *korpziel* – brukiew; roślina pastewna, w której jadalny jest słodki, bulwiasty korzeń.  
[przypis edytorski]

W trzy tygodnie po pochówku pierwszej z drugą się ożenił.

– Prawda, ale i drobiazgu po nieboszczce zostało pięcioro...

– Rzekliście! Ale ino głupie uwierzą, że la dzieci się ożenił... la siebie, bo mu markotno było samemu pod pierzyną!...

– My byśwa ojcu nie dali, oho!... – zawołała energicznie Józia.

– Młódka ty jeszcze, to i głupia... ojcowy grunt, to i ojcowa wola!

– Dzieci też coś znaczą i prawo swoje mają – zaczęła Hanka.

– Z cudzego woza to złaż choć i wpół morza – mruknęła głucho Jagustynka i zamilkła, bo Józka rozgniewana zaczęła nawoływać Witka, co się był wałęsał gdzieś nad rzeką, a Jagna się nie wtrącała do tej rozmowy – uśmiechała się ino niekiedy, że się to jej jarmark przypomniął, i nosiła kapustę, a skoro wóz był już pełen, Szymek jął wyjeżdżać ku drodze.

– Ostajcie z Bogiem – rzuciła do sąsiadek.

– Jedźta z Bogiem, my też zaraz... Jaguś, a przyjdiesz do nas obierać, co?

– Powiedz ino, kiedy potrza, a przyjdę, Józia, przyjdę...

– A w niedzielę chłopaki wyprawiają muzykę u Kłębów, wiecie to?

– Wiem, Józia, wiem.

– Spotkacie Antka, to powiedzcie, że czekamy, niech pośpieszy – prosiła Hanka.

– Dobrze, dobrze...

Pobiegła prędzej, żeby dognać wóz, bo Szymek odjechał był już ze staję, że ino go słychać było, jak kłął na konia; wóz

grzęznął i zarzynał się aż po osie w rozmiękłym, torfiastym gruncie, że na dołkach i w gorszych miejscach oboje musieli pomagać koniowi, żeby wyciągnął z trzęsawiska.

Milczeli oboje, Szymek wiódł konia i zważał, żeby nie wywrócić, bo dołów wszędzie było pełno, a Jagna szła z drugiej strony, podpierała ramieniem wóz i rozmyślała, jak się to trzeba wystroić na to obieranie do Borynów.

Mrok zapadał prędko, że ledwie konia widać było, deszcz jakby przestał, tylko mokra, ciężka mgła wisiała, że oddychać było ciężko, a górą szumiał głucho wiatr i bił w drzewa na grobli, do której dojeżdżali właśnie.

Podjazd na groblę był ciężki, bo stromy i śliski, koń utykał i co krok przystawał odpoczywać, że ledwie zdzierzeli wóz, żeby nie uciekł.

– Nie trza było tyle kłaść na jednego konia! – ozwał się jakiś głos z grobli.

– To wy, Antoni?...

– Juści.

– A pośpieszajcie, bo już tam Hanka was wypatruje... Pomóżcie nam...

– Poczekajcie, niech ino zejde, to pomogę. Pomroka taka, że nic nie widać.

Wjechali zaraz na groblę, bo tak potężnie podparł, aż koń ruszył z kopyta i zatrzymał się dopiero na wierzchu.

– Bóg wam zapłać, ale też mocni jesteście, że laboga! – wyciągnęła do niego rękę.

Zamilkli nagle, wóz ruszył, a oni szli koło siebie nie wiedząc, co mówić, zmieszani dziwnie oboje.

– Wracacie to? – szepnęła cicho.

– Ino cię do młyna odprowadzę, Jaguś, bo tam w drodze woda wyrwę zrobiła.

– To dopiero ciemnica, co? – wykrzyknęła.

– Boisz się, Jaguś? – szepnął przysuwając się bliżej.

– Hale, bałabym się ta...

Znowu zamilkli i szli tak przy sobie, że biodro w biodro, ramię w ramię...

– A oczy to się wam świecą jak temu wilkowi... aże dziwno...

– Będziesz w niedzielę na muzyce u Kłębów?

– A bo to matka mi dadzą...

– Przyjdź, Jaguś, przyjdź... – prosił cichym, przyduszonym głosem.

– Chcecie to? – zapytała miękko, zaglądając mu w oczy.

– Laboga, a dyć ino la ciebie zgodziłem skrzypka z Woli i la ciebie namówiłem Kłęba, żeby dał chałupy, la ciebie, Jaguś... – szeptał i tak przysuwał twarz do jej twarzy, i dyszał, aż się cofnęła nieco i zadygotała ze wzruszenia.

– Idźcie już... czekają na was... jeszcze kto nas obaczy... idźcie...

– A przyjdiesz?

– Przyjdę... przyjdę... – powtórzyła obzierając się za nim, ale już zniknął w mgle, tylko odgłos jego kroków słychać było po błocie.

Dreszcz nią wstrząsnął gwałtowny i coś jak płomień wichrem przeleciał przez serce i głowę, aż się zatoczyła. Ani wiedziała, co się jej stało, oczy ją paliły, jakby zasypane zarzewiem, tchu złapać nie mogła ni przyciszyć serca namiętnie bijącego; rozkładała ręce bezwiednie, jak do obejmowania, rozprężała się w sobie, bo ją brały takie szalone ciągotki, że omal nie krzyczała... dopędziła wozu, chwyciła się luśni i choć nie potraza było, tak potężnie pchała, aż wóz skrzypiał, chwiał się i główki spadały w błoto... a przed oczami ciągiem widziała jego twarz i oczy roziskrzzone, poządliwe... pałace...

– Smok, nie chłop... chyba takiego drugiego we świecie nie ma... – myślała bezładnie.

Oprzytomniał ją turkot młyna, obok którego przejeżdżali, i szum wody płynącej na koła i spod stawideł otwartych, bo przybór był ogromny. Rzeka z rykiem głuchym spadała na dół i rozbita na białą miazgę, kłębiła się i jaśniała w rzece rozlewającej się szeroko.

W domu młynarza, stojącym zaraz przy drodze, już się świeciło i przez szyby przysłonięte firankami widać było lampę stojącą na stole.

– Mają lampę kiej u dobrodzieja albo i we dworze jakim...

– Bo to nie bogacze?... Grontu to ma więcej od Boryny i na precenta pieniądze daje, i na mieleniu to nie okpiwa, co? – ciągnął Szymek.

– Żyją kiej dziedzice... Takim to dobrze... Po pokoju chodzą... na kanapach się wylegują... w cieple siedzą... słodko

jadają, a ludzie na nich robią... – myślała, ale bez zazdrości, nie słuchając Szymka, którego o ile mrukliwy był, o tyle kiej się rozgadał, to już bez nijakiego końca.

Dowlekli się wreszcie do chałupy.

W izbie widno było i ciepło, ogień buzował się wesoło na trzonie; Jędrzych obierał ziemniaki, a stara nastawiała kolację.

Jakiś stary, siwy człowiek grzał się przy kominie.

– Skończyliście, Jaguś?

– A ino, telo że ta ździebko, może ze trzy płachty, ostało na zagonie.

Poszła do komory się przebrać i wkrótce już się zwijała po izbie i narządała jedzenie pilnie poglądając i ciekawie na starego, którego siedział w głębokim milczeniu, patrzył w ogień, przebierał ziarna różańca i poruszał ustami. A gdy siadali do kolacji, stara położyła łyżkę dla niego i zapraszała.

– Ostajcie z Bogiem... zajrzę tu jeszcze, bo może i w Lipcach ostanę na dłużej...

Uklęknął na środku izby, pochylił się przed obrazami, przeżegnał i wyszedł.

– Kto to? – zapytała Jagna zdziwiona.

– Wędrownik ci to święty, od grobu Jezusowego idzie... dawno go znam, już tu nieraz bywał i przynosił świętości różne... Jakoś ze trzy roki temu...

Nie skończyła, bo wszedł Jambroży, pochwalił Boga i usiadł przed kominem.

– Ziąb taki i plucha, że aż mi moja drewniana noga

skostniała.

– Wam też po nocy i takim błocku łązić... nie siedzielibyście to w chałupie i pacierze se przepowiadali... – mruzczała Dominikowa.

– Cniło mi się samemu, tom do dzieuch wyszedł i do ciebie, Jaguś, pierwszej wstąpiłem...

– Kostucha waszej dziewczusze na imię...

– Z młodszymi hula, a o mnie całkiem zabaczyła!...

– Ale?... – zagadnęła Dominikowa pytająco.

– Prawdę mówię. Dobrodziej był z Panem Jezusem u Bartka za wodą...

– Cie... na jarmarku widziałam go zdrowym...

– Zięciaszek ci go tak sprął kołkiem, że aż mu wąpia odbił.

– O cóż, kiedy?...

– A o cóż by, jak nie o gront. Wadzili się już z pół roku, aż się i dzisiaj w południe porachowali.

– Że to kary boskiej nie ma na tych zabijaków – ozwała się Jagna.

– Przyjdzie, nie bój się, Jagno, przyjdzie – rzekła twardo stara wznosząc oczy na obrazy święte.

– A kto już pomarł, nie wstanie – szepnął Jambroży cicho.

– Siadajcie do miski, zjecie, co jest.

– Nie od tegom, nie. Misczce jednej, bele dużej, poradzę jeszcze – podkpiwał.

– Wam to ino przekpiwania w głowie i zabawa.

– Tyla i mojego, tyła, na cóż mi turbacje, hę?

Obsiedli ławkę, na której stały miski, i jedli wolno i w milczeniu. Jędrzych pilnował, żeby dokładać i dolewać, tylko Jambroży raz po raz powiadał jakie słowo ucieszne i sam się śmiał najbardziej, bo chłopaki, chociaż rade były się pośmiać, bali się srogiego wzroku matki.

– Dobrodziej w domu? – zagadnęła pod koniec.

– A gdzie by na takie błoto? Jak Żyd w książkach siedzi.

– Mądry ci on, mądry...

– I dobry, że nie znaleźć lepszego... – dodała Jagna.

– Juści... pewnie... na brzuch se nie pluje ani drugiemu na brodę, a co mu kto da, weźmie...

– Nie pletlibyście bele czego.

Powstali od kolacji. Jagna ze starą siadły do kądzieli przed kominem, a synowie jak zwykle zajęli się sprzątaniem, myciem naczyń i obrządkiem. Tak już zawsze u Dominikowej było, że synów swoich dzierżyła żelazną ręką i rychtowała ich na dziewczki, żeby ino Jagusia rączków se nie pomazała.

Jambroży zapalił fajkę, pykał w komin, to poprawiał głównie i dorzucał gałęzi i raz wraz spoglądał na kobiety, ważył cosik w głowie i układał.

– Były pono u was swaty?

– Abo to jedne.

– Nie dziwota, Jagna kiej malowana. Dobrodziej powiedział, że i w mieście nie spotkać piękniejszej.

Jagna poczerwieniała z ucieszności.

– Tak powiedział! Niech mu Bóg da zdrowie! Dawno się już

zbierałam zanieść na wotywę, dawno, ale jutro zaraz zaniecę.

– Przysłałby tu jeszcze ktoś z wódką, ino się boją ździebko...

– zaczął po cichu.

– Parobek?... – zapytała stara nawijając na turkoczące po podłodze wrzeciono.

– Gospodarz na całą wieś, rodowy... ale wdowiec.

– Dziecków cudzych kolebała nie będę...

– Odchowane, nie bój się, Jaguś, odchowane.

– Co jej tam po starym... ma jeszcze lata... poczeka se na młodego, jak się jej uda jaki.

– Takiego nie braknie, a bo to młodych brak? Jak świece chłopaki, papierosy palą, w karczmie tańczują, gorzałkę piją i ino patrzą za dzieuchami, która jakie morgi ma i trochę gotowego grosza, żeby balować było za co... Gospodarze juchy, do południa śpią, a po południu taczkami gnój wożą i motyczkami orzą pole...

– Na poniewierkę takiemu Jagny nie dam.

– Niepróżno mówią, żeście we wsi najmądrzejsza...

– Ale i za starym też uciechy nijakiej dla młódki...

– A bo to do uciechy nie ma młodych?

– Stryście kiej świat, a pstro wama jeszcze we łbie – powiedziała surowo.

– I... gada się, byle ozór nie skiełczał.

Zamilkli na długo.

– Stary uszanuje i na cudzy grosz niełasy – podjął znowu Jambroży.

– Nie, nie, ino obraza boska z tego bywa.

– Mógłby zapis zrobić – rzekł serio wytrząsając fajkę na tron.

– Jagna ma dosyć swojego – odpowiedziała po chwili, wahająca już i niepewna.

– Więcej by on dał, niżli wziął, więcej...

– Rzekliście!

– Co wiadomo, nie z wiatru wziąłem ani z pomyslonku, nie od siebie przyszedłem...

Milczeli znowu. Stara ogładzała długo rozwichrzoną kądziel, potem pośliniła palec i jęła wyciągać lniane włókna lewą ręką, a prawą puszczała w wir wrzeczono, że z warczeniem, kieby bąk, kręciło się po podłodze i furkotało.

– Jakże? Ma to przysłać?

– Któren?

– Nie wiecie to? A dyć tamten! – wskazał przez okno na światła, ledwie migoczące przez staw, u Boryny.

– Dorosłe dzieci, dobrego słowa nie dadzą i prawa do swoich części mają.

– Ale może zapisać to, co jego... jakże?... A chłop dobry i gospodarz nie bele jaki, i pobożny, i krzepki jeszcze, sam widziałem, jak se korzec żyta zadawał na plecy. Już tam by Jagnie nic nie brakowało, chyba tego ptasiego mleka... a że wasz Jędrzych na bezrok do wojska staje... to Boryna z urzędnikami się zna, wie, do kogo trafić, mógłby pomóc...

– Jak ci się widzi, Jaguś?...

– Mnie ta wszystko jedno, każecie, to pójdę... wasza w tym

głowa, nie moja... – mówiła cicho, wsparła czoło na kądzieli i zapatrzyła się w ogień bezmyślnie, i słuchała wesołego trzaskania gałązek. Ten czy tamten, wszystko było jej zarówno – wstrząsnęła się tylko nieco na przypomnienie Antka.

– Jakże? – pytał Jambroży powstając z ławki.

– Niech przysyłają... zrękowiny nie ślub jeszcze... – odrzekła wolno.

Jambroży pożegnał się i poszedł prosto do Boryny.

Jagna wciąż siedziała nieruchoma i milcząca.

– Jaguś... córuchno... co?...

– A nic... wszystko mi zarówno... Każecie, to pójde za Borynę... a nie, to ostanę przy was... bo mi to źle wami?...

Stara przedła dalej i mówiła cicho:

– Najlepiej chcę la ciebie, najlepiej... Juści, że stary on jest, ale krzepki jeszcze, i ludzki, nie tak jak drugie chłopy, uszanuje cię... Panią se będziesz u niego, gospodynią... A jak zapis zrobi, to już go tak narychtuję, żeby gront wypadł w podle naszego, koło żyta pod górką... a choćby i ze sześć morgów zapisał... Słuchasz to? Ze sześć morgów! A trza ci iść za chłopa... trza... po co mają wygadywać na ciebie i na ozorach obnosić po wsi?... Wieprzka by się zabiło... a może i nie... może... – umilkła i już w głowie układała sobie resztę, bo Jaguś jakby nie słyszała jej słów, przedła machinalnie, i jakby jej nie obchodził los własny, tak nie myślała o tym zameżciu.

A bo to jej źle było przy matce? Robiła, co chciała, i nikt jej marnego słowa nie powiedział. Co ją tam obchodziły gronta,

a zapisy, a majątki – tyle co nic, abo i mąż? Mało to chłopaków latało za nią? – niechby tylko chciała, to choćby wszystkie na jedną noc się zleca... i myśl jej leniwie się snuła jak nić lniana z kądzieli i jak ta nić okręcała się ciągle jednako na tym, że jak matka każą, to pójdzie za Borynę... Juści, że go nawet woli od innych, bo kupił jej wstążkę i chustkę... juści... ale i Antek by kupił to samo... a i inne może... żeby tylko miały Borynowe pieniądze... każdy dobry... i wszystkie razem... a bo ona ma głowę, żeby wybierać! Matki w tym głowa, żeby zrobić jak potra...

Zapatrzyła się znowu w okno, bo poczerniałe, zwiędłe georginie, kołysane przez wiatr, zaglądały w szyby, ale wnet zapomniała o nich, zapomniała o wszystkim, nawet o sobie samej, zapadła w takie prześwięte bezczucie, jak ta ziemia rodzona w jesienne martwe noce – bo jako ta ziemia święta była Jagusia dusza – jako ta ziemia. Leżała w jakiś głębokościach nie rozeznaczonych przez nikogo w bezładzie marzeń sennych – ogromna a nieświadoma siebie – potężna a bez woli, bez chcenia bez pragnień – martwa a nieśmiertelna, i jako tę ziemię brał wicher każdy, obtulał sobą i kołysał, i niósł tam, gdzie chciał... i jako tę ziemię o wiosnie budziło ciepłe słońce, zapładniało życiem, wstrząsało dreszczem ognia, pożądania i miłości – a ona rodzi, bo musi... bo jako ta ziemia święta, taka była Jagusia dusza – jako ta ziemia!...

I długo tak siedziała w milczeniu, ino te oczy gwiazdne świeciły się kiej spokojne wody w wiosniane południe, aż

ocknęła z nagłą, bo ktosik otwierał drzwi do sieni.

Wbiegła Józka zadyszana, przypadła do komina, wylewała z trepów wodę i rzekła:

– Jaguś, jutro u nas obieranie, przyjdiesz?

– Przyjdę.

– W izbie będziemy obierali. Ambroży tam siedzą u tatula, tom się chyłkiem wyrwała na wieś, żeby ci powiedzieć. Będzie Ulisia i Marysia, i Wikta, i pociotkowe, i drugie... I chłopaki przyjdą... Pietrek obiecał się ze skrzypicą...

– Która to?

– A Michałów, co za wójtem siedzą, co to w kopanie przyszedł z wojska... i tak mówi pokracznie, że go i wymiarkować trudno...

Natrzepała, co ino mogła, i poleciała do dom.

Cisza znowu objęła izbę.

Czasami deszcz uderzał w szyby, jakby kto przygarścią piasku rzucił, to wiatr szumiał i baraszkował w sadzie albo dmuchał w komin, że głównie się rozsypywały po trzonie, i dym buchał na izbę... a ciągiem warczały wrzeczona po podłodze.

Wieczór ciągnął się wolno i długo, aż stara cichym, drżącym głosem zaśpiewała:

Wszystkie nasze dzienne sprawy...

A chłopaki z Jagną wtórowali z cicha, a tak przenikliwie, aż kury w sieni na grzędach krzekorzyć zaczęły i pogdakiwać.

## VII

Nazajutrz dzień był tak samo zadeszczony i posepny.

Co chwila ktoś wychodził z jakiejś chałupy i długo a frasobliwie poglądał w omglony świat, czy się gdzie nie przejaśnia – ale nic, kromie burych chmur, płynących tak nisko, że darły się o drzewa, widać nie było; deszcz mżył bezustannie, tyle że jakoś zaraz z południa przeszedł w ulewę, jakoby kto upusty niebieskie otworzył, że ino dudniło po dachach.

Ludzie się kwasili po chałupach; jaki taki laźł po tym błocie i deszczu do sąsiadów na wyrzekanie, że to czas taki, co i psa na dwór wygonić trudno, a tu niejeden ściółkę miał jeszcze w lesie, kto znów drew nie zwiózł, a insze, bez mała wszystkie prawie, nie docięli w polu kapusty, po którą i nie wyjechać dzisiaj, bo ano staw tak przybrał w nocy, że musieli do dnia wyrzeć stawidła i puścić wodę do rzeki, która i przez to rozlała się szeroko, aż łąki stanęły pod wodą, a kapuśniska jako te wyspy czerniały się grzbietami zagonów spośród siwej, spienionej topieli.

U Dominikowej też nie zwieźli tej reszty, jaka w polu ostała.

Jagna już od rana nie mogła dać sobie rady, chodziła ino z kąta w kąt, to patrzyła przez okna na krzę georginii, powaloną przez falę, w ten świat zadeszczony i wzdychała żałośnie.

– Cni mi się, że laboga! – szeptała, z niecierpliwością oczekując zmroku i pójścia do Borynów na to obieranie kapusty, a tu dzień włókł się tak wolno, kiej ten dziadek po

błocie, tak nudnie i tak jakoś smutnie, że już wydzierżyć było nie sposób. Rozdrażniona też była, że ciągiem krzyczała na chłopaków i potraçała, co się jej tylko pod ręce nawinęło, a do tego głowa ją poboliwała, aż se owsem rozprażonym i octem skropionym obłożyła ciemę – dopiero przeszło. Mimo to miejsca sobie znaleźć nie mogła i robota leciała z rąk, a ona zapatrzała się w staw rozchlustany, którego niby ptak jaki rozwijał ciężkie skrzydła, bił nimi, podrywał się z szumem, aż woda wypryskiwała na drogi, a ulecieć nie mógł, jakby nogami wrośnięty w ziemię. A za wodą stał dom Boryny, dobrze było widać zielony ze starości dach i ganek świeżo pokryty gontami, bo się jeszcze żółciły, i zabudowania za sadem, ale całkiem nie wiedziała, na co patrzy...

Dominikowej nie było od samego rana, bo ją wezwali do rodzącej kobiety na drugi koniec wsi, jako że lekująca była i znająca się na różnych chorobach.

A Jagnę aż podrywało, żeby gdzie bieżyć we świat, do ludzi, ale co się przyodziła na głowę w zapaskę i wyrzała za próg na błoto i pluchę – to się jej odehciewało wszystkiego... że w końcu aż się jej płakać chciało z tej jakiejś dziwnej tęskności... to nie mogąc sobie poradzić, otworzyła swoją skrzynkę i jęła z niej wyjmować a rozkładać po łózkach przyodziewek świąteczny... aż poczerwieniało w izbie od wełniaków pasiastych... zapasek... kaftanów... ale nie cieszyło ją to dzisiaj, nie... patrzyła obojętnym, znudzonym wzrokiem na dobro swoje, tylko wyciągnęła spod spodu chustkę Borynową

i wstążkę, ustroiła się w nią i długo przeglądała się w lusterku.

– Niezgorzej... trza się na wieczór w to przyodziać... – pomyślała i zdjęła zaraz, bo ktoś szedł opłotkami do chałupy.

Wszedł Mateusz... Jagna aż krzyknęła ze zdziwienia, bo ten ci to był, o którego najwięcej pomawiano ją, że z nim w sadzie nocami się schodzi, a często i gdzie indziej puszcza... Parobek był starszy, bo mu już dobrze było po trzydziestce, kawaler jeszcze, ale żenić się nie chciał, że to siostry miał nie powydawane, a jak Jagustynka plotkowała, że mu to dzieuchy abo i cudze żony lepiej smakowały... Chłop był rozrosły jak dąb, mocny, dufający w siebie i przez to tak harny i nieustępliwy, że mało kto się go nie bojał. A sposobna jucha była do wszystkiego; na fleciku grywał, że aż do duszy szło, wóz zrobić robił, chałupy stawiał, piece wylepiał, wszystko robił tak sprawnie, że ino mu się robota w garściach paliła; grosz go się ino nie trzymał całkiem, choć zarabiał sporo, bo wszystko zaraz przepił i przefundował albo i rozpozyczył... Gołąb było mu na przewisko, choć i do jastrzębia prędzej był podobien z twarzy i z onej zapalczywości...

– Niech będzie pochwalony!

– Na wieki... Mateusz!

– Jam ci, Jaguś, ja...

Ścisnął ją za rękę i tak gorąco patrzył w oczy, aż się dziewczyna zarumieniła i niespokojnie na drzwi poglądała.

– A to z pół roku byłeś we świecie... – szepnęła zmieszana.

– Całe pół roku i dwadzieścia i trzy dni... dobrzem liczył...

– a ręk jej nie puszczał.

– Zapalę światło! – zawołała, że to się już mroczyło na dobre i żeby mu się wyrwać.

– Przywitajże mnie, Jaguś – prosił cicho i chciał ją objąć, ale wysunęła się prędko i szła do komina zapalić światło, bojała się, żeby ich tak po ciemku matka nie zeszła abo i kto drugi, ale nie zdążyła, bo Mateusz chycił ją w pół, przycisnął mocno do siebie i ją zapamiętała całować...

Zatrzepotała się kiej ptak, ale nie jej moc wyrwać się takiemu głodnemu smokowi, którego ścisnął, aż żebra trzeszczały, i tak całował, że całkiem zesłała, oczy jej zasły mgłą, tchu złapać nie mogła, że ino ostatkiem skamlała:

– Puść... Mateusz... Matula...

– Jeszcze ździebko, Jaguś, jeszcze raz, bo się całkiem wścieknę... – I tak całował, że mu dziewczyna całkiem zmiękała i leciała przez ręce kiej woda, ale puścił ją, bo postyszał w sieniach kroki, sam zapalił nad okapem lampkę i skręcał papierosa, a roziskrzonymi uciechą oczami spoglądał na Jaguś, że to jeszcze przyjść do siebie nie przyszła, bo się mocno dzierżyła ściany i dyszała ciężko.

Jędrzych wszedł i ogień na trzonie rozdmuchiwał, nastawiał garnki z wodą i ciągiem się po izbie kręcił, że już mało wiele ze sobą mówili, a ino poglądali na się iskrzącymi, głodnymi oczami, jakoby się zjeść chcieli...

Wnetki, bo jakoś w pacierzy parę, nadeszła Dominikowa, musi być zła była, bo już w sieniach wywarła gębę na Szymka,

a ujrawszy Mateusza popatrzyła nań srogo, na przywitanie nie zważała i poszła do komory przyoblec się.

– Idź se, bo cię matka zeklną jeszcze... – prosiła cicho.

– Wyjdiesz to do mnie, Jaguś, co? – prosił.

– Wróciłeś to już ze świata? – rzekła stara, jakby go dopiero spostrzegając.

– Wróciłem, matko... – mówił łagodnie i chciał ją w rękę pocałować.

– Ale, suka ci była matką, nie ja! – warknęła wrywając rękę ze złością. – Po coś tu przyszedł? Mówiłam ci już, że tutaj nic po tobie...

– Do Jagusi przyszedłem, nie do was – hardo zawołał, bo go już złość brała.

– Wara ci od Jagusi, słyszysz! Wara ci, żeby ją potem bez ciebie na ozorach obnosili po wsi, jak tę jaką ostatnią... ani mi się pokazuj na oczy!... – wrzasnęła.

– Krzyczycie kiej wrona, że wieś cała usłyszeli!...

– Niech usłyszają, niech się zlecą, niech wiedzą, żeś się Jagny przyczepił kiej rzep psiego ogona, że i ozogiem trudno cię odegnąć!...

– Żebyście nie kobieta, to bym warna ździebko żebra zmacał za powiedanie takie...

– Spróbuj, zbójju jeden, spróbuj, psie!... – pochwyciła za żelazny pogrzebacz.

Ale i na tym skończyła, bo Mateusz splunął, trzasnął drzwiami i wyszedł prędko, bo jakże, z babą się to miał bić i pośmiewisko

z siebie dla wsi czynić?

A stara, że to już jego nie stało, wsiadła na Jagnę i hajże jazgotać, a wypominać wszystko, co miała na wątpiach... Jaguś siedziała cicho, aż zmartwiła ze strachu, ale kiedy słowa matki dojeły ją do żywego... przecknęła, schowała głowę w pierzynę i buchnęła płaczem i wyrzekaniami... rozżalona była srodze... bo przecież nic temu niewinna... nie zwoływała go do chałupy... sam przyszedł... a na zwiesnę, co matka wypominają... to... spotkał ją przy przełazie... mogła się to wyrwać takiemu smokowi?... kiej ją tak ozebrało, że... a potem mogła się to ograć przed nim?... Zawsze się z nią tak dzieje, że niech kto a ostro spojrzy na nią albo i ściśnie mocno... to się w niej wszystko trzęsie, moc ją odchodzi i tak mdli w dołku, że już o niczym nie wie... co ona winowata?

Skarżyła się cicho przez łyzy, aż stara się udobruchała i ją troskliwie obcierać jej twarz i oczy, a głaskać po głowinie, a uspokajać...

– Cichoj, Jaguś, nie płacz... nie... a to oczy ci się zaczerwienią kiej królikowi i jak to pójdziesz do Borynów?

– Czas to już? – spytała po chwili, spokojniejsza nieco.

– Juści, że pora, a przybierz się pięknie, ludzie tam będą, a i sam Boryna uważa...

Podniosła się zaraz Jaguś i zaczęła się ubierać.

– Nie uwarzyć ci to mleka?

– Nie chce mi się całkiem jeść, matulu.

– Szymek, wygrzewasz się pokrako, a tam krowy o pusty żłób

zębami dzwonią! – krzyknęła resztą złości, aż Szymek uciekł, żeby czego nie oberwać.

– Widzi mi się – mówiła ciszej, pomagając Jagnie się przyodziać – że kowal jest w zgodzie z Boryną. Spotkałam go, wiódł od starego sielnego ciołka... Szkoda... dobrze wart z piętnaście papierków... ale może to i dobrze, że są w zgodzie, bo kowal pyskacz i na prawie się zna... – odstąpiła parę kroków i z lubością przyglądała się córce. – Ale, tego złodzieja Kozła pono już wypuścili, trzeba znowu zamykać wszystko a pilnować...

– Pójdę już!

– Idź, a siedź do północkska i gzij się tam z parobkami! – wybuchnęła resztą złości.

Jagna wyszła, ale jeszcze z drogi słyszała starą, jak krzyczała na Jędrka, że świnie nie wegnane do chlewów, a kury nocują po drzewach.

U Boryny już było sporo ludzi.

Ogień buzował się na kominie i rozświetlał ogromną izbę, aż lśniły się szkła od obrazów i kołysały się te światy, czynione z kolorowych opłatków i na nitkach wiszące u czarnych, okopconych belek; na środku izby leżała kupa czerwonej kapusty, a w półkole, szeroko zatoczone, twarzami do ognia, siedziały rzędem dziewczyny i kilka kobiet starszych – obierały z liści kapustę, a główki rzucały na rozesłaną pod oknem płachtę.

Jaguś ogrzała ręce przy kominie, ostawiła trepy pod oknem i siadła zaraz z kraju przy starej Jagustynce, i jęła się roboty.

Gwar się też w miarę podnosił, bo przybywało jeszcze kobiet i parobków, którzy wraz z Kubą znosili kapustę ze stodoły, ale częściej kurzyli papierosy i szczerzyli zęby do dziewczyn, a prześmiewali się społecznie.

Józka, choć to i skrzat był jeszcze, a rej wodziła i w robocie, i w śmiechach, bo starego nie było, a Hanka, jak to zwyczajnie, kiej ta ćma łąziła abo mruk.

– Czerwono w izbie, jakby od makowych kwiatów! – zawołał Antek, bo był wtoczył do sieni beczki, a teraz ustawiał przed kominem, z boku nieco, szatkownicę.

– Ba, zestroiły się kiej na wesele! – ozwała się któraś starsza.

– A Jaguś to kiejby ją kto w mleku wymył – zaczęła złośliwie Jagustynka.

– Poniechajcie – szepnęła czerwieniąc się.

– Cieszta się dziewczyny, bo już Mateusz przywędrował ze świata, zaraz się tu zaczną muzyki a tańce, a wystawanie po sadach... – ciągnęła stara.

– Całe lato go nie było.

– Jakże, dwór stawiał we Woli.

– Majster jucha, bańki nosem puszcza – rzekł któryś z parobków.

– A do dzieuch tak sposobny, że i trzech kwartałów czekać nie potra...

– Jagustynka to nikomu dobrego słowa nie dadzą – zaczęła jakaś dziewczyna.

– Pilnuj się, bym o tobie nie chciała co rzec...

– Wiecie, pono ten stary wędrownik już przyszedł.

– Będzie dzisiaj u nas! – zawołała Józia.

– Bez całe trzy roki bywał we świecie.

– We świecie?... Był ci u grobu Jezusowego!

– Hale! Widział go tam kto? Cygani jucha, a głupie wierzą, tak samo i kowal opowiada o zamorskich krajach, co ino w gazetach wyczyta...

– Nie gadajcie, Jagustyńko, sam dobrodziej przytwierdzał do mojej matki.

– Prawda, że to Dominikowa jakby drugą chałupę ma na plebanii i zawsze wiedzą, czy księdza brzuch boli – lekująca przeciech...

Jagna zmlkła, ale poczuła dziwną ochotę choćby tym nożem ją żgnąć, bo cała izba parsknęła śmiechem, tylko Ulisia Grzegorzowa nachyliła się do Kłębowej i spytała:

– Skąd on jest?

– Skąd? Ze świata szerokiego, abo to kto wie? – Nachyliła się nieco, wzięła główkę na dłoń, obcinała liście i mówiła szybko, coraz głośniej, żeby i drugie słyszały: – Co trzecią zimę przychodzi do Lipiec i u Boryny zakłada kwaterę... Rochem kazał się przezywać, choć mu ta pewnie i nie Roch... Dziad jest i nie dziad, kto go tam wie... ale pobożny człowiek i dobry... ino mu tej obrączki nad głowę, a byłby rychtyk kiej te świątki na obrazach. Różańce ma na szyi obcierane o grób Jezusowy... obrazki dzieciom daje święte, a jak niektórym, to i takie z królami, co to z naszego narodu przódzi wychodziły... i książki

pobożne ma i takie, w których stoi wszystko, i historie różne o świecie... czytał je przecież mojemu Walkowi, to i ja, i mój słuchalim, inom przepomniała, bo i wymiarkować ciężko... A nabożny taki, że z pół dnia przekłęczy, drugi raz pod krzyżem albo i gdzie w polu, a do kościoła ino na mszę chodzi. Dobrodziej zapraszał go do siebie, na plebanię, to mu rzekł:

– Z narodem mi ostać, nie na pokojach moje miejsce...

– Miarkują też wszyscy, że nie musi być z chłopskiego stanu, choć mówi jak wszystkie, i nauczny jest; jakże, z Żydem gadał po niemiecku, a we dworze w Drzazgowej – to z panienką, co była la zdrowia w ciepłych krajach, też rozmówił się po zagranicznemu... a od nikogo nic nie weźmie, tyle co tę kapkę mleka i kromkę chleba, a i za to jeszcze dzieci uczy... powiedają... – ale Kłębowa urwała z nagłą, bo dziewczyny buchnęły śmiechem i aż się pokładały.

Śmieli się z Kuby, któren niósł w płachcie kapustę i pchnięty przez kogoś, przewrócił się na środku jak długi, aż się kapusta rozleciała po izbie, a on wstawał z trudem i co się już zebrał na czworaki, to padał znowu, bo go popychali.

Józia go obroniła i pomogła wstać, ale też pomstował, pomstował...

I z wolna rozmowa przeszła na co innego.

Wszystkie mówiły z cicha, a gwar się czynił jakoby w ulu przed wyrojem, a śmiechy szły, a przekpiwania i uciecha taka, że ino oczy się iskrzyły i gęby śmiały, a robota szła chybcikiem, ino trzaskały noże o głąby, a główki jako te kule raz wraz

padały na płachtę i stożyły się w coraz większą kupę. Antek zaś szatkował nad wielkim cebrem przy kominie; rozdzielony był, że ostał ino w koszuli i w portkach pasiatych z wełniakowego sukna, rozczzerwienił się, łeb mu się rozwichrzył i pot gęsto pokrył mu czoło; tego robił, ale śmiał się ciągiem i przekpiwał, a taki był urodny, że Jagna jak w obraz poglądała, a i nie ona jedna tylko... a on przystawał, żeby odetchnąć, i wesołym wzrokiem tak patrzył na nią, aż spuszczała oczy i czerwieniła się. Ale nikt tego nie widział prócz Jagustynki, a i ta udawała, że nie patrzy, jeno sobie w głowie układała, jak to opowiedzieć na wsi.

– Marcycha pono zległa, wiecie to? – zaczęła Kłębowa.

– Nie nowina to jej, co roku se to robi.

– Baba jak tur, to jej dzieciak krew odciąga od głowy – mruknęła Jagustynka i chciała dalej coś o tym rzec, ale ją zgromiły drugie, że to o takich rzeczach mówi przy dzieuchach.

– Wiedzą one i o lepszych, nie bójta się. Teraz nastał czas taki, że już i gęsiarce nie mówią o bocianie, bo się w oczy roześmieje... nie tak to przódzi bywało, nie...

– No, wyście ta już wszystko wiedzieli jeszcze za bydłem... – rzekła poważnie stara Wawrzonowa – a bo to nie baczę, coście wyprawiali na pastwiskach...

– Kiedy baczycie, to i ostawcie la siebie! – zakrzyknęła ostro Jagustynka.

– Byłam już za chłopem... za Mateuszem, widzi mi się... nie, za Michałem, tak, bo juści Wawrzon był trzeci... – mruzczała nie mogąc utrafić.

– Ale, siedzita i nie wiecie, co się stało! – zawołała wpadając zadyszana Nastusia Gołębianka, Mateusza siostra.

Podniosły się ciekawe zapytania ze wszystkich stron i wszystkie oczy spoczęły na niej.

– A to młynarzowi ukradli konie!

– Kiedy?

– Ze trzy pacierze temu. Dopiero co Jankiel mówił Mateuszowi.

– Jankiel ta wie wszystko zaraz, a może i nieco przódzi...

– Takie konie, kiej te hamany!

– Ze stajni wyprowadziły. Parobek poszedł do młyna po obrok, wraca, a tu już ni koni, ni uprzęży nie ma, a pies w budzie struty, no!

– Na zimę idzie, to się już różności zaczynają.

– A bo kary na złodziejów nie ma żadnej... Hale, dużo mu zrobią, wsadzą do kryminału, dadzą jeść, w cieple się wysiedzi, z kolegami wypraktykuje, że kiej go puszcza, to jeszcze lepszy jest złodziej, bo nauczny.

– Gdyby tak mnie konia wyprowadzili, a złapałbym, to bym ubił na miejscu jak psa wściekłego! – wykrzyknął jeden z parobków.

– A bo ino tego by wartął taki człowiek, bo ino głupie szukają sprawiedliwości we świecie. Kuźden ma prawo dochodzić swojej krzywdy.

– Złapać takiego i całą kupą choćby zabić, to i kary nie ma, bo wszystkich to by karali?

– Baczę... zrobili tak u nas... zaraz, za drugim chłopem już byłam... nie, widzi mi się, że jeszcze za Mateuszem...

Ale te wywody przerwał Boryna wchodząc do izby.

– Tak se na ucho gadacie, aże po drugiej stronie stawu słyhać!  
– zawołał wesoło, czapkę zdjął i witał się ze wszystkimi po kolei. Musiał mieć już w głowie, bo czerwony był jak ćwik, kapotę rozpuścił i głośno a dużo gadał, czego zwyczajny nie był. Chciało mu się przysiąc do Jagusi, ale się wagał, że to tak na oczach wszystkich nijako, póki zmówiona z nim nie jest, to ino wesoło pogadywał i rad na nią patrzył, taka piękna dzisiaj była i wystrojona w chustkę od niego.

Zaraz też Witek z Kubą przynieśli długą ławę przed komin, Józia okryła ją czystym płótnem i zaczęła ustawiać miski i łyżki do jedzenia.

A Boryna wyniósł z komory pękata, dobrze półgarncową butlę okowitki i jął z nią obchodzić wszystkich po kolei i przepijać.

Dziewczyny się nieco wzdragały, aż któryś z parobków powiedział:

– Łakome na okowitkę, kiej kot na mleko, ino się prosić dają.

– Sam pijanica zatracony, ciągiem siedzi u Jankła, to myśli, że wszyscy!

I piły, odwracały się, przysłaniały twarz ręką, resztę chlustały na ziemię, krzywiły się, mówiły „mocna” i oddawały kieliszek Borynie.

Tylko Jagna uparła się i nie piła, mimo próśb i namawiań.

– Nawet i smaku gorzałki nie znam i nie ciekawam –

powiedziała.

– No, siadajcie, ludzie kochane, co jest, to zjemy! – zapraszał stary.

Obsiedli po ceregielach różnych, jak to obyczaj każe, ławę i z wolna jedli, a raz wraz pogadywali.

Z misek dymiło parą, że przysłoniła wszystkich jak chmurą, z której tylko skrzybot łyżek, mlaskanie i to słowo niektóre słyszeć było.

Jadło zwarzyli wybrane, aż się dziwił niejeden, bo i ziemniaki z rosółem były, i mięso gotowane z prażoną jęczmienną kaszą, i kapusta z grochem – rzetelnie ugościli, po gospodarsku, a do tego Boryna ciągiem zapraszał a przymuszał, a Józia ze swej strony i Hanka pilnowały, by zasię dolać i dołożyć...

Witek dorzuczał suchych karpów na ogień, że ino trzaskał wesoło, a Kuba przez ten czas, co jedli, znosił kapustę i zsypywał na kupę, a łakomie wciągał w siebie zapachy, oblizywał się i wzdychał.

– Pół wołu bym zjadł z jedną abo z dwoma miseczkami kaszy... a juchy tak żrą jak te konie wygłodzone, jeszcze gotowe człowiekowi nie zostawić ni kosteczek – myślał z markotnością i przyciągał pasa, tak mu w kiszkać burczało z głodu.

Ale rychło skończyli i podnieśli się z „Bóg zapłać” gospodarstwu.

– Niech wam pójdzie na zdrowie.

Rumor się uczynił, kto wychodził przewietrzyć się i kości przeciągnąć, kto zaś spojrzeć w niebo, czy się nie przejaśnia,

a jak parobki, to żeby na ganek pogzić się z dziewczynami.

A Kuba siadł na progu z miską na kolanach i jadł, aż mu się uszy trzęsły, nie zważając na Łapę, któren przypominał się różnie, a widząc, że nic nie wskóra, wysunął się na ganek do psów, co z ludźmi pościęgały i gryzły się o kości wyrzucone przez Józię.

Wzięli się akuratnie z powrotem do roboty, kiedy Roch stanął we drzwiach z pochwaleniem.

– Na wieki! – odrzekli chórem.

– Spiesz się, flisie, póki jest na misie... Spóźniliście się, ale jeszcze dla was będzie... – zawołał Boryna, przysuwając mu stołek do komina.

– Mleka i chleba daj mi, Józia, a wystarczy.

– Jest jeszcze i ździebko mięsa... – ozwała się nieśmiało Hanka.

– Nie, Bóg zapłać, mięsa nie jadam.

Przymilkli z początku i przypatrywali mu się z życzliwą ciekawością, ale gdy przysiadł do jadła, rozmowy i śmiechy podniosły się na nowo.

Tylko Jagna milczała, poglądała często na wędrownika ze zdumieniem, że to taki człowiek jak wszystkie, a u grobu Jezusowego był, pół świata zeszedł i cudów tyła widział... Jak to tam może być w tym świecie? – myślała. – Gdzie to iść, żeby tam zajść?... Naokół przeciech ino wsie a pola, a bory, a za nimi też wsie i pola, i lasy... Ze sto mil trza iść abo i z tyśiąc – myślała i miała dziwną ochotę się spytać, ale gdzieby to zaś

mogła, wyśmiałyby ją jeszcze...

Chłopak Rafałów, co to był z wojska powrócił, przyniósł skrzypce, nastroił i zaczął przegrywać pieśni różne.

Cichość się uczyniła, deszcz tylko zaciął w szyby i psy jazgotały przed domem. A on grał wciąż i coraz to coś nowego, przebierał ino palcami i smykiem tak ciągał po strunach, że nuta jakby sama wychodziła... pobożne pieśni grał jakby la tego wędrownika, którego oczów z niego nie spuszczał, a potem znowu inne, światowe całkiem, tę o Jasiu, jadącym na wojenkę, co ją to często dziewczyny zawodziły po polach... a tak żałośliwie wyciągał nutę z owych drewulek, aż mróz szedł po kościach wszystkich, a Jagusi, że to czujna była na muzykę jak mało kto, łyzy ciurkiem pociekły po twarzy.

– A przestań, bo Jagusia płacze!... – zawołała Nastka.

– Nie... to ino tak... ozbiera mnie zawdy granie... nie... – szeptała zawstydzona kryjąc twarz w zapasce.

Nie pomogło to nic, bo choć nie chciała, a łyzy same kapały z tej onej tęskliwości dziwnej, co jej była wstała w sercu nie wiadomo za czym...

Ale chłopak grać nie przestał, tyła że teraz rznął od ucha siarczyste mazury a obertasy takie, aż dziewczyny usiedzieć nie mogły, ino ścisnęły dygoczące z uciechy kolana a rzucały ramionami, parobki przytupywali raz wraz i podśpiewywali wesoło – izba napełniła się wrzawą a tupotem i śmiechami, aż się szyby trzęsły.

Naraz pies jął skowyczeć w sieni i tak przeraźliwie zawył, że

umilkli wszyscy.

– Co się stało?

Roch rzucił się do sieni tak prędko, że o mało się nie przewrócił o szatkownicę.

– I, nic... chłopak któryś przyciął psu ogon drzwiami i bez to tak wył! – zawołał Antek, wyjrzawszy do sieni.

– Pewnie to Witka robota – zauważył Boryna.

– Ale, Witek by ta psa krzywdził, którego zbiera po wsi wywłóki różne i lekuje... – broniła gorąco Józia.

Roch powrócił mocno wzburzony, oswobodzić musiał psa, bo skowyt było słyhać już gdzieś w opłotkach.

– I pies stworzenie boskie, i czuje krzywdę jako i człowiek... Pan Jezus miał też swojego pieska i nie dał nikomu krzywdzić... – powiedział porywczo.

– Pan Jezus by tam miał pieska, jak wszyscy ludzie?... – wątpiła Jagustynka.

– A żebyście wiedzieli, to miał i Burkiem go przezywał...

– Hale... No! Cie... – odzywały się ciekawe głosy.

Roch milczał chwilę, a potem podniósł siwą głowę, okoloną długimi, równo nad czołem uciętymi włosami, utkwiał blade, jakby wypłakane oczy w ogień i ozwał się cicho, przebierając palcami ziarna różańca...

....W owy czas daleki...

Kiej Pan Jezus jeszcze po ziemi chadzał i rządy nad narodem sam sprawował, stało się to, coć wam rzeknę...

Szedł se Pan Jezus na odpust do Mstowa, a drogi nikaj nie

było, ino piachy srogie a parzące, bo słońce przypiekało i gorąc był taki, jak kieby przed burzą...

A cienia nikaj ni osłony.

Pan Jezus szedł z cierpliwością wielką, bo do lasu był jeszcze kawał drogi, ale że już tych świętych nóżków nie czuł z utrudzenia i pić mu się okrutnie chciało, to se raz wraz przysiadł na wydmach, chocia tam i barzej przygrzewało, i rosły same ino koziebródki, a cienia było tyła, co od tych poschniętych badyli dziewann, że i ptaszek by się nie schronił...

Ale co przysiadł, to i nie odzignął nawet rzetelnie, bo zaraz Zły, jako ten jastrząb paskudny, co bije z góry w ustałego ptaszka, tak ci on zapowietrzony bił racicami w piach a tarzał się jako to bydłę, że taka kurzawa, taka ćma się podnosiła, co i świata widać nie było...

Pan Jezus, choć mu piersi zapierało i ledwie się już ruchał, to wstawał i szedł, a ino się pośmiewał z głupiego, bo przeciech wiedział, że Zły chciał mu zmylić drogę, coby nie szedł na odpust na zbawienie grzesznego narodu...

I szedł Pan Jezus... szedł... aż i przyszedł do lasu...

Odpoczął se w cieniu niezgorzej, ochłodził wodą i coś niecoś z torby przegryz, potem wyłamał niezgorszy kijaszek, przeżegnał się i wlaź w bór.

A bór był stary i gęsty, a błota nieprzebyte, a chrapy i oparzeliska takie, że musi sam Zły tam domował, a gąszcze, że i niektórymu ptakowi łącno przemknąć się nie było. Jeno Pan Jezus wszedł, a tu kiej Zły borem nie zatrzęsie, kiej nie zacznie

wyć, kiej nie pocznie łamać chojarów – a wiater, jako że to jego parob piekielny, pomagał w te pędy i rwał suszki, rwał dęby, rwał gałęzie i huczał, i hurkotał po borze, jako ten głupi.

Ciemność się stała, że chocia oko wykol – a tu szum, a tu trzask... a tu zawierucha... a tu jakieś zwierzaki, pomioty diabelskie wyskakują i szczyrzą kły... i warczą... i straszą... i świecą ślepiami, i... ino... ino chycić pazurami, ale juści, że nie śmiały, bo jakże by... Pan ci Jezus był w swojej świętej osobie...

Ale i Panu Jezusowi dość było tego głupiego strachania, i że pilno na odpust, to przeżegnał bór i zaraz wszystkie Złe i ze swoimi kumami przepadli w oparzeliskach.

Ostał się ino taki dziki pies, bo w ony czas pieski nie były jeszcze z ludźmi pobratane.

Ten ci to pies ostał i leciał za Panem Jezusem, szczekał, to docierał do świętych nówek Jego, to udarł zębami za porteczki, to kapot Mu ozdaruł i za torby chytał, i sielnie się dobierał do mięsa... ale Pan Jezus, jako że był litościwy i krzywdy nijakiemu stworzeniu zrobić by nie zrobił, a mógł go kijaszkiem przetrącić abo i zasie samym pomyśleniem zabić, to ino powie:da:

– Naści, głupi, chlebaszka, kiejś głodny – i rzucił mu z torby.

Ale pies się rozeźlił i zapamiętał, że nic, ino kły szczyrzy, warczy, ujada, a dociera i całkiem już psuje Jezusowe porteczki.

– Chlebam ci dał, nie ukrzywdził, a obleczenie mi rwiesz i szczekasz po próżnicy. Głupiś, mój piesku, boś Pana swego nie poznał. Jeszcze ty za to człowiekowi odsłużyysz i żyć bez niego nie poradzisz... – powiedział Pan Jezus mocno, aż pies siadł na

zadzie, potem zawrócił, ogon wtulił między nogi, zawył i kiej ogłupiały pognał w cały świat.

A Pan Jezus przyszedł na odpust.

Na odpusćcie narodu jak drzew w boru abo tej trawy na łąkach – aże gęsto.

Ale w kościele było pusto, bo w karczmie grali, a przed kruchtą cały jarmark i pijaństwo, i rozpusta, i obraza boska, jako i w te czasy bywa.

Wychodzi Pan Jezus po sumie i patrzy, aż tu naród kiej to zboże pod wiatrem, to w tę, to w oną stronę się kolebie i ucieka, a niektórzy z biczem bieży, kto żerdkę z płotu wyciąga, kto znów po kłonicie sięga, a inszy zasię i kamienia szuka, a baby w krzyk i na płoty się drą, to na wozy, a dzieci w bek, a wszyscy krzyczą:

– Wściekły pies, wściekły pies!

A pies środkiem ludzi, kieby z nagła rozstapioną ulicą, gna z wywieszonym ozorem i wprost na Pana Jezusa.

Nie uląkł ci się Pan nasz, nie... poznał, że to ten sam piesek z boru, to ino rozpostarł tę swoją świętą kapotę i powieda do zwierza, któren z nagła przystanął:

– Pójdź tu, Burek, przespieczniejszyś ty przy mnie niżli w borze.

Okrył go kapotą, ospostarł nad nim ręce i powiada:

– Nie zabijajcie go, ludzie, bo to też stworzenie boskie, a biedne jest, głodne, zgonione i bezpańskie.

Ale chłopci jęli krzyczeć, jęli wydziwiać a mamrotać i trzaskać kłonicami o ziemię: że to zwierz dziki i wściekły, że im

już tyła gąsków i owieczek porwał, że ciągiem szkody czyni, a i człowieka uszanować nie uszanuje, ino zaraz kłami... że nikt bez kija na pole nie wyjdzie, bo bez tego piekielnika przepieczności nijakiej nie ma... że zabić go trza koniecznie...

I chcieli przez moc psa spod Panajezusowej kapoty wziąć a zakatować.

Aż się Pan Jezus ozgniewał i krzyknął:

– Nie ruchaj, jeden drugi! To się, łajdusy i pijanice, psa boita, a Pana Boga to się nie boita, co?...

Odstąpili, bo mocno rzekł, a Pan Jezus im dalej powieada – że są łajdusy... że przyszli na odpust, a piją ino po karczmach, a Boga obrażają, a pokuty nie czynią i przeklętniki są, a katy jedne la drugich, złodzieje, bezbożniki i kara boska ich nie minie.

Skończył Pan Jezus, podniósł kijaszek i chciał odejść...

Ale już Go naród poznał i kiej nie rymnie przed Nim na kolana, kiej nie rykną płaczem i kiej nie zaczną skomleć...

– Ostań z nami, Panie! Ostań, Panie Jezu Chryste! Ostań! A to Ci wierne będziemy, kiej ten pies... pijanice my, bezbożniki my, złe my ludzie, ale ostań!... Ukarz, bij, ale ostań!... Sieroty my opuszczone, ludzie bezpańskie... – i tak płakali, tak żebrali, tak całowali Go po rękach i po tych nogach świętych, że zmiękło serce Pańskie, ostał z nimi przez parę pacierzów, nauczał, rozgrzeszał i błogosławił wszystkiemu.

A potem, kiedy już odchodził, to powieada:

– Krzywdę wam czynił pies? Odtąd wam odśługiwać będzie. I gąsków popilnuje, i owieczki oganiał będzie, i jak się jeden albo

drugi schlasz – chudoby i dobra stróżem będzie a przyjacielem.  
Ino go szanujta i krzywdy mu nie czyńcie.

I odszedł Pan Jezus we świat tyli.

A obejrzy się – Burek siedzi tam, gdzie go obronił.

– Burek, a pódzi ze mną, cóż to, sam, głupi, ostaniesz?...

I pies poszedł, i już szedł wszędy za Panem i taki cichy, taki czujny, taki wierny, kiej parobek najlepszy.

I poszli już wszędzie razem.

I bez bory szli, i bez wody – całym światem.

A że nieraz i głód był, to piesek ptaszka jakiego wytropił, to gąskę abo baranka przyniósł i tak se społecznie żyli.

A często gęsto, kiedy Jezusiczek strudzony spoczywał, to Burek odganiał złych ludzi abo i zwierza dzikiego i nie dał Pana naszego, nie...

Kiej przyszedł czas, że Żydy paskudne i one faryzeje srogie wiedły Pana na umęczenie – to Burek rzucił się na wszystkich i jał gryźć, i bronić, jak tylko umiała biedota kochana.

A Jezus mu rzekł spod drzewa, które dźwigał na mękę swoją świętą:

– Sumienie barzej ich gryźć będzie... a ty nie uredzisz...

I kiej umęczonego powiesili na krzyzie, to Burek siadł i wył...

...drugiego dnia, kiej wszystkie ludzie poodchodzili, że już ani Panienki Najświętszej, ni apostołów świętych nie było... to ostał ino Burek...

...lizał raz wraz te święte, przebite goździami, konające nóżki Panajezusowe i wył... wył... wył...

...a kiej już trzeci dzień nadszedł... przecknął Pan Jezus i patrzy, a tu nikogo w podłe krzyża... ino jeden Burek skamli żałośliwie i tuli się do jego nogów...

...to Pan nasz Jezus Chrystus Przenajświętszy pojrzał miłościwie na niego w tej godzinie i rzekł ostatnim tchem:

– Pójdź, Burek, ze mną!

I piesek w to oczymgnienie puścił ostatnią parę i poszedł za Panem...

Amen.

– Tak było, jakom rzekł, ludzie kochane! – powiedział łagodnie, skończywszy przeżegnał się i poszedł na drugą stronę, gdzie mu już Hanka spanie narządziła, że to wielce był utrudzon.

Głuche milczenie zaległo izbę. Rozważali se wszyscy tę dziwną historię, a dziewczyny niektóre, jak Jagusia, Józka i Nastka, to obcierały ukradkiem oczy, bo tak je rzewnością przejęła dola Pańska i ta Burkowa przygoda; a samo już to, że się taki pies znalazł we świecie, co lepszy był od ludzi i wierniejszy Panu, zastanowiło wszystkich niemało... i poczęli z wolna, po cichu jeszcze czynić uwagi różne i dziwować się nad tym zrządzeniem boskim, aż Jagustynka, która była pilnie słuchała, podniosła głowę, zaśmiała się urągliwie i powiada:

– Baj baju, chłop śliwy rwie, a ino ich dwie! Ja waju lepszą powiem przypowiadkę, o tym, skąd się wół wziął człowiekowi:

Pan Bóg stworzył byka.

I byk był.  
A chłop wziął kozika,  
Urznął mu u dołu  
i stworzył wołu —  
...i wół jest!

– Taka dobra moja prawda jako i Rochowa! – poczęła się śmiać.

Izba też cała gruchnęła śmiechem i wnet posypały się żarty, to gadki, to przypowiadki różne.

– Jagustyńka to wszystko wiedzą...

– Jakże, wdowa po trzech chłopach, to i nauczna.

– Juści, jeden ją uczył rano biczyskiem... drugi w południe rzemieniem, a trzeci na odwieczarz często gęsto kłonicą poganiał... – wołał Rafałów.

– Poszłabym i za czwartego, ale nie za ciebie, boś za głupi i chodzisz usmarkany kiej Żydziak.

– Jak temu psu Jezusowemu było przez Pana, tak kobieta obyć się nie obędzie przez bicia... to i Jagustyńce markotno... – rzucił któryś z parobków.

– Głupiś... bacz ino, kiej niesiesz ojcowe ćwiartki do Jankła, by cię nikt nie widział, a wdowieństwu daj spokój, to nie na twój rozum – warknęła ostro, aż przymilkli, bo bali się, że w złości wszystko głośno wypowie, co tylko wie, a mogła wiedzieć sporo. Przekorna baba była, nieustępliwa i o wszystkim mająca swoje powiedzenie, nieraz takie, że aż ludziom skóra cierpła i włosy wstawały na głowie, bo nic nie uszanowała,

nawet księdza i kościoła, że już nieraz ją dobrodziej napominał i do opamiętania przynaglał, nie pomogło, a potem ino po wsi mówiła:

– I bez księdza kaźden do Pana Boga trafi, niech jeno będzie poczciwy; gospodyni lepiej mu pilnować, bo z trzecim chodzi i znowu gdzie zgubi...

Taka była Jagustynka...

Rozchodzić się już mieli, kiedy wszedł wójt z sołtysem, obchodzili chałupy, żeby jutro podług rozkładu wychodzili na szarwark<sup>65</sup>, na drogę za młyn, rozmytą przez deszcze...

Ale wójt przódzi, skoro jeno wszedł, rozłożył ręce i wykrzyknął:

– Same najpierwsze dziewczyny jucha stary se zwołał!

Jakoż prawdę rzekł, bo były same gospodarskie córki, rodowe – i z wianem.

Boryna gospodarz był przecież pierwszy na całą wieś, to jakże, dziewczki służebne, komornice albo biedotę taką, co to w dziesięcioro wisi u krowiego ogona – zwoływałyby do siebie i zapraszał!

Wójt pogadał ze starym na osobności, ale tak cicho, że nikt nie usłyszał, pośmiał się z dziewczynami i poszedł rychło, bo jeszcze całe pół wsi zwoływać miał na jutro. Wkrótce też i zaczęli się rozchodzić wszyscy, że to późno było, a i kapusty prawie już

---

<sup>65</sup> *szarwark* – przymusowe świadczenia w robociznie wykonywane przez ludność wiejską, rodzaj pańszczyzny; szarwarki służyły celom publicznym, w ramach tych prac budowano i naprawiano drogi, mosty czy wały wzdłuż brzegów zbiorników wodnych. [przypis edytorski]

zbrakło do obierania.

Boryna dziękował wszystkim a każdemu z osobna, i co starszym kobietom otwierał drzwi i wyprowadzał...

Jagustynka na odchodnym rzekła w głos:

– Bóg zapłać za ugoszczenie, ale dobrze całkiem nie było.

– Hale! No...

– Gospodyni brak wam, Macieju, a bez to nijakiego porządku nie może być...

– Co robić, moiściewy?... Co robić?... Zrządzenie już takie boskie, że pomarła...

– Mało to dziewczyn! A dyć w kaźden czwartek ino wypatrują po wsi, czy swaty od was nie idą do której... – mówiła chytrze ciągnąc go za język, ale Boryna, choć i miał już odpowiedź, podrapał się tylko po głowie i uśmiechał, a szukał bezwiednie oczami Jagusi, która zabierała się do wyjścia...

Na to i czekał Antek, przyodział się nieznacznie i wyszedł naprzód.

Jaguś sama szła do domu, bo inne mieszkały w drugiej stronie, ku młynowi.

– Jaguś! – szepnął wychylając się z ciemności spod płota jakiegoś.

Przystanąła, poznała głos jego i poczęła ździebko dygotać.

– Odprowadzę cię, Jaguś! – obejrzał się – noc była ciemna, bez gwiazd, wiatr huczał górą i miotał drzewami.

Objął ją w pół mocno i tak przytuleni do siebie zginęli w ciemnościach.

## VIII

Nazajutrz gruchnęła po Lipcach wieść o Borynowych z Jagną zmówinach.

Wójt był dziewosłębem – więc wójtowa, że mąż srogo przykazywał pary z gęby nie puszczać przódzi, nim powróci, dopiero na odwieczerzu pobiegła do sąsiadki, rzekomo soli pożyczyć, i już na odchodnym nie wytrzymała, ino wzięła kumę na bok i szepnęła:

– Wiecie to, Boryna posłał z wódką do Jagny! Ino nie mówcie, bo mój tak przykazywał.

– Nie może być! Gdziebym ta z ozorem po wsi latała! Pleciuch to jestem czy co?... Taki dziad i za trzecią kobietę się bierze! Co to dzieci na to powiedzą! O świecie, świecie! – jęknęła ze zgrozą.

A skoro wójtowa wyszła, przyodziła się w zapaskę i chyłkiem przez sad wpadła do Kłębów, co w podle siedzieli, pożyczyć szcrotki paczesnej, że jej była się gdziesik zapodziła.

– Słyszeliście? Boryna żeni się z Jagną Dominikówną! Dopiero co szły do niej z wódką.

– Nie! – cudeńka prawicie! Jakże by to, dzieci dorosłe i sam już w latach!

– Juści, że niemłody, ale mu nie odmówią... nie, gospodarz taki, bogacz!

– Albo i ta Jagna! Widzieliście, moi ludzie! To się łachała z tym i owym... a teraz gospodynią pierwszą będzie! Jest to na

świecie sprawiedliwość? Co?... A tyła dzieuch siedzi... choćby i te siostrzyne...

– A moje po bracie! A Koprzywianki! A Nastusia! A drugie! To nie gospodarskie? Nie śwarne? Nie poczciwe? Co?...

– Będzie się ona dopiero nadymała! I tak kiej ten paw chodzi a głowy zadziera.

– Bez obrazy boskiej się też obyć nie obędzie – kował ni drugie dzieci nie darują swojego macosze, nie!

– Hale, poredzą to co? Gront starego, to i woła jego.

– Juści, że po prawie jego, ale po sprawiedliwości i dzieciński też.

– Moiściewy, sprawiedliwość ma zawsze ten, kogo stać na nią...

Nawyrzekały, nażaliły się na świat i jego sprawy i rozeszły się, a z nimi rozlała się ta wieść po wsi całej.

Że roboty było niewiela i niepilne, a ludzie siedzieli po chałupach, bo drogi były do cna rozmiękły, to pogwarzano o tych zmówinach po chałupach wszystkich. Wieś całą ogarnęła ciekawość, na czym się to skończy; spodziewali się z góry, że nastąpią bitki a procesowanie, a historie różne. Jakże, znali Borynową gwałtowność, że jak się zaweźmie, to i dobrodziejowi nie ustąpi, a i Antkową hardość też znali.

Nawet ludzie spędzeni do szarwarku, na rozerwaną groblę<sup>66</sup> za młynem, poprzystawali i jęli o tym zdarzeniu poredzać.

---

<sup>66</sup> *grobla* – wał ziemny utrzymujący wodę w sztucznych zbiornikach wodnych, takich jak stawy i kanały; grzbietem grobli często wiodły drogi. [przypis edytorski]

Przerzekł coś niecoś jeden, przerzekł i drugi, aż w końcu stary Kłęb, że to mądry chłop był i poważany, powiedział surowo:

– Z tego padnie złe na wieś całą, baczcie ino.

– Antek nie ustąpi, jakże? Nowa gęba do miski – rzekł któryś.

– Głupiś, u Boryny starczyłoby i la pięciu – o działę pójdzie.

– Bez zapisu się tam nie obejdzie.

– Dominikowa nie głupia, już ona wszystkich wyrychtuje.

– Matką jest, to jej psie prawo o dziecko stoic – rzucił Kłęb.

– W kościele przesiaduje, a chytra na grosz kiej ten Żyd.

– Nie powiedaj leda co na ludzi, żeby ci ozór nie odjęło.

I tak całe popołudnie zajmowała się wieś zmówinami, co i nie dziw, bo Borynowie byli rodowi, starzy gospodarze, a Maciej, chociaż urzędu nijakiego nie sprawował, a gromadzie przewodził. Jakże, na odwiecznych kmiących rolach siedział, z dziada pradziada we wsi był, rozum miał, bogactwo miał – że chcąc nie chcąc, a słuchali i uważali go wszyscy.

Jeno nikt z dzieci, ni kowal nawet, o zmówinach nie wiedział, bali się do nich z nowiną bieżyć, bych w pierwszej złości czego nie oberwać.

Więc też w chałupie Borynow cicho było jeszcze, ciszej dzisiaj niżli zazwyczaj – deszcz był przestał padać i od rana przecierało się na niebie, to zaraz po śniadaniu Antek z Kubą i z kobietami pojechali do lasu zbierać susz na opał i próbować, czyby się nie dało kolek ugrabić.

Stary pozostał w domu.

A już od samego rana był dziwnie przykry, dziwnie zeżłony,

że ino szukał okazji, na kogo by wyrzucić niepokój i złość, jakie go roztrzęsały; Witka sprzął, bo pod krowy słomy nie przyrzucił i leżały do pół boków w gnoju, z Antkiem się pokłócił; Hanke wykrzyczał za chłopaka, którego wybałykował przed dom i utyłł się w błocie; nawet na Józkę powstał, że się długo guzdrała... a konie czekały na nią.

A gdy wreszcie pozostał sam, z Jagustynką ino, która była ostała z wczoraj, żeby doglądnąć inwentarza, to już całkiem nie wiedział, co robić ze sobą. Przypominał sobie ciągiem, co mu Jambroż powiedział o przyjęciu przez Dominikową, co rzekła Jagna, a mimo to dufności w siebie nie miał i dziadowi wierzyć nie bardzo wierzył, że to mógł za ten kieliszek ocyganić ino. To łąził po izbie, oknem na pustą drogę wyglądał abo zgoła i z ganku na Jagusinę chałupę niespokojnie spojierał – a zmierzchu wyczekiwał kiej zmiłowania...

Sto razy chciało mu się bieżyc do wójta i pognać, by poszli prędzej – ale ostał w domu, bo go powstrzymywały oczy Jagustynki, co za nim chodziły ciągiem; oczy zmrużone, a świecące urągliwością i naśmiejchliwe...

– Czarownica jucha, wierci ślepiami kiej świderkiem! – myślał.

A Jagustynka łąziła po chałupie i obejściu z prząślicą pod pachą i naglądała – przedła, aż wrzecziono turkotało w powietrzu, nawijała nic i szła dalej, do gęsi, do świń, do obory, a Łapa włączył się za nią senny i ocieżyłały – nie odzywała się do starego, choć dobrze wiedziała, co go tak rozbiera i markoci, co nim tak

rzuca, że aż wziął się do zabijania kołów pod ścianą do ogacenia.

Przystawała ino przy nim raz wraz, aż w końcu rzekła:

– Nie idzie wama dzisiaj robota.

– A nie idzie, psiachmać, nie idzie.

– Sodoma tutaj będzie, mój Jezu! Sodoma! – myślała odchodząc. – Dobrze stary robi, że się żeni, dobrze! A to by mu dały taki wycug dzieci jak mnie! Całe dziesięć morgów pola jak złoto dałam, i co?... – splunęła ze złością. – Na wyrobki chodzę, na komornicę zesłam!...

A stary, że to już wydzierżeć nie mógł, gruchnął siekierę o ziemię i krzyknął:

– Na psa taka robota!

– Gryzie was coś na wnątrzu.

– A gryzie, gryzie...

Jagustynka przysiadła na przyzbie, wyciągnęła długą nić, zwinęła na wrzeciono i cicho, trochę z obawą rzekła:

– Przeciech nie macie się z czego markocić ni turbować.

– Wiecie to?

– Nie bójcie się, Dominikowa mądra, a Jagna też pomyślenie ma.

– Rzekliście! – zawołał radośnie i przysiadł w podle.

– Jakże, mam oczy.

Milczeli długo przetrzymując się wzajemnie.

– Na wesele mnie zaprosicie, to wam takiego „Chmiela” zaśpiewam, że rychtyk w dziewięć miesięcy chrzciny wyprawicie... – zaczęła ironicznie, ale widząc, że stary się

schmurzył, dorzuciła innym tonem:

– Dobrze robicie, Macieju, dobrze. Jak mój pomeł, żebym była sobie poszukała chłopca, to nie komornicą bym dzisiaj była, nie... Głupia byłam, zawierzyłam dzieciom, na wycug poszłam, gront odpisałam, i co?...

– Ja ta nie odpiszę ni zagona! – rzekł twardo.

– Macie wy rozum, że tak mówicie, macie! Po sądach się włóczyłam, to ino te parę złotych, com miała – poszły, a sprawiedliwości nie kupiłam... i na starość na poniewierkę, na wyrobek! Żebyśta, ścierwy, pode płotem wyzdychały za moje ukrzywdzenie! Poszłam do nich w niedzielę, żeby chocia popatrzeć na chałupę, na ten sad, com go ano sama szczepiła, to synowa wywarła na mnie pysk, że na prześpiegi przychodzę! Mój ty Jezu kochany! Ja na prześpiegi, na swój rodzony gront przychodzę! Myślałam, że trupem padnę, tak mnie żałość ścisnęła! Poszłam do dobrodzieja, żeby ich chociaż za to skarcił z ambony, to mi rzekł, że za te krzywdy Pan Jezus mnie wynagrodzi!... Juści, juści... jak kto nic nie ma, dobra mu i Jezusowa łaska, dobra... ale zawdy wolałabym ja pogospodarzyć tu na groncie, w ciepłej izbie pod pierzyną się przespać, tłusto se podjeść i uciechy zażyć...

I jęła z taką gorącością wygadywać na wszystko, że Boryna powstał i poszedł na wieś do wójta, jako że i mroczyć zaczynało.

– Rychło idzieta, co?

– W te minuty, zarno Szymon przyjdą.

Jakoż i przyszedł, i poszli już razem do karczmy, aby się

napić jaki kieliszek i wziąć araku na poczęstunek. Jambroży już tam był i wnet przystał do nich, ale niedługo pili, bo Maciej ich popędzał.

– Poczekam na was tutaj; odpijają, to zabierzcie kobiety i przychodźcie duchem – zawołał za nimi.

Szli mocno środkiem drogi, aż błoto się otwierało; mrok gęstniał i pokrywał świat szarym, smutnym przedziwem, w którym wieś cała zapadała, tylko gdzieniegdzie poczęły z mroków wybłyskiwać światła chat i psy naszczekiwały w opłotkach, jak zwyczajnie przed kolacją.

– Kumotrze? – ozwał się po chwili wójt.

– He?

– Widzi mi się, że Boryna wyprawi sielne weselisko.

– Wyprawi abo i nie wyprawi! – odrzekł zgryźliwie, że to mruk był.

– Wyprawi! Wójt wama to mówi, to wierzcie. Ja już w tym. Wyrychtujemy taką z nich parę, że jaż ha!

– Ino klacz poniesie, bo ogier, widzi mi się, ma konopie w ogonie!

– Nie nasza to rzecz.

– Hale... dzieci nas wyklinać będą...

– Będzie galanto, ja, wójt, to wama mówię.

Weszli zaraz do chałupy Dominikowej.

W izbie było widno, zamieciono, czysto – spodziewali się ich przecie.

Dziewosłęby pochwalili Boga, przywitali się kolejno ze

wszystkimi, bo i chłopaki siedzieli w izbie, usiedli na przysuniętych do komina stołkach i jeśli pogadywać to o tym, to o owym.

– A to ziąb, jakby już na mróz szło – zaczął wójt ogrzewając ręce.

– Przeciech nie na zwiesnę idzie, to i nie dziwota!

– Zwieźliście już kapustę, co?

– I... ostało tam na kapuśniku ździebko, ale teraz nie dojedzie – odpowiadała stara spokojnie i chodziła oczami za Jagną, która pod oknem motała na motowidło przędzę w parniki, a była dzisiaj tak urodna, że wójt, chłop młody jeszcze, spoglądał na nią łakomymi oczami – ale w końcu zaczął:

– Że to plucha, błocko i ćma, tośwa z Szymonem wstąpili do was po drodze; przyjęliście nas godnie, ugościli dobrym słowem, to cheba co stargujemy u was, matko...

– I we świecie coś niecoś stargować można, ino poszukać trza...

– Prawdęście rzekli, matko, jeno nic nam po szukaniu, bo u was widzi się nam najlepiej.

– Targujcie – zawołała wesoło.

– Jałowicę byśmy na ten przykład zatargowali.

– Ho, ho! Drogo stoi; nie na byle jakim postronku ją powiedzie!

– Ze srebla poświęcanego mamy powrózek, a z takiego to choćby i smok, a nie zerwie się... No, wiela, matko? – i jął wyciągać butelkę z kieszeni...

– Wielą? Niełacno to rzec! Młódka, a na dziewiętnastą zwiesnę jej idzie, dobra i robotna, że mogłaby jeszcze roków parę postać u matki...

– Płone to stanie – bo bez przychówku, płone...

– La drugiej to i przy matce o to nietrudno! – szepnęła Szymon.

Wójt się roześmiał głośno, a stara błysnęła ino oczami i rzekła prędko:

– Szukajcie drugiej, moja może poczekać.

– Juści, że może, ale my nie znajdziemy urodniejszej i u lepszej maci!

– Rzekliście!...

– Ja, wójt, to wama mówię, to wiercie... – Wyciągnął kieliszek, wytarł go połą kapoty, nalał w niego araku i rzekł poważnie: – Słuchajcie, Dominikowa, pilnie, co wama powiem; urzędnik jestem i moje słowo to nie ten ptaszek, co se pisknie, fiuknie i tylaś go już widział! Szymon, też wiadomo, kto jest – nie obieżyświat żaden, ino gospodarz, ociec dzieciom i sołtys! ... Miarkujcie se ino, jakie figury do was przysły i z czym, miarkujcie!

– Dyć wiem, Pietrze, i uważam.

– Mądraście kobieta, to i to wiecie, że prędzej czy później, a Jaguś z domu iść musi na swoje, tak już Pan Jezus postanowił, że ojce dzieci chowają la świata, nie la siebie.

– Oj prawda, prawda, ty matko

Cackaj, chesz, strzeż

I jeszcze dopłać komu —  
Żeby wziął z domu...

– Tak już na świecie jest, to i nie zmieni. Chyba kapkę  
przepijemy, matko?

– A bo ja wiem?... Niewolić jej nie będę, cóż, Jaguś,  
odpijesz?...

– I... ja ta wiem... – pisknęła odwracając do okna  
zaczerwienioną twarz.

– Posłuszna! Pokorne ciele dwie matki ssie... – dorzucił  
Szymon poważnie.

– W wasze ręce, matko!

– Pijcie z Bogiem, aleście jeszcze nie rzekli, kto taki?  
– powiedziała, że to nieobyczajnie wiedzieć naprzód, nie od  
dziewosłębów.

– Kto? A sam ci Boryna! – wykrzyknął przechylając kieliszek.

– Stary! Wdowiec! – wykrzyknęła niby z zawodem.

– Stary! Nie obrażajcie Pana Boga! Stary, a sąd miał jeszcze  
niedawno o dziecko!

– Prawda, ino że to nie jego było.

– Jakże, gospodarz taki i zadawałby się z pierwszą lepszą!  
Pijcie, matko...

– Wypić bym wypila, ino że to wdowiec, a staremu prędzej  
z brzegu do Abramka na piwo, to potem co?... Dzieci macochę  
wyżeną i...

– Mówili Maciej, coby bez zapisu nie było... – mruknął

Szymon.

– Przed ślubem chyba!

Dziewostęby zmilkli, dopiero po chwili wójt nalał nowy kieliszek i zwrócił się z nim do Jagny.

– Napij się, Jaguś, napij! Chłopa ci raimy kiej dąb, panią se będziesz i gospodynią na wieś całą, no, w twoje ręce, Jaguś, nie wstyduj się...

Wahała się, czerwieniła, odwracała do ściany, ale w końcu, przysłoniwszy twarz zapaską, upiła ździebko i wylała resztę na podłogę...

Wtedy kieliszek obszedł wszystkich po kolei. Stara podała chleb, sól, a w końcu i wędzonej, suchej kiełbasy na przegryzkę.

Przepili parę razy z rzędu, aż oczy pojaśniały wszystkim i języki się rozwiązały. Jagna ino uciekła do komory, bo nie wiada czemu chycił ją płacz, że aż przez ścianę słyszeć było chlipanie.

Stara chciała do niej bieżyć, ale ją wójt zatrzymał.

– I cieie beczy, kiej je od maci odsądząją... zwykła to rzecz. Nie we świat idzie, nie na drugą wieś, to się z nią jeszcze cieszyć będziecie... Nie będzie jej nijaka krzywda, to ja, wójt, wama mówię – wiercie...

– Juści... inom se myślała zawdy, wnuczków się doczekam na pociechę...

– Nie turbujcie się, jeszcze się żniwa nie zaczną, a już pierwszy będzie...

– Pan Jezus to tylko wie przódzi, nie my, grzeszni! Zapiliśmy,

prawda... a mnie tak jakoś żałośliwie na sercu kiej na pochówku...

– I nie dziwota, jedynaczka z domu, to waju się już za nią cni... Jeszcze ździebko, na frasunek! Wiecie, pójdziem wszystkie do karczmy, bo mi już ano wódki zbrakło, a i tam pan młody kiej na wąglikach wyczekuje.

– W karczmie to zrękowiny będziemy odprawiać?

– Po staremu, jak ojce nasi robili, ja, wójt, wama to rzekłem – wiercie.

Kobiety się ździebko przyodziały święteczniej i wnet wychodzili.

– A chłopaki to ostaną? Siostrzyne zmówiny, to i la nich uciecha – zauważył wójt, że to parobki żałosne miny mieli i poglądali na mać niespokojnie.

– Trudno dom na boskiej Opatrzności ostawić.

– Przyzwijcie ano Agatę od Kłębów, to przypilnuje.

– Agata już na żebry poszła. Zawoła się kogo po drodze. Chodźta, Jędrzych, i ty, Szymek, a kapoty weźta; cóż to jak te dziadaki iść chceta?... A niech się ino któren spije... to popamięta. Krowy jeszcze nie obrządzone, świni trza kartofli utłuc – baczcie o tym.

– Baczym, matulu, baczym! – szeptali trwoźnie, choć chłopcy były pod powałę i rozrosłe jako te grusze na miedzach, ale słuchali się matki kiej wyrostki, bo ich żelazną ręką za łby trzymała, a jak było potrza, to choćby i po stołku, a do kudłów sięgła i po pyskach sprąła, a posłuch musiał być i uważanie.

Poszli do karczmy.

Noc już była ciemna, że choć oko wykol, zwyczajnie w pluchy jesienne. Wiatr szedł górą i bił w czuby drzew, że ino się kolebały i aż kładły na płoty z szumem; staw huczał i tak się ciepął, że bryzgi rozbite w pianę padały na środek drogi i nierzadko chlustały na twarze idących.

W karczmie też widno nie było, a wiater przez wygniecioną szybkę zawiewał, aż ta lampka na sznurku za szynkwasem kolebała się kiej kwiat złoty.

Boryna się do nich rzucił witać, a całować, a obłapiać z gorącością, że to zmiarkował, iż Jaguś jakby już jego.

– A Pan Jezus rzekł: weź se, robaku, niewiastę, żeby ci się, chudziaku, nie cniło samemu. Amen! – bełkotał Jambroży, ale że więcej godziny popijał, to juści, że w języku ni w nogach mocny już nie był.

Zaraz też na szynkwasio Żyd postawił arak i słodką, i asencję, a do tego śledzie, placek z szafranem i jakieś wymyślne kukielki z makiem.

– Jedzta, pijta, ludzie kochane, braty rodzone, krześcijany wierne! – zapraszał Jambroży. – Miałem i ja kobietę, ino już całkiem nie pomnę gdzie?... widzi mi się, że we Francji... nie, w Italii to było, nie... alem teraz ostał sierotą... Powiedam wam, że co starszy krzyknął: Szlusuj!

– Pijcie no, ludzie! Pietrze, zaczynajcie – przerwał mu Boryna, przyniósł za całą złotówkę karmelków i wtykał je Jagusi w garście. – Naści, Jaguś, słodziusieńkie są, naści.

– Hale... szkodujecie się... – Wzdragała się.

– Nie bój się... stać mnie na to, obaczysz sama... naści... a już by la ciebie i ptasiego mleka nalazł... już ci ta u mnie krzywdy nijakiej nie będzie... – i zaczął ją wpół brać a niewolić do picia i jadła. Jagna spokojnie wszystko przyjmowała, zimno i obojętnie, jakby to nie jej zmówiny były dzisiaj. Jeno tylko jedno pomyślała, czy stary te korale, o których na jarmarku wspominał, da przed ślubem.

Gęsto pić poczęli, jeden po drugim i na przekładankę arak ze słodką, i wszyscy wraz mówić zaczęli, nawet Dominikowa podpiała se niezgorzej i nuż wywodzić różności, nuż prawić, aż się wójt dziwował, że taka mądra kobieta jest.

Synowie się też popili, bo Jambroży, to wójt przepijali do nich gęsto i zachęcali.

– Pijta, chłopaki, zmówiny to Jagny, pijta...

– Baczym to, baczym – razem odpowiadali i chcieli Jambroża w rękę całować, aż w końcu Dominikowa odciągnęła Borynę pod okno i zaraz do niego, prosto z mostu:

– Wasza Jagusia, Macieju, wasza.

– Bóg wam zapłać, matko, za córkę. – Ułapił ją za szyję i całował.

– Obiecaliście zapis zrobić, co?

– Zapis! A co po zapisie, co moje, to i jej...

– Hale, żeby to śmiałe oko miała przed pasierbami, żeby nie wyklinali!

– Wara im do mojego! Wszystko moje – to i Jagusine

wszystko.

– Bóg wam zapłać, ale miarkujcie ino, że to starsi ździebko jesteście, a przecież i tak kuźden śmiertelny, bo to

Śmierć nie wybiera,  
Dziś człowiek – jutro jagnię  
Równo jej popadnie...

– Jeszczem krzepki, ze dwadzieścia roków strzymam – nie bójcie się!

– I nieboja wilcy zjedli.

– Takim rad, że mówcie, czego chcecie. Chcecie, bym zapisał te trzy morgi koło Łukaszowych?

– Dobra i psu mucha, kiej głodny – my ta niegłodne. Na Jagusię po ojcu wypadnie pięć i z morga lasu... zapiszcie i wysześć. Te sześć morgów przy drodze, gdzieście to latoś mieli kartofle.

– Najlepsze pole moje!

– Niby Jagusia to wybierek, a nie najlepsza we wsi!

– Przeciech że tak, bez to i swatów posłałem, ale bójcie się Boga, sześć morgów to karwas pola, całe gospodarstwo. Co by dzieci powiedziały! – Jął się drapać po głowie, bo go żałość ułapiła za serce; jakże, tyle pola dać, najlepszej ziemi!

– Moiściewy, mądrzyście i wy, że szukać, miarkujecie sami, że zapis to ino przespieczność la dziewczyny. Przeciech tego grontu, póki żyjecie, nikt wama nie odmierzy i nie weźmie – a co jest Jagusine, co jej się po sprawiedliwości należy po ojcu,

to zaraz na zwieszę omętrę<sup>67</sup> się sprowadzi i już wasze, możecie se obsiewać... Miarkujecie, że to nie krzywda wasza, i te sześć morgów zapiszecie.

– Juści, la Jagusi zapiszę...

– Kiedy?

– A choćby i jutro! Nie, w sobotę na zapowiedzi damy i zaraz pojedziemy do miasta. Co tam, raz kozie śmierć!

– Jaguś, chodź ino, córuchno, chodź! – zawołała na dziewczynę, której wójt tak coś prawił a przypierał do szynkwasu, że śmiała się w głos.

– A to ci, Jaguś, Maciej zapisują te sześć morgów przy drodze – powiedziała.

– Bóg wam zapłać – szepnęła wyciągając doń rękę.

– Napijcie się do Jagny tej słodziuśkiej...

Napili się, Maciej ujął ją wpół i wiódł do gromady, ale mu się wymknęła i podeszła do braci, z którymi rajcował a popijał Jambroży.

W karczmie gwar się podnosił coraz większy i ludzi przybywało, bo jaki taki, zasłyszawszy głosy, wstępował zajrzeć, a któren znów, by się przy tej okazji napić za darmo; nawet dziad ślepy, wodzony przez psa, znalazł się i siedział na widnym miejscu, nasłuchiwał i raz wraz pacierz mówił w głos, aż posłyszeli i sama Dominikowa dała mu wódki, przegryźć i parę dwojaków w garść.

Tęgo sobie podpili, że już wszyscy razem gadali, a brali się

---

<sup>67</sup> omętrę – geometrę. [przypis edytorski]

w bary, a obłapiali, a całowali i kuźden drugiemu był bratem i przyjacielem, zwyczajnie, jak przy gęstym kieliszku.

Ino Żyd uwijał się cicho i stawiał coraz nowe kwarty i butelki z piwem, a zapisywał kredą na drzwiach, co kto stawiał.

A Boryna był jakby oczadziały z uciechy, pił, częstował, zapraszał, gadał, jak mało kto go kiedy słyszał, i ciągiem do Jagusi ciągnął i słodkości jej prawił, po gębusi głąskał, że to nieobyczajnie było tak przy wszystkich ułapić ją za szyję i całować, choć go i ciagotki sielne brały, że zdzierzyć nie mógł, to ino wpół ją chwycił a w ciemny kąć ciągnął.

Dominikowa wrychle się opatrzyła, że czas już do domu iść, i jeła synków wołać, żeby się zbierali.

Ale Szymek już był spity, to ino na matczyne gadanie pasa poprawił, pięścią grzmotnął w stół i krzyknął:

– Gospodarz jestem, psiachmać!... Komu wola, niech idzie... Chcę pić, to pił będę... Żydzie, gorzałki!

– Cichoj, Szymek, cichoj, bo cię spierą! – jęczał łzawo Jędrzych, też już mocno pijany, i odciągał za kapotę brata.

– Do domu, chłopaki, do domu! – syknęła Dominikowa groźnie.

– Gospodarz jestem! Chcę ostać, to ostanę i gorzałkę pił będę... dosyć już matczynego panowania... a nie... wygonię... psiachmać...

Ale stara grzmotnęła go ino w piersi, aż się potoczył i opamiętał wnet, a Jędrzych nadział mu czapkę i wyprowadził na drogę, ale Szymka widać rozebrało powietrze, bo ino uszedł parę

kroków, zatoczył się, chwycił płotka i jął krzyczeć i mamrotać:  
– Gospodarz jestem, psiachmać... gront mój... moja wola robić... gorzałkę pił będę... Żydzie, araku!... a nie... wygonię...

– Szymek! Loboga, Szymek, chodzi do domu, matula idą! – jęczał Jędrzych i płakał rzewnymi łzami.

Wkrótce nadeszła stara z Jagną i zabrała synów spod płota, bo się tam już byli ździebko za łby brali i tarzali po błocie.

A w karczmie po wyjściu kobiet przycichło nieco, ludzie się porozchodzili z wolna, że ostał ino Boryna ze swatami, Jambroży i dziad zarówno ze wszystkimi już pijący.

Jambroży był nieprzytomny, stał na środku, podśpiewywał, to opowiadał w głos:

– Czarny był... jak ten sagan był czarny... – zmierzył do mnie... ale trafisz mę gdzieś... wrażliem mu bagnet w kałdun... zakręciłem, że ino chrupnęło... pierwszy!... Stoimy... stoimy... a tu naczelnik wali... Jezu Chryste! Sam naczelnik!... Chłopaki... powiada... Narodzie... powiada... Szlusuj... szlusuj... – krzyknął ogromnym głosem, wyprostował się jak struna i cofał się wolno, aż mu drewniana noga stukała. – Pijcie do mnie, Pietrze, pijcie... sierotam jest... – bełkotał niewyraźnie spod ściany, ale się nie doczekał, bo naraz się porwał i wyszedł z karczmy, tylko z drogi dolatywał jego głos chrapliwy, śpiewający...

A do karczmy wszedł młynarz, ogromny chłop, ubrany z miejska, z czerwoną twarzą, siwy i z małymi, bystrymi

oczkami.

– Pijecie se, gospodarze! Ho, ho i wójt, i sołtys, i Boryna!

Wesele czy co!

– Nie co insze. Napijcie się z nami, panie młynarzu, napijcie

– proponował Boryna.

Przepili znów kolejką.

– Kiejście tacy, powiem wam nowinę, że wytrzeźwiejeta!

Wytrzeszczyli na niego nieprzytomne oczy.

– A to nie ma godziny, jak dziedzic sprzedał porębę na Wilczych Dolach!

– A hycel, psie krótki! Sprzedał, naszą porębę sprzedał! – krzyknął Boryna i w zapamiętałości grzmotnął butelką o ziemię.

– Sprzedał! Prawo jest i na dziedzica, i na kuźdego, prawo jest... – bełkotał pijany Szymon.

– Nieprawda! Ja, wójt, to wama mówię, że nieprawda, to wierzcie!

– Sprzedał, ino że wziąć nie damy, jak Bóg na niebie, nie damy! – wołał Boryna i bił pięścią w stół...

Młynarz poszedł, a oni jeszcze długo w noc radzili i odgrażali się dworowi.

## IX

Zbiegło dni parę od zmówin Jagusinych.

Deszcze ustały, drogi ociekły i stężały nieco, wody spływały, że ino po bruzdach, a gdzieniegdzie i po nizinach a łęgach siwiała się mętne kałuże kiej te oczy zapłakane...

Nadszedł Dzień Zaduszny, szary, bezsłoneczny i martwy, że nawet wiatr nie przegarniał zeszlými badyłami ni chwiał drzewami, co stały ciężko pochylone nad ziemią...

Bolesna, głucha cisza przygnietła świat.

A w Lipcach już od rana dzwony były wolno a bezustannie – i żałosne, rozbolełe dźwięki pojękiwały po omglonych, pustych polach; ponurym głosem żałoby wołały w ten dzień smętny, w ten dzień, co wstał blady, spowity w mgły aż do tych dal zapadłych, aż do tych bezkresów ziemi i nieba, siny, do niezgłębionej topieli podobny.

Od zórz wschodnich, co się jeszcze żarzyły blado, kieby ta miedź stygnąca, spod sinych chmur zaczęły płynąć stada wron i kawek...

Szły wysoko, wysoko, że ledwie okiem rozeznał i ledwie uchem pochwycił tę dziką, żalosną wrzawę krakań, podobną do jęków nocy jesiennych...

A dzwony były wciąż.

Ponury hymn rozlewał się ciężko w martwym, ogłuchłym powietrzu, opadał na pola jękami, huczał po wsiach i lasach

żałością, płynął światem całym, że ludzie i pola, i wsie zdały się już być jednym wielkim sercem, bijącym skargą żalną...

Ptactwo płynęło wciąż, aż dziw i lęk ogarniał, bo szły coraz niżej i coraz większymi stadami, że niebo pokryło się jakby sadzą rozwianą, a głuchy szum skrzydeł i krakań wzrastał się, potężniał i huczał niby burza nadciągająca... Zataczały kręgi nad wsią i jak kupa liści porwana przez wichurę kołowały nad polami, opadały na lasy, wieszaly się na nagich topolach, obsiadły lipy przy kościele, drzewa na cmentarzu, sady, kalenice chałup, płoty nawet... aż zestraszony bezustannym biciem dzwonów zerwały się i czarną chmurą leciały ku borom... a ostry, przenikliwy szum płynął za nimi.

– Ciężka zima będzie! – mówili ludzie.

– Do lasów ciągną, ani chybi, śniegi wnet spadną.

I wychodzili przed chałupy coraz liczniej, bo nigdy jeszcze nie widziano tyle ptactwa razem – patrzano długo, ze smutkiem dziwnym, aż zniknęły w borach. Patrzano, wzdychano ciężko, jaki taki znak krzyża położył na czole w obronie przed złem, i jęli się przyodziewać do kościoła i wychodzić, bo dzwony wciąż jęczały głucho, a z drugich wsi już szli ludzie drogami, mającymi wskroś mgieł po ścieżkach i drózkach.

Smutek przejmujący padł na wszystkie dusze; jakaś dziwnie bolesna cichość omotała serca – cichość rozpamiętywania żalów i wspominek o tych, co już byli odeszli tam, pod te brzozy zwieszane, pod te czarne, pochylone krzyże...

– Mój ty Jezu kochany! Mój Jezu! – wzdychali i podnosili

szare, jak ta ziemia, twarze i topili oczy beztrwożne w tajemnicy, i szli spokojnie składać ofiary i pacierze za zmarłych.

Wieś była jakby zatopiona w ciężkiej, żałośliwej ciszy – jeno jęklliwe, proszalne śpiewania dziadów spod kościoła dochodziły czasami.

I u Borynów ciszej było niżli zazwyczaj, chociaż tam, we środku, siedziało piekło przytajone, gotowe za lada czym wybuchnąć...

Jakże, dzieci wiedziały już o wszystkim.

A wczoraj, w niedzielę, wyszły pierwsze zapowiedzi starego z Jagusią...

W sobotę to jeździli do miasta, gdzie u rejenta zapisał Boryna sześć morgów Jagusi... Wrócił późno i z twarzą podrapaną, bo że był zdziebko napity, to już na wozie chciał był Jagnę brać, ale tyła wziął, co pięścią a pazurami mu dały.

A w domu z nikim nie mówił, choć i Antek ciągiem nasuwał mu się na oczy, ino zaraz legł spać, jak stał, w butach i kozuchu... aż rano Józia zaczęła mamrotać na niego, że pierzynę błotem pomazał.

– Cichoj, Józia, cichoj! Zdarzy się to i niektóremu, co nigdy gorzałki nie pije... – powiedział wesoło i zaraz od rana poszedł do Jagny i już tam do późna przesiedział, że próżno z obiadem i wieczszą nań czekali.

I dzisiaj wstał późno, już dobrze po wschodzie, w najlepszą kapotę się przyodział, buty świąteczne kazał se Witkowi sadłem wysmarować i nowe wiechetki ze słomy przyciąć – Kuba go

wygolił, a on się pasem okręcił, kapelusz nadział i niecierpliwie wyglądał przez okno na ganek, bo tam Hanka iskała chłopaka, a nie chciał się z nią widzieć, aż i dopatrzył, że weszła na chwilę do izby, to się chyłkiem wysunął w opłotki – i tyła go już dnia tego widzieli...

Józka cały dzień popłakiwała i tłukła się po izbie, jak ten ptak zamknięty! Antek zaś gorzał w mękach coraz boleśniejszych i sroższych – ani jadł, ni spał, ni mógł się zająć czymkolwiek; był ogłuszony jeszcze, nieprzytomny zgoła i nie wiedzący, co się z nim dzieje. Twarz mu poczerniała, że tylko oczy uczyniły się jeszcze większe i płonęły szklisto, jakby łzami skamieniałymi – zęby zacinał, żeby nie krzyzczeć w głos i nie wyklinać, a chodził wciąż po izbie, to po obejściu, to w opłotki szedł lub na drogę i powracał, padał w ganku na ławę i siedział godzinami, zapatrzony przed się i utopiony w bólu, co w nim rósł jeszcze i potężniał.

Dom ogłuchł, ino płakania w nim się rozlegały, jęki a westchnienia, kieby po pogrzebie czyim. Drzwi stały wywarte na rozcież do obór i chlewów, że inwentarz łąził po sadzie i zaglądał w okna, a nie miał go kto nagnać z powrotem, tyle co stary Łapa naszczekiwał i zaganiał, ale na darmo, bo nie uradził.

W stajni na werku Kuba czyścił strzelbę, a Witek z podziwem nabożnym przyglądał się temu i wyzierał okienkiem, żeby ich kto nie zeszedł.

– Huknęło, że Jezus! Myślałem, że to dziedzic abo borowy strzelają...

– Hale... juści... dawnom nie strzelał, tęgom nabił i gruchnęło kiej z harmaty...

– Toście zaraz z wieczora poszli?...

– Tak, poszedłem na dworskie, pod las, bo tam na ozimie lubią kozy wychodzić... Ćma była, tom siedział długo... aż tu na świtaniu rogacz idzie... Przyczałem się tak, że ino z pięć kroków był ode mnie... nie strzeliłem, bo okrutny był, kiej wół... to myślę... nie uredzę... Puściłem go... a w jaki pacierz abo dwa... łanie wyszły... Wybrałem se najlepszą... inom przyłożył, jak nie huknie! Tęgom nabił, ba, aże mi ramię spuchnęło, tak dostałem przykładem... ale się zwała... ino kopała nogami... jeszcze by nie... z pół garści siekańca dostała w bok... a beczała jucha... ażem się bojał, by nie posłyszał borowy, i dorznąć musiałem...

– W lesie ostała, co? – pytał chłopak rozgorączkowany opowieścią.

– Gdzie ostała, to ostała, nic ci do tego, a powiedz komu choć słowo, to obaczysz, co ci zrobię...

– Kiej przykazujecie, to i nie powiem, a Józi to można?

– Hale, cała wieś by zaraz wiedziała. Naści dziesiątkę, kup se co...

– Nie powiem i tak, ino mnie weźcie kiedy ze sobą, moi złoci, moi...

– Śniadanie! – krzychała sprzed domu Józka.

– Ino cicho być, wezmę cię, wezmę!

– I dacie mi choć ten raziczek strzelnąć, dacie? Co? – błagał.

– Ale... proch to myśli, głupi, że darmo dają...

– Mam pieniądze, Kuba, mam, jeszcze w jarmarek dali mi gospodarz dwa złote, co je chowam na wypominki, to...

– Dobrze, dobrze, nauczę cię – szepnął i pogładził chłopaka po głowie... bo go tak ujął za serce tym skamleniem.

A w parę pacierzy po śniadaniu już obaj szli do kościoła. Kuba kusztykał rażno, a Witek ostawał się nieco, bo mu markotno było, że to nie miał butów, ino boso szedł.

– A czy to można do zakrystii boso, co? – pytał cicho.

– Głupiś! Pan Jezus ci ta na buty czyje zważa, a nie na pacierze...

– Pewnie że tak, ino w butach to zawsze przystojniej... – szeptał smutniej.

– Kupisz ty sobie jeszcze buty, kupisz...

– A kupię, Kuba, kupię. Niech ino podrosnę na parobka, to zaraz pojedę do Warszawy i zgodzę się do koni... a w mieście to już wszystkie chodzą w butach, prawda, Kuba?

– Prawda, prawda! – baczysz to jeszcze?

– I jak! Pięć років miałem, kiej mę Kozłowa przywieźli, to i baczę dobrze... juści... ziąb był... piechtyśmy szli do maszyny... baczę... a tu tyła jarzącego światła... że jeszcze mę w oczach ćmi... baczę... a dom kiele domu i takie wielgachne niczym kościół...

– Bajesz! – rzucił wzgardliwie.

– Baczę dobrze, Kuba... przeciemy i dachów nie dojrzał... a tyła powozów... okna do samej ziemi... juści... całe ściany widzi mi się ze szyb... i takie ciągiem dzwonię...

– Kościołów tyle, to i nie dziwota!

– Pewnie, bo skądże by dzwonienia były?

Zmilkli, bo już weszli na cmentarz i jęli się przepychać przez gęsty tłum, co był zaległ dookoła kościoła, że to we środku pomieścić się nie mogli.

Dziady uczyniły ulicę od głównych drzwi aż hen na drogę, a każdy na swój sposób się wydzierał, a krzyczał, a modlił w głos i dopraszał wspomnienia, a jak niektórzy to i na skrzypkach pogrywali, i pieśni wyciągali jęklivymi głosami, a drugie na piszczałkach libo i harmonikach, że wrzask się rozlegał, aż w uszach wierciło...

W zakrystii też było narodu gęsto, aż żebra trzeszczały przy stole, gdzie organista przyjmował na wypominki, a przy drugim syn jego, Jaś, ten, co to był we szkołach.

Kuba docisnął się przódzi i niemąłą litanie imion podał organiście, któren zapisywał i brał za każdą duszę po sześć groszy albo i po trzy jajka, jeśli kto nie miał gotowych pieniędzy.

Witek ostał nieco w tyle, że go to po bosych nogach srodze deptali, ale się pchał, jak mógł, choć ta i niejeden burknął, że to się to pod łokcie ciśnie a starszym zastapia, pieniądze w garści ścisnął – dopiero kiej go dopchnęli do stołu, wprost organisty, zapomniał języka w gębie... Jakże, gospodarze sami, a gospodynie ino, cała wieś prawie, bo i młynarzowa w kapeluszu kiej dziedziczka, i kowalowie, i wójt ze swoją... a wszyscy patrzą w niego... to nasłuchują... przypominają sobie w głos dusze różne... i po dziesięć... i po dwadzieścia imion podają... za całą

familię... za ojców, dziadów i pradziadów... A on co?... Wie to, kto jego mać? Kto ojciec?... Wie?... Ma to dać za kogo?... Jezu mój! Jezusiczku... to ino gębę szeroko otworzył i te oczy modre i stał nieruchawy jako ten głupi i serce mu się skurczyło z bolenia, że ledwie zapał, ledwie mógł złapać tego dechu... i tak mu się ckno zrobiło w dołku, jakby już miał ostatnią parę puścić... ale nie dostojął tak, bo go odepchnęli w kąt, pod kropielnicę, to się ino wsparł głowiną o oną misę cynową, żeby nie paść, a łzy to mu jak te paciorki suły się z oczów... jak te różańce żałosne... i próżno je chciał powstrzymać... daremnie... i tak się trząś w sobie, tak dygotał każdą kosteczką, że ani zębów zewrzeć nie mógł, ani ustoic prosto; przysiadł w kącie na podłodze, od oczów ludzkich, i płakał rzewnymi, sierocymi łzami...

– Matulu! Matulu! – skamlało w nim cosik i oździerało mu duszę do dna. A pomiarkować nie mógł ni rozeznac, czemu to wszyscy ojców mają, matki mają, a on jeden sierota, on jeden tylko, on jeden...

– Jezu mój, Jezu!... – chlipał i zanosił się jako ten ptaszek duszony w sidłach, dopiero Kuba go odnalazł i zawołał:

– Witek, dałeś to już na wypominki?

– Nie – odrzekł, porwał się z nagła, wytarł oczy i z mocą jął iść do stołu... tak, i on poda imiona... co ta mają wiedziec, że nie ma nikogo... po co... sierota, to la siebie... a znajda, to znajda... Zadzierzysto powiódł oczami i pewnym głosem podał imiona: Józefy, Marianny i Antoniego, te, co mu pierwsze przyszły na

pamięć...

Zapłacił, wziął resztę i poszedł z Kubą na kościół pomodlić się i wysłuchać, jak ksiądz wypomni jego dusze...

Na środku kościoła stał katafalk z trumną na wierzchu obstawioną jarzącymi światłami, a ksiądz z ambony wypominał nieskończone litanie imion – a co przerwał, odpowiadał mu głośny pacierz, mówiony przez wszystkich za te zmarłe w czyściu ostające.

Witek przyklęknął przy Kubie, którego wyciągnął z zanadru koronkę i jął odmawiać wszystkie Zdrowaś i Wierzę, jakie ksiądz nakazywał; zmówił i on pacierz jeden i drugi, ale zmorzyły go w końcu monotonne głosy modlitw, ciepło i wyczerpanie płaczem, to się ździebko wsparł o biedro Kuby i zasnął...

Po południu, na nieszpory, jakie się odprawią raz w rok w cmentarnej kaplicy, pociągnęli wszyscy od Boryny.

Szli Antkowie z dziećmi, szli kowalowie, szła Józka z Jagustynką, a na końcu kusztykał Kuba z Witkiem – bych już tych świątków zażyć do cna.

Dzień już przywierał szare, zmęczone powieki, gasnął i zapadał z wolna w przerażające, smutne topiele zmroków; wiatr się poruszył i przeciągał po polach z jękiem, tłukł się między drzewinami a wionął surowym, przegniłym tchem jesieni.

Cicho było, tą dziwnie posępną cichością Zaduszek; tłumy szły drogą w surowym milczeniu, ino tupot nóg się rozlegał

głucho, ino te drzewa przydrożne chwiały się niespokojnie i cichy a bolesny szum gałęzi drżał nad głowami, ino te grania i śpiewy proszalne dziadów łkały w powietrzu i opadały bez echa...

Przed wrótniami, a nawet i wśród mogił, pod murem, stały rzędy beczek solówek, a obok nich rozkładały się gromady dziadów.

A naród płynął całą drogą pod topolami ku cmentarzowi; w mroku, co był już przytrząśnięty świat jakby popiołem szarym, błyskały światła świeczek, jakie mieli niektórzy, i chwiały się żółte płomyki lampek maślanych, a każdy, nim wszedł na cmentarz, wyciągał z tobołka chleb, to ser, to ździebko słoniny albo kiełbasy, to motek przedzy lub tę przygarść lnu wyczesanego, to grzybów wianek, i składali to wszystko pobożnie w beczki – a były one księżę, były organistowe i Jambrożego, a reszta dziadowskie, a któren w nie nie kładł, to grosz jaki wciskał w wyciągnięte ręce dziadowskie... i szeptał imiona zmarłych, za które prosił o pacierz...

Chór modłów, śpiewów, imion wypominanych jęklwym rytmem wznosił się wciąż nad wrótniami, a ludzie przechodzili – szli dalej, rozpraszała się wśród mogił, iż wnet, niby robaczki świętojańskie, jeły jaśnieć i migotać światełka wskroś mroków i gąszczów drzew, i traw zeschniętych.

Głuchy, przyciszony trwożnie szeptał pacierzy drgał w przyziemnej ciszy; czasem szloch bolesny zerwał się z mogił; czasem lament żałosny wił się w rozdzierających skrętach wśród krzyżów; to jakiś nagły, krótki, nabrzmiały rozpaczą krzyk jak

piorun rozdzierał powietrze albo ciche płacze dziecięce – sieroce płacze kwiliły w omroczonych gąszczach niby pisklęta...

A chwilami opadało na cmentarz głucho i ciężkie milczenie, że ino drzewa szumiały posepnie, a echa płakań ludzkich, skarg, krzyków bolesnych, żalości biły ku niebu, w świat cały szły...

Ludzie snuli się wśród mogił cicho, szeptali lękliwie i trwożnie poglądali w dal omroczoną, niezgłębianą...

– Każdy umiera! – wzdychali ciężko z kamienną rezygnacją i wlekli się dalej, przysiadali przy grobach ojców, mówili pacierze, to siedzieli cisi, zadumani, głusi na życie, głusi na śmierć, głusi na ból – jak te drzewa, i jak te drzewa kolebały się im dusze w sennym poczuciu trwogi...

– Jezus mój! Panie miłosierny, Mario! – rwało się im z dusz umęczonych zamętem i podnosili twarze zakrzepłe i wyczerpane jak ta ziemia święta, a oczy szare niby te kałuże, co się jeszcze siwiły w mrokach, wieszali u krzyżów i ruchami tych drzew rozchwianych sennie osuwali się na kolana; do stóp Chrystusa rzucali serca strwożone i wybuchali świętym płaczem oddania się i rezygnacji.

Kuba z Witkiem chodzili razem z drugimi, a gdy już do cna pociemniało, Kuba powlókł się w głąb, na stary cmentarz.

A tam na zapadniętych grobach cicho było, pusto i mroczno – tam leżeli zapomniani, o których i pamięć umarła dawno – jako i te dni ich, i czasy, i wszystko; tam jeno ptaki jakieś krzyczały złowrogo i smutnie szeleściła gęstwa, a gdzieniegdzie sterczał krzyż spróchniały – tam leżały pokotem rody całe, wsie

całe, pokolenia całe – tam się już nikt nie modlił, nie płakał, lampek nie palił... wiatr jeno huczał w gałęziach a rwał liście ostatnie i rzucał je w noc na zatracenie ostatnie... tam jeno głosy jakieś, co nie były głosami, cienie, co nie były cieniami, tłukły się o nagie drzewa kiej te ptaki oślepe i jakby skamlały o zmiłowanie...

Kuba wyjął z zanadrza parę oszczędzonych skibek chleba, rwał je w glonki, przyklekał i rozrzucał po mogiłach.

– Pożyw się, duszo krześcijańska, co cię wypominam w wieczornym czasie, pożyw się, pokutnico człowiecza, pożyw się! – szeptał z przejęciem.

– Wezną to? – pytał cicho Witek zatrwożonym głosem.

– Przeciech! Książd żywić nie da!... w beczki drugie kładą, ale tym biedotom nic z tego... Księżdowe albo i dziadoskie świnie mają wyżerkę... a dusze pokutujące głód cierpią...

– Przyjdą to?...

– Nie bój się... Wszystkie te, co czyścowe męki cierpią... wszystkie. Pan Jezus odpuszcza je na ten dzień na ziemię, żeby swoich nawiedziły...

– Żeby swoich nawiedziły! – powtórzył z drzeniem Witek.

– Nie bojaj się, głupi, zły dzisiaj nie ma przystępu, wypominki ano odganiają go, i te pacierze, i te światła... A i Pan Jezus sam chodzi se dzisiaj po świecie i liczy, gospodarz kochany, co mu ta jeszcze dusz ostało, aż se wybierze wszystkie, wybierze... Dobrze baczę, jak matula mówili, a i stare ludzie przytwierdzają...

– Pan Jezus se chodzi dzisiaj po świecie! – szeptał Witek i oglądał się bacznie...

– Ale, zobaczysz ta... to ino święte widzą abo i zasie pokrzywdzone najbarzej...

– Patrzcie no, a tam się świeci i ludzie jakieś są – zawołał Witek ze strachem wskazując na szereg mogił pod samym płotem...

– To leżą ci, co ich to w boru pobili... juści... i moje pany tam leżą... i matka moja... juści...

Przedarli się przez gąszcz i przyklęknęli u mogił zapadłych i tak rozwianych, że ledwie ślad ino został; ani krzyże ich znaczyły, ni drzewa jakie ocieniały, nic, jeno ten piach szczyry, parę zeschłych badyli dziewanny i cisza, zapomnienie, śmierć...

Jambroży z Jagustynką i Kłęb stary klęczeli przy tych grobach umarłych; dwie lampki tliły się wciśnięte w piasek, wiatr zawiewał i kołysał światłami, i rwał słowa pacierzy, i niósł je w noc czarną...

– Juści... matula moja tam leżą... baczę... – szeptał Kuba cicho, więcej do siebie niżli do Witka, któren przykucnął przy nim, bo ziąb go przejmował na wskroś.

– A zwali ją Magdaleną... Ociec gront swój mieli, ale służyli we dworze za furmana... w ogiery ino jeździli ze starszym panem... a potem pomarli... gront stryje wzieni... a ja pańskie prosiaki pasalem... Juści, Magdalena było matce, a ojcu Pieter i na przezwisko Socha, jako i mnie jest – A potem dziedzic do koni mnie wziął, bym w ogiery po ojcu jeździł... to ino

na polowania we świat, do drugich panów jeździłim cięgiem... strzylałem i ja niezgorzej... że młodszy dziedzic strzelbę mi dali... a matka ino ze starszą panią siedziała we dworze... Dobrze baczę... i kiej wszystkie szły... wzieni i mnie... Bez cały rok byłem... a co kazali, robiłem... juści, nie jednego burka zakatrupiłem... nie dwóch... a młodszy dziedzic dostał we flaki... wąpia mu wypłyneły... Pan mój przecie... dobry człowiek... na bary wziętem i wyniesłem... a potem do ciepłych krajów pojechał, i mnie kazał starszemu panu listy nieść... poszedłem... juści, że sterany byłem kiej ten pies... kulas mi przestrzelili, zagoić się nie chciał, że to cięgiem ino na dworze, pod gołym niebem... a śniegi były po pas i mrozy siarczyste... baczę... juści... przywlekłem się nocą... szukam... Jezus, Mario! Jakby mnie kto kłonicą przez ciemię zdzielił!... Dworu nie ma, gumien nie ma... płotów nawet nie ostało... do cna wszystko spalone... a stary pan i pani starsza, i matula moja... i ta Józefka, co za pokojówkę była... pobite leżą na śmierć w ogrodzie!... Jezu! Jezu! baczę wszystko... juści... Mario! – jęczał cicho i łzy jak groch sypały mu się tak gęsto po twarzy, że i już nie obcierał... pojękiwał ino z żałości i utęsknienia, bo jak żywe tak mu to wszystko stało przed oczami, a Witek spał se, bo strudzona była biedota płakaniem...

Noc była coraz głębsza, wiatr mocniej targał drzewami, że długie warkocze brzóz zamiatały po mogiłach, a białe ich pnie, niby w gźła śmiertelne przyodziane, majaczyły w mrokach... Ludzie się rozchodzili... światła gasły... śpiewy dziadów

umilkły... milczenie uroczyste a pełne dziwnych szelestów i głosów przejmujących zapanowało wśród mogił... Cmentarz jakby się napełniał cieniami... tłumem widm... gąszczem mrocznych zarysów... gęźbą rozjęczonych a cichych głosów... oceanem dziwnych drgań, ruchem ciemności... błyskami trwogi, niemym łkaniem... tajemnicą pełną przerażenia i zamętu – aż stado wron zerwało się z kaplicy i z krzykiem uciekały na pola, a psy w całych Lipcach poczęły wyć długo, rozpaczliwie, żałośnie...

Wieś była cicha mimo święta, drogi były puste, karczma zamknięta, a gdzieś tam tylko przez małe zapocone szybki błyskały światełka i płynęły ciche śpiewy pobożnych i głośne modlitwy odmawiane za zmarłych...

Z trwogą wysuwano się przed domy, z trwogą nasłuchiowano szumów drzew, z trwogą patrzano w okna, czy nie stoją, nie jawią się ci, co w dniu tym błędzą, przygnani tęsknotą i wolą Bożą... czy nie jęczą pokutniczo na rozstajach... czy nie zaglądną przez szyby żałośnie?...

A gdzieś tam, starym zwyczajem świętym, gospodynie wystawiały na przyzby resztki wieczerzy, żegnały się pobożnie i szeptały...

– Naści, pożyw się, duszo krześcijańska, w czyścju ostająca...

Wśród ciszy, smętku, rozpamiętywań, lęku płynął ten wieczór Zaduszek...

W izbie u Antków siedział Roch, ten ci wędrownik z Ziemi Świętej, i czytał a powiadał pobożne i święte historie.

Ludzi było dość, bo i Jambroży z Jagustynką i Kłębem przyszli, i Kuba z Witkiem, i Józia z Nastusią; nie było tylko starego Boryny, którego do późna w noc siedział u Jagusi.

Cicho było w izbie, że ino ten świerszcz za kominem skrzypiał, a trzaskały suche karpny na ogniu.

Siedzieli wszyscy na ławach przed kominem, ino Antek pod oknem.

A Roch przegarniał raz wraz kijaszkiem wągielki i cichym głosem mówił:

...Niestraszno umierać, nie, bo —

„Jako ci ptaszki, co pod zimę do ciepłych krajów ciągną, tak ci duszyczka strudzona do Jezusa podąża...

Jako te drzewiny, w nagości stojące o zwieśnię, Pan przyodziewa w listki zielone a kwiatuszki pachnące, tak ci, duszo człowiecza, do Jezusa iść po radość, po wesele, po zwiesnę i ono przyobleczenie wieczne...

Jako tę ziemię rodzącą a strudzoną ogarnia słońce – tak ci Pan przyhołubi duszyczkę każdą, że nic jej zimy, nic jej bolenie, nic jej śmierć.

Hej! Bo ino płakanie jest na tej ziemicy, jeno żałość a turbacja!

I złość jako te osty się pleni, i w bory urasta!

A wszystko próżne jest i daremne – jako to próchno, jako te pępuszki, co je na wodzie wiater wydyma, a drugi je zasię precz żenie.”

## X

– Na ambonie i każdemu z osobna to mówię, ale wy jak te psy tylko nastajecie jeden na drugiego, tylko... – wiatr resztę słów wepchnął mu do gardła, że ksiądz się srodze zakasłał, a Antek nic nie rzekł, szedł w podłe i wypatrywał w mrokach, pomiędzy drzewami.

Wiatr się podnosił coraz mocniejszy, przewalał się po drodze i tak bił w topole, i miotał nimi, aż się przyginały z jękiem i szumiały rozsrożone.

– A mówiłem jusze – zaczął znowu ksiądz – żeby sam kobyłę zaprowadził do stawu, to ją naprzód wypuścił – no, i zapodziała się... Ślepa przecież, zalezie gdzie między płoty i jeszcze nogi połamie! – Biadał i bardzo troskliwie szukał, zaglądał za drzewo każde, wypatrywał po polach.

– Przeciech zawždy sama chodziła...

– Zna dobrze drogę do stawu... przecież, nalał kto bądź wody do beczki, wykręcił tylko, a ona już sama trafiła na plebanię... – Ale w dzień ją zaprzęgali... a dzisiaj Magda czy Walek puścili ją już o zmierzchu... Walek! – krzyknął głośno, bo cień jakiś zamajaczył wśród topoli...

– Walka widziałem po naszej stronie, ale jeszcze przed zmrokiem.

– Polazł ją szukać, rychło w czas. Klacz ma ze dwadzieścia roków, przy mnie się uległa... wysłużyła sobie łaskawy chleb...

a przywiązana jak człowiek... Mój Boże, żeby się jej co złego nie stało!

– Co jej ta będzie! – mruknął Antek ze złością, bo jakże, poszedł do dobrodzieja po radę, po uzalenie się, to go ino skrzyczał i jeszcze zabrał, żeby kobyły szukać! Juści, i kobyły szkoda, choć ta i ślepa, i stara, ale zawsze człowiekowi powinna być pierwszozna!

– A ty się opamiętaj i nie pomstuj, boć to ojciec rodzony! Słyszysz!

– Dobrze pamiętam! – odparł ze złością.

– Grzech śmiertelny i obraza boska. A nic ten dobrego nie zwojuje sobie, któren w zapamiętałości rękę podnosi na ojców i przeciwi się przykazaniom Bożym. Masz rozum, toś o tym wiedzieć powinien.

– Sprawiedliwości chcę ino.

– A pomsty szukasz, co?

Antek nie wiedział, co rzec na to.

– A i to ci jeszcze powiem, że pokorne ciele dwie matki ssie.

– Wszyscy mi to powiadają... juści, ino tej pokorności mam już po grdykę, że więcej nie ścierpię! Choćby i zbój, choćby i ukrzywdziciel, ale że ojciec rodzony, to już mu wolno wszystko, a dzieciom nie wolno dochodzić swojej krzywdy! Laboga, takie urządzenie na świecie, że ino plunąć a iść, gdzie oczy poniesą...

– A idź, któż cię trzyma? – rzucił porywczoko ksiądz.

– Może i pójdę, bo co mi tutaj robić, co? – szeptał ciszej, łzawo jakoś.

– Bajesz i tyle. Drudzy i jednego zagona nie mają, a siedzą, pracują i jeszcze Panu Bogu dziękują. Wziąłbyś się do roboty, a nie wyrzekał jak baba. Zdrowy jesteś, mocny, masz o co ręce zacześcić...

– Przeciech, całe trzy morgi! – rzucił urągliwie.

– Żonę i dzieci masz, toś o tym pamiętać powinien.

– Baczęć ja dobrze, baczę... – mruknął przez zęby.

Wyszli przed karczmę, świeciło się w oknach i jakieś głosy wydzierały się aż na drogę.

– Co to, znowu pijatyka, co?

– Rekruty, te, co ich do wojska latoś wzieni, piją se la uciechy... W niedzielę ich pognają w tylachny świat, to się cieszą...

– Karczma prawie pełna! – szepnął ksiądz przystając przy topoli, skąd było dobrze widać przez okno całe wnętrze zapchane ludźmi.

– Bo się zejść miały dzisiaj i uredzić... względem tego lasu, co go dziedzic sprzedał Żydom na porębę...

– Przecież niecały sprzedał, jeszcze tyle zostało!

– Póki z nami się nie ugodzi, to ani chojaka ruszyć nie damy!

– Jak to?... – zapytał wystraszonym nieco głosem.

– A nie damy i tyła! Ociec chce się prawować, ale Kłęb i te, co z nim trzymają, powiedają, że sądu nie chcą, a rąbać nie pozwolą i choćby całą wsią iść przyszło, to pójdą, a i z siekierami, i z widłami, jak wypadnie, a swojego nie dadzą...

– Jezus Maria! To by się bez bitki i jakiego nieszczęścia nie

obyło!

– Pewnie! Jak się parę łbów dworskich siekierami rozwali, to zaraz będzie sprawiedliwość!

– Antek! Rozum ci się ze złości pomieszał czy co? Głupstwa pleciesz, mój drogi!

Ale Antek już nie słuchał, rzucił się nieco w bok i zginął w ciemnościach, a ksiądz poszedł spieszenie ku plebanii, bo usłyszał turkot kół i ciche, żałosne rżenie kobyły...

Antek zaś poszedł w dół wsi, ku młynowi, a drugą stroną stawu, żeby nie przechodzić koło chałupy Jagny.

Jak zadra tkwiła mu ona pod sercem, jak zła zadra, że jej nie wyciągnąć ni uciec od niej.

A bystre światło biło z jej chałupy, jasne i wesołe jakieś... przystanął, aby spojrzeć ino ten jeden razik, aby choć zakląć ze złości – ale go wnet cosik poderwało z miejsca, że pognał jako ten wichur, ni się obejrzał za się.

– Ojcowa ona już, ojcowa!

Do szwagra bieżał, do kowala – rady i on nijakiej nie da, ale między ludźmi nieco posiedzi, a nie tam, w chałupie ojcowej... Albo i ten ksiądz! Do roboty go będzie zaganiał! Hale, sam nic nie robi, frasunku nijakiego ni turbacji żadnej nie ma, to łatwo mu drugich poganiać. Kobietę mu wypomniał i dzieci... baczy on ją dobrze, baczy! Już mu dość obmierzły jej płakania i ta jej pokorność, i te jej psie, skamlące oczy... i gdyby nie ona!... Żeby to był sam! Jezus mój! – jęknął ciężko i porwał go dziki, szalony gniew, że chciało mu się chyć kogo za gardziel, dusić,

rozdziarać i bić aż do śmierci!...

Ale kogo?... Nie, nie wiedział, i złość ustąpiła nagle, jak była przysła, a on patrzył pustym wzrokiem w noc i nasłuchiwał szamotań wichury, co się przewalała po sadach i tak ciepła drzewami, aż kładły się na płoty i chlastały go gałęziami po twarzy... i włókł się wolno, ociężale, że ledwie się mógł poruszać, bo na duszę jeły mu się zwalać zmory smutku, umęczenia, niemocy, iż rychło zapomniał, gdzie idzie i z czym?

...

– Ojcowa jest Jagna, ojcowa! – przerzekał raz po raz, a coraz ciszej – jako ten pacierz, bych go nie zapomnąć.

W kuźni czerwono było od ogniska, chłopak dymał miechem zapamiętane, aż rozżarzone węgle warczały i buchały krwawym płomieniem; kowal stał przy kowadle, czapkę miał na tyle głowy, ręce nagie, skórzany fartuch, twarz usmoloną tak, że mu ino oczy świeciły się jako te węglik, a kuł żelazo czerwone mocno, aż huczało, i deszcz iskier rozpryskiwał się spod młota i z sykiem topił się w błotnistej ziemi.

– A co? – zapytał po chwili.

– I... cóż by zaś! – odparł cicho Antek, wsparł się o wasąg, których kilka stało do okucia, i zapatrzył się w ogień.

Kowal pracował tego, nagrzewał żelazo raz po raz i kuł, dzwonił do taktu młotem, to pomagał chłopakowi dymać miechem, gdy mocniejszego ognia było potrzeba, a ukradkiem poglądał na Antka i uśmiech złośliwy wił mu się pod rudymi wąsami.

– Byłeś pono u dobrodzieja? No i co?

– A cóż by, nic! W kościele bym to samo usłyszał.

– A chciałeś co innego? – zaśmiał się ironicznie.

– Ksiądz przecie, uczony... – mówił usprawiedliwiająco

Antek.

– Uczony, jak wziąć trzeba, ale nie, kiej co dać komu...

Ale Antkowi już się odechciało sprzeciwić.

– Pójdę do izby – rzekł po chwili.

– Idź, wójt wstąpi do mnie, to tam przyjdziemy! A machorka jest na szafce, zapal se...

Nie słyszał nawet, tylko wszedł do mieszkania, co po drugiej stronie drogi było.

Siostra rozpałała ogień, a najstarszy chłopak uczył się na elementarzu przy stole... Przywitali się w milczeniu.

– Uczy się to? – zauważył, bo chłopak sylabizował głośno i wodził zastruganym patykiem po literach.

– Już od kopania panienska z młyna mu pokazują, bo mój czasu nie ma.

– Roch też uczy już od wczoraj w ojcowej izbie.

– Chciałam i ja tam słać Jaśka, ale mój nie da, że to u ojca i że panienska więcej uczona, bo w szkołach była we Warszawie...

– Pewnie, pewnie... – powiedział, byle coś rzec.

– A Jasiek taki zmyślny do lementarza, aż się panienska dziwuje.

– Jakże... kowalowe nasienie przecież... syn takiego mądrali...

– Przekpiwasz się, a on najlepiej powiada, że póki ociec żyją, to zawždy zapis mogą odebrać...

– Juści, wyrwij wilkowi z gardła, wyrwij! Sześć morgów grontu! To my u niego z kobietą za parobków prawie służym, a on obcej zapisuje, leda komu...

– Kłócił się będziesz a pomstował, a rady u ludzi szukał, a prawował – to cię jeszcze z chałupy wygoni... – mówiła cicho oglądając się na drzwi.

– Kto to powiedział? – zawołał głośno zrywając się ze stołka.

– Cichoj ino... tak ludzie mówią, cichoj!... – szeptała lękliwie.

– Nie ustąpię, niech mę przez moc wyciepnie, do sądu pójde, prawował się będę, a nie ustąpię! – krzyczał prawie.

– I głową muru nie przebijesz, choćbyś i trykał jak ten baran!  
– powiedział kowal wchodząc do izby.

– To co zrobić? Mądre rady masz la ludzi, to poradź...

– Złością ze starym nie wygra!

Zapalił fajkę i jął mu przekładać, tłumaczyć, łagodzić i tak kręcić, aż się Antek poznał i krzyknął:

– Ty z nim trzymasz!

– Za sprawiedliwością jestem.

– Dobrze ci za nią zapłacił?

– Jeśli zapłacił, to nie z twojej kieszeni.

– A z mojej, psiachmać, z mojej! Dobrodziej jucha z cudzego.

Dosyć już wzięłeś, to ci niepilno.

– Tylem wzięł, co i ty!

– Hale, tyle... a statki, a szmaty, a krowę, a ileś wycygańił od ojca? Baczę dobrze i te gąski, te prosiaki i kto tam zliczy! A ciołek, co ci go dał niedawno, to nic?

– Mogłeś i ty brać.

– Złodziej nie jestem ni ten cygan!

– A ja złodziejem jestem, ja?...

Przyskoczyli do siebie, gotowi się chycić za orzydła, ale opadli wnet, bo Antek rzekł ciszej:

– Nie mówię tego do ciebie... Ale swojego nie dam, choćbym miał skapieć<sup>68</sup>...

– I... nie tyła ci tam o ten grunt idzie, widzi mi się... – rzucił drwiąco kowal.

– Ino o co?

– Latałeś za Jagną, to ci teraz i markotno.

– Widziałeś?... – krzyknął ugodzony jakby w samo serce.

– Są takie we wsi, co i widziały, a nie raz...

– Żeby im pomroka padła na ślepie! – szepnął ciszej, bo właśnie wójt wchodził do izby i witał się ze wszystkimi; snadź wiedział, o co się kłóca, bo również jął bronić starego i usprawiedliwiać.

– Dobrze was poił i wypasał kiełbasami, to i nie dziwota, że go bronicie...

– Bele czego nie powiadaj, kiej wójt do cię mówi! – krzyknął wyniośle.

– Wasze wójtostwo stoi u mnie tyle, co ten patyk złamany...

---

<sup>68</sup> *skapieć* – zmarnować się, umrzeć. [przypis edytorski]

– Coś rzekł, co?

– Słyszeliście! A nie, to rzeknę jeszcze takie słowo, aż wam w pięty pójdzie...

– Rzeknij to słowo, rzeknij!

– A rzeknę – oto pijanica jesteście i judasz, i przeniwierca. A rzeknę, że za gromadzkie pieniądze balujecie i dobrzeście za to wzięli od dworu, że dziedzic sprzedał nasz las!... A chcecie, to wam jeszcze co dołożę, ino że już tym kijaszkiem... – wołał zapalczywie porywając za kij.

– Urzędnik jestem, miarkuj się, Antek, byś nie żałował.

– A w mojej chałupie ludzi nie następuj, bo tu nie karczma! – krzyczał kowal zasłaniając sobą wójta, ale Antek już na nic nie zważał, bo obu zwymyślał jak psów, trzasnął drzwiami i wyszedł...

Ulżyło mu rzetelnie; spokojniejszy wrócił do domu, ino tym jednym markotny, że niepotrzebnie pokłócił się ze szwagrem.

– Teraz już wszyscy będą przeciwko mnie! – myślał nazajutrz rano przy śniadaniu i ze zdumieniem zobaczył kowala wchodzącego do izby.

Przywitali się, jakby nigdy nic nie zaszło pomiędzy nimi.

A że Antek szedł do stodoły urządzić sieczeni, kowal poszedł za nim, przysiadł się na snopkach zruconych ze sąsiedka do omłotu i jął cicho mówić:

– Na psa wszystkie kłótnie i o co jeszcze? O to głupie słowo! Tom pierwszy przyszedł do ciebie i pierwszy wyciągam rękę do zgody...

Antek podał mu rękę, spojrział podejrzliwie i mruknął:

– Juści, że ino to słowo, bom złości do was nie miał. Wójt mnie zeźlił, bo co się będzie ujmował, nie jego sprawa, to mu wara!

– To samo mu rzekłem, bo chciał bieżyc za tobą...

– Bić mnie... dałbym ja mu bitkę, jak jego pociotkowi, co jeszcze od żniw żebra se lekuje... – wykrzyknął i jął nakładać słomę do lady.

– I tom mu przypomniał... – rzucił skromnie kowal i uśmiechnął się chytrze.

– Jeszcze ja się z nim porachuję, popamięta mnie... figura jucha, urzędnik!...

– Ryfa jest i tyla, poniechaj go. Umyśliłem cosik i z tym do ciebie przychodzę... Trza zrobić tak... Po południu przyjdzie tu moja, to razem z nią idźcie do starego rozmówić się dokumentnie... Na nic tam złości i żalenia się po kątach, trza w oczy stanąć i prosto powiedzieć, co się ma... Będzie dobrze abo i nie będzie, ale trza wszystko wyłożyć!...

– Co tu wykladać, kiej zapis zrobił!

– I złością z nim nie poredzi! Juści, że zapis zrobił, ale póki żyje, to zawdy go może odebrać – bacz to sobie i latego nie potrza mu się przeciwić. Niech się żeni, niech ma swoją uciechę.

Antek przybladł na to przypomnienie i drzeć począł w sobie, aż rznąć przestał.

– Przeciw temu nie powstawaj w oczy, a przychwalaj i mów, że dobrze robi, i zapis, miał wolę, to zrobił... niech ino resztę nam przyobieca – tobie i mojej, a przy świadkach! – dodał chytrze.

– A Józka i Grzela? – zapytał z niechęcią.

– Spłaci się ich! Bo to Grzela mało wybrał? Ady prawie mu co miesiąc posyła do wojska. Mnie ino słuchaj, zrób, jak ci redzę, a nie stracisz. Moja w tym głowa, że już tak pokieruję, co wszystko będzie nasze...

– Jeszcze baran żyje, a już kuśnierz kozuch na nim szyje...

– Mnie słuchaj... Niech ino przyobieca przy świadkach, żeby ino było za co chycić pazurami... sąd jeszcze jest i sprawiedliwość, nie bój się. A jest już jedna zaczepka, boć został gront po twojej matce...

– Wielka parada, cztery morgi – na mnie i na twoją...

– Ale go nie dał tobie ni mojej! A tyle roków sieje i zbiera! Zapłaci wam dobrze za to i z presentami... Przywtórzę raz jeszcze, staremu się w niczym nie przeciw, przychwalaj, przygaduj, na wesele idź, dobrego słowa nie żałuj, a obaczysz, że go narychtujemy<sup>69</sup>... A nie da się dobrocią, to sądy radę mu dadzą... Z Jagusią znacie się dobrze... to i ona mogłaby ci pomóc coś niecoś... jeno jej rzeknij o tym... ona jeszcze lepiej mogłaby starego na naszą stronę przechylić... no, zgoda?... Bo czas mi już iść...

– Zgoda! Ino prędko idź, bym ci w pysk nie dał i za wrota nie wyciepnął! – szepnął przez zęby.

– Co ty, Antek? Co ty? – bełkotał przestraszony, bo Antek puścił kosę i szedł ku niemu blady, ze strasznymi oczami.

– Judasz ścierwa, złodziej! – wychlustywał ze siebie spienioną

---

<sup>69</sup> narychtować – przygotować. [przypis edytorski]

nienawiścią słowa, aż kowal porwał się i uciekł co tchu.

– Rozum mu się psuje czy co? – myślał już na drodze. – Jakże, dobrą radę dałem... a ten?... Kiej taki głupi, to niech idzie na wyrobek, niech go stary wygoni, pomogę jeszcze do tego... a tak czy owak grontu nie popuszczę... Takiś to ty! W pysk chciałeś mi dać, za wrota wyciepnąć, żem się chciał z tobą podzielić... że kiej do brata przyszedłem z dobrym słowem! Takiś to ty! Aha, sam byś chciał wszystko brać! Niedoczekanie twoje! Wyciągnąłeś ty ze mnie moje zamysły, to już cię, jucho, przyrządzuję, jaż cię frybra angielska potrzęsie! – Rozsrażał się coraz bardziej, bo go wściekłość porywała, że Antek przejrzał jego zamysły i gotów jeszcze wydać przed starym. Tego się najwięcej obawiał.

– Trza temu zapobiec! – zdecydował natychmiast i mimo obawy przed Antkiem zawrócił z powrotem do Borynów.

– Jest gospodarz? – zapytał Witka, któren wprost domu smagał kamieniami na gęsi, pływające po stawie.

– Hale, jest tam! Poszli przecie do młynarzów zapraszać na wesele...

– Wyjdę naprzeciw, niby to się spotkamy! – pomyślał i poszedł ku młynarzowi, ale po drodze wstąpił jeszcze do domu i przykazał żonie pięknie się przyodzierać, dzieci zabrać i zaraz, jak przedzwonią południe, iść do Antków.

– Już on ci powie, co robić!... Nic sama nie rób i nie miarkuj, boś głupia, a ino jak będzie potrza, to beknij, ojcowe nogi obłap i proś... a słuchaj dobrze, co ojciec powiedzą i co Antek przodzi mówił będzie...

Z dobry pacierz ją nauczał, a przez okno patrzył, czy ich na moście nie widać.

– Zjrzę do młyna, czy jagłę zrobili. – Dłużyło mu się w domu czekać.

Ale szedł wolno, przystawał a medytował... – Juści, kto go ta wie, co zrobił? Sklął mnie, a gotów zrobić, com redził... to i lepiej, że kobieta przy tym będzie... a nie robi, pokłóćą się... stary go wypędzi... Tak abo i nie, a zawsze się cosik udrze la siebie... – zaśmiał się radośnie, zatarł ręce, nacisnął kaszkiet i zapiął kapotę, bo wietrzno było i ziąb przejmujący szedł od stawu.

– Przymrozek będzie albo i pluchy nowe – szepnął przystając na moście i spoglądając po niebie... Chmury gnały nisko, bure, ciężkie, jakby obłoczone, niby stada nie mytych baranów. Staw pomrukiwał głucho, a czasami chlustał wodą o brzegi, na których gdzieniegdzie wśród czarnych, pochylonych olch i wierzb rosochatych czerwieniły się kobiety pierące szmaty – kijanki<sup>70</sup> trzaskały zajadle po obu brzegach. Na drogach pusto było, gęsi tylko całymi stadami babrały w stężalym błocie i po rowach, zarzuconych opadłymi liśćmi i śmieciami, i dzieci krzyczały przed domami. Koguty zaczęły pisać po płotach, jakby na zmianę.

– We młynie prędzej się ich doczekam! – szepnął i poszedł

---

<sup>70</sup> *kijanka* – tu: drewniany przyrząd (płaski kij) służący niegdyś na wsi do prania w rzece. Kijanką uderzało się bieliznę, w bieżącej wodzie rzeki wypłukując brud. [przypis edytorski]

na dół.

Antek zaś po odejściu kowala jął rznąć tak zajadle sieczkę, że całkiem się zatracił w tej robocie i do południa narznął tyle, aż Kuba, którego przyjechał z lasu, wykrzyknął:

– Na cały tydzień będzie tego, no – dziwował się tak głośno, aż Antek oprzytomniał, ladę rzucił, przeciągnął się i poszedł do chałupy.

– Co będzie, to będzie, a trza mi się z ojcem rozmówić dzisiaj! – postanawiał... – Cygan on jest i judasz, ale może i dobrze redzi... Juści, musi on w tym co mieć... – Myślał o kowalu i zajął na drugą stronę, ojcową, i wnet się cofnął, bo tam siedziało ze dwadzieścioro dzieci i wszystkie razem a w głos sylabizowały... Roch je nauczał i pilnie baczył, by psich figlów nie stroiły... Chodził se dookoła nich z różańcem w ręku, nasłuchiwał, czasem które poprawił, czasem pociągnął za ucho, czasem pogłaskał, a często gęsto przysiadł i cierpliwie wykładał, jako tam stoi, i pytał, a dzieciśka hurmem jedno przez drugie rwały się odpowiadać, jako te indory, kiej je kto podrażni... a tak głośno, że i po drugiej stronie słyhać było...

Hanka gotowała obiad i pogadywała z ojcem swoim, starym Bylicą, którego rzadko zachodził, że to schorowany był i ledwie się już ruchał.

Siedział pod oknem, wsparty na kijaszku, i wodził oczami po izbie, to na dzieci, co były cicho się zbiły w kącie, to na Hanke spozierał... siwy był całkiem, wargi mu się trzęsły i głos miał słaby, jakby ptaszęcy, a w piersiach mu ciągiem rzeziało...

– Jedliście śniadanie, co? – pytała cicho.

– I... po prawdzie to Weronka zabaczyła mi dać... i nie upominałem się, nie...

– Weronka psy nawet głodzi, bo tu nieraz do mnie podjeść przychodzą! – zawołała, bo i przy tym gniewała się ze starszą siostrą jeszcze od zeszłej zimy, że to tamta po śmierci matki pobrała wszystko, co pozostało, i oddać nie chciała, to się i prawie nie widywały.

– Bo się u nich nie przelewa, nie... – bronił cicho... – Stach młóci u organisty, to i tam poje i jeszcze czterdzieści groszy za dzień bierze... a w chałupie tyła gąb... że i tych ziemniaków nie starczy... Prawda... że dwie krowy mają i mleko jest... że masło i sery do miasta nosi i ten grosz jaki zbierze... ale zabaczy często dać jeść... juści, nie dziwota... dzieci tyła... a to i wełniaki ludziom tka... i przedzie, i haruje jak ten wół... a bo to dużo mi trza?... Żeby ino w porę... i co dnia... to...

– A to się do nas przenieście na zwiesnę, kiej wam u tej suki tak źle...

– Dyć się nie skarzę, nie narzekam, ino... ino... – głos mu się załamał nagle...

– Popaślibyście gęsi, to dzieci przypilnowali...

– Wszystko bym robił, Hanuś, wszystko – szeptał cichutko.

– W izbie jest miejsce, to się łóżko wstawi, byście ciepło mieli...

– A dyć i w oborze, i przy koniach spałbym, byle u ciebie, Hanuś, byle już nie wracać! Byle... – zachłystnął się aż tą prośbą

śląską i łzy jeły mu kapać z zapadłych, poczerwieniałych oczów... – Zabrała mi pierzynę, bo powiada, że dzieci nie mają pod czym spać... juści... marży, zem sam je brał do siebie... ale kożuszysko się wytarło i nic mę nie grzeje... i łóżko mi wziena... a po mojej stronie zimno... ani tej szczapy drzewa nie pozwoli... i każdą łyżkę stawy wypomina... na żebry wygania... a kiej mocy nie mam, do ciebiem się ledwie zwlókl...

– Laboga! A czemuście to nam nic nigdy nie rzekli, że wam tak źle...

– Jakże... córka... on dobry człowiek, ale ciągiem na wyrobku... jakże...

– Piekielnica jedna! Wzięła pół gromu i pół chałupy, i wszystko, i taki wam daje wycug! Do sądu trza iść! Jeść mieli wam dawać i opał, i to, co wam do ubieru potrzeba, a my te dwanaście rubli w rok... bośmy przeciech i dług spłacili... co, nie tak?...

– Prawda! Rzetelni jesteście, prawda... ale i te parę złotych, co od was, a com je chował sobie na pochówek, wycygała ode mnie... a potem i dać było potrza... Jakże, dziecko... – Umilkł i siedział cichy, skulony, podobny do kupy starych wiórów prędzej niżli do człowieka.

A po obiedzie, skoro jeno kowalowa weszła z dziećmi i jeła się witać, zabrał węzełek, jaki mu Hanka narządziła po kryjomu, i wyniósł się po cichu.

Boryna na obiad nie przyszedł.

Kowalowa postanowiła zatem czekać choćby i do nocy; Hanka

narządziła pod oknem warsztat i przeciągała pacześny watek przez płochy i tylko niekiedy, choć i z nieśmiałością, rzuciła jakie słowo w rozmowę, jaką wiódł Antek z siostrą; wywodził swoje żale, w czym mu już i przywtarzała, ale niedługo to trwało, bo wpadła Jagustynka i jakby od niechcienia mówiła:

– Od organistów lecę, do prania mnie zawołały... Dopiero co był tam Maciej z Jagną prosić na wesele. Pójdą! Juści, swój do swego, bogacz do bogacza ciągnie... i księdza też prosili...

– I dobrodzieja prosili?... – wykrzyknęła Hanka.

– A cóż to, święty czy co? Prosili, powiedział, że może przyjdzie... laczego nie?... Bo to młoducha nie urodna, a bo to jadła dobrego i napitku nie naszykują? Młynarze się też obiecali i z córką. Ho, ho, takiego wesela, jak Lipce Lipcami, jeszcze nie było! Wiem dobrze, bo z Jewką od młynarzów kucharować będziemy. Wieprza już im Jambroży sprawił, kiełbasy robią... – przerwała nagle, bo nikt nie mówił i nie pytał, siedzieli chmurni, więc przyjrzała się wszystkim uważnie i wykrzyknęła:

– Zanosi się u was na coś!

– Zanosi czy nie zanosi, a wam nic do tego! – powiedziała tak ostro kowalowa, aż Jagustynka się obraziła i poszła na drugą stronę, do Józi, która ustawiała ławki i stołki, bo dzieci się już porozchodziły, a Roch polazł na wieś.

– Pewnie, że ojciec nie będzie sobie żałował niczego – szepnęła kowalowa rozżalonym głosem.

– Nie ma to na to? – powiedziała Hanka i zmilkła zastrachana, bo Antek spojrział na nią groźnie. Siedzieli więc prawie

w milczeniu i czekali; czasem które nieco rzekło i znowu zapadało głucho, ciężkie, niepokojące milczenie...

Przed chałupą i na ganku Witek z dziećmi wyprawiał takie brewerie, aż Łapa szczekał i chałupa się trzęsła.

– Gotowych pieniędzy musi mieć też dosyć, ciągle coś sprzedaje, a wyda na co?...

Antek machnął ręką na to siostrzyne słowo i wyszedł z izby na powietrze, cknęło mu się w chałupie i niepokój w nim rósł i strach, sam nie wiedział czego... czekał na ojca i niecierpliwił się, a rad był w duszy, że tamtego tak długo nie widać. – „Nie o gront tobie idzie, a o Jagusię!” Przypomniał sobie, co mu kował wczoraj powiedział... – Łże jak ten pies! – wykrzyknął zapamiętale. Wziął się do ogacania ściany od podwórza, Witek nosił mu ściótkę z kupy, a on ubijał i zakładał żerdkami, ale mu ręce drżały i raz wraz zaprzestawał roboty. Wspierał się o ścianę i przez nagie, bezlistne drzewa patrzył za staw, hań, na Jagusińską chałupę... Nie, nie miłowanie w nim wzrastało, ino złość i tysiące uczuć nienawistnych, aż się zdziwił temu! Suka, ścierwa, rzucili jej gnat, to i poszła! – myślał.

Ale przyszły nań wspomnienia, wypełzły skądś, z tych pól nagich, z dróg, z sadów szerniałych i pokurczonych i obsiadły mu serce, czepiały się myśli, majaczyły przed oczami... aż pot pokrył mu czoło, oczy rozbłysły i dreszcz go przechodził mocny, ognisty!... Hej, a tam w sadzie... a wtedy w lesie... a kiedy razem powracali z miasta...

Jezus! Aż się zatoczył, bo z nagła ujrzał tuż przed sobą jej

twarz rozpłomioną, dyszącą namiętnie, jej modre oczy i te usta pełne i tak czerwone, a tak bliskie, że ich tchnienie czuła, buchnęły na niego żarem... i ten głos cichy, urywany, nabrzmiały miłością i ogniem... – Jantoś!... Jantoś! – przechylała się do niego blisko, że czuła ją całą przy sobie, jej piersi, jej ramiona, jej nogi – aż oczy przecierała i odpędzała precz od siebie te mary mamiące, i cała jego złość zawzięta skapywała mu z serca niby te lody ze strzech, gdy je wiośniane słońce przygrzeje, a budziło się znowu kochanie i wznosiła swój łeb kolczasty tęskność bolesna, taka straszna tęskność, że choćby głową tłuc o ścianę i ryczeć wniebogłosy!

– A żeby to siarczyste zatrzęsnęły! – wykrzyknął przytomniejąc i bystro spojrzawszy na Witka, czy ten nie domyśla się czego... Od trzech tygodni był w gorączce, w oczekiwaniu jakiegoś cudu, a nic nie mógł poredzić, niczemu się przeciwzić! A bo to raz przychodziły mu szalone myśli i postanowienia, że biegł, aby się z nią zobaczyć, bo to jedną noc na deszczu i chłodzie warował jak ten pies przed jej chałupą! Nie wyszła, unikała go, na drodze już z dala omijała!...

Nie, to nie! I coraz bardziej zawzinał się przeciwko niej i przeciw wszystkiemu! Ojcwowa ona, to i obca, to i ta przybłąda, ten pies bezański, ten złodziej, co gront, dobro najwyższe, im kradnie – a to kijem go choćby i na śmierć zakatrupię!

A bo to raz chciało mu się ojcu do oczów stanąć i rzec: nie możecie się z Jagną żenić, bo ona moja! Ale strach podnosił mu włosy na głowie, co powie stary, co ludzie, co wieść?...

A przecież Jaguś będzie jego macochą, matką jakby – jakże to może być, jakże?... Toć grzech musi być, grzech! Aż bał się myśleć o tym, bo mu serce zamierało ze zgrozy niewytłumaczonej, z obawy przed jakąś straszną karą boską... I nie rzecz o tym nikomu, ino to nosić w sobie jako zarzewie, jako ten ogień żywy, którego aż do kości przepala... nie na ludzką to moc, nie.

A tu już za tydzień ślub...

– Gospodarz idą! – zawołał Witek prędko, aż Antek drgnął ze strachu.

Mrocząło już na świecie.

Zmierzch sypał się na wieś, jako ten popiół niewystudzony i od ukrytego zarzewia rudawy jeszcze – zorze dogasały, błądły od tych chmur borych, które wiatr gnał i zwał na zachód, i stożył w góry przeogromne. Zimno się robiło, ziemia tężała, powietrze czyniło się ostre, rzeźwe jak przed przymrozkiem i takie słuchliwe, że tupot i ryki pędzonego do wodopoju inwentarza szły głośniej, a skrzypy wrót i studziennych żurawi, rozmowy, krzyki dzieci, szczekania leciały wyraźniej przez staw; gdzieniegdzie błyskały już okna i padały na wodę długie, porwane, drgające odbicia świetliste... a spoza lasów wychylał się z wolna ogromny, czerwony księżyc w pełni, aż łuny były nad nim, jakby pożar buchał gdzieś w głębi lasów.

Boryna przyodział się w zwyczajne szmaty i poszedł w podwórze do gospodarstwa, zajrzał do koni, do krów, do stodoły, a nawet i do prosiaków, skrzyczał Kubę za coś i Witka

również, że cieleńta wylazły z gródki i łaziły pomiędzy krowami, a gdy wrócił do izby swojej, już tam czekali nań wszyscy... Milczeli, ino wszystkie oczy podniosły się na niego i opadły wnet, bo przystanął na środku, obejrzał się po nich i zapytał drwiąco:

– Wszystkie! Jak na sąd jaki!

– Nie na sąd, ino do was przyślím z proszeniem – rzekła nieśmiało kowalowa.

– A czemuż to i twój nie przyszedł?...

– Robotę ma pilną, to ostał w domu...

– Juści... robotę... juści... – uśmiechnął się domyślnie, zrzucił kapotę i jął zzuwać buty, a oni milczeli, nie wiedząc, od czego zacząć. Kowalowa chrząkała i przyciszała dzieci, bo się brały do barszkowania, Hanka siedziała na progu i karmiła chłopaka, a latała niespokojnymi oczami po twarzy Antka, któren siedział pod oknem i układał sobie w głowie, co ma rzec, a drżał cały ze wzruszenia i niecierpliwości. Jedna Józia spokojnie obierała ziemniaki pod kominem, przyrzucała drewek na ogień i ciekawie poglądała po wszystkich, bo nic wymiarkować nie mogła.

– Czego chcecie, mówcie! – zawołał ostro, zniecierpliwiony milczeniem.

– A to... mów, Antek... a to przyślím wedle tego zapisu... – jąkała kowalowa.

– Zapis zrobiłem, a ślub w niedzielę... to wam rzeknę!

– To wiemy, ale nie o to przyślím.

– A czego?

– Zapisaliście całe sześć morgów!

– Bom tak chciał, a zechcę, to w ten mig zapiszę wszystko...

– Jak wszystko będzie wasze, to zapiszecie! – powiedział

Antek.

– A czyjeż to jest, co? Czyje?...

– Dziecińskie, nasze.

– Głupiś jak ten baran! Grunt jest mój i zrobię z nim, co mi się spodoba!

– Zrobicie abo i nie zrobicie...

– Ty mi wzbronisz, ty!

– A ja, a my wszystkie, a nie, to sądy wam wzbronią! – krzyknął, bo już nie mógł ścierpieć i buchnął zapamiętałością.

– Sądami mi wygrażasz, co? Sądami! Zamknij ty gębę, pókim dobry, bo pożałujesz! – krzyczał przyskakując do niego z pięściami.

– A ukrzywdzić się nie damy! – wrzasnęła Hanka podnosząc się na nogi.

– A ty czego? Trzy morgi piachu wnieśła i starą płachtę, a będzie tu pysk wywierała?

– Wyście i tyła Antkowi nie dali, nawet tych jego morgów matczynych, a robimy wam za parobków, jak te woły.

– Sprzątacie za to z trzech morgów.

– A odrabiamy wam za dwadzieścia abo i więcej!

– Jak wam krzywda, idźcie se poszukać lepiej!

– Nie pójdziem szukać, bo tu jest nasze! Nasze po dziadach

pradziadach! – zawołał mocno Antek.

Stary uderzył go oczami i nic nie odrzekł, przysiadł przed komin i pogrzebaczem tak dziabął w głównie, aż iskry się sypały – zły był, ognie chodziły mu po twarzy i włosy mu ciągiem spadały na oczy, jarzące jak u żbika... ale się jeszcze hamował, choć ledwie i zdzierzał...

Długie milczenie zaległo izbę, że ino te przysapki a dychania prędkie słyhać było. Hanka szlochała z cicha i połuśtywała dziecko, bo skamleć poczęło.

– My nie przeciwni ożenkowi, chcecie, to się żeńcie...

– A przeciwcie się, dużo o to stoję!...

– Ino zapis odbierzcie – dorzuciła przez łzy Hanka.

– Zmilkniysz ty, a to, psiachmać, jazgocze ciągiem jak ta suka! – rzucił z taką mocą pogrzebacz w ogień, aż się głównie potoczyły na izbę.

– A wy się miarkujcie, bo to nie dziewczka wasza, żebyście gębę wywierali na nią!

– To czemu pyskuje!

– Ma prawo, bo się o swoje upomina! – wrzeszczał coraz mocniej Antek.

– Chcecie, to i zapiszcie, ale to, co ostało, odpiszcie na nas – zaczęła cicho kowalowa.

– Głupiaś! Widzisz ją, mojem się tu będzie dzieliła! Nie bój się, na wycug do waju nie pójdę... – rzekłem!

– A my nie ustąpiim. Sprawiedliwości chcemy.

– Jak wezmę kija, to wama dam sprawiedliwość.

– Spróbujcie ino tknąć, a pewnikiem wesela nie doczekacie...

I jęli się już kłócić, przyskakiwać do się, grozić, bić pięściami w stół, wykrzykiwać a wypominać wszystkie swoje żale i krzywdy. Antek tak się zapamiętał i tak rozsrożył, że wściekłość buchała z niego i raz wraz już starego chwycił to za ramię, to za orzydle i gotów był bić... ale stary jeszcze się hamował, nie chciał bijatyki, odpychał Antka, na obelgi z rzadka odpowiadał, bych ino dziwowiska la sąsiadów i wsi całej nie czynić. W izbie podniósł się taki krzyk i zamęt, i płacz, bo obie kobiety płakały i wołały na przemian, a dzieci też wrzeszczały, że Kuba z Witkiem przylecieli z podwórza pod okna... ale nic rozeznać nie rozeznali, bo wszyscy razem krzyczeli, aż w końcu, kiedy im już zabrakło głosu, chrzypieli ino samymi przekleństwami a pogroźbami. Hanka ryknęła nowym, ogromnym płaczem, wsparła się o okap i jęła zalewanym przez łzy, nieprzytomnym głosem krzyczeć:

– Na żebrę ino nam iść, we świat... o mój Jezus, mój Jezus! ... A jak te woły harowalim i dnie... i noce... za parobków... a teraz co?... A Pan Bóg was pokarze za krzywdę naszą!... Pokarze... Całe sześć morgów zapisali... a te szmaty po matce... te paciorki... to wszystko... i la kogo to? La kogo?... La takiej świni! A żebyś pode płotem zdechła za krzywdę naszą, a żeby cię robaki roztoczyły, ty wywłoko, ty lakudro jedna, ty!...

– Coś powiedziała?... – zaryczał stary przyskakując do niej...

– Że lakudra i włók ten, to i cała wieś wie o tym... cały świat! ... cały!...

– Wara ci od niej, bo ci ten pysk o ścianę rozbije, wara... – i jął nią trząść, ale już Antek przyskoczył i osłonił, i również krzyżeć począł:

– I ja przywtórzę, że lakudra jest, włók, ja! A spał z nią, kto chciał, ja!... – wołał nieprzytomnie i gadał, co mu ślina na język przyniesła, nie skończył, bo stary, rozwścieklony już teraz do ostatka, trzasnął go tak w pysk, aż rymnął łbem na oszkloną szafkę i z nią razem zwałił się na ziemię... Porwał się rychło okrwawiony i runął na ojca.

Rzucili się na siebie jak dwa psy wściekłe, chycili się za piersi i wodzili po izbie, miotali, bili sobą o łóżka, o skrzynie, o ściany, aż łby trzaskały. Krzyk się podniósł nieopisany, kobiety chciały ich rozerwać, ale przewalili się na ziemię i tak zwarci całą nienawiścią i krzywdami tarzali się, gnietli, dusili...

Całe szczęście, że rychło rozerwali ich sąsiedzi i odgradzili od siebie...

Antka przenieśli na drugą stronę i zlewali wodą, tak osłabł z umęczenia i upływu krwi, bo twarz miał porozcinaną o szyby.

Staremu nic się nie stało; spencer miał nieco podarty i twarz podrapaną i aż siną z wściekłości... Sklął i powyganiał ludzi, co się byli zlecieli, drzwi od sieni zamknął i siadł przed kominem...

Ale uspokoić się nie mógł, bo mu ciągiem wracało przypomnienie tego, co na Jagnę wypowiedzieli, a żgało go w serce jakby nożem...

– Nie daruję ja ci tego, psie jeden, nie daruję! – przysięgał sobie w duszy. – Jakże, na Jagusię... – Ale wnet przychodziło

mu do głowy i to, co nieraz już słyszał o niej, co dawniej pogadywali, a na co nie zwracał uwagi! Gorąco mu się robiło i dziwnie duszno, i dziwnie markotno... – Nieprawda, pleciuchy i zazdrośniki, wiadomo! – wykrzyknął w głos, ale coraz więcej mu się przypominało gadań ludzkich. – Jakże, rodzony syn powie, to nie mają szczekać! Ścierwa! – ale żarły go te wspominki jak ogień...

A gdy Józia posprzątała ślady bitwy, a w końcu, choć i późno, podała kolację, spróbował ziemniaków i położył łyżkę, nie mógł przełknąć.

– Zasypałeś obroki koniom? – zapytał Kuby.

– Przeciech...

– Gdzie Witek?

– Po Jambroża poleciał, by Antkowi głowę opatrzył; gęba mu spuchła kiej garnek – dodał i wyniósł się zaraz, bo księżyc świecił, a on się dzisiaj wybierał pod las na polowanie... – Juchy, chleb ich rozpiera, to się biją – mrucał.

Stary też poszedł na wieś, nie wstąpił jednak do Jagny, choć się w oknach świeciło, zawrócił spod samych drzwi i polazł drogą ku młynowi.

Noc była chłodna, wyiskrzona, przymrozek ścinał ziemię, księżyc wisiał wysoko i tak jasno świecił, że cały staw roziskrzył się jakby żywym srebrem, drzewa rzucały długie, chwiejne cienie na drogi puste. Późno już było, światła w domach gaśły, ino bielone ściany występowały mocniej ze sadów nagich, cisza i noc ogarniała wieś całą, jeden młyn turkotał i woda bełkotała

monotonnie... Maciej chodził to tą, to drugą stroną stawu i nie wiedział, co z sobą począć, nie uspokoił się, gdzie tam, jeszcze barzej rozbierała go złość i nienawiść; aż i do karczmy poszedł, posłał po wójta i prawie do północkska pił, ale robaka nie zalał... jeno jedno postanowienie powziął.

Rano nazajutrz, skoro wstał, zajrzał na drugą stronę. Antek leżał jeszcze, twarz miał obwiązaną w okrwawioną szmatę, ale się uniósł nieco.

– Wynośta mi się w ten mig z chałupy, żeby ni śladu po was nie ostało! – krzyknął. – Chcesz wojny, chcesz sądu, idź do sądu, skarż mnie, dochodź swojego. Coś swoje posiał – latem zbierzesz, a teraz wynoś się! Niech moje oczy was nie widzą! Słyszysz! – ryknął, bo Antek podniósł się, ale nic nie odpowiadał... i zaczął się wolno ubierać...

– Żeby mi do południa już was nie było! – zawołał jeszcze z sieni.

Antek i na to nie odrzekł, jakby nic nie słyszał...

– Józka, zawołaj Kubę, niech założy kobyłę do wozu i wywiezie ich, gdzie chcą!

– Hale, kiej Kubie cosik jest, leży na werku i jęczy ino, a powiada, że całkiem wstać nie może, tak go ten kulas krzywy boli...

– Hale, noga go boli! Wałkoń jeden, odpoczywać se chce... – i sam zajął się rannym obrządkiem gospodarskim.

Ale Kuba rozchorzał naprawdę, nie powiadał, co mu jest, choć go się Boryna pytał, ino że chory, a tak jęczał, tak stękał, aż konie

rzały, przychodziły do wyrka i obwąchiwały mu twarz, i lizały, a Witek coraz to nosił mu wodę wiaderkiem i ukradkiem prał w potoku jakieś szmaty skrwawione...

Stary nie spostrzegł tego, bo przypilnowywał, by się Antkowie wynosili.

I wynosili się.

Bez krzyków już, bez kłótni, bez sprzeciwiań pakowali się, wynosili statki, wiązali toboły; Hanka aż mdlała z żalości, Antek ją wodą trzeźwił i poganiał, byle już rychlej zejść z ojcowskich oczów, byle prędzej...

Pożyczył konia od Kłęba, ojcowego nie chciał, i przewoził rzeczy do Hanczynego ojca, na koniec wsi, za karczmę jeszcze...

Ze wsi przyszło paru gospodarzy z Rochem na czele i chcieli zgodę czynić między nimi, ale ni syn, ni ojciec mówić sobie o tym nie dali... —

– Pobróbuj, jak to wolność smakuje i swój chleb – odpowiedział stary.

Antek nic nie odrzekł na namowy, ino podniósł pięść i tak zaklął strasznie, tak pogroził, aż Roch zbladł i cofnął się do kobiet, których się dość zebrało w opłotkach i w ganku, żeby to Hance pomóc, a głównie, by się w głos użalać i pyskować a uredzać!...

Gdy zabeczana Józia podawała obiad ojcu i Rochowi, już tamci z ostatnimi rzeczami i dziećmi wyjeżdżali z opłotków na drogę... Antek ni się obejrzał na chałupę, przeżegnał się ino, westchnął ciężko, smagał konia, podpierał wóz, bo kopiasto

był nałożony, i szedł jak martwy, a blady jak ten papier, oczy mu gorzały zaciętością i zęby szczękały kiej we febrze... ale ni jednego słowa nie rzekł, Hanka zaś wlekła się za wozem, starszy chłopak czepiał się matczynego wełniaka i krzyczał wniebogłosy, młodszego tuliła do piersi i zaganiała przed sobą krowy, stadko gęsi i dwa chude prosiaki, a tak ryczała, tak wyklinała, tak zawodziła, że ludzie wychodzili z domów i jakby procesją ich odprowadzali.

A u starego obiad jedli w ponurym milczeniu.

Stary Łapa szczekał na ganku, biegł za wozem, powracał znowu i wył... Witek go nawoływał, ale pies nie słuchał, biegł po sadzie, obwąchiwał podwórze, wpadał do izby Antków, obleciał ją parę razy, wypadł do sieni, szczekał, skomlał... połasił się do Józki i znowu latał jak oszalały, to przysiadł na zadzie i ogłupiałym wzrokiem patrzył, aż wreszcie zerwał się, wtulił ogon pod się i poleciał za Antkami...

– A to i Łapa poszedł za niemi...

– Wróci, wygłodzi się, to wróci, nie bój się, Józka – mówił miękko stary. – Nie bucz, głupia! Wyporządził tamtą stronę, Roch będą mieli mieszkanie. Zawołaj Jagustynki, to ci pomoże... i zajmij się gospodarstwem, gospodynią teraz jesteś, na twojej głowie wszystko... no nie bucz, nie... – ujął jej głowę i głaskał a przyciskał do piersi, a hołubił...

– Pojadę do miasta, to ci trzewiki kupię.

– Kupicie, tatulu? Naprawdę kupicie?...

– Kupię ci, kupię ci i co więcej, ino dobrą córką bądź,

o gospodarstwie pamiętaj!

- To i na kaftan mi kupcie, taki jak ma Nastusia Gołębianka.
- Kupię ci, córko, kupię...
- I wstążek, ino długich, bobym nie miała na wasze wesele.
- Co ci ino potrza, mów, a wszystko miała będziesz, wszystko.

## XI

– Śpisz to, Jaguś?...

– A bo to mogę. Ocknęłam na rozświcie i ciągiem mi w głowie stoi, że już dzisiaj wesele... aż wierzyć trudno.

– Markotno ci, córko, co? – spytała ciszej... z lękliwą nadzieją w sercu...

– Co by zaś markotno miało być! Ino, że od was trzeba mi iść, na swoje...

Stara nie odrzekła, stłumiła w sobie żal, jaki nagle ją przewiercił, i wstała z pościeli, przyodziała się byle jak i poszła do stajni budzić chłopaków. Zaspali nieco po wczorajszych rozplecinach, bo dzień już był duży, świt zatopił ziemię w srebrzystej, połyskliwej szronami topieli, zorze się rozpały na wschodzie – jakoby kto niebo posypał zarzewiem.

Dominikowa umyła się w sieni i cicho chodziła po izbie, ale raz wraz poglądała na Jagnę, której ledwie głowę można było rozeznąć na pościeli wśród mroków, jakie jeszcze zalegały izbę...

– Leż se, córko, leż!... Ostatni to raz u matki, ostatni! – myślała z czułością i z tym bolesnym żalem, co wciąż powracał. Nie chciało się jej wierzyć, że to naprawdę już dzisiaj, aż sobie przypominać musiała wszystko... Tak, sama chciała tego, a teraz, a teraz... jakby strach nią owładnął i tak zatrzęsł, aż skurczyła się z bólu i przysiadła na łóżku... Boryna dobry

człowiek, uszanuje i krzywdy jej nie zrobi... a Jaguś poprowadzi go, gdzie ino zechce, bo stary świata Bożego poza nią nie widzi...

Nie, nie o to się bojała, nie o to... pasierby! Juści... po co było Antków wyganiać? Teraz dopiero będą zapiekać a pomsty szukać!... A nie wyganiać, to Antek byłby pod bokiem i obraza boska abo i co gorsze wyszłoby z tego!... Jezus mój! A rady już nie ma... Zapowiedzi wyszły... wieprzek zabity, weselni sproszeni... tyła już zrobione... zapis w skrzynce... – Nie, nie! Co będzie, to będzie, a krzywdy nijakiej, póki żyje, zrobić jej nie dam!... – pomyślała stanowczo i poszła znowu do chłopaków krzyczeć, czemu nie wstają.

Za powrotem chciała ostro wołać na Jagnę, ale Jaguś usnęła, równy, cichy oddech szedł od łóżka, a ją znowu chwyciły wątpliwości różne i żale, i jak te jastrzębie czepiały się pazurami serca, darły i krzyczały strachem a troską! Uklękła pod oknem, wpiła zaczerwienione, rozpalone oczy w świt i modliła się długo i gorąco. Wstała mocna i na wszystko gotowa.

– Jaguś! Wstań, córko, czas już! Ewka zaraz przyleci do gotowania, a tyła jeszcze roboty!

– Pogoda to? – pytała podnosząc ociężałą głowę.

– I jaka, aż się lśkni na świecie od przymrozku! Słońce zaraz wszędzie...

Jagna ubierała się szybko. Stara jej pomogła i długo o czymś rozmyślała, bo w końcu rzekła:

– A przywtórzę ci jeszcze, com już nieraz mówiła... Borynę trza uważać... dobry on człowiek... z bele kim się nie zadawać...

bych cię znowu na ozory nie wzięli... ludzie to jak te psy... ino gryźć! Słuchasz to, córko?...

– Słucham, słucham, ale tak mówicie, jakbym swojego rozumu nie miała...

– Rady dobrej nikomu nie za wiele... Bacz i to, by z Boryną nie huru–buru, a miętko, a dobrocią. Starszy wždy uważniejszy jest na to niżli młodziak... a kto wie, może ci z grontu przypisać abo gotowy grosz za pazuchę wrazić!

– Nie stoję tam o to – burknęła zniecierpliwiona.

– Boś młoda i głupia... A obejrzyj się ino po wsi, po ludziach, to obaczysz, o co się kłóca, o co prawują, o co zabiegają! O grunt jeno, o dobro! Dobrze by ci to było bez tego zagona, bez tej świętej ziemi, co? Nie do wyrobku i biedowania Pan Jezus cię stworzył, nie! A po com całe życie zabiegała? – La ciebie ino, Jaguś! A teraz ostanę kiej ten palec sama jedna!...

– A bo to chłopaki idą w świat? Ostają...

– Tyla mi z nich pociechy, co z wczorajszego dnia! – wykrzyknęła i rozplakała się – a z pasierbami zgodę powinnaś trzymać! – dodała obcierając oczy.

– Józka dobra dziewczyna, Grzela jeszcze nierychło wróci z wojska... a...

– Kowali trza się strzec.

– Przecież oni z Maciejem sielnie obserwują...

– Ma w tym kowal jakieś wyrachowanie, ma! Ale pilnowała go będę... Z Antkami najgorzej, bo się pogodzić nie chcą... i dobrodziej wczoraj zgodę chciał zrobić... nie przystali...

– A bo Maciej jest jak ten zły pies, żeby ich z chałupy wygnać!  
– wykrzyknęła namiętnie.

– Co ty, Jaguś, co ty? A dyć Antek najbarzej wygadywał na ciebie i grunt chciał odebrać, i pomstował a zarzekał przeciw tobie, że powtórzyć trudno.

– Antek przeciw mnie? Ocyganili was, ażeby im ozory paskudne poschnęły!...

– A czemuż to jego stronę trzymasz, co?... – zapytała groźnie.

– A bo wszystkie na niego! Ja nie jestem jak ten pies dziadowski, co za każdym idzie, byle mu ino chleba podrzucił! Dobrze widzę, że mu się krzywda dzieje...

– To może byś mu i zapis oddała... co?...

Ale Jagna już nie zdążyła rzec, bo łyzy ciurkiem połały się z jej oczów, to ino buchnęła do komory, przywarła drzwi za sobą i długo buczała...

Nie przeszkadzała w tym Dominikowa, ino nowe strapienie wśliznęło się do jej serca... ale nie czas było medytować, Ewka przyszła, chłopaki przeciągali się przed sienią, trzeba było wziąć się do porządków i przygotowań ostatnich...

Słońce wstało i dzień rażno potoczył się naprzód.

Przymrozek w nocy był niezgorszy, że kałuże po drogach i brzegi stawu ścięły się lodem, a na grudzi i co lżejsze bydlę utrzymać się nie mogło.

Ciepło się czyniło, pod płotami i w cieniach siwiało jeszcze, ale ze strzech skapywał zamróz lśniącymi paciorkami, a na mokradłach kurzyły opary kieby dymy. Powietrze było tak

przejrzyste, że okólne pola widziały się jak na dłoni, a lasy się przysunęły, że i poniektóre drzewa mógł rozeznaczyć...

Na niebie modrym i niskim ani jednej chmurki nie było.

Ale na pogodę nie szło, bo wrony tłukły się koło domów i piaty koguty.

Niedzielny to był dzień i chociaż dzwony jeszcze nie przedzwaniały do kościoła, a już we wsi wrzało kieby w ulu. Z pół wsi szykowało się na wesele Borynowe z Jagną.

Między chałupami, przez oszroniałe sady biegały dziewczyny z pękami wstążek, a wełniakami i stroikami różnymi...

W chałupach był niemały rwetes przygotowań, przymierzań a przystrajañ, że z gęsto powywieranych okien i drzwi buchały radosne głosy albo już te piosenki weselne.

A i w chałupie Dominikowej uczynił się gwałt i zamieszanie, jak to zwyczajnie w dzień taki!

Dom był świeżo obielony, choć nieco oblażł z wapna na wilgoci, a widniał już z daleka, bo i umajony był jak na Świątki. Chłopaki jeszcze wczoraj nawtykali świerczyny w strzechę, to w szpary ścian, gdzie się ino dało, a całe opłotki od drogi do sieni wysypali jedliną – pachniało jak w borze na zwiesnę.

A i wewnątrz wporządzone było galanto.

Po drugiej stronie, gdzie był skład rupieci, buzował się tęgi ogień i kucharowała Ewka od młynarza przy pomocy sąsiadek i Jagustynki.

Z pierwszej zaś izby wynieśli wszelki sprzęt zbytni do komory, że ostały ino obrazy, a chłopaki ustawiali pod ścianami ławy

mocne a długie stoły. Izba też była wybielona z nowa, wymyta, a komin przysłonięty modrą płachtą, cały zaś pułap i belki, poczerńnięte ze starości, Jagusia suto przystroiła wycinankami. Maciej był przywiózł z miasta kolorowych papierów, a ona wystrzygnęła z nich kółek strzępiastych, to kwiatuszków, to cudaków różnych, jako: kiedy psy gonią owce, a pasterz z kijem za nimi leci, abo zaś i procesję całą, z księdzem, z chorągwiami, z obrazami i inne różności, że spamiętać trudno, a tak wszystko utrafione i foremne kieby żywe, aż się ludzie wczoraj na rozplecinach dziwowali. Umiała ona i nie takie, a wszystko, co ino zamyśliła abo na co spojrziała... że nie było w Lipcach chałupy bez tych jej strzyżek...

Ogarnęła się nieco w komorze i wyszła nalepiać resztę wzdłuż ścian, pod obrazami, bo już gdzie indziej miejsca nie było.

– Jaguś! A dałabyś spokój tym cudakom, drухen ino patrzeć... ludzie się wnet schodzić poczną, muzyka już po wsi chodzi... a ona się zabawia...

– Zdażę jeszcze, zdażę... – odpowiadała krótko i dała wnet spokój nalepianiom – brakło jej cierpliwości... Wysypała podłogę kolkami jedlinowymi, to stoły pokryła cienkim płótnem, to porządkowała w komorze abo się przemawiała z braćmi, lub wychodziła przed dom i patrzyła długo w świat. A żadnej radości w sobie nie czuła, żadnej. Myślała jeno, że się wytańcuje a muzyki nasłucha i śpiewów, na co łakoma była. Była jak ten dzień jasny, roziskrzony, a martwy jesienią i ogłuchły. Żeby jej wszystko nie przypominało, że to wesele dzisiaj, nie

baczyłyby o tym. Boryna wczoraj, na rozpleciny, dał jej osiem sznurków koralu, wszystkie, jakie mu zostały po nieboszczkach... Leżały na dnie skrzynki, nawet ich nie przymierzyła... Nie stała o nie, nie stała dzisiaj o nic... Leciałaby tylko gdzieś przed się, choćby w cały świat... ale gdzie? Abo to wiedziała! Mierziło się jej wszystko, a do głowy wciąż wracało powiedzenie matczyne o Antku... – Jakże, on by wygadywał, on?... Nie mogła wierzyć, nie chciała... bo aż się jej na płacz zbierało!... A może?... Wczoraj, kiedy prała w stawie, przeszedł i ani się spojrzał! A jak szli rano do spowiedzi z Boryną, spotkali go przed kościołem... z miejsca zawrócił jak przed złym psem... A może?... Niech szczeka, kiej taki, niech szczeka!...

Zaczęła się buntować przeciw niemu, ale z nagłą wspomnienia tego wieczora, kiedy wracali z obierania kapusty od Boryny, buchnęły jej do mózgu i zatopiły ją całą w ogniu, i obwinęły jej duszę z taką mocą, a tak wyraziście w niej odżyły, że rady sobie dać nie mogła... aż ni stąd, ni zowąd ozwała się do matki:

– Wiecie, a to po ślubie włosów mi nie obcinajcie!

– Hale, co mądrego umyśliła? Słyszano to, żeby dziewce włosów nie ucięto po ślubie!

– A po dworach i miastach nie obcinają!

– Pewnie, juści, bo im tak trzeba do rozpusty, żeby ludzi mogły ocyganiać i za co inszego się wydawać. Ale, będzie tu nowe porządki zakładała! Dworskie pannice niechta z siebie cudaki robią i pośmiewisko, niechta z kudłami jak Żydowice jakie chodzą – wolno im, kiej głupie, a tyś gospodarska córka

z dziada pradziada, nie żadne miejskie pomietło, toś robić winna jak Pan Bóg przykazał, jak zawždy w naszym gospodarskim stanie się robiło... Znam ja te miejskie wymysły, znam... jeszcze nikomu one na zdrowie nie wyszły! Poszła w służbę do miasta Pakulanka i co?... Mówił wójt, jako papier przyszedł do kancelarii, że dzieciaka udusiła i w kryminale siedzi... albo i ten Wojtek, Borynów krewniak po siostrze, dorobił się w mieście sielnie, że teraz po wsiach po proszonym chlebie chodzi... a przódzi na Wólce gospodarstwo miał, konie miał i chleba po grdykę... zachciało mu się bułek, a ma kij i torbę na starość...

Ale Jagna mądrych przykładów nie słuchała, a o obcięciu i gadać sobie nie dała... Namawiała ją Ewka, a ta znająca była, niejedną wieś znała i rok w rok do Częstochowy z kompaniami chodziła, przekładała i Jagustynka, ale jak to ona, zawždy z przekpinami i naśmieszliwie, bo w końcu rzekła:

– Ostaw warkocz, ostaw, zda się Borynie, okręci se nim rękę, ostrzej przytrzyma i mocniej cię kijem zleje... sama go obetniesz potem... Znałam taką niejedną... – nie mówiła więcej, bo Witek ją wołał, gdyż od wypędzenia Antków przeniesła się do Boryny, bo Józia poradzić sobie nie mogła z gospodarstwem. Pomagała warzyć Ewce, a co trochę zaglądała do dom, stary dzisiaj do niczego głowy nie miał, Józia już od rana przystrajała się u kowalów, a Kuba leżał wciąż chory.

– Chodźcie prędzej, bo Kuba was pilno potrzebuje – przynaglał chłopak.

– Gorzej mu to?

– A juści, tak stęka i jęczy, aże na drodze słyhać!

– Idę w te pędy. Moiściewy, obaczę ino, co się z nim dzieje, i zaraz wrócę...

– Jaguś, i tobie trza się spieszyć, druhen ino patrzeć – naganiała matka.

Ale Jaguś nie pospieszała, chodziła jak senna, przysiadła po ławach, to wnet się zrywała i zaczynała sprzątać, ale robota leciała jej z rąk, a ona stała długo, bezmyślnie zapatrzona w okno. Kolebała się w niej dusza jak woda i raz wraz biła, jakby o kamień jaki, o przypomnienia...

A w domu gwar się czynił coraz większy, bo wciąż wpadały kumy różne, to krewniaczki, to gospodynie, i dawnym obyczajem znosiły kury, to bochen białego chleba, placek, soli, mąki, słoniny albo i srebrnego rubla w papierku – wszystko to w podzięce za prosiny weselne, żeby gospodyni zbytńio się nie szkodowała.

Przepijały ze starą po kieliszeczku słodkiej, pogwarzyły, nadziwowały i rozbiegały się spiesźnie.

A Dominikowa tęgo się zwijała – pilnowała warzy, uprzętała, raiła i na wszystko oko miała i sposób, a często naganiała chłopaków, bo się ociągali, a co któren ino mógł, to się z chałupy wyrwał na wieś, do wójta, bo już tam byli muzykanci i zbierali się družbowie...

Na sumę mało kto poszedł, gniewał się o to dobrodziej, że la wesela zapominają o służbie Bożej – co było i prawdą, ale naród to sobie rozumiał, że i wesela takie nie co niedziela się

odprawiają.

A zaraz po obiedzie jęli się zjeżdżać ze wsi pobliskich, kto był zaproszon.

Słońce się już przetoczyło z południa i prószyło bladym, jesiennym światłem że ziemia błyszcząca jakby oroszona, okna buchały płomieniami, staw lśnił się i migotał, przydrożne rowy pobłyskiwały wodą jakby szybami – wszystek świat był przesycony światłem dogasającej jesieni i ciepłem ostatnim.

Ogłuchła, niema cisza obtulała rozżłoconą ziemię.

Dzień się dopalał jaskrawo i z wolna przygasał.

Ale w Lipcach huczało jakby na jarmarku.

Jak tylko przedzwonili na nieszpory, muzyka wywaliła się od wójta na drogę.

Najpierwsze szły skrzypki w parze z fletem, a za nimi warczał bębenek z brzękadłami i basy, przystrojone we wstęgi, wesoło podrygiwały.

Za muzyką szły oba dziewosłęby i druźbowie – sześciu ich było.

A wszystko chłopaki młode, dorodne, kiej sosny śmigłe, w pasie cienkie, w barach rozrosłe, taneczniki zapamiętałe, pyskacze harde, zabijaki sielne, z drogi nieustępliwe – same rodowe, gospodarskie syny.

Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu, aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni, weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiaste portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszków i rozpuszczone na wiatr, kiej

skrzydła, kapoty białe...

Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siarczyście i szli tak szumno, jakoby się młody bór zerwał i z wichurą leciał...

Muzyka grała polskiego, bo zaś ciągnęli od domu do domu zapraszać weselników – gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli – a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem, i już wszyscy w jeden głos śpiewali pod oknami druhen:

Wychodź, druhenko, wychodź, Kasieńko,

Na wesele czas —

Będą tam grały, będą śpiewały

Skrzypice i bas —

A kto się nie naje, kto się nie napije...

Pójdzie do dom wczas!

Oj ta dana, dana, oj ta dana, da!...

Hukali społem i z mocą taką, aż się po wsi rozlegało, aż na pola szły weselne głosy, pod borami śpiewały, we świat leciały szeroki.

Ludzie wychodzili przed domy, do sadów, na płoty, a jaki taki, choć nie weselny, przystawał do nich, by się aby napatrzyć i nasłuchać, że nim doszli, już się prawie cała wieś stłoczyła i okrążała weselników ciżbą, iż coraz wolniej szli, a dzieci chmarą nieprzeliczoną i z wrzaskiem a przyśpiewywaniem

przodem biegły.

Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.

A Witek, któren ze wstęgami u spencerka hardo był spólnie z drużbami chodził, skoczył teraz naprzód.

– Gospodarzu, a to muzyka z drużbami wali! – krzyknął w okna i poleciał do Kuby.

Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na rozcież wywarł, witał się a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał; wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie – urodny był, jak mało który, a przez to, że mocno w sobie podufały i rozrosły, to i posturę już miał z dala widną, i powagę w twarzy niemałą; pośmiewał się wesoło z parobkami, pogadywał, a najczęściej z kowalem, bo mu się wciąż na oczy nawijał.

Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstał, a oni go wiedli do izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jagusi nie było, przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali, to w deskach szparutki czynili i przekomarzali się z druźnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

A matka z synami przyjmowała gości, częstowała gorzałką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo narodu się zważyło, że i trudno przejść przez izbę, po sieniach stali,

w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście, nie! Gospodarze sami, rodowi i co bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynów i Paczesi, a drudzy zasie znajomkowie to i z dalszych wsiów zjechali.

Juści, że ni Kłęba, ni Winciorków, ni tych morgowych biedot nie było, ni tego drobiazgu, co po wyrobkach chodził i zawždy ze starym Kłębem trzymał... Nie dla psa kiełbasa, nie dla prosiąt miód!

Dopiero w jakie dwa pacierze otwarli drzwi komory i organiścina z młynarzową wywiedły Jaguś na izbę, a druhny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były, nie kwiaty, a ona między nimi najśmiglejsza i kieby ta róża najśliczniejsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie – że się widziała niby ten obraz, co go naszają na procesjach, aż przycichło z nagłą, tak poniemieli i dziwowali się ludzie Hej! Jak Mazury Mazurami, nie było śliczniejszej! Wnet družbowie zrobili rumor i gruchnęli z całych piersi:

Rozgłaszaj, skrzyпку, rozgłaszaj!

A ty, Jaguś, ojca, matkę przepraszaaj —

Rozgłaszaj, flecte, rozgłaszaj!

A ty, Jaguś, siostry, braci przepraszaaj!...

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknełi, a matka obrazem ich przeżegnała i jeła błogosławić, i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy, a potem

i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkimi. Brały ją kobiety w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakali społem, a Józia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniała.

Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należyтым i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staje.

Muzyka szła przodem i rznąła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli druźbowie – szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rżęs wisiały, weselna niby ten kierz<sup>71</sup> kwietny i kiej słońce ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią, i furkotały kieby ta tęcza; spódnica biała rżęsiso zebrana w pasie, gorset z błękitnego jak niebo aksamitu wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne krezy obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury koralu i bursztynów aż do pół piersi opadały.

Za nią druhny prowadziły Macieja.

Jako ten dąb rozrósł w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi, w biodrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał, bo mu się zdało, że Antka w ciźbie uwiidział.

A za nimi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Na ostatek zaś całą drogą waliła wieś cała.

---

<sup>71</sup> *kierz* – krzak. [przypis edytorski]

Słońce już zachodziło, wisiało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym brzaskiem, a oni szli w tych łunach wolno, że aż się w oczach mieniło od tych wstążek, piór pawich, kwiatów, czerwonych portek, pomarańczowych wełniaków, chustek, kapot białych – jakoby ten zagon, rozkwitłymi kwiatami pokryty, szedł i pod wiatr z wolna się kołysał a pośpiewywał, bo drużny raz wraz zawodziły cieniuśkimi głosami:

A jada, jada, wozy kołaczą —  
A moja Jaguś, po tobie płaczą...  
Hej!  
A da śpiewają, śpiewają sobie —  
A da na smutek, Jagusiu, tobie...  
Hej!

Dominikowa całą drogę popłakiwała i jak w obraz wpatrywała się w córkę, że nic nie słyszała, co do niej zagadywali.

W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu.

Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystii wychodził.

Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego spieszył. A gdy wychodzili z kościoła, organista jał na organach wycinać mazury a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały, a niektóren tylko co nie huknął piosenką, dobrze, iż się w czas pomiarkował!

Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, jak komu

było do upodoby, a rozgłośnie, bo družbowie z druhenkami zawadzili, jakoby ich kto ze skóry obłupiał.

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli – już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem nuż się ze wszystkimi z nowa witać, a obłupiać i do izby zapraszać!

Muzyka rznęła w sieniach, więc co który próg przestąpił, chwycił w pół pierwszą z brzoza kobietę i puszczał się posuwistym krokiem „chodzonego” – a już tam, niby ten wąż farbami migotliwy, toczyły się dokoła izby pary, gięły się, okręzały, zawracały z powagą, przytupywały godnie, kołysały się przystojnie i szły, płynęły, wiły się, a para za parą, głowa przy głowie – niby ten rozkołysany zagon dostatego żyta, gęsto przekwiecony bławatem a makami... – a na przedzie w pierwszą parę Jagusia z Boryną!

Aż światła ustawione na okapie dygotały, dom się chwiało, zdało się, że ściany się rozpękną od tej ciżby i mocy, jaka była od taneczników!...

Pochodzili z dobry pacierz, nim skończyli.

Muzyka teraz zaczęła przegrywać pierwszy taniec, dla młodej, jak to we zwyczaju z dawien dawna było.

Naród zbił się gęstwą pod ścianami i zaległ wszystkie kąty, a parobcy uczynili wielkie kolo, w którym zaczęła tańcować! Krew w niej zagrała, aż się jej modre oczy lśniły i białe zęby połyskiwały w zarumienionej twarzy; tańcowała niezłomnie, coraz zmieniając taneczników, bo choć raz wokoło z każdym

przetańcować musiała.

Muzykanci grali ostro, aż im ręce mdlały, ale Jaguś jakby zaczęła dopiero, mocniej tylko poczerwieniała i wywijiała tak zapamiętale, aż te jej wstęgi z furkotem za nią latały chlastając po twarzach, a rozdęte taneczną wichurą spódnice zapełniały izbę.

A parobcy z uciechy pięściami walili w stoły i pokrzykiwali siarczyście.

Dopiero na ostatek wybrała młodego – szykował się na to Boryna, bo skoczył kieby ryś do niej, ujął ją wpół i wichrem zakręcił w miejscu, a muzykantom rzucił:

– Z mazurska, chłopcy, a krzepko!

...Krzyknęli w instrumenty z całej mocy, aż w izbie się zakotłowało.

Boryna zaś ino mocniej Jagnę ujął, poły na rękę zarzucił, poprawił kapelusza, trzasnął obcasami i z miejsca jak wicher się potoczył!

Hej! Tańcował też, tańcował! A okręcał w miejscu, a zawracał, a hołubce bił, aż wióry leciały z podłogi, a pokrzykiwał, a Jagusię miotał i zawijał, że się w jeden kłęb zwarli i jak to pełne wrzecziono po izbie wili – że ino wicher szedł od nich i moc.

...Muzyka rznąła siarczyście, zapamiętale, z mazowiecka...

Zbili się wszyscy we drzwiach, to po kątach, przycichli i ze zdumieniem poglądali, a on niezmordowanie hulał i coraz siarczyściej; już się niejedni wstrzymać nie mogli, bo same nogi niesły, więc ino do taktu przytupywali, a co gorętszy dziewczynę

brał i puszczał się w tany, na nic już nie bacząc!

Jagusia, choć mocna była, ale rychło zmiękła i jeła mu przez ręce lecieć, wtedy dopiero przestał i odprowadził ją do komory.

– Kiedyś taki chwat, bratem mi jesteś i przy pierwszych chrzcinach w kumotry mnie proś! – wołał młynarz biorąc go w ramiona.

Wnet się pobrali gorąco, bo muzyka zaraz zmiłkła i zaczął się poczęstunek.

Dominikowa, synowie, kowal, Jagustynka uwijali się rażno z pełnymi butelkami i kieliszkami w garściach, a do każdego z osobna przepijali. Józia i kumy roznosiły na przetakach chleb pokrajany i placki.

Wrzawa podnosiła się coraz większa, bo każdego swoje głośno powiadał, a wszyscy chętnie się do kieliszków brali, bych wesela rzetelnie zażyć.

Na ławach pod oknem przysiadł młynarz z Boryną, wójt, organista i co pierwsi gospodarze. Już tam niezgorsza butelka araku krążyła z rąk do rąk, a niejedną kolejką; jeszcze im i piwa donosili – gęsto przepijali, bo się już brać poczynali w ramiona i sielnie kumać!

I na izbie dosyć stało narodu, pozbijali się w kupy, jak komu i z kim było do upodoby, poredzali głośno i zabawiali się niezgorzej kieliszkami.

A w komorze, oświetlonej lampą pożyczoną od organistów, zebrały się gospodynie z organiściwą i młynarową na czele, po skrzyniach, to ławach przyrzuconych wełniakami godnie się

rozsiadły, miód przez zęby cedziły i słodki placek delikatnie palcami poskubywały, a z rzadka jeśli która rzuciła to słowo jakie: słuchały uważnie, co młynarzowa rozpowiadała o dzieciach swoich.

Nawet w sieniach była ciżba i jeszcze na drugą stronę się cisnęli, aż Ewka wyganiała, bo szykowali pilnie do wieczery, od której już po całym domu zapachy szły smakowite, że niejednemu w nozdrzach wierciło.

Młodzież wysypała się przed dom, w opłotki i na przyzby; noc była zimna, cicha a oroszona gwiazdami, to się przechładzali i bawili wesoło, aż się trzęsło od śmiechów, wrzasków i biegań, bo niejedni po sadzie się uganiali za sobą, że starsi krzykali im z okien:

– Kwiatusków szukacie? Byście, dziewczyny, czego innego nie pogubiły po nocy!

Słuchał to ich kto?

Zaś po pierwszej izbie Jagusia i Nastka Gołębianka chodziły, trzymały się w pół i ciągiem buchały śmiechem, i coś sobie na ucho opowiadały – naglądał za nimi Szymek, starszy Dominikowej, z Nastki oczów nie spuszczał, a co trochę z wódką do niej podchodził, zęby szczyrzył i zagadywał.

Kował wystrojony odświętnie, w czarnej kapocie i w portkach na cholewy wyłożonych, uwijał się najraźniej, wszędzie był, ze wszystkimi pił, zapraszał, częstował, rajcował i zwijał się, że coraz to w innej stronie widniał jego rudy łeb i piegowata twarz.

Młodzi przetańcowali parę razy, ale krótko i bez wielkiej

ochoty, bo się za wieczerzą oglądali.

Starsi zaś poradzali, wójt, że był już napity, coraz głośniejsze mówił, wypuczał się, pięścią w stół walił i nakazywał:

– Wójt wama to mówi, to wierzcie. Urzędnik jestem, papier do mnie przyszedł z nakazem, by gromadę zwołać i z morgi grosz jaki na szkołę uchwalić...

– Wy sobie, Pietrze, uchwalcie i po dziesiątku z morgi, a my i tego grosza nie damy!

– Nie damy! – huknął któryś.

– Cicho, trzeba, kiej urzędowa osoba powiada...

– Szkoły nam takiej nie potrzeba! – powiedział Boryna.

– A nie potrzeba! – powtórzyli inni chórem.

– Cie... w Woli szkoła jest, bez trzy zimy moje dzieci chodziły i co?... To nawet na książce tego pacierza rozebrać nie potrafią... na psa taka nauka!

– Matki niechaj pacierza uczą, szkoła nie od tego, ja, wójt, wama mówię.

– A niby od czego? – wrzasnął ten z Woli podrywając się z ławy.

– Ja, wójt, wama rzeknę, ino pilnie słuchajcie... zaraz, po pierwsze... – ale nie wywiódł do końca, bo Szymon na cały stół wykrzykiwał, że już ten las sprzedany Żydy ocechowały<sup>72</sup> i rąbać wnet będą, czekają jeno mrozów i sanny.

– Niech cechują, na wycięcie poczekają... – wtrącił Boryna.

---

<sup>72</sup> *ocechować* – oznakować (w tym wypadku chodzi o zaznaczenie drzew do wycięcia). [przypis edytorski]

– Do komisarza ze skargą pójdziemy.

– Nie to, komisarz zawsze z dziedzicem trzyma, a gromadą iść, rębaczów rozpędzić.

– Ani jednego chojaka ściąć nie pozwolić!

– Skargę do sądu podać!

– Pijcie do mnie, Macieju, nie pora teraz uradzać! Po pijanemu łącno wygrażać choćby i Panu Bogu! – zawołał młynarz nalewając. Nie w smak mu szły te rozmowy i odgrażania, bo się z Żydami był ugodził i miał im drzewo na swoim tartaku przy młynie rznąć.

Przepili i z miejsc się podnieśli, bo już zaczęli szykować do wieczerzy i wszelki sprzęt potrzebny znosić na stoły i ustawiać.

Ale gospodarze nie zaniechali lasu, jakże, bołaczka to była piekąca, więc się stłoczyli w kupę i przyciszywszy głosy przed młynarzem radzili i umawiali się, by do Boryny się zejść i coś postanowić... ale nie skończyli, bo wszedł Jambroży i prosto do nich przystał. Spóźnił się, z dobrodziejem do chorego jeździł aż na trzecią wieś, do Krosnowy, to teraz ostro wziął się do picia, aby dogonić... nie zdążył jednak, bo już starsze kobiety zaśpiewały chórem:

A dokoła, družbeczkowie, dokoła;  
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!

A na to, rumor czyniąc ławami, odkrzykli družbowie:

A dyć my już poprosili – już siedzą.

Dajcie ino co dobrego – to zjedzą!

I z wolna zaczęli za stoły iść, a usadzać się na ławach.

Juści, że na pierwszym miejscu państwo młodzi, a w podle nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie aż do druchen i dzieci – a ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian.

Tylko druźbowie nie siedli, by posługi czynić, i muzykanci.

Gwar przycichł, organista stojący odmawiał w głos modlitwę – jeno kowal powtarzał za nim, bo pono na łacinie się rozumiał, a potem przepijali po tym kieliszeczku na zdrowie i dobry smak.

Kucharki wraz z druźbami wnosić poczęły dymiące ogromne donice z jadłem i przyśpiewywały:

Niesiem rosół z ryżem —  
A w nim kurę z pierzem!

A przy drugiej potrawie:

Opieprzone słone flaki,  
Jedźże, siaki taki!

Muzyka zaś zasiadła pod kominem i przygrywała z cicha piosneczki różne, bych się smaczniej jadło.

Pojadali też przystojnie, wolno, w milczeniu prawie, bo mało kto rzucił jakie słowo, że ino mlaskanie a skrzybot łyżek zapełniały izbę, a gdy sobie już nieco podjedli i głód pierwszy

zasycili, kowal znowu flaszkę puścił w kolejkę, przy czym już i poczynali prawie z cicha, i przemawiać do się przez stoły.

Jagusia jedna jakby nic nie jadła, próżno ją Boryna niewolił, w pół brał i jak to dzieciątko prosił, cóż, kiedy nawet mięsa przełknąć nie mogła, utrudzona była wielce i rozgrzana – tyle że to piwo zimne popijała, a oczami wodziła po izbie i coś niecoś nasłuchiwała Borynowych szeptów.

– Jaguś, kumentna<sup>73</sup> jesteś, co? Śliczności ty moje! Jaguś, nie bój się, dobrze ci u mnie będzie, jak i u matuli nie było lepiej... Panią se będziesz, Jaguś, panią... dziewczkę ci przynajmę, byś się zbytnio nie utrudzała... obaczysz!... – pogadywał z cicha, a w oczy miłośnie patrzył, na ludzi już nie bacząc, aż się w głos przekpiwali z niego.

– Jak ten kot do sperki się dobiera.

– A bo też spaśna, kiej ta lepa!

– Stary kręci się i nogami przebiera, niczym ten kogut!

– Użyje se jucha stary, użyje! – wołał wójt.

– Jak ten pies na mrozie – mruknął zgryźliwie stary Szymon.

Gruchnęli śmiechem, a młynarz aż się pokładał na stole i pięścią grzmocił z uciechy.

Kucharki znowu zaśpiewały:

Niesiem miski tłustej jagły,

By se chudzielce podjadły!

---

<sup>73</sup> *kumentna* – kontenta, zadowolona. [przypis edytorski]

– Jagno, przychyl no się, to ci coś rzeknę! – mówił wójt, przechylił się za Boryną, bo tuż przy nim siedział, i uskubnął ją w boka – a to mę na chrzestnego proś! – zawołał ze śmiechem i łakomymi oczami po niej wodził, bo mu się strasznie udała.

Poczerwieniła mocno, a kobiety na to buchnęły śmiechem i dalejże przekpiwać, dowcipy trefne sadzić i poredzać, jak się ma z chłopem obchodzić!

– A pierzynę co wieczór przed kominem nagrzewaj.

– Głównie tłusto jeść dawać, a krzepę miał będzie...

– I przypodchlibiaj, za szyję często ułapiaj.

– A miętko dzierz, to i nie pozna, gdzie go zawiedziesz! – jedna po drugiej prawyły, jak to zwyczajnie kobiety, kiedy sobie podpiją i ozorom wolność dadzą.

Izba aż się trzęsła od śmiechu, a one tak rozpuszczały gęby, aż młynarzowa zaczęła im przekładać, by względ miały na dziewuchy i na dzieci, a organista też dowodził, że to wielki grzech siać zgorszenie i zły przykład dawać.

– Bo – prawil – Pan Jezus nam rzekł i święci apostołowie, co wszystko w łacińskich książkach jak wół stoi wypisane, że lepiej zabić niżli masz zgorszyć, bo jako te niewiniątka zgorszysz, to jakby mnie samego; tak stoi w Piśmie świętym – bo niepomiarkowanie w picciu, w jadle jak i w uczynkach srogo karany będzie, to wam, ludzie kochane, mówię – bełkotał niewyraźnie, bo nie po jednym już był ni po dwóch...

– Kalikant jucha, zabawy będzie ludziom bronił.

– O księdza się obciera, to myśli, że święty!

– Niechaj se uszy kapotą zatka! – leciały nieprzychylnie głosy, bo nie lubiano go we wsi.

– Wesele dzisiaj, to nie grzech się zabawić, pośmiać z czego wesołego i ucieszyć, to już ja, wójt, to wama mówię, moi ludzie.

– A na ten przykład i Jezus po weselach bywał i wino pijał...  
– dorzucił poważnie Jambroży, ale cicho, bo już pijany był, a że w końcu przy drzwiach siedział, nikt go nie słyszał – i mówić wszyscy zaczęli, śmiać się, trącać kieliszkami, a coraz wolniej pojadać, aby się do syta najeść; niejeden już i pasa popuszczał, przeciągał się, by więcej zmieścić...

Kucharki znowu z miskami nowymi szły i śpiewały:

Chrząkała, kwiczała, w ogródeczku ryła,  
Będzie teraz gospodarzom za szkodę płaciła!

– Wyszadzili się, no, no! – dziwili się ludzie.

– Jakże, z tysiąc złotych kosztuje wesele...

– Opłaciło się niezgorzej, bo to nie zapisał sześciu morgów!

– Za tę dziecińską krzywdę se balują.

– A Jagna siedzi jak ten mruk.

– Maciej za to ślepiami świeci kiej żbik!

– Kiej to próchno, moiściewy, kiej próchno!

– Będzie on jeszcze płakał.

– Nie jest on z tych, co płaczą, do kija prędzej się weźmie...

– To samom mówiła wójtowy, jak o zmówinach powiedziała.

– Czemu to ona dzisiaj nie przysła?

– Jakże, leda dzień zlegnie...

– Rękę bym sobie dała uciąć, że niedługo, niech ino muzyki zaczną w karczmie, to Jagna ganiać będzie za parobkami.

– Mateusz ino czeka tego!

– Hale, hale?

– Przeciech! Wawrzonowa słyszała, co wygadywał w karczmie.

– Że go to nie prosili do muzyki?

– Stary chciał, ino Dominikowa się przeciwiała, wszyscy wiedzą, co było, to jakże?...

– Przykłada każdy, a widział kto?

– To niby po próznicy pogadują!

– A Bartek Kozieł wypatrzył ich na zwiesnę w boru...

– Kozieł jest złodziej i cygan, miał z Paczesiową sprawę o świnie i bez złość wygaduje...

– I inni mają oczy widzące, mają...

– I źle się to skończy, obaczycie... juści, mnie to nic do tego, ale tak myślę, że się Antkom krzywda stała i dzieciom, to i kara przyjsć przyjdzie za to.

– Pewnie, Pan Jezus nie rychliwy, ale sprawiedliwy...

– O Antku tyż coś niecoś napomykali, że tu i ówdzie widywali ich razem, jak się zmawiali... – przyciszyły głosy i rajcowały coraz złośliwiej, i nicowały nieubłaganie całą rodzinę, nie darowując i starej, a litując się nad chłopakami najbardziej.

– A bo to nie grzech! Parobki pod wąsem, Szymek ma już dobrze na trzydzieści i żenić mu się nie da, z domu nie popuści

i o bele co piekluje.

– Przecie to i wstyd, chłopcy tyle, a wszystkie kobiece roboty robią...

– By sobie ino Jagusia rączków nie powalała<sup>74</sup>!

– A po pięć morgów mają i żenić by się już mogli!

– Tyle dziewczyn jest we wsi...

– A wasza Marcycha najdawniej czeka i grunt przyległy do Paczesiowego!

– Baczcie na swoją Franękę lepiej, by się czego z Adamem nie doczekała!

– Stara jest piekielnica, to wiadomo, ale chłopaki też niezguły i ciamajdy!

– Tyle paroby, a matczynej kiecki boją się puścić!

– Puszczą się... już dzisiaj Szymek ciągiem chodzi za Nastką Gołębianką.

– Ociec ich był taki sam, dobrze baczę, a stara za młodu nie lepsza od Jagusi!...

– Jaki korzeń, taka nać! – taka córka, jaka mać!

Muzyka przycichła, grajkowie jeść poszli na drugą stronę, bo wieczerza się skończyła.

Cicho się nagle uczyniło niby w kościele podczas Podniesienia – po chwili jednak gwar buchnął jeszcze mocniejszy, aż się zakotłowało, wszyscy naraz mówili, krzyczeli a dowodzili sobie przez stoły, że już jeden drugiego nie słyszał.

Podali na ostatku, dla wybranych, krupnik, miodem

---

<sup>74</sup> *powalać* – pobrudzić. [przypis edytorski]

i korzeniami zaprawiony, a reszcie szczerze stawiali tęgą okowitkę i piwo.

Mało kto zważał, co pije, bo już się ze łbów kurzyło niezgorzej i kumentność rozbierała. Siadali, jak było poręczniej, kapoty rozpinali z gorąca, pokładali się na stołach. Walili pięściami, aż miski podskakiwały, chwytali się w pół, to za orzydła, to ułapiali za szyję a raili, wyżalali się – jak brat przed bratem, kiej ten krześcijan prawy przed krześcijanem i somsiadem.

– Źle jest na świecie! Juści! Marnacja człowiekowi a to biedowanie jeno...

– Poszły, psiekrwie... – Pod stołami psy gryzły się o kości.

...A pocięcha ino w tym, kiej somsiad z somsiadem się zejdzie i przy tym kieliszku poredzą, wyżalą się i odpuszczą sobie, co tam jeden drugiemu winowaty – juści, nie to wypasione zboże ni przeoranie granicy, bo to już sądy wiedzą i świadkowie przytwierdzą, komu krzywda i komu sprawiedliwość, ale to, co tam po sąsiedzku przytrafić się przytrafi – czy kiej gadzina spyszcze w sadzie, czy baby się poswarzą abo dzieciaki się pobiją, jak to różnie się zdarzy... Dyć wesele od tego, bych zawziętość stajała i braterstwo a zgoda rosły między ludźmi!

– Choćby jeno na ten czas weselny, na dzień jeden!

– A jutro samo przyjdzie! Hej! Nie uciekniesz przed dołą, chyba pod tę świętą ziemię; przyjdzie, za łeb ułapi, jarzmo na kark włoży, biedą popędzi i ciągnij, narodzie, a potem i krwią się oblewaj, swego bacz, z garści nie popuszczaj ni na to oczymgnienie, byś się pod koła nie zaplątał!

– Na braci Pan Jezus stworzył ludzi, a wilkami są ła siebie!

– Nie wilkami, nie, to jeno bieda podjudza, kłyźni i jednych na drugich rzuca, że gryzą się jak te psy o gnat objedzony!

– Nie sama bieda, nie, zły to ćmę na naród rzuca, że nie rozeznają, co dobre, a złe!

– Prawda, prawda, i dmucha w duszę kiej w to zarzewie przygastę, aż chciwość i złość, i wszystkie grzechy rozdmucha!

– Juści, któren głuchy jest na przykazania, ten ochotniej słuca piekielnej muzyki!

– Drzewiej nie tak bywało! Posłuch był, poszanowanie starszych i zgoda!

– I grontu kaźden miał, co ino mógł obrobić, a pastwisk, a łąk, a boru.

– A o podatkach kto kiedy słyssał?

– Abo drzewo kupował kto?... Jechał do boru i brał, ile komu było potrza, a choćby i tę najlepszą sosnę czy dęba!... Co było dziedzicowe, było i chłopskie.

– A teraz ni dziedzicowe, ni chłopskie – żydoskie jest abo i kogo gorszego.

– Ścierwy! Piłem do was, pijcie do mnie! Usadziły się jakby na swoim – pijcie no, dobre twoje, dobre i moje, bych sprawiedliwość we wszystkim była...

– Dziedzice parszywe! W wasze ręce! Gorzałka nie grzech, byle jeno przy godnym sposobie i z bratami, to na zdrowie idzie, krew czyści i choróbska odciaga!

– Jak pić, to już całą kwartę, jak się weselić, to już całą

niedzielę. A masz, człowieku, robotę? – pilno rób, kulasów nie żałuj i szczerze się przykładaj! A zdarzy się na ten przykład okazja – wesele, chrzciny albo i zamrze się komu – pofolguj sobie, odpoczywaj, obserwuj i uciechę miej! – A źle wypadnie – kobieta się zmarnuje, bydle ci zdechnie, pogorzel przyjdzie – wola boska, nie przeciw się, bo i cóż, chudziaku, poredzisz krzykaniem a płaczem? – nic; spokojności się ino zbędziesz, że nawet to jadło pokrzywą ci się w gębie wyda! – Cierp przeto i dufaj w Panajezusowe miłosierdzie... Przyjdzie gorsze, kostucha ułapi cię za grdykę i w ślepie zajrzy – nie próbuj się wypsnąć, nie twoja moc – bo wszystko jest w boskim ręku...

– Juści, kto tam wymiarkuje, kiej Jezus rzeknie: „Do tela twoje – od tela moje, człowieku.”

– Tak to, tak! Górą, kiej to błyskanie, lecą boskie przykazy, a nikt, żeby ksiądz, żeby najmądrzejszy, ich nie przejrzy przódzi, aż padną na naród ziarnem dojrzałym!

– A ty, człowieku, masz tylko jedno wiedzieć – byś swoje robił i żył, jak przykazania święte nakazują, a przed się nie wyglądał... Pan Jezus wszystkim zasługi szykuje i wypłaci rzetelnie, co ino komu przypadnie...

– Tym ci polski naród stał – to i tak ma być aż po wiek wieków. Amen!

– A cierpliwością i bramy piekielne przemoże.

Tak sobie pogwarzali, gęsto przepijając, a każdy wypowiadał, co miał na sercu i co mu dawno ością stało w grdyce! A najwięcej i najgłośniej gadał Jambroży, juści, że go niewiela słuchali,

bo kuźden mówił i swojego chciał dowieść, mało bacząc na drugich... W izbie wrzało już i kotłowało się coraz bardziej, gdy Ewka z Jagustynką weszły, niosąc przed sobą z wielką paradą przystrojoną warząchew. Muzykant, który szedł za nimi, przygrywał na skrzypkach, a one śpiewały:

Da powoli, powoli —  
Da od stołów wstawajcie!  
Po trzy grosze za potrawę,  
Po dziesiątku za przyprawę —  
Da kuchareczkom dajcie!

Naród był syty, podochocony i zmiękły dobrym jadłem i napitkiem częstym, to niektórzy i srebrne pieniądze rzucali na warząchew.

Wraz też dźwigać się jęli z za stołów i z wolna rozchodzili – którzy na powietrze wytchnąć, którzy w sieniach albo i na izbie przystawali i dalej dyskursa ciągnęli, insi zaś obłapiali się z przyjacielstwa, a niejeden już się potaczał i po ścianach łbem orał albo drugich jako ten baran trykał – co i nie dziwota, bo wieczerza była rześisto gorzałką przeplatana.

Za stołem pozostał ino wójt z młynarzem, kłócili się i z gorącością niepomierłą skakali do siebie jak jastrzębie, aż Jambroży chciał ich wódką godzić.

– Kruchty pilnuj, dziadu, a do gospodarzy ci zasie – warknął wójt.

Odszedł markotny, butelkę do piersi cisnął, kuszykał głośno

i szukał, z kim by się mógł po przyjacielsku napić i nagadać.

Młódź zaś wysypała się w opłotki, to trzymając się w pół na drogę wylegali gwarzyć i gzić się – aże dudniało od przegonów i wrzawy – noc była jasna, księżyc wisiał nad stawem tak mocno błyszczącym, że i najśłabsze kręgi, co się roztaczały jakby od uderzeń światła, widne były niby węże półkolisto sunące w cichości; przymrozek brał niezgorszy, gruda się łamała pod nogami i szron pobieliał dachy, i już przytrząsał sędzielizną ziemię.

Późno już było, bo pierwsze kury odzywały się po wsi.

A w izbie tymczasem czyniono porządek i szykowano do tańców.

I skoro muzykanci podjedli i nieco wypoczęli, jęli z cicha przegrywać, by się weselnicy pościągali do kupy.

Ale nie potraza ich było długo naganiać, hurmą się sypnęli do izby, bo skrzypki tak niewoliły do tańca, że już same nogi niesły – na darmo jednak, parobcy czuli się jeszcze przyciężko po wieczerzy, pokręcił się zdziebko jeden i drugi i wnet uciekali do sieni zakurzyć papierosa abo i te ściany mocne podpierać.

Jagnę wprowadziły kobiety do komory, Boryna na przyzbie z Dominikową siedział, a co starsi zalegli ławy i kąty i poredzali, że ino na izbie dziewczyny ostały i prześmiewały się między sobą, ale że im się to zmierziło rychło, zarządziły zabawę w gry różne, bych prędzej chłopaków rozruchać.

Najpierw zabawiali się w „Chodzi lis koło drogi, nie ma ręki ani nogi”.

Na lisa przebrali w kozuch do góry wełną Jaśka, z przydomka Przewrotny – gap to był, niedojda i prześmiewisko całej wsi. Parob już wyrosły, a z otwartą gębą chodził, z dziećmi się zabawiał, do wszystkich dziewczyn się zalecał, a mocno głupawy, ale że to jedynak na dziesięciu morgach, to go wszędy prosili – zajączkiem zaś była Józia Borynianka.

Śmieli się też, śmieli, mój Jezus!

Co krok, to Jasiek się rozczapierzał i bęc jak ta kłoda na ziemię, że mu to i nogi podstawiali, a Józia tak utrafnie kicała, stawała słupka i wargami ruchała, niczym żywy zajac.

A potem w „Przepiórkę”.

Nastka Gołębianka prowadziła, a tak się zwijała, tak rażno śmigiała po izbie, że nijak jej chycić nie mogli, aż sama im włożyła w ręce, bych ino obtańcowywać koło.

I w „Świnkę” się zabawiali.

A na ostatek któryś z družbów, widzi mi się, Tomek Wachnik, bociana pokazywał; w płachtę na głowę się przyokrył, a spod niej za dziób długi kij wypuścił i klekotał tak zmyślnie, kiej bociek prawdziwy, aż Józia, Witek i co młodsze zaczęły za nim gonić i krzyzczyć:

Kle, kle, kle,

Twoja matka w piekle!

Co ona tam robi?

Dzieciom kluski drobi.

Co złego zrobiła?

Dzieci pomorzyła.

I rozbiegały się z wrzaskiem, i kryły po kątach jak kuropatki, bo gonił, dziobał i bił skrzydłami.

Izba aż się trzęsła od tych śmiechów, krzykań i przegonów.

Z dobrą godzinę trwała zabawa, gdy starszy drużba dał znak, by przycichli.

Kobiety wyprowadzały z komory Jagusię nakrytą białą płachtą i usadziły ją w pośrodku na dzieży pokrytej pierzyną – druhny porwały się niby to ją odbić, ale starsze i chłopci bronili, więc się zbiły naprzeciw i smutno, jakby z płakaniem w głosach zaśpiewały:

A już ci to, już!  
Po wianeczku tuż —  
Kornet wity, czepiec szyty,  
To la ciebie przyzwoity,  
To na główkę włóż!...

Odślonili ją wtedy.

Czepiec już miała na zwiniętych, grubych warkoczach, ale jeszcze się urodniejsza wydała w tym przybraniu, bo i roześmiana była, wesoła i jarzącymi oczami wodziła po wszystkich.

Muzyka zagrała wolno i cały naród zebrany, starzy i młodzi, dzieci nawet, zaśpiewali „Chmiela” jednym ogromnym głosem radości. A po prześpiewaniu same ino gospodynie brały ją do tańca.

Jagustynka, że sobie już podpita, ujęła się pod boki i nuż do niej przyśpiewkami rzucać:

Da żebym ja wiedziała,  
Da że pójdziesz za wdowca,  
Da uwiłabym ci wieniec,  
Da z samego jałowca!

A insze jeszcze barzej przytykliwe i kołące.

Ale nikt na to nie baczył, bo już muzykanci rznęli ze wszystkiej mocy i naród w tany szedł; zadudniało z nagła, jakby sto cepów biło w boisko, i nierozplątana gęstwa zaroila się w izbie, bo jedni za drugimi szli, para za parą, głowa przy głowie, a pędu nabierali – więc kapoty puścili na wiatr, kołysali się szeroko, przybijali obcasami, kapeluszkami potrząchali, a czasem któryś piesneczką huknął, to dzieuchy zawiedły „da dana” i wili się coraz prędzej, kolebali do taktu i szli w taki tan chybki, zadzierzysty, kołujący, zapamiętały, że już i nie rozeznał nikogo w ciźbie; a co skrzypki huknęły nutą drygliwą, to sto hołubców biło w podłogę, sto głosów krzykało z mocą i sto narodu zawracało w miejscu, jak kieby wichler zakręcił – że ino furkot szedł od kapot, wełniaków, chustek, wiewających po izbie, niby te ptaki barwiste.

Przeszedł pacierz, dwa i trzy, a oni ciągiem tańcowali bez wytchnienia, bez przestanku, podłoga dudniła, ściany się trzęsły i izba wrzała hukiem, a ochota jeszcze rosła, jak te wody po ulewie – to ino kotłowało się i przewalało po izbie.

A gdy skończyli, odprawować poczęli obrządki różne, jak to jest zwyczajnie przy oczepinach.

Najpierw Jagusia musiała wkupywać się do gospodyń!

A potem jednym ciągiem odprawiali drugie ceremonie; aż parobcy uczynili długie powrósł z nieomłóconej pszenicy i opasali nim wielgachne koło, które druhny pilnie trzymały i strzegły, a Jagusia stała w pośrodku: chciał z nią któregoś tańcować, podchodzić musiał, wrywać przez moc i hulać w kole, nie bacząc, że go ta i prażyły drugimi powrósłami po słabiznie.

Zaś na dokończenie młynarzowa i Wachnikowa zaczęły zbierać na czepiec. Pierwszy wójt rzucił złoty pieniądz na talerz, a za nim, kiej ten grad brzękliwy, posypały się srebrne ruble i jako te listeczki na jesieni, papierki leciały.

Więcej niżli trzysta złotych zebrali!

Sielny karwas grosza, ale mucha to la Dominikowej, nie stała ona o darmochoy, bo swojego miała dosyć, jeno że la Jagusi tak się ochotnie szkodowali, to ją całkiem rozebrało, że rzewliwego płakania wstrzymać nie mogła; krzyknęła na chłopaków, by podawali gorzałkę, i sama jeła częstować, przepijać i przez te łzy, co jej ciekły, kumy i kumów całowała.

– Pijcie, sąsiedzi!... pijta, ludzie kochane, braty rodzone! ... Jakobym zwiesnę w sercu miała... za Jagusine zdrowie... jeszcze ten kieliszek... jeszcze... – a za nią kowal przepijał z drugimi i chłopaki z osobna – boć narodu była gęstwa niemała; Jaguś znowu dziękowała od siebie za dobrość i co starszych

podejmowała za kolana!...

Zawrzało w izbie, bo i kieliszki gęsto szły z rąk do rąk, i gorącość buchała ze wszystkich, i uciecha! Twarze się rumieniły, oczy połyskiwały i serca się rwały do serc, po bratersku, po sąsiedzku. Hej! Raz kozie śmierć, tyle człowiekowego, co użyje z bratami, co się poweseli i zabaczy o świecie całym! Ino kostucha bierze każdego z osobna, a na wesela trza chodzić kupą i radować się kompanią całą. Kupami też zalegali izbę, przepijali i raili wesoło, a każdego swoje głośno przekładał, że już i jeden drugiego nie słyszał, ale nic to, bo i tak jedno czuli, i jedna radość ich sprzęgała do kupy i wskroś przenikała!

A któren masz smutki, na jutro je ostaw, dzisiaj się zabawiaj, przyjacielstwa używaj, duszę ciesz! Jako tej świętej ziemi Pan Jezus daje odpoczywanie po letnim rodzeniu, tak i człowiekowi godzi się wypocząć jesienią, kiej w polu obrobił. A kiej masz, człowieku, brogi pełne i stodoły pełne ważnego jako to złoto zboża, co ino na cepy czeka, to se używaj za letnie trudy, za harowanie, za mitręgi!

Tak sobie poredzali jedni, a inni znowu różne swoje żale i sprawy wywodzili przed sobą; drudzy zasie, co to nie tylko krowi ogon widzieli abo te babie wszy, koło starego Szymona się kupili i pogadywali o czasach dawnych, świeżych krzywdach, podatkach i sprawach gromady całej, a z cicha mówili, ile że i o wójtowych sprawkach.

Boryna ino do żadnej kupy nie przystawał, chodził od jednych

do drugich, a ciągiem oczyma za Jagną wodził i sielnie się puszył, że to urodna taka, a raz wraz muzykantom złotówki rzucał, bych smyczków nie żalowali, bo grali z cicha, odpoczywający.

To i z nagła huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości, a Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, a przyklękaniem z nagła zawijał, to trzających po izbie się nosił szeroko, od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał, że mu po muzycku odkrzykali, i dalej hulał siarczyście i tan wiódł zapamiętałe, bo za nim drugie pary jęły się z kup wrywać i przytupywać, śpiewać, tańcować i co ten największy pęd brać, że jakby sto wrzecion, pełnych różnobarwnej wełny, wiło się po izbie z turkotem i okręcało tak szybko, że już żadne oko nie rozeznało, gdzie chłop, gdzie kobieta; nic, ino jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniła się i wiła coraz prędzej, wścieklej, zapamiętałej, aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpierzchłą, świetlistą smugą, iskrzyła się wrzącym srebrem wskroś ciemności i wskroś wirującej gęstwy ludzkiej, co nadpływała spienioną, rozśpiewaną falą, migotała i kłębiła się w tych brzaskach jako w sennym widzeniu i przepadała w ćmie nieprzeniknionej, by się znowu wynurzyć i zamajaczyć na mgnienie przed drugą ścianą, na której tknięte światłem szkła obrazów pryskały i mżyły ogniami, i przewalić się, i stoczyć

w noc, że tylko ciężkie dychanie, tupoty, krzyki rwały się, płątały i huczały głucho w oślepej izbie.

A ciągnęły się już te tany łańcuchem jednym, bez przerwy ni przestanku... bo co muzyka zaczynała rznąć nowego, naród się podnosił z nagłą, prostował jak bór i szedł z miejsca pędem takiej mocy jak huragan; trzask hołubców rozlegał się jak bicie piorunów, krzyk ochotny trząsł całym domem i rzucali się w tan z zapamiętaniem, z szaleństwem, jakoby w burzę i bój, na śmierć i życie.

I tańcowali!

...Owe krakowiaki, drygliwe, baraszkujące, ucinaną, brzękliwą nutą i skokliwymi przyśpiewkami sadzone, jako te pasy nabijane, a pełne śmiechów i swawoli; pełne weselnej gędzby i bujnej, mocnej, zuchowatej młodości i wraz pełne figlów uciesznych, przegonów i waru krwi młodej kochania pragnącej. Hej!

...Owe mazury, długie kiej miedze, rozłożyste jako te grusze Maćkowe, huczne a szerokie niby te równie nieobjęte, przyciężkie a strzeliste, tęskliwe a zuchwałę, posuwiste a groźne, godne a zabijackie i nieustępliwe, jako te chłopcy, co zwarci w kupę niby w ten bór wyniosły, runęli w tan z pokrzykami i mocą taką, że choćby w stu na tysiące iść, że choćby świat cały porwać, sprać, stratować, w drzazgi rozbić i na obcasach roznieść, i samym przepaść, a jeszcze tam i po śmierci tańcować, hołubce bić i ostro, po mazursku pokrzykiwać: „da dana!”

...Owe obertasy, krótkie, rwane, zawrotne, wściekłe,

oszalałe, zawadiackie a rzewliwe, siarczyste a zadumane i żalną nutą przeplecione, warem krwi ognistej tętniące a dobrości pełne i kochania, jako chmura gradowa z nagłą spadające, a pełne głosów serdecznych, pełne modrych patrzyń, wiośnianych tchnień, woniejących poszumów, okwietnych sadów; jako te pola o wiośnie rozśpiewane, że i łza przez śmiechy płynie, i serce śpiewa radością, i dusza tęskliwie rwie się za te rozłogi szerokie, za te lasy dalekie, we świat wszystek idzie marząca i „oj da dana!” przyśpiewuje.

Takie to tany nieopowiedziane szły za tanami.

Bo tak ano chłopski naród się weseli w przygodny czas.

Takoż się zabawiali na weselu Jagusiny z Boryną!

Godziny biegły za godzinami i przepadały niepamiętliwie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznym zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało na wschodzie i przedświtowe brzaski ściekały z wolna i rozbielały noc. Gwiazdy pobladyły, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów i przeciągał, jakby rozdmuchując rzednące ciemności; oknami naglądały kudłate, poskręcane drzewa i coraz niżej chyliły oszroniałe i senne łby, a dom wciąż śpiewał i tańcował!

Jakoby łąki i żniwne pola, i sady rozkwitłe zeszyły się na gody i porwane wichurą poszły społem w długi, zawrotny, ognisty korowód!

Wywarli drzwi na rozcież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsł się, trzeszczał, pojękiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jako te drzewa i ludzie,

ziemia i gwiazdy, i te płoty, i ten dom stary, i wszystko ujęło się w bary, zwiło w kłęb, splątało, i pijane, oślepte, na nic niepomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało.

Muzyka to ich wiedła, to granie, te piosneczki...

...Basy pohukiwały do taktu i buczały drygający niby bąki, a flet wiódł wtór i pogwizdywał wesoło, świegotał, figle czynił jakby na sprzeciw bębenkowi, któren ucieszny wyskakiwał, brzękadłami wrzaskliwość niecił, baraszkował i trząsł się jako ta żydowska broda na wietrze, a skrzypice wiedły, szły na przedzie, niby ta najlepsza tanecznica, śpiewały zrazu mocno a górnie, jakby głosu próbowały, a potem jeły zawodzić szeroko, przenikliwie, smutnie, kieby rozstajami płacze sieroce kwiliły, aż zakręciły w miejscu i spadły z nagłą, nutą krótką, migotliwą, ostrą, jakby sto par trzasnęło hołubcami i sto chłopca zakrzykało z pełnej piersi, aż dech zapierało i dreszcz szedł po skórze, i wnet jeły kołować, pośpiewywać, zawracać, drobić, przeskakiwać a śmiać się i weselić, że ciepło do serca szło i ochota do łbów biła kiej gorzałka... to znowu śpiewały tą nutą ciągliwą, żalną i płakaniem kiej rosą osutą; tą nutą naszą, kochaną, serdeczną, pijaną mocą wielką i kochaniem, i wiedły w tan ostry, zapamiętały, mazowiecki.

Świt już się stawał coraz jaśniejszy, że światła bladły i izbę zalewał brudny, zmącony mrok, a jeszcze się zabawiali ze wszystkiego serca, a komu mało było poczęstunku, do karczmy po gorzałkę szał, kompanił się i na umor pił.

Kto odszedł, to odszedł, kto się zmęczył, odpoczywał, a któren się opił, na przyzbie spał abo i w sieniach; drudzy zasie, barzej z nóg ścięci, to i pod płotami legali, i gdzie tam padło, a reszta tańcowała do upadłego...

Aż już co trzeźwiejsi zbili się w kupę przy drzwiach, do taktu bili w podłogę i jęli śpiewać:

Zbierajcie się, weselnicy, już nam czas!

Daleka droga,

Głęboka woda,

Ciemny las!

Zbierajcie się, weselnicy, już nam czas!

Znów się zabawimy,

Jutro powrócimy

Na popas!

Ale nikt ich nie słuchał!

## XII

Już na samym świtaniu Witek, umęczony zabawą i wyganiany przez Jagustynkę, pobiegł do chałupy.

Wieś spała jeszcze na dnie mroków, co słały się nisko nad ziemią grubym, rzednącym zwałem, staw leżał martwy, przygnieciony mroczną gęstwą drzew obrzeźnych i tak utopiony w ciemnicy, że ledwie ku środkowi wyleniał się z nocy i majaczył brzaskami niby to oko zasnutę bielmem.

Przymrozek brał mocny, przeciągał zimny wiatr, że skrzepłe powietrze raziło nozdrza i dech zapierało, ziemia dzwoniła pod nogami i zmarzłe kałuże siniały na drodze niby szkła potrzaskane i oślepe, a świat się z wolna rozbielał świtaniem, wychylał z mroków oszroniały i ogłuchły przemarzłą cichością, psy ino jakiś niekaj naszczekiwały sennie, młyn hurkotał w oddali, a weselna wrzawa buchała z chałupy i rozkręcała się szeroko, na dobre śmignięcie kamieniem.

W Borynowej izbie tliło się jeszcze światełko maleńkie jako ten robaczek świętojański, aż Witek zajrzał przez okno; stary Roch siedział przy stole i z książki pośpiewywał pobożne pieśni.

Chłopak cicho przesunął się do obory i jał macać skobla, gdy naraz z wrzaskiem odskoczył, bo pies jakiś rzucił mu się na piersi ze skowytem.

– Łapa! Łapa! Wróciłeś to, piesku, wróciłeś, biedoto! – wykrzykiwał rozeznavszy psa i aż przysiadł na progu z radości.

– Głodnyś, chudziaku, co?

Znalazł za pazuchą zaoszczędzoną na weselu kiełbasę i wtykał mu do pyska, ale Łapa nie rwał się do jadła, jeno szczekał, rzucał mu się na piersi i skomlał z radości.

– Głodziły cię, biedoto, i wygnały we świat! – szeptał otwierając drzwi do obory i zaraz, jak stał, rzucił się na wyrko. – Już ja cię teraz bronił będę i starunek o tobie miał... – mruczał zakopując się w słomę, a pies legł w podłe, warkał i polizywał go po twarzy.

Rychło obaj zasnęli.

A ze stajni obok położonej wołał Kuba słabym, schorzałym głosem, wołał długo, ale Witek spał jak kamień, dopiero Łapa, poznawszy głos, jął zajadle szczekać i targać za kapotę, aż przecknął.

– Czego? – mamrotał przez sen.

– Wody! Tak me rozbiera gorącość... wody!

Choć markotny był i śpik go morzył, zaniósł mu pełne wiadro i podstawił do picia.

– Takim chory, że ledwie zipię... co to warczy?

– A Łapa! Wróciło psisko od Antków!

– Łapa! – szepnął macając w ciemności za psim łbem, a Łapa wyskakiwał, szczekał i darł się na wyrko.

– Witek, załóż koniom siana, bo dzwonią zębami o pusty żłób, a ja się poruszyć nie mogę. Tańczują jeszcze? – pytał po chwili, gdy chłopak stoczył ze stropu siano i zakładał je za drabiny.

– Cheba na południe skończą, a tak się niektóre popiły, że na

drodze leżą.

– Używają se gospodarze, używają – westchnął ciężko. – Młynarze byli?

– Byli, ino rychlej poszli.

– Narodu dużo?

– Kto by ta porachował?... Aż się przelewało w chałupie.

– Przyjmowali suto?

– Kiej we dworze jakim. Mięso całymi michami roznosili, a co gorzałki wychlali, a co piwa, co miodu! Samych kiełbas były trzy niecki czubate.

– Przenosiny kiedy?

– A dzisiaj na odwieczerzy.

– Użyją se jeszcze, nacieszą się... Mój Jezu, myślałech, że jaką kosteczkę ogryzę i podjem se choć raz do sytu, a tu leż, zdychaj i nasłuchuj, jak się drugie zabawiają.

Witek poszedł spać.

– Żeby choć te oczy napaść... żeby...

Zamilkł znużony, żuł w sobie żal, a jakieś ciche, nieśmiałe skargi jako te ptaszki ustałe, tłukły mu się po piersiach i boleśnie piukały.

– Niech im ta pójdzie na zdrowie, niech choć oni żyją... – myślał pogładzając psi łeb.

Gorączka mroczyła go coraz bardziej, więc jakby na odegnanie zaczął szeptać pacierz i Panu Jezusowemu miłosierdziu oddawał się gorąco na wolę i niewolę, ale zapominał słów, sen nań spadał raz po raz, a ciąg szeptów, nabrzmiałych

prośbą i łzami, rwał się i rozsypywał niby czerwone paciorki, że chciał je zgarniać, tak widno toczyły się po kozuchu; zapominał jednak o wszystkim, zasypiał...

Budził się czasami, wodził pustym wzrokiem i nic nie rozeznawszy zapadał znowu, leciał w martwą, trupią ćmę.

To znowu jęczał i tak krzyczał przez sen, aż konie z chrapaniem rwały się na łańcuchach, trzeźwiał nieco i unosił głowy.

– Jezus, żeby choć dnia doczekać! – jęczał trwożnie i wybiegał oczyma przez okienko, we świat, za dniem; słońca szukał po niebie szarym, ostygłym i poprzebijanym blednącymi gwiazdami...

Ale dzień był jeszcze daleko.

Stajnia tonęła w mętnej kurzawie brzasków, że już kontury koni jęły się wycinać, a drabiny pod okienkami, niby żebra, prześwitywały pod światło...

Już nie zasypiał, bo bóle nań przyszły nowe, wślizgiwały się w nogę niby sękate kije i tak rozpierały, tak wierciły, tak piekły, jakby kto żywym ogniem rany przysypywał, że zerwał się nagle i zaczął ze wszystkich sił krzyczeć, aż Witek się obudził i przybiegł.

– Zamrę już! Zamrę! Tak mnie boli, tak we mnie choroba rośnie i dusi... Witek, bieżyj po Jambroża... o Jezus, albo Jagustynki zawołaj... może co poredzą, bo już nie wydzierzę... już ta ostatnia godzina na mnie idzie... ten czas ostatni... – buchnął strasznym płaczem, zarył twarz w słomę i łkał żałością

a strachem.

A Witek mimo rozespania pobiegł na wesele.

Tańcowali jeszcze w najlepsze, ale Jambroży był spity już swoim zwyczajem, stał na drodze wprost domu, potaczał się od stawu do płotów i wyśpiewywał.

Darmo go Witek prosił i za rękaw ciągał, dziad jakby nie słyszał i nie wiedział, co się z nim dzieje, potaczał się ino a śpiewał zapamiętałe ciągle tę samą śpiewkę.

Pobiegł do Jagustynki, że to i ona znająca była na chorobach, ale stara z kumami siedziała w komorze i tak se przepijały krupnikiem, tak se dogadzały piwem, a tak wraz gadały i jazgotały śpiewaniem, że ani jej było o czym mówić. Raz i drugi skamlał, by szła do Kuby, to go w końcu wyciepnęła za drzwi i coś niecoś pięścią przyłożyła na drogę; z płaczem poleciał do stajni, tyle ano wskórawszy.

A że Kuba był zasnął znowu na tę chwilę, więc zakopał się w słomę, przyokrył łachami na głowę i spał.

Dobrze po śniadaniu obudziło go porykiwanie krów głodnych i nie wydojonych i piekłowanie Jagustynki, która zaspawszy jak i drudzy, krzykiem nadrabiała przy obrządzaniu gospodarstwa.

Dopiero kiej coś niecoś zepchnęła roboty, zajrzała do Kuby.

– Dopomóżcie, poredźcie – prosił cicho.

– A to się ożeń z młódką, a wnet się wylekujesz! – zaczęła wesoło, ale skoro się przyjrzała jego twarzy sinej i obrzękłej, spoważniała prędko. – Księdza ci więcej potrzeba niżli doctora! Cóż ja ci poredzę? Co? Zamówiłabym, okadziła, a bo to

pomoże?... Widzi mi się, żeś ty już chory na śmierć, na czystą śmierć...

– Zamrę?

– W boskiej to mocy, ale widzi mi się, że Kostusi z pazurów się nie wypniesz.

– Zamrę, powiadacie?...

– Po dobrodzieja by ano posłać, co?

– Dobrodzieja! – wykrzyknął zdumiony. – Dobrodzieja przywieść tutaj, do stajni, do mnie?... Co wama po głowie chodzi?

– A cóż to? Z cukru jest i rozpuści się w tym łąjnie końskim? Ksiądz jest od tego, by gdzie go do chorego proszą, szedł.

– Jezus! A miałbym to śmiałość, w ten gnój, do mnie?...

– Głupiś jak ten baran! – cisnęła ramionami i poszła.

– Sama głupia, ani wie, co powiada... – mruknął oburzony srodze, opadł ciężko na barłóg i długo jeszcze rozmyślał. – Zachciało się babie... hale, dobrodziej kochany po pokojach se chodzi... z książek poczytuje... z Panem Bogiem rozmawia... i do mnie by go wołać?... te kobiety to ino aby ozorem mleć... głupia...

I tak już pozostał sam, bo jakby o nim zapomnieli.

Witek czasami naglądał, aby koniom przysypać obroku, napoić, to i jemu podawał wody, i wnet zniknął, leciał na wesele, które znowu zaczęło się zbierać u Dominikowej na przenosiny, a czasami Józka wpadała z krzykiem, wtykała mu kawałek placka, nagadała, natrzepała, nawiała stajnię wrzaskiem, aż kury

gdakały z przestrachu na płotach, i uciekała spieszo.

Juści, miała po co, bo tam się już zabawiali niezgorzej, muzyka huczała przez ściany i krzyki szły wesole a śpiewania.

A Kuba leżał cicho, bo jakoś z rzadka chwytaty go bolenia, więc ino nasłuchiwał i rozeznawał, jak się tam zabawiają, a pogadywał z Łapą, któren nie opuścił go ani na chwilę, i pojadali se społecznie Józiny placek; albo cmokał na konie i przemawiał do nich. Rżały radośnie i odwracały od żłobów łby, a nawet żróbka urwała się z uździenicy i przychodziła do wyrka barszkować i tulić wilgotne a ciepłe chrapy do jego twarzy.

– Schudłaś, biedoto, schudłaś! – Głaskał ją czule i całował po rozdętych nozdrzach. – Nie bój się, wyzdrowieję rychło, to wnet ci boki podkrzepię, choćby i czystym owsem...

Milknął wnet i patrzył bezmyślnie w poczerniałe sęki, z których sączyły się na ściany żywiczne strugi, niby łyzy krwawe i zastygłe...

Słoneczny a przybladły dzień zaglądał przez szpary cichymi oczyma, drzwiami zaś wywartymi buchał szeroki potok jasności skrzęcej, migotliwej, jako złote pajęczyny po ścierniskach, w których trzepały się muchy z sennym, omdlałym brzękiem.

Godziny przechodziły za godzinami i wlekły się wolno, jak te dziady ślepe i kulawe, po srogich piaskach idące z utrudzeniem a w cichości, albo jako ten kamień, co pada w topiel i leci, przepada, ginie, a nawet go oczy człowiecze nie chycą.

Ino czasem wróble rozświegotane wrzaskliwą bandą wpadały do stajni i zuchwale rzucały się na żłoby...

– Jakie to zmyślne juchy! – szeptał. – Takiemu ptaszкови, a Pan Jezus rozum daje, że wie, gdzie pożywienie znaleźć. Cicho, Łapa, niech się pożywią i wspomogą biedoty, bo i na nich zima przyjdzie. – Przyciszał, bo pies skoczył wypędzać rabusiów.

Świnie zaczęły kwiczeć w podwórzu i cochać się<sup>75</sup> o węgły<sup>76</sup>, aż stajnia drgała, a potem jęły wtykać w drzwi długie, obłoczone ryje i pokwikiwać.

– Wypędź, Łapa! Dziadaki jedne, wszystkiego im zawždy mało!

Po nich kury zakrzekorzyły przed progiem, a wielki, czerwony kogut ostrożnie zaglądał, cofał się, bił skrzydłami i krzykał, aż zuchwale wskoczył za próg, do kobiałki pełnej obroku, a za nim reszta, ale nie zdążyły się jeszcze najeść, bo wnet nadciągnęły rozgęgana gromada gęsi, z sykiem migotały w progu czerwone dzioby i chwiałały się białe, powyciągane szyje.

– Wygoń, piesku, wygoń! Swarzą się juchy kiej te baby!

Juści, że wnet się rozległ wrzask, pisk, łomotanie skrzydeł i pióra poleciały kieby z rozprutej pierzyny, bo Łapa nie żałował sobie uciechy; powrócił zziajany, z wywieszonym ozorem i skomlał radośnie.

– Cicho no!

Od domu rozlatywały się gniewne głosy Jagustynki, bieganina i trzaski sprzętów, przewlekanych z izby do izby.

– Gotują się do przenosin!

---

<sup>75</sup> *cochać się* – czochrać, drapać, ocierać. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *węgiet* – narożnik. [przypis edytorski]

Drogą ktoś niektoś przejeżdżał, ale z rzadka, a teraz zasie człapał się z piskiem wóz jakiś; Kuba rozeznawał pilnie.

– Kłębów wóz, w jednego konia i drabinami, pewnie po ściółkę do lasu. Juści, oś w przodku wytarta i bez to się piast przyciera i skrzypi.

Po drogach wciąż snuły się odgłosy kroków, rozmowy, głosy leciały i drgały ledwie dosłyszane, ledwie odczute brzmienia, ale je chwycił w lot i rozpoznawał.

– Stary Pietras do karczmy idzie – mrucał. – Walentowa wykrzykuje... pewnie gąski czyje przeszły na jej stronę... Piekelnica nie baba! Kozłowa widzi mi się... juści... bieży i krzyczy... juści ona!... Pietrek Rafałów... rajcuje jucha, jakby miał kluski w gębie... księża kobyła po wodę jedzie, tak... postaje... zawadza kołami... jeszcze se kiedy kulasy połamię...

I tak se z wolna rozpoznawał wszystko i myślami, i tym widzeniem czującym po wsi chodził, kłopotał się, zabiegał, turbował i żył życiem wsi całej, że ledwie spostrzegł, jak dzień przechodził z wolna; ściany przygasły, drzwi zbladły i stajnia mroczyć poczęła.

Już pod sam wieczór przyszedł Jambroży, nie wytrzeźwiony do cna, bo się jeszcze potaczał i mówił tak prędko, że trudno było rozebrać.

– Nogeś pono wykręcił?

– A obaczcie i poredźcie.

W milczeniu odwijał szmaty przekrwione, zeschłe i tak przywarte do nogi, że Kuba zaczął krzyczeć wniebogłosy.

– I panna przy rodach tak nie kwiczy! – mruknął urągliwie.

– Kiej boli!... A dyć nie szarpacie! Jezus! – wył prawie.

– A to cię uszlachtowali! Pies ci łydkę wyżarł czy co? – wykrzyknął zdumiony, bo łydka była poszarpana, zaropiała, noga spuchła jak konew.

– To... ino nie powiadajcie nikomu... borowy me postrzelił... ino...

– Prawda... śruciny siedzą pod skórą kiej mak... z daleka do cię wygarną? Ho, ho! Kulas widzi mi się na nic już... kosteczki chroboczą ano... Czemuś to zaraz mnie nie wołał?

– Bojałem się... jakby się dowiedziały, na zajączka wyszedłem... ustrzeliłem... i już na polu byłem... a ten kiej nie rypnie do mnie...

– Powiadał kiedyś w karczmie borowy, że ktoś im szkody czyni...

– Hale... szkody... niby to zające należą do kogo... ścierwa... zasadził się na mnie... już na polu byłem, a ten z obu luf strzelił... żeby cię, piekielniku... ino nic nie mówcie... do sądu by pozwały... strażniki... i zarno by i fuzję wzieny... a to nie moja... Myślałech, że samo przejdzie... pomóżcie, bo tak rwie, tak boli...

– Takiś to majster! Taki se ścichapek, lelum polelum, a z dziedzicem zajączkami się dzieli... Cie!... Ale kulasem za tę spółkę zapłacisz...

Obejrzał raz jeszcze i srodze się strapił.

– Za późno, o wiele za późno!

– Poredźcie, poredźcie – jęczał wystraszony.

Już nic nie odrzekł, ino rękawy zakasał, wydobył ostry kozik, nogę ujął krzepko i jął wydlubywać śruciny i ropę wyciskać.

Kuba zrazu ryczał jak zwierz dorzynany, aż mu zatkał gębę kożuchem, ścichł, bo zemdłał z bólu. Oporządził mu nogę, obłożył jakąś maścią, obwinął w nowe szmaty, dopiero go otrzeźwił.

– Do szpitala musisz iść... – mruknął cicho.

– Do szpitala?... – Nieprzytomny był jeszcze.

– Urzneliby ci nogę, to byś może i wyzdrowiał.

– Nogę?...

– Juści, już na nic, zepsuta, czernieje cała.

– Urzneliby? – pytał nie mogąc pojać.

– W kolanie. Nie bój się, mnie kula urwała przy samym zadzie, a żyję.

– To ino urznąć bolejące miejsce i byłbym zdrowym?...

– Jakby kto ręką odjął... ale do szpitala trza ci zaraz iść...

– Nie, bojam się, nie... do szpitala...

– Głupiś!...

– Tam żywcem krają... tam... Oberznijcie wy... co ino zechcecie, zapłacę, oberznijcie... do szpitala nie chcę, wolę już tutaj zdychać...

– To i zdechniesz... doktor ino może ci oberznąć. Pójdę zaraz do wójta, żeby ci na jutro dali podwodę i odwieźli do miasta.

– Próżno pójdziecie, bo do szpitala nie pójdę... – powiedział twardo.

– Hale, będą ci się pytali, głupi!

– Urznąć i zaraz wyzdrowieje... – powtarzał Kuba cicho po jego wyjściu.

Noga przestała go boleć po opatrunku, zdrętwiała tylko aż do pachwiny, a po całym boku czuł, jakby mrówki łąziły, nie zważał na to, bo się głęboko zamedytował.

– Wyzdrowiałbym! Musi być, że i tak jest, przecież Jambroży kulasa całego nie ma... na kuli chodzi... Powieda, że jakby ręką odjął... Ale Boryna by mnie wygnał... juści, parobek bez kulasa... ni do pługa, ni do żadnej roboty. Cóż ja bym począł? Bydło mi ino pasać albo na żebrzy iść... we świat, pod kościół gdzie... abo jak ten stary trep na śmiecie... zdychać pode płotem. Jezus miłosierny! Jezus!

Zrozumiał nagle jasno i aż się podniósł z oslepiającej trwogi.

– Jezus! Jezus! – powtarzał gorączkowo, bezprzytomnie dygocząc cały.

Zaniósł się głębokim, żalnym płaczem, krzykiem niemocy, staczającej się w przepaść bez ratunku.

Długo wył i szamotał się w męce, ale przez te łzy i rozpaczę jęły mu się wić postanowienia jakieś, medytacje, przycichał z wolna, uspokajał się i tak zagłębiał w siebie, że nic nie słyszał; jak przez sen majaczyło mu się granie jakieś, śpiewy, wrzaski bliskie.

W ten sam czas wesele się ano przenosiło do Boryny.

Robili przenosiny Jagusi do męża.

Nieco przódzi przeprowadzili tęgą krowę i przewieźli

skrzynkę, pierzyny i statki różne, jakie w wianie dostawała.

Teraz zaś, może w pacierz po zachodzie, kiej zmrocząło i świat się zaciągał mgłami, bo na odmianę szło, wywalili się od Dominikowej.

Muzyka szła na przedzie i rażno przegrywała, a za nią Jagusię, wystrojoną jeszcze po weselnemu, matka wiedła z braćmi i kumami, a dopiero w podle, gdzie kto wziął miejsce, walili hurmą weselnicy.

Szli z wolna wzdłuż stawu, którego poczerniał i gwałt przyduszony mrokiem, wskroś mgieł coraz gęstszych, w ciszy ciemnicy ogłuchłej i ślepej jeszcze, że tupoty i grania rozlegały się krótko i dudniały jakby spod wody.

Młódź podśpiewywała czasami, to kuma jaka zawiedła, chłop którego wrzasnął: „da dana”, ale wnet cichli, ochoty jeszcze nie było i ziąb wilgotny przejmował do żywego.

Dopiero kiej nawrócili w Borynowe opłotki, druhny zaśpiewały:

A płakała dziewczyna,  
Jak jej ślub dawali;  
Cztery świece zapalili,  
W organy zagrali.  
Myślałaś, dziewczyno,  
Że ci zawsze będą grać?...  
Wczoraj trochę, dzisiaj trochę...  
A na całe życie płacz...  
Da dana! A na całe życie płacz!

Na ganku przed progiem czekał już Boryna, kowalowie i Józka.

Dominikowa wniosła przodem w węzełku skibkę chleba, soli szczyptę, węgiel, wosk z gromnicy i pęk kłosów poświęconych na Zielną, a gdy i Jaguś próg przestąpiła, kumy ciskały za nią nitki wyprute i paździerze, by zły nie miał przystępu i wiodło się jej wszystko.

Wraz też witali się, całowali a życzyli młodym szczęścia, zdrowia i co tam Pan Bóg da, a do izby szli, że wnet zawalili ławy wszystkie i kąty.

Grajkowie, narządzając instrumenty, pobrzękiwali z cicha, aby nie mącić poczęstunku, z jakim wystąpił Boryna.

Chodził ano z pełną blachą od kuma do kuma, częstował, niewolił, w ramiona brał i przepijał do każdego; kowal mu pomagał w drugiej stronie, a Magda z Józką roznosiły na talerzach placek, miodem i serem nadziewany, któren umyślnie upiekła na przenosiny, bych się ojcu przypochebić.

Ale zabawa szła nietęgo, juści, że nikt za kołnierz nie wylewał i od kieliszków nie stronił, przepijali nawet ze smakiem, ino że jakoś nie nabierali weselnego ducha i nie wiedli się do wrzątko, ledwie parkotali, jak ta woda na słabym ogniu; siedzieli osowiale, ruchali się ciężko, nieswojo, mało pogadywali i z cicha, a jaki taki ze starszych ziewał ukradkiem, przeciągał się, a tęskliwie myślał, by się co rychlej gdzie na słomę dostać.

Kobiety zaś, choć to nasienie najbardziej wrzaski i zabawę

czyniące, rozwalały się ino po ławach, w kąty się kryły i mało wiele między sobą rajcowały.

Jagusia w mężowej komorze wnet się przestroiała w szmaty zwyczajne, tyła że świąteczne, i wyszła ugaszczać a przyjmować, ale matka do niczego się jej tknąć nie dała.

– Wesela se zażyj, córuchno! Narobisz się jeszcze, natrudzisz! – szeptała i raz wraz ją przygarniała do piersi, i z płaczem tuliła, aż to dziwno było niejednemu, boć nie we świat szła za chłopą, nie na drugą wieś i na biedę.

Pośmiewali się z takiej tkliwości matczynej, a zęby ostrzyli przekpinkami, ile że teraz właśnie na przenosinach, kiej Jaguś już gospodynią weszła w mężowski dom, w tyle grontu i dobra wszelkiego, otwierały się im oczy, a niejednej matce dostałych córek zazdrość szła do gardła, dzieuchom też było jakoś nieswojo i markotno.

Na drugą stronę szły, po Antkach, gdzie Ewka z Jagustynką wieczерę narządzały, aż huczało w kominie, że Witek ledwie nadażył drwa znosić i przykładać pod ogromne gary.

I po całym domu się rozłaziły, a w każdą szparę wrażały zazdrosne oczy.

Nie zazdrościć to losu takiego?...

Już sam dom najlepszy we wsi, duży, widny, wysoki, stancje kieby w jakim dworze, wybielone, z podłogami, czyste! A co sprzętów, co statków różnych, obrazów samych ze dwadzieścia i wszystkie ze szklami! A tu jeszcze obory, stajnie, stodoła, szopa! A mało to lewentarza? Pięcioro samych krowich ogonów,

nie licząc byka, którego profit daje niezgorszy! Trzy konie!  
A gdzie jeszcze grunt? Gdzie gęsi, świnie?...

Wzdychały żałośnie i raz po raz któraś z cicha rzekła:

– Mój Boże, że to Pan Jezus daje takim, co i nie zasłużyły!

– Umiały sobie pomagać, umiały!

– Juści, zawsze ten dostanie, którego naprzeciw wyjdzie.

– Czemuż to wasza Ulisia nie wyszła?

– Bo się Boga boja i w poczciwości żyje.

– I drugie też bez to samo.

– A inszej to naród nie przepuści, niech choć ten razik spotkają ją po nocy z jakim chłopakiem, a już we świat na ozorach poniesą.

– Taka to ma szczęście...

– Bo wstydu nie ma.

– A dyć chodźcie – wołał Jędrzych. – Muzyka gra, a w izbie ani jednej kiecki, że nie ma z kim tańcować!

– Jaki ochotny, a pozwoli ci to matka?

– Ino porteczek nie zgub i lustra nie pokaż, kiej się tak bystro rwiesz.

– A kulasami po ludziach nie rzucaj!

– Z Walentową idź w parę, będą dwie pokraki!

Jędrzych zaklął ino, chycił pierwszą z brzoza i powiódł, nie słuchając, co za nim brzęczało.

W izbie już tańcowali, z wolna jeszcze i jakby od niechcienia; jedna Nastka Gołębianka hulała ostro z Szymkiem Paczesiem. Umówili się przódzi, więc skoro muzyka zagrała, zwarli się

mocno i tańcowali rzetelnie a długo; to na odpocznienie brali się w pół i nosili po izbie, a że ich cięgotki brały do siebie, to pogadywali wesoło, śmiali się w głos i biedro w biedro chodzili, aż Dominikowa z niepokojem naglądała do syna.

Ale dopiero gdy nadszedł wójt – spóźnił się, bo musiał rekrutów odstawiać do powiatu – rozruchali się ludzie, bo skoro wszedł, skoro przepił raz i drugi, wziął rozprawiać z gospodarzami i przekpiwać się z „młodych”.

– Pan młody kiej ściana, a młoducha niby to sukno czerwone.

– Jutro powiecie...

– Probant z was, Macieju, toście dnia nie zmarnowali.

– Nie gęsior przeciech, to nijak mu na oczach wszystkich!

– I półkwatka bym nie trzymał za tym! Rzuć ino kamuszkim w krzaki, a zawždy ptaszek jaki wyfrunie, wójt to wama mówi!

Gruchnęli śmiechem, bo Jagna uciekła na drogą stronę.

Kobiety też dogadywały, co im ślina przyniesła na język.

Wnet się wrzawa wzmogła i wesołość ogarniała duszę, wójt pomógł rzetelnie, ale i gorzałka zrobiła swoje. Boryna nie żałował i flachę puszczał częstą kolejką; tańce też szły rażniejsze i gęstsze, śpiewać już poczynali, przytupywać i coraz większym kołem taczać po izbie.

A na to już zjawił się Jambroży, przysiadł zaraz, nieledwie przy progu, a łakomymi oczyma wodził za flachą.

– Wam ino tam głowę wykręca, gdzie kieliszki dzwonią! – rzucił wójt.

– Brzękliwe są; a któren spragnionego napoi, zasługę ma! – odparł poważnie.

– Naści wody, worku skórzany.

– Co smakuje bydlęciu, szkodzi człowiekowi! Powiedają: „Kogo woda zbawi, to zbawi, a gorzałka kuźdego na nogi postawi.”

– To pijże okowitkę, kiejś taki kalkulant.

– Przepijcie, wójcie! Powiedają i to: „Chrzest przyjmuj wodą, ślub polewaj wódką, a śmierć płakaniem.”

– Dobrze powiadają, pijcie drugi...

– Nie ucieknę i przed trzecim! Zawdy pijam jeden za pierwszą żonę, a dwa za drugą.

– Czemuż to?

– Że wczas pomarła, bym se poszukał trzeciej.

– O kobiecie mu się śni, a już na odwieczeru pomroka mu ślipie gasi...

– Jeszcze bym i po ciemku zmacał kijaszkiem, gdzie babia słabizna!

Izba gruchnęła śmiechem.

– Z Jagustynką was zmówimy! – wołały kobiety.

– Gorzałkę lubi i pyskata tak samo – dodawały drugie.

– Powiedają: „Chłop robotny i żona pyskata, to wezmą choćby i pół świata.”

Wójt przysiadł obok niego, a drugie w podle, gdzie kto mógł ławy zachwycić, a zbrakło miejsca, przystawali i cisnęli się do kupy, pół izby zajęli bez mała, nie bacząc na tańczących.

Wnet zasię poczęły iść przekpinki, wymysły różne, gadki, wesołe powiedania, przypowiadki, aż się izba trzęsła od śmiechów, a najbarzej Jambroży dowodził, zmyślał jucha i cygańił w żywe oczy, ino tak sprawnie i uciesznie, że się pokładali od śmiechu; a z kobiet Wachnikowa nie dała się nikomu przegadać i w pierwszą gębę grała, wójt też basował, ile mu ino baczenie na urząd pozwalało.

Muzyka rznąła od ucha, siarczyście, młódź hulała rażno, krzykała i obcasami ostro biła, a oni się tak zabawiali społecznie i wesoło, że o Bożym świecie zapominali, aż któryś dojrzał w sieni Jankła. Wciągnęli go wnet do izby. Żyd czapkę zdjął, kłaniał się i ze wszystkimi przyjaźnie witał nie bacząc, że mu przewiska jak kamienie latają koło uszów.

– Żółtek! Niechrzczony! Kobyli syn!

– Cichojta! Przyjąć go czym, gorzałki mu dać! – wołał wójt.

– Przechodziłem drogą, to chciałem zobaczyć, jak się gospodarze zabawiają. Bóg zapłać, panie wójcie, napiję się wódki... dlaczego nie mam się napić za zdrowie państwa młodych!

Boryna wyniósł flaszkę i częstował. Jankiel kieliszek wytarł kapotą, głowę nakrył i wypił, a drugim poprawił.

– Zostańcie, Jankiel, nie streficie się! Hej! Muzykanty, zagrajcie „żydowskiego”! Niech Jankiel potańcuje! – wołali ze śmiechem.

– Mogę potańcować, to nie grzech!

Ale nim grajkowie zrozumieli wołania, Jankiel wysunął się

cicho do sieni i zniknął w podwórzu, poszedł do Kuby odbierać strzelbę.

Nie spostrzegli nawet jego wyjścia, bo Jambroży nie przerywał cyganienia, a Wachnikowa wtórowała niby na basetli, tak im zeszło do samej wieczerzy; już muzyka przycichła, stoły poustawiali i grzechotano miskami, a oni wciąż się pośmiewali.

Darmo Boryna zapraszał do jadła, nikt nawet nie słyszał. Potem Jaguś raz po raz przywtarzała, by szli, to ją wójt wciągnął do kupy, usadził przy sobie i za rękę trzymał.

Dopiero Jasiek, z przezwiska Przewrotny, krzyknął w głos:

– Do misek chodźta, ludzie, bo stygnie!

– Cichoj, głupi, znajdzie się i la ciebie miska do wylizania!

– Jambroży ino cyganią, aż się kurzy, i myślą, że mu kto wierzy...

– Jasiek, coć dadzą w pysk, bierz, bo twoje, ale mnie nie ruchaj, nie uredzisz.

– A spróbujmy się! – odkrzyknął parob, że to głupawy był i słowa nie wyrozumiał.

– Wół tak samo poredzi albo i lepiej.

– Jambroży po księdzu wynoszą, to myślą, że ino sami mądrzy!

– Wpuść cielę do kościoła, a też ino ogon wyniesie! Głupia! – mruknął zeźlony.

Bo to matka Jaškowa chciała bronić syna. Ruszył też pierwszy do stołów, a za nim insi jęli zajmować miejsca, a spiesznie, bo już kucharki wnosiły dymiące miski i smaki wiały po izbie.

Usadzili się po starszeństwie i jak przystało na przenosinach, z Dominikową i jej chłopakami w pośrodku; druhny i družbowie zasiedli razem, przy sobie, a Boryna z Jagusią ostali na izbie, by posługiwać i mieć baczenie na wszystko.

Cicho się zrobiło, tyła że za oknami dzieci wrzeszczały i tuzowały się między sobą, a Łapa z ujadaniem obiegał dom i darł się do sieni, naród zaś w cichości a z powagą porał się z jadłem i ochotnie bódł miski czubate, ino łyżki skrzybotały o wręby i szkło brząkało w kolejkach.

Jagusia zaś ciągiem zapraszała i prawie każdemu z osobna podtykała czy mięso, czy czego innego zarówno, a niewoliła, bych sobie nie żalowali; składnie jej to szło, i tak utrafnie każdemu to słowo przypochebne powiadała, i taką urodnością się wszystkim miłiła, że niejeden z parobków chodził za nią tęskliwymi oczyma, a matka aże rosła z kumentności, odkładała łyżkę, by się ino patrzeć na nią i cieszyć.

I Boryna to widział, bo gdy szła do kucharek, leciał za nią, dopędzał w sieniach, ogarniał mocno i sielnie całował.

– Gospodyni moja kochana! A dyć, kiej ta dworska pani, tak se godnie poczynasz i radzisz!

– A bom to nie gospodyni! Idźcie no do izby, Gulbas z Szymonem czegoś odęci siedzą i mało co pojadają. Przepijcie do nich!...

Juści, że jej słuchał i robił, co chciała! A Jagusi było dziwnie wesoło na duszy i ochotnie. Gospodynią się poczuła i nie byle jaką, panią prawie, to i rządy same jej jakoś w ręce szły, a z nimi

i powaga w niej rosła, i harność pełna mocy a spokojności! Nosiła się po izbach swobodnie, doglądała wszystkiego bystro i tak mądrze kierowała, jakby już nie wiada od kiel na swoim gospodarzyła.

– Jaka jest, wnet stary rozpozna i jego to rzecz, ale widzi mi się, że gospodyni będzie z niej sielna – szepnęła Ewka do Jagustynki.

– Mądra i Kaśka, jak pełna faska! – odparła przekąśliwie. – Będzie tak, póki jej stary nie obmierznie, od kiel na zacznie ganiać za parobkami...

– Tego nie zrobi, ino że Mateusz jest w odwodzie, nie poniecha jej przecież.

– I... poniecha! Zmusi go do tego ktoś drugi, zmusi...

– Boryna?

– Hale, Boryna! Jest ktoś mocniejszy od obu... jest... niech no ten czas nadejdzie, a zobaczycie sami... – uśmiechnęła się chytrze. – Witek, odegnaj no psa, bo szczeka i szczeka, aż uszy bolą, i rozpędź tych chłopaczysków, szyby jeszcze powygniatają i ogacenie rozniesą.

Witek skoczył z batem, pies umilkł, ale rozległy się piski i tętent uciekającej wrzaskliwie gromady; odegnął ich aż na drogę i powracał chyłkiem, bo posypał się za nim grad błota i kamieni.

– Witek! Poczekaj no! – wołał Roch, stojący przy węgle od podwórza, w cieniu. – Wywołaj Jambrożego, powiedz, że pilna sprawa, poczekam na ganku.

Dopiero w jakiś pacierz nadszedł Jambroży, srodze zły, że

mu przerwali jądło w najlepszym miejscu, bo przy prosięcinie z grochem.

– Kościół się pali czy co?

– Nie krzyczcie! Chodźcie do Kuby, bo zdaje mi się, że umiera.

– Niech zdycha, a nie przeszkadza ludziom jeść! Byłem na odwieczerzy u niego i mówiłem jusze, aby się do szpitala szycował, nogę by mu urznęli i wnet by wyzdrowiał!...

– Powiedzieliście mu o tym! Teraz rozumiem, zdaje mi się, że sam sobie obciął nogę...

– Jezus, Maria! Jak to, sam sobie obciął?...

– Chodźcie prędzej, zobaczcie. Szedłem spać do obory i ledwie wlaź na podwórze, Łapa skoczył do mnie, szcekał, skamlał, za kapotę mnie zębami darł i ciągał, nie mogłem pojąć, czego chce... a on wybiegał naprzód, siadał w progu stajni i skowyczał. Podeszedłem, patrzę, Kuba leży przewieszony przez próg, z głową w stajni! Myślałem zrazu, że chciał wyjść na powietrze i omdlał! Przeniosłem go na wyrko i zapaliłem latarkę, żeby wody poszukać, a on cały we krwi, blady jak ściana i z nogi krew bucha. Prędzej, żeby nie puścił ostatniej pary...

Weszli do stajni, Jambroży zabrał się ostro do trzeźwienia; Kuba leżał bezwładny, dychał coś niecoś i rzeził przez zwarte zęby, że trzeba było je nożem podważać, by mu nieco wody wlać do gardła.

Nogę miał przerąbaną w kolanie, ledwie się trzymała na skórze i obficie krwawiła.

Na progu czerwieniły się plamy krwi i leżała okrwawiona siekiera, a taczalnik do naostrzania, którego zawsze stał pod okapem stajni, walał się teraz pod progiem.

– Juści, sam sobie obciął. Bał się szpitala, myślał głupi, że sobie pomoże, ale twardy chłop, ale zawzięty! Jezus, żeby sobie samemu obcinać kulasa! Prosto nie do wiary! Krew go mocno odeszła.

Kuba otworzył naraz oczy i wodził nimi dosyć przytomnie.

– Odleciała? Dziobnąłem dwa razy, ale mnie zamroczyło...  
– szeptał.

– Boli cię to?

– Nic a nic. Sił się ino wyzbyłem do cna, ale zdrowszym!

Leżał spokojnie i ani krzyknął, gdy mu Jambroży nogę składał, mył i krępował w zmoczone szmaty.

Roch na klęczkach przyświecał latarnią i modlił się tak gorąco, aż mu łzy ciekły po twarzy, a Kuba ino się uśmiechał radośnie, tkliwo jakoś i rzewnie, jak to dzieciątko w polu porzucone, które nim pozna, że bez matki, raduje się do traw, co nad nim szumią, za słońcem patrzy, do przelatujących ptaszków rączki wyciąga i po swojemu gada ze wszystkim, i cieszy się, tak ci i on czuł się teraz; dobrze mu było, spokojnie i nieboleśnie, a tak na duszy lekko i wesoło, że za nic sobie miał chorobę, ino się z cicha przechwalał... jako siekierę dobrze wyostrzył... nogę ułożył na progu... i dziabnął w samo jabłko... zabolalo, ale noga od jednego razu nie puściła... więc drugi raz dziabnął ze wszystkiej mocy... i oto nic go teraz nie boli, pomogło widać...

że niechby tylko miał więcej mocy, to nie gnąłby dłużej na wyrku, a na wesele szedł... do tańca się brał... i podjadłby nieco, bo jeść mu się chce...

– Leż spokojnie i nic się nie ruchaj, jadła dostaniesz rychło, powiem Józi.

Roch go pogłaskał po twarzy i wyszli z Jambrozym na podwórze.

– Do rana wykipi, uśnie cicho jak ptaszek, bo krew go całkiem odeszła.

– Księdza mu trzeba przywieźć, póki przytomny!

– Kiej ksiądz pojechał na wieczór do Woli, do dziedziców.

– Pójdę po niego, zwlekać nie można!

– Do Woli jest mila, po nocy i przez las nie traficie. Stoją tu gotowe konie ludzi, co mają po wieczery odjeżdżać, bierzcie je i jedźcie.

Wyprowadzili konie na drogę i Roch siadł.

– A nie zapominajcie o Kubie, trzeba go przypilnować! – zawołał ruszając.

– Nie ostawię go samego, nie zapomnę.

Wnet jednak zapomniał; tyle baczył, że Józi powiedział o jadle, a sam wrócił za stół, do butelki mocno się przypiął i tak serdecznie, że rychło o Bożym świecie nie wiedział.

Józka zaś, że to pocziwe było dziewczątka, co tylko mogła, nazbierała na miseczkę, wódki w półkwarcie naląła sporo i zanieśła ochotnie.

– Kuba, przejedźcie ździebko, użyjcie i wy wesela!

– Bóg ci zapłać! Kiełbasa widzi mi się czujna, wieje od niej.

– Dyc umyślnie przyprózałam, byście posmakowali. – Wraziła mu miskę w ręce, bo ciemno było w stajni. – Wypijcie przódzi wódkę.

Wszystko wypił do dna.

– Posiedź zdziebko, tak mi się samemu ckni...

Począł glamać, pogryzać, żuć, ale nie mógł nic przełknąć.

– Weselą się, co?

– Takie wesele, tyła narodu, żem w życiu nie widziała większego.

– Borynowe przeciech, to nie dziwota! – szepnął z dumą.

– Juści, a ociec się tak weselą i ciągiem za Jagusią chodzą, ciągiem.

– Jakże... urodna, piękna na gębie, kieby jaka pani dworska!

– Wiecie, a Szymek Dominikowej to się ma do Nastki Gołębianki.

– Stara nie pozwoli, u Nastki z dziesięć gęb siedzi na trzech morgach.

– Toteż ich rozgania, gdzie dopadnie, i srodze pilnuje.

– Wójt jest?

– Zabawia drugich i najbardziej pyskuje, a Jambroży także.

– Jeszcze by nie, kiej na takim weselu są, u takiego gospodarza! Nie wiesz, co u Antków? – zapytał cicho.

– Jakże, skoczyłam do nich na zmroku, dzieciom poniesłam mięsa, placków, to chleba... Z chałupy me wypędził i ciepnął<sup>77</sup>

---

<sup>77</sup> *ciepnąć* – rzucić. [przypis edytorski]

za mną, com przyniesła... Zawział się silnie i taki zły, taki zły... a bieda u nich w chałupie i ten płacz... Hanka ino się kłóci z siostrą, że się już pono i do kudłów brały.

Nie odrzekł na to, nos ostro wycierał, a prędzej dychał jakoś.

– Józia – rzekł po chwili – klacz postępuje jakoś i pokłada się już od wieczora, pewnie jest na oźrebieniu... trza by przypilnować. Picie jakie narządzić. Jak to se stęka! Biedota kochana, a ja nic nie potrafię pomóc... okrutniem słaby... bez mocy całkiem...

Zmęczył się i zamilkł, i jakby zasypiał.

Józka odeszła spiesźnie.

– Cesi! Ceś, Ceś... – zawołał przytomniejąc.

Klacz zarżała przeciągle i rzuciła się na uwięzi, aż łańcuch zabrzączał.

– Podjem se choć raz do syta! Dostaniesz, piesku, swoje, dostaniesz, nie skomlij ino...

Wziął się ostro do kiełbasy, ale nie mógł, nie chciało mu się zupełnie, rośło mu w ustach.

– Mój Jezus, tyle kiełbasy, tyle mięsa... a nie mogę... całkiem nie mogę.

Darmo próbował, oblizywał, wachał, nie mógł, ręka mu opadła bezsilnie, chował więc pod słomę, nie puszczając z garści.

– Mój Boże, tyła tego, że nigdy w życiu nie miałem, a nie mogę.

Żałość ścisnęła mu duszę i łzy pociekły po twarzy, płakał rzewnie, aż się zanosił, jak to dzieciątko ukrzywdzone.

– Potem se zjem, odpocznę nieco i bal se sprawię – pomyślał.

Ale i potem nie mógł, zapadał w sen, nie popuszczając kiełbasy z garści, nie czując jednak, że Łapa mu ją po cichu obgryzał...

Otrzeźwiał nagle, bo po wieczery muzyka gruchnęła w chałupie z taką mocą, aż ściany stajni drygały i przestraszone kury gdakały z chlewów.

Wrzaski buchnęły we świat i pryskały od domu niby te ognie czerwone w noc ciemną, niby grzmoty buchały po stajni.

Hulanka tam już szła siarczysta, śmiechy, wesołość, zabawa, a raz wraz ziemia dudniała od przegonów i pisk dzieuszyn rozdzierał powietrze.

Kuba nasłuchiwał zrazu, ale rychło zapominał o wszystkim, sen go brał i niósł w ćmę jakąś wrzawliwą, jakby pod wody szumiące... na dno rozwytych wichurą borów.

A gdy wesele ostrzej lunęło wrzawą i trzaski hołubców, bitych zapamiętałe, dom zda się roznosiły, budził się nieco, wychylał duszę z ciemnicy, podnosił z niepamięci, wracał z dalekości przerażających i słuchał.

A czasem jeść próbował albo szeptał cicho, serdecznie:

– Ceśka, Ceś, Ceś!

Ale już dusza wychodziła z niego powoli i niesła się we światy, jako ten ptaszek Jezusowy, kołowała jeszcze błędnie, oderwać się nie mogła jeszcze, że przywierała czasami do ziemi świętej, by odpocząć z utrudzenia, utulić swój płacz sierocy we wrzawie ludzkiej; między kochane zachodziła, wśród żywe

szła, do bratów wołała żałośnie i u serc prosiła pomocy, aż mocą Jezusową skrzepiona i miłosierdziem, nieśła się na jakieś pola wiośniane, na te Boże ugory ogromne, nieobjęte, wieczną światłością oprzędzone i weselem wiecznym.

I wyżej leciała, dalej, dalej, aż tam...

...Aż tam zaś, gdzie już nie dosłyszysz człowieczego płakania ni żałosnego skrzybotu duszy wszelkiej...

...Tam zaś, gdzie ino pachnące lilie wioną, gdzie kwietne pola miodną słodkością szumią, gdzie ciekłą rzeki gwiazdne po dnach barwionych rześście, gdzie wieczny dzień.

...Tam zaś, gdzie ino ciche modlenie płynie i dymy pachnące wleką się ciągiem, jako te mgły, dzwonki brzęczą i organy cicho grają, i święta ofiara odprawuje się ciągle, i naród już bezgrzeszny, i aniołowie, i święci pośpiewują spólnie chwałę Pańską, w ten kościół święty, nieśmiertelny, Boży! Gdzie ino duszy człowiekowej modlić się a wzdychać, a płakać z radości i weselić się z Panem w wiek wieków.

Tam się ano rwała dusza umęczona i odpocznienia tęskliwa, Kubowa dusza.

Dom zaś tańcował wciąż i weselił się całym sercem, ohotniej nawet niżli wczoraj, bo poczęstunek był sutszy i barzej niewolili gospodarze. Wodzili się też w tanach do upadłego.

Wrzeli już niby ten ukrop na mocnym ogniu, a co przysłabli dziebko, muzyka grzmiała z nową siłą, że jako łan, uderzony wichurą, ino się przyginali, brali rozmach, niecili rum nogami

i z krzykiem szli w nowy tan, ze śpiewami, a huczno, tłumno i ogniście.

Że już im dusze całkiem stały od gorącości, krew kipiła warem, rozum odchodził, serca się zapamiętały w hulance, a każdy nerw dygotał do taktu, każdy ruch był tańcem, każdy krzyk śpiewem, a każde oczy weselem się jarzyły i radością.

I tak szło przez całą noc, do samego świtania!

A dzień podnosił się ciężko i cicho, porankowe brzaski siały na świat posępne, nieprzeniknione zwały chmur, a już przed samym wschodem słońca zamroczyło się z nagłą i pociemniało, zaczął padać śnieg. Polatywał zrazu z rzadka i kołujący, jak to igliwo w dzień wietrzny, aż się i potem rozśnieżyło na dobre.

Śnieg sywał jakby przez gęste sito, padał prosto, równo, jednostajnie, bez szelestu i pokrywał dachy, drzewa, płoty i ziemię całą jakby podbielonym, szarawym przedziwem albo tym pierzem niedartym.

Rychtyk i wesele się skończyło, mieli się jeszcze wieczorem zebrać w karczmie na poprawiny, ale teraz już poczęli rozchodzić się do domów.

Tylko drużbowie z druhnami i muzyką na czele zebrali się kupą przed gankiem i zaśpiewali wraz jednym głosem ostatnią piosneczkę:

Dobranoc państwu młodemu,  
Dobranoc!  
Dobłą nockę oddajemy,  
Sami służką ostajemy,

Dobranoc!

A Kuba w ten sam czas składał duszę swoją pod święte Panajezusowe nóżki.

# Część druga – Zima

## I

Nadchodziła zima...

– jeszcze się barowała<sup>78</sup> z jesienią i porykujący tłukła po sinych dalach jako ten zwierz srogi i głodny, że nie wiada było, kiej przeprze a skoczy i lutymi kłami weźre się we świat...

– jeszcze czasami proszyl śnieg nikły, płowy – jesienny śnieg... – jeszcze przychodziły dnie osłupiałe, chorością sine, ckne, stęgliwe, oropiałe i zgoła lamentem przejęte, a lodowym światłem mżące – dnie trupie, że ptactwo z krzykiem uciekało do borów, trwoźniej bełkotały wody i toczyły się leniwo, jakby strachem stęzałe, ziemia dygotała, a wszelaki stwór podnosił czujące, lękliwe oczy na północ – w niezgłębioną topiel chmur...

– jeszcze noce były jesienne; ośleple, głuche, zamętne, a pełne strzępów mgieł i brzasków gwiazd pomarłych – rozgniłe noce dygotliwego milczenia, przenikniętego zduszonym krzykiem trwogi; pełne wzdychów bolesnych, szamotań, nagłych cichości, wycia psów, targań marznących drzewin, żalonych głosów ptactwa szukającego schronisk, strasznych wołań pustek i rozstajów zgubionych w ciemnicy, łopotów

---

<sup>78</sup> *barować się* – tu: siłować się, brać się za bary z kimś a. czymś. [przypis edytorski]

jakichś lotów, cieniów zaczajonych pod ścianami zdrewniałych chat, pełzających hukań, zjaw przerażających, nawoływań nierozpoznanych, mlaskań okropnych, przeszywających jęków...

– jeszcze czasami, o zachodzie, z posepnych pól ołowianego nieba wyłupywało się czerwone, ogromne słońce i spadało ciężko, niby kadz roztopionego żelaza, z której buchały krwawe wrzutki i biły dymy smoliste, czarne, popręgowane gorejącymi żagwiami, że świat cały stawał w łunach i w pożodze.

I długo, długo w noc dogasały i stygły na niebie krwawe zarzewia, aż ludzie mówili:

– Zima rośnie i na złych wichrach przyjedzie.

I rosła zima, rosła co dzień, co godzina, co to oczymgnienie<sup>79</sup>.

Aż przyszła.

A najrychlej przyleciały zapowiednie wici.

Jakoś wnet po świętej Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichym, omdłym zaraniu, spadły pierwsze krótkie, trzepotliwe wiatry; obleciały ziemię ze skowytom jako te psy węszące tropu, gryzły zagony, warczały w krzaczach<sup>80</sup>, poszarpały śniegi, potarmosiły sady, poomiały ogonami drogi, wytarzały się po wodach i milczkiem urwały kajś niekajś<sup>81</sup> co starszych strzech i ogrodzeń i jęły się zwijać a ze skomleniem uciekać na bory – a po nich, zaraz na odwieczeru<sup>82</sup>, zaczęły się wysuwać

---

<sup>79</sup> *oczymgnienie* – dziś popr.: okamgnienie. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *kierz* (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *kajś niekajś* (gw.) – gdzieniegdzie. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *odwieczarz* (gw.) – popołudnie, pora przed wieczorem. [przypis edytorski]

z mroków długie, świszczące i jakoby kolczaste jęzory wichrów.

Wiały noc całą, a tak zasię skowyczały w polach kiej<sup>83</sup> to stado zgłodniałych wilków; a hulały rzetelnie, bo ano rankiem ziemia już dropiała<sup>84</sup> spod stratowanych i wyżartych śniegów, gdzieniegdzie ino po dołkach i bruzdach bielity się poszarpane płyty, a zagony świeciły łysicami, drogi leżały skostniałe i przemarzłe, mróz zaś wżerał się ostrymi kłami w ziemię, że dzwoniła jak żelazo – ale skoro dzień nastał, uciekły poszczekując, pokryły się w lasach i w przyczajeniu dygotały skokiem napiętym, złym.

A niebo poczęło się zaciągać coraz mroczniej; chmury wypęzwały ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały sine grzywy, zielonawymi kłami błyskały i szły całym stadem – groźną, ponurą i milczącą cizbą waliły się na niebo; szły od północy czarne, olbrzymie góry, postrzępione, podarte, spiętrzone, rosochate, niby kupy borów podruzgotanych, przerwanych głębokimi przepaściami, zasypanych zielonymi ławicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; od zachodu, zza borów czarnych, nieruchomych wysuwały się z wolna sine, obrzękłe zwały, prześwitujące gdzieniegdzie jakby ogniem, a szły jedna za drugą, rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym, jakoby te klucze ptaków wielgachnych;

---

<sup>83</sup> *kiej* (gw.) – jak. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *dropieć* (neol.) – czas. utworzony od przym. dropiaty, tj. pstry, nakrapiany; znaczenie: pokryć się plamami, cętkami. [przypis edytorski]

zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przekrwione, przeropiałe, zgoła paskudne, kieby<sup>85</sup> te ścierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwonawe, podobne do bajorów<sup>86</sup> i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i gruzłów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych – jakby pełne tego gmerzącego<sup>87</sup> robactwa; a jeszcze i z góry, jakby z wygasłego słońca, spadały kłakami brudnymi, to sypały się barwione jako te żuźle stygnące – a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przeogromne i zalały niebo czarnym, strasznym kipiátkiem błota i rumowisk...

Świat z nagłą poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrętwiało i stanęło w zdumieniu z przytajonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chycił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotowało nad wszelkim stworzeniem – widać było, jak zając gnał przez wieś z rozwianą sierścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyzbach jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała mętna, dusząca: chmury opadały coraz niżej, zwały się z lasów rozkotłowaną gęstwą tumanów

---

<sup>85</sup> *kieby* (gw.) – jakby. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *bajorów* (forma gw.) – popr. forma D. lm: bajor. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *gmerzący* – tu: wijący się, pełzający we wszystkie strony. [przypis edytorski]

i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne – uderzyły na wieś i zalały wszystko lodowatą, brudną mgłą; naraz niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studzienne, świst ostry przeszył ciemności, mgły się skłębiły z nagłą, a z pękniętej czeluści lunął pierwszy wichur, a za nim już leciał drugi, dziesiąty, setny!

Wyły już stadami, łały się z tej gardzieli niby rzeki niczym nie powstrzymane, rwały się jakby z łańcuchów i rozskowyczoną<sup>88</sup>, wściekłą zgrają biły w chmury, rzucały się na ciemnice i rozwalały je do dna, przeżerały na wskroś i rozmiatały niby tę słomę strupieszającą.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, szumy, świsty, kurzawa.

Chmury, stratowane ostrymi kopytami wichrów, uciekały jakby chyłkiem na bory i lasy, niebo się przecierało, dzień znowu zaświecił ołowianymi oczami, stwór wszelki odetchnął z ulgą.

Ale wichry wiały wciąż, bez mała całą niedzielę, a bez folgi żadnej ni przestanku. Dnie to tam jeszcze jako tako człowiek strzumać wstrzymał, że to ino ci się wiedli na świat, kogo potrzeba gnała, drugie zaś po chałupach siedzieli i końca wyglądali, ale noce były nie do wytrzymania, a przyszły akuratnie jasne, rozgwiażdżone<sup>89</sup> i w górze ciche, ino na ziemi wichura odprawiała diabelskie gody, jakby się naraz ze sto chłopa obwiesiło, że i zasnąć nie było można, jakże, kiej szły takie ryki, trzaski, łomoty i hurkotania, jakby tysiące pustych

---

<sup>88</sup> *rozskowyczony* – dziś popr.: rozskowytany. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *rozwiażdżony* – dziś popr.: rozgwieżdżony. [przypis edytorski]

wozów a w pędzie największym przejeżdżało po grudzie, a te tętenty, od których ziemia drżała, a te hukania Bóg wie czyje, te wrzaski, te wycia!

Chałupy trzeszczały, bo raz wraz wichura parła barami ściany, tłukła się o węgły, podważała okapy, za przyciesie<sup>90</sup> się brała, w drzwi tłukła jakby łbem, że niejedne puściły, szyby gnięła, aż trza było wśród nocy wstawać i przytykać poduszkami, bo darła się do wnętrza z kwikiem kiej ta świnia uprzykrzona, a tak prażyła ziąbem, iż ludzie pod pierzynami, a kostnieli!

Co się naród nacierpiał przez te dnie i noce, to i nie wypowiedzieć! A co szkód narobiła, to i nie zliczyć; poobalała płoty, powydzierała poszycia, u wójta prawie nową szopę przewróciła, Bartkowi Kozłowi wzięła dach ze stodoły i poniosła w pola o dobre pół stajania<sup>91</sup>, Winciorkom komin zwałała, we młynie udarła kawał dranicowego dachu, a co strat pomniejszych! Co drzew wyłamała w sadach i borach! Na wielkiej drodze wyrwała cosik ze dwadzieścia topoli, że padły w poprzek kiej te trupy srodze pomordowane i obdarte.

W te wiejne i wrzaskliwe dnie Lipce były jakby wymarłe; wichura hulała po drogach z taką mocą, że kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiiała za łeb i waliła, gdzie popadło – w rowy, o drzewa, na płoty ciepała, a nawet Jaśka Przewrotnego

---

<sup>90</sup> *przyciesić* – podstawa z odpowiednio spojonych belek, na której opiera się ściana domu. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *stajanie* a. *staje* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

zwiąła z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a dęła wciąż, sypała piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchoł pomniejszy, że leciały w kurzawie niby te ptaszyska rozgonione i tłukły się o ściany, we świat gnały!

Najstarsi ludzie nie baczyli tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów.

Gnietli się też po zadymionych chałupach i swarzyli z ckności niemało, bo ciężko było nosa pokazać za węgieł, tyła że co niecierpliwsze kobiety przebierały<sup>92</sup> się raz wraz chyłkiem pod płotami, niby to z kądzielą szły do kum, a głównie, bych pomleć ozorami a nawyrzekać; chłopcy zaś młóciły zawzięcie, spoza przywartych wrótni stodół biły cepy od rana do późnego wieczora, mróz owarzył<sup>93</sup> zboże, to łacniej się łuszczyło, a ino na odwieczerzu, kiej wichura nieco folgowała, niejednen z parobków przemykał się z ćwiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednako wiały i gryzły mrozem coraz krzepciej<sup>94</sup>, że już od tej wiejby pozamarzały rzeczki i strugi, bagna stężały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrym prawie lodem, tyle że ino przy moście, gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i nie dawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przyrębłe ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą świętą Łucją przyszła odmiana.

Mróz sfolżał i ociepliło się dziebko, wichry jakby zdychały,

---

<sup>92</sup> *przebierać się* (reg.) – przekradać się, przedostawać się. [przypis edytorski]

<sup>93</sup> *owarzyć* (gw.) – zwarzyć, tj. przemrozić i spowodować uwiąd. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *krzepciej* (gw.) – silniej, mocniej (od przym.: krzepki). [przypis edytorski]

bo ino od czasu do czasu przedmuchiły świat, ale już mięszce<sup>95</sup> i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało kieby to pole zbronowane, a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby się na przydrożnych topolach wsparło. Ale posepnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmrocząło się nieco i jał padać śnieg dużymi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na świtanu było już śniegu na dobre trzy piędzie<sup>96</sup>, do cna przyokrył kożuchem ziemię i przesłonił świat cały modrawą białnością<sup>97</sup>, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskrós tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło, oniemiało, jakby przed cudem stanęło i przychylone nieco zasłuchało się uroczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdrżanej i opadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawała; biały, migotliwy, niepokalany brzask sypał się by ta wełna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; sypał się gęstwą nieprzeliczoną by ta zamarzła

---

<sup>95</sup> *mięszcy* (forma gw.) – dziś popr.: mięszcy. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *piędź* – daw. miara długości, ok. 20 cm. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *białność* – popr.: białość, biel. [przypis edytorski]

poświęta, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zakrzepły w szron i starte lotem podniebnym na proch, świat zasypywały, przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość cudną, w ten oślepiający tuman, a w końcu nie było już dla oczów<sup>98</sup> nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy ni drzewa, ni płotu, ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli, kiej osłabłe motyle, a mylnie, bo nie wiada skąd płynące, dokąd – a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej...

I tak sypało dwa dni i dwie noce, że w końcu zasypało chałupy, iż się wznosiły jako te śniegowe kopice, buchające brudnymi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawalą, biała równia, nieobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, to nocami przedzierają się gwiazdne migoty, a w dzień modrzało niebo gdzieniegdzie wskroś tych polatujących paździerzy białych i powietrze stawało się słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwę, rażno, hukliwie. Wieś jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami, ale zawracał rychło, bo drogi były nie do przebycia; gdzieniegdzie przekopywali ścieżki między

---

<sup>98</sup> oczów (forma gw.) – dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

chałupami, odwalali śniegi sprzed drzwi, wywierali na ścieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami. Zaroiło się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniegułkami, a tarzali w miękkim, puszystym śniegu, a bałwany okrutne czynili, a saneczkami się ciągal, że te ich piski ucieszne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień, bo nie mógł nikogój utrzymać przy lementarzu<sup>99</sup>.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, prószło jeszcze niekiedy, ale tak jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo spochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadaly na drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiezdna, ołowiana, tymi śniegami omroczonymi rozbielona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej mocy wyzuta.

– Choćby i ten najlekciejszy<sup>100</sup> wiaterek, a zakurki będą – szepnął rankiem, na drugi dzień, stary Bylica wyzierając przez okienko.

– Niech ta będą, zarówno mi jedno! – burknął Antek dźwigając się z pościeli.

Hanka zażęgała ogień w kominie i wyjrzała przed sień. Wcześniej było, koguty piałły po wsi, mrok leżał gruby jeszcze, jakby kto wapno zmieszał na poły z sadzą i przytrząsał świat, że

---

<sup>99</sup> lementarz (gw.) – elementarz. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> najlekciejszy (gw.) – popr.: najlżejszy. [przypis edytorski]

nie rozeznał ni drzew, ni chałup, ni dalekości, ino na wschodzie tliły się brzaski niby te spopielałe zarzewia, a na ziemi leżała głęboka cichość i chłód surowy wionął.

W izbie też był ziąb przenikający, wilgotny, a tak chwytny, że Hanka wzięła trepy na bose nogi, w kominie ledwie się tliło, bo jałowcowa świeżyzna ino trzeszczała i dymiła, aż Hanka uścibnęła drzazeg z jakiejś deski, to słomy podtykała, że wreszcie gałęzie się zajęły płomieniem i rozświetliły nieco.

– Naleciało go tyła, że i na całą zimę starczy – zagadał znów stary wychuchując szybkę, obrośniętą zielonawym, grubym lodem, bych w świat popatrzeć.

Starszy chłopak, któremu już było na czwarty rok, zaczął chlipać w łóżku, a z drugiej strony domu, z mieszkania Stachów, rozbrzmiewały ostre głosy kłótni, wyrzekań i piski dziecińskie, i trzaskanie drzwiami.

– Weronka swoim pacierzem dzień zaczyna! – szepnęła urągliwie Antek okręcając nogi nagrzanymi przed kominem onuczka.

– Przyuczyła się trajkotać, to i trajkocze, chocia nie potrza, ale to nie bez<sup>101</sup> złość, nie... – jąkał cicho stary.

– A juści – dzieciśka też tłucze nie bez złość?... Abo Stachowi nie da dobrego słowa, ino ciągiem huruburu, jak na tego psa, to pewnie z dobrości? – mówiła Hanka przykłękając do kołyski, by dać piersi młodszemu, ktoren też popłakiwał a kulasami grzebał.

---

<sup>101</sup> bez (gw.) – przez. [przypis edytorski]

– Ile? – trzy niedziele, jak u waju<sup>102</sup> siedzimy w chałupie, a to i dzień jeden obyć się nie obył bez wrzasków a bijatyki, a tego kłyźnienia<sup>103</sup>! Pies to, nie kobieta! A Stacho ciamajda i pozwala sobie kołki ciesać na łbie, robi jak wół, a gorzej ma od psa.

Stary spojrział lękliwie, chciał nawet coś rzec w obronie, gdy właśnie drzwi się otwały od sieni i Stacho wraził głowę wraz z cepami, co je niósł na ramieniu.

– Antek, chcesz iść do młocki? Organista powiedział, bym sobie dobrał kogo do jęczmienia, a suchy i dobrze, letko się otrzaskuje... – napierał mi się Filip, ale jeżeli chcesz... to juści, zarób sobie...

– Bóg zapłać, weźcie Filipa, ja ta u organisty wyrabiał nie będę.

– Twoja wola! Panu Bogu oddaję.

Hanka aż się zerwała na odpowiedź Antkową, wnet jednak przychyliła się i wtuliła głowę w kolebkę, by łez nie pokazać i tego strapienia!

– Jakże, taka zima, taka skrzytwa, taka bieda, że żyją jeno ziemniakami ze solą, grosza jednego nie ma, a on robić nie chce! Całe dnie przesiaduje w chałupie, papierosy kurzy i duma! albo znów gania po świecie, jak ten głupi, za wiatrem chyba! Mój Boże, mój Boże! – jękała boleśnie. – Już nawet Jankiel nie chce borgować<sup>104</sup>, krowę przyjdzie sprzedać, cóż?... Uparł się,

---

<sup>102</sup> waju (gw.) – was. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> kłyźnienie (gw.) – kłótnia. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> borgować (daw.) – dawać na kredyt. [przypis edytorski]

to i sprzeda, a do roboty się nie weźmie... Juści, prawda, że mu to i nijako na wyrobek iść, markotno, ale co począć, co? Żeby to ona chłopem była, mój Boże, nie żałowałyby pazurów, a to choćby kulasy po łokcie urobić, bych ino krowy nie sprzedać, bych ino zwiesny<sup>105</sup> doczekać, zimę przetrzymać... Ale co ja uradzę, biedna, co?... – Rozskrzypiała się jej tak dusza, że rady dać sobie nie mogła.

Wzięła się do zwykłych, codziennych obrządków, a ukradkiem spozierała na męża, którego siedział przed kominem, okręcił w połę kozucha starszego chłopaka i ociepiał mu nożęta dłonią nagrzewaną, patrzył ponuro w ogień i wzdychał; stary pod oknem obierał ziemniaki.

Milczenie przykre, niepokojące, przesycone tajonymi żałami, wezbrane dławiącym uczuciem nędzy, motało się między nimi. Nie spoglądali sobie w oczy, nie przemawiali, słowa więzły w strapieniach, uśmiechy zgasły, w oczach błyskały tłumione wyrzuty, a w bladych, wynędzniałych twarzach widniała gorycz, żale się snuły, a zarazem harda, żelazna nieustępliwość. Przeszło już trzy tygodnie od wypędzenia z ojcowej chałupy i tyle dni długich, tyle nocy, a nie przepomnieli oboje jeszcze niczego, nie przeboleli krzywdy ni opamiętali się w zawziętości – tak mocno czuli, jakby się to stało w tym oczymgnienu.

Ogień trzaskał wesoło, ciepło się rozlewało po izbie, aż lód na szybach topniał i te smugi śniegu, nawianego szparami, tajały

---

<sup>105</sup> *zwiesna* (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

pod przyciesiami, a gliniany tok<sup>106</sup> pocił się i opływał rosą.

– Przyjdą te Żydy? – spytała wreszcie.

– Powiedziały, że przyjdą.

I znowu ani słowa więcej. Jakże, któreż miało rzecz pierwsze i co? – Hanka?... Kiej się bojała gęby ozewrzeć, bych te żale nabrane w serce nie lunęły z niej choćby i po niewoli! – Nie, taita wszystko w sobie i powstrzymywała, jak mogła. Antek? Cóż miał powiedzieć? że mu źle? I bez tego wiadomo, a do przyjacielstwa nie był nigdy skory i do ugwarzania się, choćby i z kobietą swoją, ochoty nie miał! Jakże tu i mówić, kiej duszę przeżerała nienawiść, kiej za każdym wspominkiem serce mu się kurczyło z bolenia, a pazury się rozczapierzały taką złością, że choćby na całą wieś, a gotów się był rzucić!...

Już nie nosił słodkich wspominków o Jagnie, jakby jej nigdy nie miłował, jakby nie brał w te same ręce, którymi teraz gotów był ją rozdzierać. Ale żalu do niej nie miał.

– Kobieta niektóra jest jako ten pies zwleczony, pójdzie za każdym, kto ino większą skibką przynęci abo i kijem postraszy. – Myślał o niej, nieczęsto jednak, bo mu ginęła w pamięci pod nawałą krwawiących, żywych i bolesnych uraz do ojca. Stary był winowaty, ociec to był tym krzywdzicielem, tym osękiem, któren się wbił w samo serce i bolał coraz ostrzej, przez niego to wszystko, przez niego!

I zbierał, zgarniał w siebie wszystko zło, wszystkie krzywdy, jakich doznał, i przepowiadał je jako ten pacierz niezapomniany!

---

<sup>106</sup> tok (gw.) – klepisko, podłoga z ubitej gliny. [przypis edytorski]

Różaniec ci to był bolesny i jątrzący, ale go sobie przewłóczył przez serce, bych jeszcze lepiej zapamiętać!

O swoją biedę nie stał, chłop zdrowy, to byle miał dach nad głową, więcej mu nie potrza, o dzieciskach niech kobieta zabiega, ale sama czysta krzywda go piekła kiej ogień i rosła wciąż, rozrastała się w nim niby ta parząca pokrzywa! Bo i jakże, trzy niedziele dopiero, a już się cała wieś odwróciła od niego, jakby go nie znali, jakby przybłęda był ze świata, omijali go kiej zapowietrzonego, nikt nie zagadał, do chałupy nie zajrzał, nie pożałował, dobrego słowa nie dał – a jak na tego zbója spoglądali.

Nie to nie, napraszał się nie będzie, ale i po kątach krył nie będzie, ni ustępywał nikomu z drogi! Kiej na udry, to na udry! Ale dlaczego to wszystko? Że się z ojcem pobił?... Pierwszy raz to we wsi czy co! Czy to Józek Wachnik nie bije się co dni parę?... Czy to Stach Płoszka nie przetrącił kulasa swojemu? A nikt im marnego słowa nie powiedział, ino jego postponują, bo na kogo Pan Bóg, to i wszyscy święci. Starego to robota, starego, ale zapłacone miał będzie za wszystko, zapłacone.

Jeno dychał odemstą i myśleniem o niej, a cały ten czas żył w gorączce i niepamięci; do roboty się nie brał, o biedzie nie myślał, w jutro nie patrzył, ino się po tych mękach ciężkich tułał i darł w sobie. Nieraz nocami zrywał się z pościeli i leciał na wieś, błąkał się po drogach, w ciemnicach się krył i marzył zemstę srogą, poprzysięgał, iż nie daruje swojego.

Śniadanie zjedli w cichości, a on wciąż siedział osowiały i przeżuwał te wspominki kiej oset kolący a gorzki.

Dzień się już duży zrobił, ogień przygaś, a przez odmrożone nieco szybki było białawe, zimne światło śniegów; lodowe, smutne brzaski roztrzęsły się po kątach i obnażyły izbę, że stanęła w całej nędzy.

Mój Boże, Borynowa chałupa dworem się widziała przy tej ruderze; co chałupa, nawet obora ojцова sposobniejszą była la<sup>107</sup> ludzi. Chlew to przegniły, nie dom; kupa zmurszałych bali, nawozu i śmiecia zgniłego. Ni jednej deski na ziemi, gliniany tok pełen wybojów, błota przymarzłego i śmieci wdeptanych, że niech ino odgrzało od komina, to smród bił gorszy niżli z gnojówki, a z tego trzęsawiska dźwigały się ściany spaczony, struchlałe, przegniłe, że wilgoć lała się po nich, a w kątach mróz trząś siwą brodą; ściany pełne dziur, pozapychanych gliną, a miejscami słomą z nawozem! A niski pułap wisiał kiej to stare sito podarte, że słomy opajęczonej więcej w nim było niżli desek. Jedne sprzęty i statki, co coś niecoś przykrywały tę nędzę, a te parę świętych obrazów na ścianach, zaś drąg z ubierem rozwieszonym i skrzynia przysłaniały przegrodę chruścianą, za którą mieściły się krowy.

Hanka, chocia powoli, a rychło obrządziła gospodarstwo; juści, niewiela tego było; krowa, jałowica, prosiak, gąsków parę i kurków, to i cała parada, i bogactwo całe. Ubrała chłopaków, że wnet się przetoczyli do sieni zabawiać z Weronczynymi dziećmi, wrychle<sup>108</sup> też jazgoty a wrzaski szły stamtąd, a sama

---

<sup>107</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> wrychle (gw.) – wkrótce. [przypis edytorski]

przygarniała się nieco, jako że kupcy przyjść mieli i na wieś trza było iść.

Właśnie chciała się z mężem naredzić i coś niecoś pogadać przódzi o tej sprzedaży, ale nie śmiała zacząć, bo Antek wciąż siedział przed wygasłym kominem, zapatrzony gdziesik, ponury, aż strach ją obleciał.

– Co mu jest? – Zezuła trepy, bych go ino nie jątrzyć hałasem, ale coraz częściej spozierała na niego z trwożliwą czułością i niepokojem.

– Ciężej mu, bo nie taki kiej drugie, ciężej – myślała i okrutna chęć ją wzięła zagadać, popytać, uzalić się nad nim, już przystanęła z boku, już miała to dobre słowo w sercu wzruszonym – nie śmiała jednak. Jak tu i rzec było, kiej na nią nie zważa, jakby całkiem nie widział nic koło siebie! Westchnęła boleśnie; nieletko jej było na duszy, nie – nie drujkość czuła ano w sercu miodową, a ten gorzki piołun! Mój Jezu, inaczej mają drugie, choćby i te komornice<sup>109</sup>, a lepiej. – A tu na jej głowie wszystko leży, turbuj się, zabiegaj, starunek o wszystkim miej, kłopocz się, ani zagadać do kogo, ni się przed kim wyzalić! Niechby ją skrzyczał, niechby nawet i zbił, wiedziałyby, że w chałupie jest chłop czujny, nie drewno. A ten nic, czasem burknie kiej pies zły abo i spojrzy, że jakby kto mrozem oblał duszę – ani przemówić do niego, ni przystąpić z tym szczerym sercem, jak to zwyczajnie bywa w małżeńskim stanie abo

---

<sup>109</sup> *komornica* – chłopka nie mająca własnej chałupy ani ziemi, płacąca pracą za mieszkanie. [przypis edytorski]

i w przyjacielstwie. Hale, powiesz co, uzalasz się, juści! Co mu ta kobieta, co żona – tyła, bych chałupy pilnowała, jeść uwarzyła i dziecisków strzegła. Abo to dba o co?... Bo to kiej przyhołubi, popieści, dobrością zniewoli, przygarnie mocno, ugwarzy się! Nie stoi on o to wszystko, nie! Ino się ciągiem myśleniem górno nosi, jak obcy zachowuje, że i nie wie, co się wedle niego dzieje! A ty, człowieku, sama bierz wszystko na swoją głowę, sama cierp, wydzieraj się, turbuj, a jeszcze ci i tym dobrym słowem nie odpłaca!...

Nie mogła już powstrzymać bolesnego zalewu żalości ni łez, uciekła do krów, za przegrodę, wsparła się na żłobie i cicho chlipała, a gdy krasula poczęła sapać i lizać ją po głowie i plecach, buchnęła głośną skargą...

– I ciebie zbraknie, bydłatko, i ciebie... przyjdą tu wnet... stargują... postronek ci za rogi założą... poprowadzą... we świat cię powiedą, żywicielko nasza... w cały świat!... – szeptała obejmując ją za szyję i tuląc rozbolałą duszę do tego stworzenia czującego. Nie powstrzymywała jęków ni płaczu, bo wstawał w niej nagły, mocny bunt. Nie, tak być nie może dłużej, krowę sprzedadzą, jeść nie ma co, a on siedzi, roboty nie szuka, do młócki, choć proszą, nie idzie, a choćby i ten złoty groszy dwadzieścia zarobił na dzień, na sól by było, na okrasę, kiej już i tej kapki mleka zbraknie!

Wróciła do izby.

– Antek! – powiedziała ostro, śmieje, gotowa wszystko wypowiedzieć.

Podniósł na nią ciche, zaczerwienione oczy i tak spojrzął smutnie a żałośnie, że jej dusza struchlała, opadł ją gniew, a serce zatłukło się litością...

– Mówiłeś, by przyszli po krowę? – rzekła cicho i dziwnie miękko.

– Pewnie już idą, bo tam na drodze coś pieski jazgoczą...

– Ni, w Sikorowym obejściu naszczekują – powiedziała wyjrzawszy.

– Przed południem się obiecali, to ino ich patrzyć.

– Musimy to przedać, co?

– Jakże, grosza potrzeba, paszy też la<sup>110</sup> dwóch nie starczy... musimy, Hanuś, cóż poredzić... szkoda krowy... juści... ale kto nie ma grosza, nie umacza i nosa... – mówił cicho i z taką dobrocią, że Hance stajała dusza, a serce zaczęło się trzepotać radością i nadzieją; patrzyła mu w oczy jak ten pies wierny i słuchliwy, że już w tym oczymgnieniu nie żałowała krowy ni niczego. Spoglądała ino pilnie, bez udręki w tę twarz umiłowaną, a słuchała tego głosu, co jak ogień szedł przez serce i rozgrzewał ją dobrocią i rozczuleniem.

– Juści, że trzeba... Jałowica ostanie, ocieli się jakoś w półpoście, to się jeszcze tej kapki mleka doczekamy – przywtórzyła, byle ino on mówił dalej.

– A jakby zbrakło paszy, to się dokupi.

– Owsianki cheba, bo żytniej starczy do zwiesny. Ociec, odwalcie kopczyk, trza zajrzeć, czy ziemniaki nie przewiane.

---

<sup>110</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

– Siedźcie, za ciężka la<sup>111</sup> was robota, ja odkopię.

Podniósł się, zdjął kozuch, zabrał łopatę i wyszedł przed dom.

Śniegu było prawie równo z dachem, bo dom stał na wydmuchu, za wsią prawie, o dobre staje<sup>112</sup> od drogi, a nie osłonięty ni płotem, ni sadem, kilka dzikich, pokręconych trześni rośło przed oknami, ale tak były zasypane, że ino gałęzie wysuwały się ze śniegu, kiej te palce chorością poskręcane. Sprzed okien to tam stary jeszcze do dnia śnieg przekopał, zaś kopczyk z ziemniakami tak zawiało, że ani go było rozeznać spod śniegów.

Antek wziął się ostro za robotę, bo śniegu było na chłopa, a chociaż świeży, uleżał się już i stężał nieco, że trza go było krajać w cegły; zapocił się też niezgorzej, nim odwalił, ochotnie jednak robił i był dobrej myśli, bo raz wraz rzucał pecyną na dzieci, baraszkuje przed progiem, ino chwilami, gdy mu się przypominały udręki dawne, mdlały mu ręce, zaprzestawał roboty, wspierał się grzbietem o ścianę i niósł oczami po świecie. Wzdychał i znowu się błąkał duszą jak ta owca zgubiona w noc ciemną.

A dzień był chmurnawy, szarawy, a przebielone niebo wisiało nisko, śniegi rozścielały się grubym, puszystym kozuchem i leżały, jak okiem sięgnąć, modrawą i ogłuchłą, martwą równią; mgliste i przejęte stężałymi szronami powietrze przesłaniało

---

<sup>111</sup> *la* (gw.) – dla. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *staje* a. *stajanie* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

świat wszystek niby przedzą; że to chałupa Bylicowa była jakby na wzgórk, to wieś widniała kieby na dłoni; rzędy kopic abo i tych kretowisk śnieżnych siedziały w podle siebie i wiedły się wydłużonym wiankiem dookoła zasypanego stawu, ani dojrzał gdzie chałupy całej, wszystkie zniknęły pod śniegiem, kajś niekajś ino czerniały ściany stodół, kłębiły się rude, torfowe dymy, to szarzały drzewiny pod śniegowymi czapami, ino głosy rażno się rozlegały w tych białościach, leciały z końca w koniec wsi, a monotonne capanie cepów dudniało głucho jak gdyby spod ziemi. Drogi leżały puste i zasypane, a na zaśnieżonych polach ni żywa dusza nie majaczyła, nic ino ta przeogromna pustka biała i martwa, zastygła w śniegach. Przemglone dale tak się stapiały, że ani rozeznać było nieba od ziemi; jedne lasy modrzały niecoś z bielm, jakby tam chmura wisiała.

Ale Antek niedługo się błakał po śnieżnym pustkowi, nawrócił znowu oczy na wieś, za ojcową chałupą gonił, nie zdążył zaś i pomyśleć, bo Hanka ano wlażła do dołu i stamtąd skrzeczała.

– Nie przemarzły! Wachnikom tak wiatry przeziębiły, że z pół dołu musieli świniami spaść, a nasze zdrowe.

– A dobrze. Wyjdź no, widzi mi się, że idą Żydy! Trza krowę wywieść przed dom!

– Juści, że Żydy, a nie kto drugi, juści, że te zapowietrzone!  
– zawołała ze złością.

Jakoż od karczmy, przez dróżkę, do cna zasypaną i ledwie co poznaconą Stachowymi trepiskami, kopało się dwóch Żydów,

juści, że pieski prawie z pół wsi goniły za nimi z wielką uciechą i szczekaniem, a tak zajadłe dobierały się do nich, aż Antek wyszedł naprzeciw i obronił.

– Jak się macie, no? Spóźnilim się, bo takie śniegi, takie śniegi! Ani przejść, ani przejechać, wiecie? A w boru to już szarwarkiem<sup>113</sup> przekopują drogę!

Nic się nie ozwał na ich gadanie, ino do izby poprowadził, by się nieco rozgrzali.

Hanka zaś wytarła krowie ognojone boki, oddoiła mleko, co się jej tam od rana uzbierało, i przewiedła przez izbę na dwór. Krowa się opierała, szła niechętnie, a przestąpiwszy próg wyciągała gębule, wachała, to śnieg ją zlizywać, aż ni stąd, ni zowąd zaryczała przeciągle, cicho a żałośnie, i tak się rwała z postronka, że ledwie ją stary udzierzał.

Hanka już nie mogła tego przenieść, żal ją przejął srogi i tak świdrujący, aż buchnęła płaczem, a za nią i dzieci czepiając się matczynego wełniaka uderzyły w krzyk i lament! Antkowi też nie było wesoło, nie, ino zęby zasiekł, wsparł się o ścianę i patrzył na wrony, co się zleciały na rozgrzebany z dołu śnieg, a handlerze zaś szwargotali między sobą i wzięli krowę macać a oglądać ze wszystkich stron.

Juści, że Antkom zrobiło się w sercach kiej na pogrzebie, aże się odwracali od bydłatka, co próżno się targało na uwięzi,

---

<sup>113</sup> *szarwark* – wspólna praca całej wsi dla publicznego pożytku, najczęściej przy budowie i naprawie dróg; gospodarze byli zobowiązani do pracy z koniem i wozem, komornicy pieszo. [przypis edytorski]

darmo wykręcało do gospodarzy wybałuszone i zestrachane oczy, darmo porykiwało głucho.

– Jezu!... Na tom cię, krówko, paśła, na tom zabiegała, na tom starunek o tobie miała... by cię na rzeź powiedli... na zatracenie... – lamentowała Hanka tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w płaczliwy wtór biły.

Ale po próżnicy lamenty a płacze, na darmo, bo musu, człowiecze, nie przeprzesz, doli nie przemożesz ni tego, co być ma...

– Co chcecie? – spytał wreszcie starszy, siwy Żyd.

– Trzysta złotych.

– Trzysta złotych za tę chabaninę! Wy, Antoni, chory jesteście czy co?

– Ty mi od chabanin na nią nie pyskuj, byś czego nie oberwał! Widzisz go, krowa młoda, na piąty rok ledwo idzie, spaśna – wrzeszczała Hanka.

– Sza... sza... w handlu gniewu nie ma o to słowo... bierzecie trzydzieści rubli?

– Powiedziałem swoje!

– I ja mówię swoje, trzydzieści jeden... no, trzydzieści jeden i pół... no, trzydzieści dwa – dajcie rękę... no, trzydzieści dwa i pół... zgoda?

– Rzekłem.

– Ostatnie słowo, trzydzieści i trzy! Nie, to nie! – powiedział flegmatycznie młodszy i oglądał się za swoim kijem, a starszy zapinał chałat.

– Za telachną krowę!... A dyć bójcie się Boga, ludzie... krowa kiej obora, sama skóra warta z dziesięć rubli... za telachną krowę... oszukańce... Chrystobije... – jąkał stary oklepując krowę, jeno że nikto nie zważał na niego.

Żydzi rozpoczęli zajadłe targi, Antek też stał twardo przy swoim, opuścił coś niecoś, ale niewiele, bo po prawdzie krowa była dużo warta, i żeby tak na zwiesnę i gospodarzowi sprzedać, dostałby pięćdziesiąt rubli jak nic. Ale gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie – Żydy dobrze o tym wiedziały i chociaż wrzeszczeli coraz głośniej i coraz zapalczywiej bili w Antkową dłoń na zgodę, przyrzucali mało wiele, najwyżej po pół rubla...

Już było tak, że odchodzili zagniewani, już Hanka krowę ciągała z powrotem do zagrody, i nawet Antek się rozsierdził i gotów był sprzedaży poniechać, ale kupcy wrócili i jak zaczęli krzyżeć, handryczyć a przysięgać, że więcej dać nie mogą, a w ręce przebijać i krowę znowu penetrować, tak i stanęła zgoda na czterdziestu rublach i dwóch złotych postronkowego la<sup>114</sup> Bylicy.

Wyplacili zaraz na rękę; stary powiódł za nimi krowę do sań, które czekały przed karczmą, Hanka zaś z dziećmi odprowadzała krasulę aż do drogi, a co trochę to ją gładziła po gębuli, to pokładała się na niej, a oderwać się nie mogła od bydłatka ni przyciszyć frasunku i żalości...

Jeszcze na drodze przystanęła patrzeć za nią i pomstować z całej duszy na tych żółtków niechrzczonych! Tyla krowę

---

<sup>114</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

stracić, to i nie dziwota, że kobiecie zagrała wątroba pomstą.

– Jakby kogo z chałupy na mogiłki wywieźli, tak pusto – rzekła z nawrotem i co trochę zaglądała do pustej zagródki, to przez okno patrzyła na ścieżkę zdeptaną, poznaczoną łajnem i śladami kopyt, a raz wraz wybuchała płaczem i wyrzekaniem.

– Przestałaś, a to jak to ciele buczy i buczy! – krzyknął Antek siedząc przed rozłożonymi na stole pieniędzmi.

– Kogo nie boli, temu wszystko powoli. Nie bolała cię bieda, kiejś krowę zmarnował i Żydom na rzeź wydał!

– Hale, ozedrę się pewnie i z lelit ci pieniądze wypuszczę, co?

– Jak te ostatnie komorniki ostalim, jak te dziadaki, ani tej kapki mleka, ani pociechy żadnej! Tylem się dorobiła na swoim, tyle! Mój Jezu! Mój Jezu! Drugie zabiegają, jak te woły orzą i jeszcze coś do domu przykupują, a ten ostatnią krowę, com od ojców dostała, sprzedaje... Już chyba ostatnia marnacja przyjdzie, ostatnia! – zawodziła nieprzytomnie.

– Rycz, to ci ano ode łba odciągnie, jakieś głupia i wyrozumienia nie masz! Naści pieniądze, popłać, gdzieś winna, kup, coć potrza, a resztę schowaj! – podsunął kupkę pieniędzy, a pięć rubli papierowe schował do pularesu.

– Na co ci tyła pieniędzy?

– Na co? z kijem tylko nie pójde.

– Gdzie się to wybierasz?

– We świat, roboty poszukam, gnił tutaj nie będę!

– We świat! Wszędzie psi boso chodzą, wszędzie biednemu wiat w kłęby wieje! Sama to ostane, co? – podnosiła głos

bezwiednie i groźnie się przysuwała do niego, nie zważał na to, przyodział się w kozuch, pasem opasał i za czapką oglądał.

– U chłopów robił nie będę, żebyś miał skapieć, nie będę!  
– powiedział.

– Organista potrzebuje do młocki!...

– Hale, ciarach jeden, ciołek<sup>115</sup> taki, co ino na chórze bekuje a gospodarzom w garście patrzy i żyje tym, co uprosi lebo co wycygni, do takiego na wyrobek nie pójdę...

– Kto nie ma chęci, ten wie, jak wykręci!

– Nie dogaduj! – wrzasnął ze złością.

– Mówię ci co kiedy, naprzykrzam się, a dyć robisz, co chcesz!

– Do dworów pójdę – mówił znów spokojnie – o służbie się jakiej przewiem, może od Godów dostanę, choćby na rataja, a pójdę, byle tutaj nie śmierdzieć i krzywdy na oczach nie mieć ciągiem, bo nie zdzierzę... Dość mi tego, dość mi tego ludzkiego politunku i tego patrzenia kiej na parszywego psa!... We świat iść, gdzie oczy poniesą, byle ino z dala... byle ino prędko!... – zaczął krzyczeć i unosić się.

Hanka zamarła w przerażeniu i stała bez ruchu; jeszcze go takim nie znała.

– Ostaj z Bogiem, za parę dni wrócę.

– Antek! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Czego? – Już z sieni nawrócił.

– A to nawet tego słowa dobrego żałujesz... nawet tego...

– Cóż to, ceckał się z tobą będę, może jamorował?... Nie to

---

<sup>115</sup> *ciotak* a. *ciotek* (gw.) – ciele. [przypis edytorski]

mi w głowie! – zatrzasnął drzwi i poszedł.

Poświstywał przez zęby, wspierał się kijem i szedł rażno, aż śnieg skrzypiał pod nogami, obejrzał się na chałupę. Hanka stała pod ścianą i zanosila się od płaczu, a przez drugie okno wyglądała Weronka.

– Ścierwa, buczy i buczy! Do tego to rozum ma!... We świat! We świat! – szeptał i rozglądał się dookoła, leciał oczami wskrós przeszlonych bielizn śnieżnych. Rwała go tęsknota jakaś, parła, rzucała przed się, że z radością myślał o innych wsiach, o ludziach nowych i życiu innym. Niespodzianie mu to przyszło, samo z siebie nań spadło i tak go porwało z nagła, jak kiedy wzebrana woda kierz<sup>116</sup> słaby bierze, że ani oprzeć się temu, ni nawrócić. Dola go rzuciła we świat.

Jeszcze godzinę temu ani myślał, że pójdzie, ani wiedział! Samo przyszło, że świata, z wiatrem pewnie nawiała ta chęć i rozżarzyła mu serce niepowstrzymanym pragnieniem ucieczki. Wyrobek, nie wyrobek, byle ino stąd iść... Hej! Uleciałby jako ten ptak, we wszystek świat niósłby się, na bory, na te nieobjęte ziemice... Juści, co mu tu kapieć, czego doczekiwać? Już go te wspominki przeżarły, że dusza na wiór wyschła, a co mu z tego? ... Książd jest prawy, dobrze mu wyłożył, że w sądzie z ojcem nie wygra, a jeszcze sporo grosza dołoży. A z pomstą poczeka w sposobniejszy czas, w sposobniejszy; jeszcze takiego nie ma, któremu by darował krzywdy... A teraz ino iść przed się, gdzie bądź, byle z daleka od Lipiec...

---

<sup>116</sup> *kierz* (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

– Gdzie by najpierwej?...

Stał na skrócie w topolową drogę i nieco wahająco rozglądał się po zgubionych w omgleniu polach, zimno go przejęło, że zęby mu szczękały i trząsał się we środku.

– Przez wieś i drogą za młynem pójdę... – zdecydował prędko i skręcił do wsi; nie uszedł jeszcze i pół staja<sup>117</sup>, gdy usunąć się musiał w bok pod topole – środkiem drogi, wprost na niego waliły jakieś sanie w kłębach kurzawy, a ostro i z dzwonieniem.

Jechał Boryna z Jagusią, sam powoził, konie rwały z kopyta podrywając sankowe pudełko kiej piórkiem, a stary jeszcze podcinał batem, przynaglał i coś ze śmiechem powiadał. Jagus też w głos mówiła, urwała naraz spostrzegłszy Antka, wpili się oczami w siebie na mgnienie, na ten jeden błysk i roznieśli w dwie strony, sanki przesunęły się wnet i utonęły w kurzawie, ale Antek z miejsca się nie ruszył, skamieniał zgoła, jeno patrzył za nimi... wychylali się czasem ze śnieżycy, to zaczerwieniły się Jagusine wełniaki, to dzwonki mocniej zajęczały, i ginęli, przepadali, jakby wskrós tej bielizny pędzili... pod dachem oszroniałych gałęzi, co splecione jakby sklepienie czyniły, jakoby ducht przebity w śniegach, a podstemplowany czarniawymi pniami topoli, które stały z obu stron drogi i, pochylone, przyginały się niby w ciężkim, utrudzającym chodzie pod wzgórze... Patrzył wciąż w jej oczy, stały przed nim, skrzyły się w śniegach kiej te nowe kwiatki, na drodze wyrastały wszędzie,

---

<sup>117</sup> *staje* a. *stajanie* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

a patrzyły zestrachane i żałosne, zdumione a radosne zarazem, przejmujące i żywym ogniem rozbłyśłe.

Przygasła mu dusza, omgłiła się, jakby te szrony przysypały go do dna i na wskroś przejęły, że ino te modre oczy same jedne w nim jaśniały. Zwiesił głowę i powłókł się wolno, odwracał się raz i drugi, ale już nic nie było widać pod topolami, czasem jeno dzwonek zajęknął w oddali i kurzawa zamajaczyła. Zapomniał o wszystkim, jakby z nagłą duszę zgubił, pamięć go odeszła, oglądał się bezradnie, nie wiedzący, co począć... gdzie iść... co się stało? – jakby w sen na jawie się pograżył i ocknąć nie mógł.

Prawie nie wiedzący nawrócił do karczmy wymijając parę sań zapełnionych ludźmi, ale choć pilnie patrzył, nie rozeznał nikogo.

– Gdzie taką hurmą wałą? – spytał Jankla stojącego na progu.

– Do sądu. Sprawa z dworem o krowy, o pobicie pastuchów, wiecie! Ze świadkami jadą, a Boryna pojechał przodem.

– Wygrają to?

– Po co mają przegrać! Dziedzica z Woli skarżą, sędzi dziedzic z Rudki, to i dlaczego ma dziedzic przegrać? A ludzie się przejadą, drogi przetrą, zabawią się – w mieście też potrzebują nasi utargować. Wszyscy po trochu wygrają, wszyscy.

Antek nie słuchał przekpiwań, kazał dać okowitki, wsparł się o szynkwias i stał tak zapatrzony przed się, nieprzytomny prawie, z dobrą godzinę, nie tknąwszy nawet kieliszka.

– Wam coś jest?

– I... co by zaś miało być... – puście do alkierza<sup>118</sup>.

– Nie można, tam siedzą kupcy, wielkie kupcy, oni drugą porębę kupili od dziedzica, tę na Wilczych Dołach, to potrzebują spokojności, może nawet i śpią.

– A to parchów za brody powyciągam i na śnieg wyciepnę. – krzyknął i rzucił się zapamiętale ku alkierzowi, ale od drzwi zawrócił, zabrał butelkę i wcisnął się za stół, w najciemniejszy kąt.

Pusto było w karczmie i cicho, tyła co tam Żydy coś zakrzyczały po swojemu, że Jankiel biegł do nich, albo ktoś wszedł na kieliszek, wypił i wynosił się.

Dzień się już przetaczał na drugą stronę, a i mróz brać musiał, bo skrzypiały płozy sań na śniegu i chłód wiał po karczmie, Antek zaś siedział, popijał z wolna, niby to medytował, a zgoła nie wiedział, co się działo w nim i dookoła.

Pił kwaterkę po kwaterce, a te oczy wciąż modrzały przed nim, tak blisko były, tak blisko, że je powiekami prawie dotykał; wypił trzecią... jaśniały wciąż, jeno się jeły kołować, chwiać i po karczmie nosić jako te światła. Mróz go przeszedł ze strachu, zerwał się na nogi, trzasnął butelką o stół, że w kawałki się rozprysnęła, i szedł ku drzwiom.

– Zapłaćcie! – krzyczał Jankiel zabiegając mu drogę – zapłaćcie, ja wam borgować<sup>119</sup> nie będę...

---

<sup>118</sup> *alkierz* (daw.) – ustronny pokój; sypialnia; tu: mniejsze pomieszczenie w karczmie dla lepszych gości. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *borgować* (daw.) – dawać na kredyt. [przypis edytorski]

– Z drogi, psiakrew, Żydzie, bo cię zakatrupię! – wrzasnął z taką mocą, że Żyd zbladł i spiesznie się usunął.

Antek ino gruchnął w drzwi i wybiegł.

## II

Jakoś o samym południu dzień się nieco rozjaśnił, ale ino tyła, coby kto łuczywem przeciągnął po świetle, bo wnet zgasło i omroczało, jakby śnieg narastał i sposobił się znowu.

W izbie Antków też było dziwnie mroczno, chłodno i smutnie; dzieci bawiły się na łóżku i z cicha do się krzekorzyły, kiej te kurczątko zestraszono, a Hankę tak podrzucała niespokojność, że rady sobie dać nie mogła. Chodziła z kąta w kąt, wyglądała przez okno, to przed domem stała i rozpalonymi oczami wodziła po śniegach. Hale, ani żywej duszy nie ujrziała na drogach ni na polach – parę sań przewlekło się od karczmy i zginęło pod topolami, jakby się zapadły w tej śniegowej topieli, że ni znaku, ni głosu nie zostało po nich. Nic, jeno ta cichość zmartwiała i pustka nieprzejrzana!

– Żeby choć ten dziad jaki zajrzał, żeby choć z kim zagadać! – westchnęła.

– Kucusie! Kucu, kucu, ku-cu! – zaczęła gonić po śniegach kury, bo się rozłaziły i szukały miejsc na trześniach<sup>120</sup>. Pozanosila je na grzędy, a z powrotem wywarła gębę na Weronkę, bo jakże, tamta wystawiła do sieni cebratkę z pomyjami dla gadziny, a te zapowietrzono świntuchy rozlały na ziemię, że kałuża stanęła pod drzwiami.

– ...To świń pilnuj, kiej się za gospodynię masz, dzieciom

---

<sup>120</sup> *trześnia* (gw.) – czereśnia. [przypis edytorski]

przykaż... ja bez<sup>121</sup> ciebie nie będę się taplała w błocie! – wykrzykiwała przez drzwi.

– ...Sprzedała krowę, to głos tu będzie zabierać, ale, błoto już jej przeszkadza, wielka pani, a sama kiej w chlewie siedzi...

– ...Tobie wara, gdzie siedzę, i wara ci do mojej krowy!

– ...To i do moich prosiaków ci wara, słyszysz!

Hanka ino trzasnęła drzwiami, bo co miała odpowiadać takiej piekielnicy? – rzec jej to jakie słowo, to ona i na półkopku<sup>122</sup> nie poprzestanie, a jeszcze i do bicia gotowa. – Przywarła drzwi na haczyk, wydobyła pieniądze i wzięła się biedzić nad rozliczaniem. Niemało się utrudziła nad tylachnem pieniędzy, a i myliło się jej wciąż; zgniewana jeszcze była na Weronkę i niespokojna o Antka, to znowu widziało się jej często, że krasula czegoś postępuje... albo ją zalewały przypominki ojcowego domu.

– ...Juści, że jakby w chlewie siedzimy, juści! – szeptała rozglądając się po izbie – a tam i podłoga, okna jak się patrzy, ściany bielone, i ciepło, i czysto, i wszystkiego po grdykę... Co oni tam robią?... Józka zmywa statki po obiedzie, a Jagna przedzie i przez czyste, niezamarzłe szyby na świat spogląda... brak jej to czego!... Wszystkie korale dostała po nieboszczce, a tyle wełniaków, tyle szmat, tyle chust!... Nie narobi się, nie umartwi niczym, tłusto zje... Stacho powiedział przecie, że Jagustynka za nią robi, a ona do białego dnia się wyleguje pod

---

<sup>121</sup> bez (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> półkopek (daw. a. gw.) – trzydzieści. [przypis edytorski]

pierzyną i harbatę popija... ziemniaki jej nie służą... a stary się ino przymila i kiej koło dzieciątka zabiega...

Gniew ją przejął nagły, aż się porwała od skrzynki i pogroziła pięścią.

– Złodziej, ścierwa, złodziej, lakudra jedna, tłuć! – wykrzyknęła w głos, aż stary, co był na przypiecku drzemał, zerwał się przestraszony.

– Ociec, przytkajcie ziemniaki ocipką i dół obwalcie śniegiem, bo na mróz się ma – szepnęła spokojniej zabierając się znowu do liczenia.

Staremu coś niesporo szła robota, śniegu była kupa, a sił wiele nie miał, a i te dwa złote postronkowego nie dały mu spokoju, na stole świeciły się dwie złotówki, prawie nowe, dobrze pamiętał..

– Może i dadzą... – myślał – komuż to się przynależą? ... aż mu kulas stergł od postronka, tak się krasula wydzieriała... wstrzymał przeciech... a kupcom to nie zachwalał? słyszeli... cheba dadzą... Zaraz by starszemu, Pietrusiowi, na pierwszym odpuście kupił organki... młodszemu by też trza... Weronczynym dzieciom też... zbóje są i uprzykrzone, ale trza... a sobie tabaki... krzepkiej ino, jażby we wąpiach zawierciło, bo Stachowa słaba... ani człek nie kichnie od niej... – Rozliczał, a tak żwawo robił, że gdy w godzinę jaką Hanka wyjrzała, to ledwie słoma była pokryta śniegiem.

– Za chłopa to zjecie, ale i za dziecko nie zrobicie...

– A dyć się spieszę, Hanuś, inom się zadychał dziebko, tom

tęgo powietrza łąpał... pierunem będzie... pierunem... – jękał przestraszony.

– Wieczór już pod lasem, mróz bierze, a cały dół rozwalony, jakby go świnię spyskały. Idźcie do chałupy dzieci pilnować.

Sama się zabrała do śniegu i tak ostro, że w jakie dwa pacierze dół był przywalony i galanto<sup>123</sup> oklepamy.

Ale mroczyć już poczynało, gdy skończyła, w izbie chłód się podnosił przejmujący, gliniany, mokry tok tężał i dudnił pod trepami kiej klepisko, mróz brał z miejsca i znowu a wzorzysto pokrywał szybki, dzieci skwierczały z cicha, jakby przygłodne nieco, nie przyciszała ich, bo czasu nie było. A to sieczki musiała urznąć dla jałowicy, prosiaka nakarmić, bo pokwikał i cisnął się do drzwi, gąski napić, a to jeszcze raz przepowiedziała sobie, ile i komu miała zapłacić, aż obrządziwszy wszystko zabrała się do wyjścia.

– Ociec, napalcie ogień a miejcie baczenie na dzieci, za parę pacierzy przyjdę, a jakby Antek wrócił, to kapusta jest w rynce na blasze...

– Dobrze, Hanuś, napalę, przypilnuję, a kapusta jest w rynce, baczę, Hanuś, baczę...

– A te postronkowe wzięłam, nie potrzeba wam przecież, jeść macie, szmaty macie, czegoż wam więcej?...

– Juści... wszystko mam, Hanuś, wszystko... – szeptał cichutko, odwrócił się szybko do dzieci, bo łyzy posypały mu się z oczów.

---

<sup>123</sup> galanto (gw.) – elegancko, porządnie. [przypis edytorski]

Mróz ją obwionął na powietrzu, że mocniej zaciągnęła zapaskę na głowę, śnieg skrzypiał pod nogami, na ziemię sypał się mrok modrawy, suchy i dziwnie przejrzysty, niebo było jasne, kieby szklane, odsłonięte w dalach i już kajś niekajś w wysokościach trzęsła się gwiazda jedna i druga.

Hanka raz wraz macała za pazuchą, czy ma pieniądze, a rozmyślała, że przepyta się tu i owdzie, a może znajdzie, może uprosi robotę jaką dla Antka, a we świat mu iść nie da! Teraz dopiero przyszło jej do głowy, co był wygadywał, i aż ją zamroczyło to przypomnienie. Nie, póki życia na drugą wieś się nie przeniesie, pomiędzy obcych nie pójdzie, ady by uschnęła z tęsknicy!

Ogarnęła oczami drogę, zasypane domy, sady ledwie widne spod śniegów i te szarzejące nieskończone pola. Wieczór cichy i mroźny opadał coraz prędzej, gwiazd przybywało, jakby je kto rozsiewał pełną garścią, a na ziemi przygasłej wskroś śnieżnych bielizn wyblyskiwały światełka chałup, dymy czuć było w powietrzu, ludzie snuli się po drodze, głosy jakieś leciały nisko nad śniegami.

– Z tegom wyrosła i jako ten wiater nie będę się tłukła po świecie, nie! – szeptała z mocą, zwolniła nieco, bo zapadała miejscami w chrupiący śnieg aż po kolana, że trepy trzeba było wyciągać!

– Tu mnie Pan Jezus dał na świat, to już tutaj do śmierci ostanę. Aby ino do zwiesny<sup>124</sup> przetrzymać, to już łącniej będzie,

---

<sup>124</sup> do zwiesny (gw.) – do wiosny. [przypis edytorski]

lekciej. A nie zechce Antek robić, to i tak po proszonym nie pójde, do przedzenia się wezmę, do tkania, do czego bądź, byle ino pazury zaczepić i biedzie się nie dać... prawda, dyć Weronka a tkaniem zarabia tyle, że jeszcze i ten grosz zapasny mają... – rozważała skręcając do karczmy. Pochwaliła Boga, Jankiel odrzekł: „Na wieki!” i kiwał się zwyczajnie nad książką nie bacząc na nią, dopiero gdy położyła przed nim pieniądze, uśmiechnął się przyjaźnie, rozjaśnił więcej światło w lampie wiszącej, pomógł jej liczyć i nawet wódką poczęstował. O Antkowym zaś długu ni o nim samym nie rzekł ni słowa; zmyślna jucha była, bo co ta kobiecie wiedzieć o chłopskich jenteresach, w głowę dobrze nie weźmie, nie wyrozumie, jak potrza, a ino z pyskiem wyjechać gotowa. Dopiero kiej się zabierała do wyjścia, powiedział:

– A wasz co robi?

– Antek?... A poszedł szukać roboty!

– Bo to we wsi brak? We młynie tartak robią, ja też potrzebuję kogo sprawnego do zwózki drzewa.

– Hale, w karczmie mój robił nie będzie! – wykrzyknęła.

– Niech sobie śpi, niech wypoczywa, kiedy taki pan! Wy macie gęsi, podpaście trochę, kupię na święta.

– Zaśbym tam sprzedawała, ostawiłam ino tyła, co na chowanie!

– Kupicie na wiosnę młode, mnie potrzeba podpasionych. Chcecie, to możecie brać na borg<sup>125</sup> wszystko, a zapłacicie

---

<sup>125</sup> borg (daw.) – kredyt. [przypis edytorski]

gęsiami, policzymy się...

– Nie, gąsków nie przedam.

– Sprzedacie, jak krasulę zjecie, to nawet tanio sprzedacie.

– Niedoczekanie twoje, parchu jeden! – szepnęła wychodząc.

Mróz brał, aż w nozdrzach wierciło, niebo iskrzyło się już gwiazdami, a od borów pociągał mroźny, szczypiący wiatr. Szła jednak wolno środkiem drogi i ciekawie się rozpatrywała po chałupach: świeciło się u Wachników, którzy siedzieli ostatni przed kościołem; z obejścia Płoszków buchała wrzawa głosów i kwiki świń; w plebanii gorzały wszystkie okna i jakieś konie były niecierpliwie kopytami przed gankiem; u Kłębów zaś, co w podle księdza siedzieli, też jaśniało światło i ktosik chodził koło obór, bo słyhać było skrzywienie śniegu pod trepami, a dalej, sprzed kościoła, skąd wieś się rozchodziła kieby w te dwie ręce obejmujące staw, mało co było widać wskroś nocy, ino gdzieniegdzie z mrocznej bielizny<sup>126</sup> mżyło światółko jakieś albo pies naszczekiwał.

Hanka popatrzyła ku ojcowej chałupie, westchnęła i zawróciła sprzed kościoła w długie opłotki, wiodące między Kłębowym sadem a księżym ogrodem do organistów. Dróżka była zasypana, ledwie co przetarta, wąska, a tak przysłonięta krzami<sup>127</sup> obwisłymi pod śniegiem, że co chwila sypał się na nią z trąconych gałęzi.

Dom stał w głębi, w księżym podwórzu, a ino wyjazd miał

---

<sup>126</sup> *bielizna* – tu: biel śniegu. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> *kierz* (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

osobny, krzyki jakieś odeń szły i płacze, a przed sienią czerniała skrzynka, to leżały na śniegu porozrzucane szmaty, pierzyna, rupiecie jakieś... Magda, dziewczka<sup>128</sup> organistów, zanosila się płaczem i krzyczała wniebogłosy pod ścianą.

– Wygnali me! Wypędzili me! Jak tego psa na mróz, w cały świat! A gdzie ja się sierota podzieję teraz?... Gdzie?

– Nie krzycz mi tu, świnio jedna! – wrzasnął głos z sieni wywartej. – Wezmę kija, to wnet zmilkniesz! A wynoś mi się w te pędy, do Franka idź, łajdusie jeden! Jak się macie, Borynowa! Moiściewy, a to już od jesieni wiadomo było... a mówiłam, prosiłam, zaklinałam, strzegłam – a bo to łajdusa ustrzeże! Wszyscy spać, a ona we świat, wyspacerowała teraz sobie bękartą! A bo to raz mówiłam: Magda, zastanów się, pomiarkuj, on się z tobą nie ożeni... to mi się w żywe oczy zapierała wszystkiego! Juści, zobaczyłam, że dziewczka grubieje i rośnie jak na drożdżach, to jej jak komu dobremu powiadam: Idź, skryj się gdzie na drugą wieś, póki czas, póki ludzie nie wiedzą jeszcze... A bo to usłuchała!... Aż ją dzisiaj wzięty boleści w oborze przy dojeniu... cały skopek<sup>129</sup> mleka wylała... a moja Frania przylata zestraszona i krzyczy, że Magdzie się coś stało! Jezus Maria, w moim domu taki wstyd, a co by to i ksiądz proboszcz na to powiedział! A wynoś mi się sprzed domu, bo cię na drogę wyrzucić każę! – wrzasnęła raz jeszcze wyskakując przed dom.

---

<sup>128</sup> *dziewka* – tu: służąca. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *szkopek* a. *skopek* – naczynie, kubetek. [przypis edytorski]

Magda porwała się spod ściany i z płaczem a wyrzekaniem zaczęła zbierać szmaty i wiązać w toboły.

– Chodźcie do mieszkania, bo zimno. Żeby mi tu i znaku po tobie nie zostało! – krzyknęła na odchodnym.

Powiedła Hanke przez długą sień.

Ogromną niską izbę rozświetlał ogień, płonący na trzonie komina. Organista rozdziany, w koszuli tylko i z podwiniętymi rękawami, czerwony jak rak, siedział przed ogniem i piekł opłatki... co chwila czerpał łyżką z michy rozrobione, płynne ciasto, rozlewał je na żelazną formę, ścisnął, aż syczało, i kładł nad ogniem wspierając na cegle sztorcem ustawionej, przewracał formę, wyjmował opłatek i rzucał na niski stół, przed którym siedział mały chłopak i obcinał nożyczkami do równa.

Hanka pozdrowiła wszystkich, a organiście pocałowała w rękę.

– Siadajcie, rozgrzejcie się, cóż tam u was słyhać?...

Juści, tak zaraz nie mogła się zebrać na to jakie słowo, nie śmiała, rozglądając się po stancji<sup>130</sup> i zazierając ukradkiem do drugiego pokoju, gdzie wprost drzwi, na długim stole pod ścianą, bieleły się stosy opłatków, przyciśnięte deską, a dwie dziewczyny składały je w paczki okręcając papierowymi packami, zaś w głębi już niedojrzanej brzęczał monotennie głos klawikordu – muzyka snuła się jak pajęczyna, raz wyżej brała, górnij kieby w śpiewie, to znowu cichła, że ino to brzękliwe przebieranie było słyhać, abo zasię cosik się rwało nagle i piskało przenikliwie, aż

---

<sup>130</sup> *stancja* – tu: mieszkanie. [przypis edytorski]

dreszcz Hankę przenikał, a organista wykrzykiwał:

– Te, trąba, zjadłeś fis<sup>131</sup> jak skwarek! – powtórz od *Laudamus pueri...*

– Na Gody<sup>132</sup> to już? – spytała, że to nieobyczajnie było siedzieć jako ten mruk.

– Tak, parafia wielka, porozrzucana, a wszystkim przecież trzeba opłatki roznieść przed świętami, to i wczas zaczynać muszę.

– Z pszenicy to?

– Spróbujcie.

Podał jej jeszcze gorący opłatek.

– Zaśbym tam śmiała jeść!

Wzięła go przez zapaskę i przeglądała pod światło ze czią i trwogą jakąś.

– Jak to na nim wyciśnięte historie różne, Jezus!

– Na prawo, w pierwszym kółku, to Matka Boska, święty Jan, Pan Jezus, a w drugim kółku... widzicie... żłób, drabinę, bydlątka... Dzieciątko Jezus na sianie, święty Józef, Matka Boska, a tu klęczą trzej królowie... – objaśniała organiścina.

– Rychtyk<sup>133</sup> prawda, jak to zmyślnie wszystko udane, prawda!...

Obwinęła w chustkę opłatek i schowała za pazuchę, bo chłop jakiś wszedł i coś powiedział, że organista krzyknał.

---

<sup>131</sup> *zjadłeś fis* – tj. pominąłeś jedną nutę. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *Gody* – Boże Narodzenie. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> *rychtyk* (gw.) – akurat, właśnie. [przypis edytorski]

– Michał! Do chrztu przyjechali, weź klucze i idź do kościoła, bo Jambroży posługuje na plebanii, ksiądz już wie...

Muzyka umilkła i przez izbę przeszedł wysoki, blady chłopak.

– Po bracie mojego<sup>134</sup> sierota, na organistę praktykuje, z łaski jeno mój go uczy, cóż robić?... Trza się i nadszarpnąć, a krewniakowi pomóc...

Hanka się rozgadała, pomału, jękliwie, a dała upust żalom swoim i turbacjom. Od trzech tygodni pierwszy raz mogła się wygadać do syta.

Słuchali jej. Powiadali swoje, a choć się strzegli, aby o Borynie nie powiedzieć słowa, użalali się nad nią tak pocziwie, aż się pobeczwała, a organiścina, że to mądra kobieta, wnet zmiarkowała i pierwsza rzekła:

– Czasu może wam co zbędzie, to byście oprzędli mi wełnę. Pakulinie miałam dać, ale weźcie wy; tylko na kółku oprzędźcie, bo na przęślicy nic wyjdzie nierówna.

– Bóg zapłać, a dyć mi trza roboty, inom prosić nie śmiała...

– No, no, nie dziękujcie; człowiek powinien pomagać drugiemu. Wełna już gręplowana, a będzie jej ze sto funtów.

– Uprzędę, umiem dobrze, przecież u ojca samam dla wszystkich i przedła, i tkała, i farbowała, nie kupowali na przyodziewek, nie.

– Obaczcie, sucha i miętka.

– Musi być z dworskich owiec, śliczna wełna...

– A jakby wam było potrzeba mąki, kaszy, grochu, to

---

<sup>134</sup> *mój* (gw.) – mój mąż. [przypis edytorski]

powiedzcie, dam wam, policzymy się w robocie.

Wprowadziła ją do komory, gdzie pełno było worów i beczek ze zbożem; połcie słoniny wisiały na ścianie; przęda całymi pękami zwieszała się od belek, a płótno grubachnymi wałami leżało na kupie, a co grzybów suszonych, serów, słojuów różnych, a na półkach cały rząd bochnów kiej koła, a inszego dobra to by i nie zliczył.

– Równiuśko oprzędę, na kółku, Bóg zapłać pani za wspomóżenie, ale widzi mi się, co nie udźwignę sama wełny.

– Odeślę wam przez parobka.

– Dobrze, bo to i na wieś jeszcze mi potrza.

Jeszcze raz podziękowała, ale ciszej jakoś i chłodniej – zazdrość ją ugryzła w serce.

– Naród wszystkiego da, naniesie, przysposobi, to mają pełne komory; albo to i presentami nie zdziera! Kto ma owce, ten ma, co chce! Niechby tak sami wyrabiali! Hale!... – rozmyślała wychodząc w opłotki.

Po Magdzie nie było już śladu, tyła ino, że jakieś stare trepisko czerniało na śniegu, przyspieszyła kroku, bo późno już było, zasiedziała się nieco u organistów.

– Gdzie by to, u kogo przepytać się o robotę la<sup>135</sup> Antka?

Jak gospodynią była, to i przyjacielstwo z nią trzymali wszyscy, ciągiem ktoś do chałupy zaglądał, czegoś potrzebował i w oczy dobrość świadczył... a teraz stoi oto w pośrodku drogi i biedzi się, gdzie iść, do kogo?... Nie, napraszała się nie będzie

---

<sup>135</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

nikomu, rada by ino z kobietami pogwarzyć po dawnemu.

Postała przed Kłębami, postała przed Szymonową chałupą, ale wejść nie weszła, nie śmiała i przypomniało się jej, że Antek przykazywał nie zadawać się z ludźmi.

– Nie poradzą, nie wspomogą, a użalać się będą nad tobą jak nad zdechłym psem! – mówił.

– Oj prawda, święta prawda! – szepnęła przypominając organistów.

Hej, żeby to ona chłopem była, zaraz by się jęła roboty i zaradziła wszystkiemu. Nie skamlałaby i ludziom przed oczy nie świeciłaby swoją biedą.

Poczuła w sobie taki wilczy głód pracy, takie rozpieranie sił, aż się przeciągnęła i mocniej stąpała, raźniej. Ciągnęło ją też, ciągnęło, by przejść obok ojcowej chałupy, by zajrzeć choćby ino w opłotki, by choć oczy nacieszyć, ale zawróciła sprzed kościoła na ścieżynkę utorowaną środkiem zamarzłego stawu i biegnącą ku młynowi i szła prędko nie rozglądając się na boki, tym ino zajęta, by się na śliskim lodzie nie pośliznąć i by prędzej przejść, i nie widzieć, nie rozkrwawiać sobie duszy przypomnieniem, ale nie zdzierżyła, bo tak jakoś na wprost Borynów przystanęła nagle i nie miała mocy oderwać oczów od światła mżących w oknach.

– A przecież to nasze, nasze... jakże to iść we świat... Kowal by wnet zabrał... nie, nie ruszę się stąd... jak pies warowała będę, czy Antek chce, czy nie... Ociec nie wieczny, a może się co jeszcze przemieni... dziecisków na poniewierkę nie dam ni sama nie pójdę... toć to ich... nasze... – marzyła wpatrzona

w ośnieżony sad, z którego występowały zarysy budynków, białe rozsrebrzone dachy, czerniały ściany, występował w głębi za szpą ostry szczyt brogu<sup>136</sup>. Jakby jej wrosły nogi w lód, że ruszyć się nie mogła ni oderwać oczów, ni serca rozkołatanego.

Noc cicha, mroźna, granatowa, osypana gwiazdami, jakoby tym piaskiem srebrnym, obtulała zaśnieżoną ziemię, drzewa stały bez ruchu, pochylone pod ciężarem śniegów, uśpione, niepojęte w tej cichości, jaka się rozlewała nad światem, niby białe cienie widm, niby stęzałe opary, śniegi skrzyły się ledwie uchwytnie, głos wszelaki zamarł, że tylko coś, jakby szelest drgających gwiazd, jakby tętna ziemi przemarzłej, jakby senne dychanie drzew zmartwiałych – drżało w mroźnym powietrzu.

A Hanka stała wciąż, niepomna na czas biegnący ni na szczypiące, ostre zimno. Przywarta oczami do domu, piła go, obejmowała sercem i brała w siebie z całą mocą głodu i marzenia.

Zbudził ją dopiero skrzyp śniegu, ktoś zeszedł z drogi na staw i kierował się ku niej, a po chwili spotkała się oko w oko z Nastką Gołębianką.

– Hanka! – wykrzyknęła zdumiona.

– Dziwujesz się, jakbym już stergła i po śmierci straszyla!

– Co wam też do głowy przychodzi, dawnom waju<sup>137</sup> nie widziała, tom się zdziwiła. W którą stronę idziecie?

---

<sup>136</sup> *bróg* – oparte na czterech słupach słomiane zadaszenie, pod którym składowano siano lub niewymłócone zboże. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *waju* (gw.) – was. [przypis edytorski]

– A do młyna.

– To i mnie droga, bo Mateuszowi niosę kolację.

– We młynie teraz robi, na młynarczyka praktykuje?...

– Gdzieby tam zaś na młynarczyka się sposobił! Na tartaku, co go to postawili przy młynie, a pilno mają, że już i wieczorami robią.

Szły obok siebie, Hanka mało które słowo rzekła, a ino Nastka trzepała wciąż, ale się strzegła, by o Borynie nic nie powiedzieć, juści, że o to Hanka nie spytała, nijako było, choć rada by posłuchała.

– Dobrze młynarz płaci?

– Po pięć złotych i groszy piętnaście bierze Mateusz...

– Aż tyle! Pięć złotych...

– Przecież jego to głową wszystko idzie, to i nie dziwota.

Hanka milczała, ale przechodząc wprost kuźni, z której przez wybite szyby buchały czerwone światła i krwawiły śniegi, szepnęła:

– Ten judasz zawsze ma co robić.

– Czeladnika se przybrał, a sam ciągiem jeździ, pono z Żydami spółkę trzyma w lesie i razem ludzi oszukują.

– Tną to już poręby?

– W lesie to siedzicie czy co, że wam nie wiadomo?

– Nie w lesie, ale za nowinami nie biegam po wsi.

– A to żebyście wiedzieli, rąbią, ale na przykupnym.

– Juści, naszego przecież nie pozwolą tknąć...

– Ino nie wiada, kto zabroni, wójt trzyma ze dworem, sołtys

też i wszyscy, co bogatsi.

– Prawda, kto ta bogaczów zmoże, kto ich przeprze...

A zajrzyj, Nastuś, do nas.

– Idźcie z Bogiem, przylecę którego dnia z kądziałą.

Rozstały się przed młynarzowym domem. Nastka poszła do młyna, na dół nieco, a Hanka przez podwórze do kuchni; ledwie się tam dostała, bo pieski się zleciały i zaczęły doszczekiwać i przypierać ją do ściany, aż Jewka obroniła i powiedła, ale nim się rozgadały, weszła młynarzowa i zaraz prosto z mostu rzekła:

– Do męża macie interes? Jest we młynie.

Nie czekała, ino poszła, ale spotkała się z nim w pół drogi; poprowadził ją do pokoju, zaraz też zapłaciła mu, co była winna za kaszę i mąkę.

– Krowę zjadacie! – powiedział zgarniając pieniądze do szuflady.

– Cóż poradzić, kamieni przeciech nie ugryzie.

Zła była.

– Wałkoń jest wasz chłop, to wam powiem.

– Jest wałkoń abo i nie jest! Cóż to będzie robił? Gdzie?

U kogo?

– Nie ma to młocki we wsi?

– Parobkiem ni wyrobnikiem nie był, to i nie dziwota, że się do tego nie rwie.

– Przyzwyczajai się jeszcze, przyzwyczajai! Szkoda mi chłopca, choć wilkiem patrzy i nieustępliwy, rodzzonego<sup>138</sup> nie uszanował,

---

<sup>138</sup> *rodzonego* – w domyśle: ojca. [przypis edytorski]

ale szkoda człowieka...

– A dyć mówili... że jest robota u pana młynarza... dopraszam się... może by pan Antka wziął do roboty... dopraszam się... – buchnęła płaczem, obłapiała go za nogi, całowała po rękach, a prosiła gorąco.

– Niech przyjdzie, prosił go nie będą, robota jest, ale ciężka, przy obróbce drzewa pod piły...

– Dyć poradzi, sposobny do wszystkiego, jak mało któren we wsi...

– Wiem, dlatego mówię, żeby przyszedł do roboty, ale swoją drogą źle wy swojego pilnujecie – źle.

Stanąła wystraszona nic nie rozumiejąc.

– Chłop ma dzieci i żonę, a za drugimi sie ugania.

Zbladła i poczęła się trząść w sobie.

– Prawdę mówię, wałęsa się po wsi nocami, widzieli go ludzie nie raz jeden...

Odetchnęła z ulgą ogromną, wiedziała przecież o tym i dobrze rozumiała, że go tak pamięć krzywdy rzuca po nocach i spać nie daje... a ludzie zaraz to sobie farbują na swoje.

– Mógł się już wziąć do roboty, zaraz by mu wywietrzały z głowy kochania.

– Gospodarski syn to...

– Dziedzic jucha, w robocie będzie przebierał, jak ta świnia w pełnym korycie. Kiedy taki przebierny, to trzeba było żyć w zgodzie z ojcem, a za Jagusią nie latać... boć to i grzech niemały, i wstyd...

– Co też panu w głowie powstało? co? – zawołała prędko.

– Mówię wam, jak jest, cała wieś o tym wie, spytajcie się! – zawołał głośno i prędko, że to popędliwy był wielce i zawsze rad prawdę rznać prosto z mostu.

– Czy to ma przyjść? – zapytała cicho.

– Niech przyjdzie, choćby jutro. Co to wam, czego beczyć?

...

– Nie, nie, to ino z mrozu...

Wolno powracała, ciężko, jakby ją przygniatało do ziemi, że ledwie nogi podnosiła. Ściemniał świat i śniegi tak poszarzały, że jakoś trafić nie mogła na ścieżkę, próżno przecierała oczy z łez marznących u rżęs, próżno... Nie odszukała, nie widziała nic i szła już w tej ciemnicy nagłej a bolącej; Jezus! jak bolącej.

– Za Jagusią lata, za Jagusią...

Tchu nie mogła złapać, a serce się jej tłukło jako ten ptak przetrącony, a w głowie kołowało, kołowało, aż wsparła się o jakieś drzewo nad stawem i cisnęła się doń mocno, do bólu.

– Może i nieprawda, może ino cyganił...

Uczepiła się tego ze strachem i oburącz trzymała.

– Mój Jezus! Nie dość biedy, nie dość poniewierki, a tu jeszcze i to się zwala na moją biedną głowę, i to... – jęknęła rzewnie i aby stłumić ból, zaczęła biec prędko, aż do utraty tchu i przytomności, jakby ją wilki goniły, wpadła do izby zadyszana, ledwie żywa.

Antka jeszcze nie było.

Dzieci siedziały przed kominem na dziadkowym kożuchu,

a stary strugał im wiatrak i zabawiał.

– Przywieźli wełnę, Hanuś, we trzech workach przywieźli...

Rozwiązała wory i w jednym z nich na wierzchu znalazła bochen chleba, kawał słoniny i z dobre pół garnca kaszy.

– Niech ci Pan Jezus odplaci za dobrość – szepnęła rozrzewniona i zaraz też narządziła sutą kolację, i rychło dzieci spać położyła.

Uciszyło się wnet w całym domu, bo u Weroniki już spali, a stary też wkrótce przyległ na przypiecku i zasnął, Hanka zaś wyporządziła kółko, siadła przed kominem i przędła.

Długo w noc siedziała, do pierwszych kurów, a wciąż, jak ta nić, wiło się przez nią młynarzowe powiedzenie: „Za Jagną lata, za Jagną.”

Kółko warczało z cicha, jednostajnie, niestrudzenie, noc zaglądała w okno miesięczną, mroźną twarzą i jakby pobrzękiwała w szybki, i wzdychający tuliła się do ścian, a chłód wypełzał z kątów, za nogi chwycił i siwą pleśnią rozrastał się po glinianym toku; świerszcz strzykał za kominem, ino czasem przerwał, gdy które dziecko zakrzyczało przez sen lubo rzuciło się na łóżku – i znowu stawała głęboka, przemarznięta cichość! Mróz brał coraz cięższy i kieby żelaznymi pazurami ścisnął, bo raz wraz trzaskały deski w szczycie, to pogięte stare ściany łupnęły, jakby kto strzelił, to belka niektóra pęczniała od mrozu potrzaskując z cicha, to snadź ziąb przejął na wskroś przyciesie, że zadygotały z nagła boleśnie, i cały dom kurczył się, przywierał do ziemi a drgał z zimnicy.

– Że mnie też do głowy nie przyszło! Juści, taka urodna, taka spaśna, taka przypochebna, a ja co?... Chuchro takie, skóra i gnaty, cóż ja? Czy to umiem go zniewolić do się? czy to śmiejem? A choćbym i żyłę każdą wypruła la<sup>139</sup> niego, nic to, kiej serca la mnie nie ma. Cóż ja! Cóż?...

Niemoc ją ogarnęła, niemoc ogromna, cicha i bolesna, tak strasznie bolesna, że nawet płakać nie mogła, nie miała sił, trzęsła się ino w sobie jako ta drzewina drętwiejąca z zimna, co ani uciecze od męki, ni poratunku uprosi, ni obronić się poradzi – jako ta drzewina skrzytviała Hanczyna dusza. Wsparła głowę na kółku, opuściła ręce i zapatrzyła się przed się, w swoją dolę nieszczęsną, w gorzką bezmoc swoją, i długo, długo tak trwała, ino kiedy niekiedy spod sinych powiek wysuła się łza jaka paląca i padała na wełnę, i zamarzała tam w krwawy różaniec boleści.

Ale nazajutrz wstała spokojniejsza nieco, bo i jakże, miała to czas na turbowanie jak jaka dziedziczka! Może tak jest, jak młynarz powiadał, a może i nie jest! Opuści to ręce, płakać będzie i wyrzekać, kiej wszystko na jej głowie, i dzieci, i gospodarstwo, i bieda cała! Kto temu zaradzi jak nie ona? Tylko pomodliła się gorąco przed Matką Bolesną i żeby Pan Jezus odmienił, to się ochfiarowała iść na zwiesnę<sup>140</sup> do Częstochowy, na trzy msze dać i kiedyś, jak się zapomoże, zanieść cały kamień wosku do kościoła, na światło przed wielki ołtarz.

Ulżyło jej bardzo, jakby się wyspowiadała i ten Sakrament

---

<sup>139</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> zwiesna (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

święty wzięła, że ostro zabrała się do przędzenia, tylko dzień, chociaż był słoneczny i jasny, dłużył się jej niepomiernie i rozbierała ją troska o Antka.

Przyszedł dopiero wieczorem, na samą kolację, ale był taki zbiedzony, zmarnowany i cichy, a tak się witał pocziwie, dzieciom bułek przyniósł, że prawie zapomniiała o podejrzaniach, a gdy jeszcze urządził sieczki i pomagał jej przy obrządku, jak mógł, rozczuliła się tak głęboko, że i wypowiedzieć trudno.

Nie mówił tylko, gdzie był i co robił, juścić nie śmiała o to pytać.

Po kolacji przyszedł Stach, jak to był często zaglądał, choć mu Weronka broniła, a w jakiś czas po nim najniespodziewaniej zjawił się stary Kłęb.

Niemało się zdziwili, bo pierwszy to był człowiek ze wsi od czasu ich wygnania, i tak rozumieli, że z jakimś interesem przychodzi.

– Że to nikt ani się pokaże, tom umyślił waju<sup>141</sup> odwiedzić – rzekł prosto.

Dziękowali mu też ze szczerą i głęboką wdzięcznością.

Siedli se rzędem na ławie, blisko komina, i pogadywali wolno, poważnie, a stary dorzucał gałązek na ogień.

– Mróz niezgorszy, co?

– Że i młócić bez kozucha i rękawic trudno – powiedział Stacho.

---

<sup>141</sup> waju (gw.) – was. [przypis edytorski]

– A co gorsza, że i wilki się pokazują.

Ze zdumieniem spojrzeli na Kłęba.

– Prawdę mówię, dzisiejszej nocy podkopywały pod wójtów chlew, musiało je coś spłoszyć, że prosiaka nie wzięły, a wygrzebały jamę aż pod przycieś, sam chodziłem w południe oglądać, pięciu ich musiało być najmniej!

– To ani chybi, na ciężką zimę znak.

– Przeciech mrozy dopiero co wzięły i tu już wilki wychodzą...

– Widziałem pod Wolą, na tej drodze za młynem, wiecie, gęsty ślad, jakby całe stado szło na ukos drogi, przyglądałem się, ałem myślał, że to pańskie psy polowe, a to wilki musiały być...

– powiedział żywo Antek.

– Byliście to i w porębie? – zagadnął Kłęb.

– Nie, powiadali ino ludzie, że tną ten przykupy las, przy Wilczych Dołach.

– Powiedział i mnie borowy, że dziedzic nikogo z Lipiec wołać nie będzie do roboty, pono przez złość, że się o swoje upominają.

– Któż mu to las wytnie, jak nie Lipczaki? – wtrąciła Hanka.

– Moiściewy, tyła wszędy narodu próżno siedzi po chałupach i czeka roboty kiej zmiłowania. Mało to w samej Woli, mało to tych kołtunów w Rudce albo i tamtych smoluchów w Dębicy! Niech ino dziedzic krzyknie, to w jeden dzień stanie parę sto najzdatniejszego chłopca. Póki na przykupnym rąbią, niech sobie rąbią, niech się wspomogą, niewiele tam tego, a i dla naszych za

daleko.

– A jak nasz bór zaczął?... – zapytał Stacho.

– Nie damy! – rzucił krótko i mocno Kłęb. – Pobarujemy się! niech dziedzic zobaczy, kto mocniejszy, on czy cały naród? niech zobaczy!

Nie mówili już o tym, zbyt to leżało wszystkim na wątrobie i piekło, ino jeszcze Bylica powiedział jękająco i nieśmiało:

– Znam ja to plemię dziedzicowe z Woli, znam, figła on wam wystroi...

– Niechaj stroi, nie dziecim, to nas nie zwiedzie – zakończył Kłęb.

Pogadali jeszcze o wypędzeniu Magdy przez organistów, po czym Kłęb rzekł swoje:

– Juści, po ludzku to nie jest, ale i szpitala trudno im było w chałupie zakładać, że to im przecież Magda ni swat, ni brat.

Pogadali o tym i owym i rozeszli dosyć późno, a na odchodnym Kłęb po swojemu prosto i krótko powiedział, żeby do niego zachodzili, a jak im czego potrzeba, niech ino rzekną – to czy z leguminy, czy paszy dla jałówki, a choćby i te parę złotych – znajdzie się po somszedzku...

Antkowie ostali sami.

Hanka po długim wahaniu, po wielu nieśmiałych wzdychach spytała wreszcie:

– Znalazłeś jaką robotę?

– Nie, byłem we dworze jednym i drugim, przewiadywałem się i u ludzi, a nie znalazłem... – odpowiedział cicho nie

podnosząc oczów, bo choć prawda, że był tu i owdzie, ale o robotę się nie starał, a ino cały ten czas przewałęsał.

Położyli się, dzieci już spały, ułożone w nogach łóżka dla ciepła; ciemność ogarnęła izbę, tylko księżycowe światło lało się przez zamarznięte, roziskrzzone szybki i przenikało wskroś izby świetlistym pasem, nie zasnęli jednak; Hanka przewracała się z boku na bok i medytowała: teraz powiedzieć o tartaku czy też dopiero jutro rano?

– Szukałem, ale choćbym i dostał, nie pójdę ze wsi, nie będę się tłuł po świecie, jak ten pies beapański – szepnął po długim milczeniu.

– To samo umyśliłam, tak samo! – zawołała radośnie – po co szukać chleba po świecie?... i we wsi trafia się niezgorszy zarobek, a to młynarz mi powiedział, że ma robotę la<sup>142</sup> ciebie przy tartaku choćby i od jutra, a płaci dwa złote i groszy piętnaście.

– Chodziłaś pytać? – krzyknął.

– Nie, płaciłam, com mu była winna, a on sam powiedział, że miał przysłać po ciebie; nawet i nie wspomniałam – tłumaczyła się zestraszona.

Nic już nie odrzekł, a i ona milczała; leżeli koło siebie nieruchomie, bez słowa, sen ich odleciał zupełnie, roili coś w utajeniu głębokim, czasem wzdychali, to roztapiali duszę w tej głuchej, martwej ciszy – psy jakieś naszczekiwały we wsi, daleko, daleko i słabo, koguty biły skrzydłami i piaty już

---

<sup>142</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

z północks, a szum cichy jakby wiatru zahuczał nad chałupą.

– Śpisz to? – przysunęła się nieco bliżej.

– Kiej śpił mię odszedł.

Leżał wznak, z rękami pod głową, tak blisko przy niej, a tak daleko sercem, daleko myślami – leżał nieruchomy, bez oddechu prawie, bez pamięci, bo Jagusine oczy znowu wyjrzały z ciemności i modrzyły się w księżycowej poświacie...

A Hanka przysunęła się bliżej jeszcze, przywarła gorącą twarzą do jego ramienia, przywarła sercem całym. – Nie, już w niej nie było podejrzeń żadnych ni żalów, ni goryczy, a ino tym miłowaniem serdecznym, tą lubością duszną, pełną dufności i oddania się, cisnęła się do jego serca.

– Jantoś, pódziesz to jutro do roboty? – spytała drżąco, byle ino co rzec, byle ino usłyszeć głos jego i zgwarzyć się z jego duszą.

– Może i pójdę, juści, trzeba iść, trzeba... – odpowiadał nie myśląc o tym.

– Idź, Jantoś, idź... – prosiła miętko i zarzuciła mu rękę na szyję i szukała gorącymi ustami jego ust ledwie dyszących.

Ale on nie drgnął nawet, nie odpowiedział, nie poczuł jej uścisku, nie wiedział o niej, szeroko otwartymi oczami patrzył w tamtej oczy, w Jagusine modre oczy.

### III

Na dobrym już dniu, po śniadaniu, młynarz przywiódł Antka na robotę; ostawił go na zajęździe wśród kloców zwalonych na wielkie kupy, a sam poszedł do Mateusza, któren akuratnie przyrychtowywał drzewo na tartaku i puszczał piły, pogadał z nim cosik i zawołał:

– Róbcie tu sobie, a we wszystkim słuchajcie Mateusza, on tu za mnie rządzi – i poszedł zaraz, bo przykry, przejmujący ziąb ciągnął od rzeki.

– Pewnie topora nie macie? – zagadnął Mateusz schodząc na dół i witając się z nim przyjaźnie.

– Z siekierą przyszedłem, bom nie wiedział.

– To jakbyście się z zębami wybrali, drzewo przemarzło i kruszy się kiej szkło, nic byście siekierą nie zrobili, nie chyci albo tyła co zębem. Pożyczę wam na dzisiaj topora, trza go ino przyostrzyć, a na plask więcej... widzicie... Bartek, weźcie no się do pary z Boryną i tego dąbka rychło wyrychtujcie, bo tam z pił zejdzie niedługo.

Zza olbrzymiego kłoca, leżącego w śniegu, wyprostował się suchy, wysoki a przygarbiony chłop z fajką w zębach, w baranicy siwej na głowie, w żółtym kożuszku, w trepach i czerwonych pasiatych portkach, wsparł się na błyszczącym toporze, strzyknął przez zęby i rzekł wesoło:

– Do mnie to się przyżenicie, nie bójcie się, zrobimy taką parę,

co to w zgodzie żyje, bez wrzasków i bijatyk.

– Sielny<sup>143</sup> las! Drzewa kiej świece!

– Ale sękate juchy, że niech Bóg broni, jakby krzemieniem nabijane, rzadki ten dzień, w którym topór się nie wyszczerbi. Ino swojego nie ostrzcie do sucha i gładka, trzeba z włosem ciągnąć po kamieniu, w jedną stronę, to ostrze mocniejsze, z żelazem to jak i z drugim człowiekiem, utrafisz, w co lubi, a powiedziesz kiej tego pieska na postroneczku, gdzie ino ci się uwidzi; taczalnik<sup>144</sup> stoi w młynicy pod jaglakiem...

Może w jakiś pacierz Antek już stanął do roboty naprzeciw Bartka i jał odwalać szczapy a ociesywać drzewo wzdłuż, do ostrego kantu, wedle Bartkowego nasmolenia, nie odzywał się jeno, bo go mocno dotknęło, że taki Mateusz, a przewodzi jemu, Borynie – ale kiej brzuch błądzi – koszula nie rządzi, to jeno spluwał w garście i przypinał się ze złością do topora.

– Niezgorzej wam idzie, niezgorzej! – zauważył Bartek.

Juści, że poradzić poradził, niedziwna mu była obróbka drzewa, a i pomyślenie też miał niezgorsze, tylko że robota była ciężka dla niewłożonego, to się rychło zziajał i zapocił, aż kożuch sciepnął z siebie.

A mróz był tęgi, nie folgował, a że to wciąż trza było stać i grzebać się w śniegu, to ręce grabiały i przywierały do steliska<sup>145</sup> i czas się tak dłużył, że ledwie się doczekał południa.

---

<sup>143</sup> *sielny* (gw.) – silny, wspaniały. [przypis edytorski]

<sup>144</sup> *taczalnik* – narzędzie do ostrzenia noży i toporów. [przypis edytorski]

<sup>145</sup> *stelisko* (gw.) – trzonek topora. [przypis edytorski]

Ale w obiad przegryzł ino suchego chleba, popił wodą prosto z rzeki i nawet pod dach, do młynicy nie poszedł z drugimi, bał się tam natknąć na znajomków, co byli przywieźli do młyna i czekali swojej kolei. Jeszcze by wydziwiali nad nim, a cieszyli się między sobą z jego poniżenia i biedy, niedoczekanie ich. ... Ostał na mrozie, przysiadł pod młynicą, gryzł chleb i wodził oczami po tartaku, któren stał nad samą rzeką, węglem ino przywarty do szczytu młyna, że woda z czterech kół waliła pod niego grubym zielonym wałem i poruszała piły.

Ale i nie wytchnął jeszcze całkiem ni odpoczął jak się patrzy, a już Mateusz, wracając od młynarza z obiadu, z daleka krzyczał:  
– Wychodź! Wychodź!

To chcąc nie chcąc, postępując na krótkie przypołudnie, a trza się było dźwigać i do roboty stawać z drugimi.

A ruchali się żwawo, bo mróz prażył i poganiał galanto<sup>146</sup>.

Młyn turkotał wciąż, a woda spod kół, obrośniętych w lody, kieby w te kłaki zielone i zwite w długie kołtuny, waliła z krzykiem pod tartak, piły trzeszczały bezustannie, jednako, jakoby kto szkło gryzł, i pluły żółtymi trocinami. Mateusz zaś uwijał się niestrudzenie, rychtował kloce, zastawiał wodę, puszczał, przybijał drzewo klamrami do burt, rozmierzał, a wciąż hukał i poganiał ludzi, i wszędzie go było pełno, zwijał się jako ten szczygieł przy konopiach, ino migał jego czerwony w zielone pasy spencerek i siwa baranica po podjeździe, na podeptanych, zawiórzonych śniegach, gdzie obrabiali drzewo,

---

<sup>146</sup> galanto (gw.) – elegancko, porządnie. [przypis edytorski]

to do młyna biegł, to do ludzi zagadywał, rozrządzał, naganiał, śmiał się, przekpinki powiadał i pogwizdywał, a siarczyście robił, ale najczęściej widny był na pomoście przy piłach, ile że tartak bokowych ścian nie miał i świecił na przestrzał, a wznosił się nad rzeką dość wysoko na czterech tęgich słupach, o które tak biła woda, że trzciny dach, wsparty ino na szczytach, drygał niekiedy, niby ta wiecha na wietrze.

– Sprawny jucha! – szepnął Antek z uznaniem, ale nie bez złości.

– Mało to bierze! – odmruknął Bartek.

Zabili ręce o ramiona, bo skrzytwa była coraz cięższa, i robili w milczeniu.

Narodu było dość przy robocie, ino że na pogwarę czasu nie było – dwóch warowało przy piłach, zwałało porznięte kloce na ziemię, a wciągało nowe, dwóch zaś drugich rozcinało niedorznięte końce i układało tarcice w szychty wielgachne albo co cieńsze i mokrzejsze chronili przed mrozem pod szopami, a jeszcze dwóch obłupywało ze skóry dęby, jodły i świerki, że często gęsto Bartek krzykał do nich przekpiwając:

– Te, drzyki zapowietrzone, kiej się wyzwolita na hyclów<sup>147</sup>!

Żli byli na to, boć nie psów łupili ze skóry, ale swarzyć się o przewisko nie było czasu. Mateusz tak popędział, że ledwie

---

<sup>147</sup> *Te, drzyki zapowietrzone, kiej się wyzwolita na hyclów* – żart, nawiązujący do pracy hycła, łowcy bezpańskich psów, i jego pomocnika, oprawiającego zabite zwierzęta, oraz do zwyczajów w cechach rzemieślniczych, gdzie „wyzwoleniem” nazywano dawniej promocję ucznia-pomocnika na samodzielnego czeladnika. [przypis edytorski]

niekiedy ukradkiem ino leciał któren do młynicy, by rozgrzać zgrabiące ręce, a z nawrotem nieledwie w dyrdy pospieszał, bo i sama robota poganiała.

O dobrym już zmroku Antek powlókł się do domu, a tak był przemarznięty, utrudzony i wyzbyty z sił, tak go bolały wszystkie kości, że zaraz po kolacji poszedł pod pierzynę i zasnął kamieniem.

Hanka nie miała serca wypytywać się go o nic, ale dogadzała mu, jak mogła, przyciszała wciąż dzieci, starego nagnała, by buciarami nie hałasował, sama bosy chodziła po izbie, by go ino nie przebudzić, a na świtaniu, kiedy się zabierał do roboty, uwarzyła mu garnuszek mleka do ziemniaków, by se podjadł i rozgrzał się lepiej.

– Psiakrótko, tak mię gnaty bolą, że ruchać się nie mogę! – wyrzekął.

– To ino tak zrazu, boście niezwyczajni, niewłożeni... – tłumaczył stary.

– Przejsć przejdzie, wiem. Przyniesiesz to, Hanuś, obiad?

– Przyniesę, a gdziebyś to latał taki karwas drogi, przyniesę...

Poszedł zaraz, bo trzeba było równo z dniem stawać na robocie.

I tak mu się zaczęły dnie ciężkiej, znojnej pracy.

I czy mróz choćby i największą skrzytwą prażył, czy zawierucha dęła i biła wicherą i śniegiem, że oczów nie było można ozewrzeć, czy odwilż przychodziła, że trzeba było stać dnie całe w rozmiękłym śniegu, a przykry, wilgotny ziąb w kości

właził, czy śniegi sypały, że topora własnego mało co widział – trzeba było zrywać się do dnia, biec i dnie długie pracować, aż gnaty trzeszczały i każda żyła z osobna pruła się z utrudzenia, a śpieszyć się do tego, bo cztery piły tak zeżerały drzewo, że ledwie mogli nastarczyć i Mateusz poganiał.

Ale nie to mu się mierziło, nie ciężka praca, nie wichry złe, skrzytwy, pluchy czy śniegi srogie, wzwyczajął się był do tego po trochu – bo jak się człek przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej – powiadają mądre ludzie, jeno czego znieść nie mógł, to tego Mateuszowego przodownictwa i tych jego ciągłych doskwierań.

Inni już na to nie baczyli, a on za każdą razą kiej posłyszał, wrzał złością, a nieraz tak odwarknął, że tamten ino ślepiami błyskał, a znowu, jakby z rozmysłem, do wszystkiego się czepiał, niby nie prosto w oczy, ale tak zawždy utrafił w słabiznę, aż skóra cierpła na Antku i pięście mu się zwierzały, hamował się jednak jeszcze, jak mógł, przyciszał, a tylko te przygryzki w pamięć zgarniał, czuł dobrze, że Mateusz na okazję czekał, by go z roboty wygonić...

Antkowi zaś tak o robotę nie chodziło wiele, a ino o to, by się nie dać przeprzeć i zmóc bele komu – takiemu łachmytkowi jak Mateusz.

Dość, że się zawzinali na się coraz srożej, bo na samym dnie złości, jak zadra boląca, tkwiła Jagusia. Obaj oni, a już z dawna, jeszcze od wiosny, a może i od zapust, chodzili za nią na przyprzążkę i przepierali jeden drugiego kryjomo, dobrze jednak wiedząc o sobie. Jeno Mateusz robił to prawie na oczach

wszystkich i w głos powiadał o swoim miłowaniu, a Antek kryć się z tym musiał, to i głucha, paląca zazdrość parzyła mu serce.

Nigdy oni nie trzymali ze sobą przyjacielstwa, a zawdy się boczyli na siebie i odgrażali przed ludźmi, że to i każdy z nich miał się za najmocniejszego chłopca we wsi, ale teraz z dnia na dzień rosła w nich złość do siebie i zawziętość, iż po jakimś tygodniu to się już nie witali, a przechodzili mimo, krzesząc ślepiami jako te dwa wilki rozszrozone.

Mateusz nie był zły ni nieużyty, a nasprzeciw, serce miał wspomogliwe i szeroką rękę, jeno zbyt dufał w siebie, zbyt się wynosił nad drugie i za nic je<sup>148</sup> sobie ważył, a i tę miał jeszcze wadę, że za takiego się miał kawalera, któremu żadna dziewczucha się nie oparła, lubił się tym puszyć, rozpowiadać, byle ino przodować we wszystkim. Więc i teraz w smak mu to szło i rad gadał, że Antek robi u niego i słucha się we wszystkim, a w oczy pokornie patrzy jak ta trusia, byle go ino z roboty nie wygonił.

Dziwno to było znającym Antka, ale jak miarkowali, że się chłop upokorzył i przygiął, byle ino roboty nie stracić, a drugie zasię dowodzili, że z tego wyjdą jeszcze historie, bo Antek nie daruje i nie dziś, to jutro odbije swoje, i gotowi byli nawet o zakład iść, że Mateusza spierze na kwaśne jabłko.

Juści, że Antek o tych gadkach nie wiedział, bo do chałup nie zaglądał, znajomków wymijał bez słowa, a z roboty wprost do domu szedł i na odwrót, ale dobrze czuł, że tak być musi, bo

---

<sup>148</sup> je – tj. ich, innych ludzi. [przypis edytorski]

niegorzej przeziarał Mateusza.

– Przyrychtuję ja cię, ścierwo, na taką kapustę, że cię psi nie zjedzą, mięknie ci rura, nie będziesz się puszył i wynosił – wyrwało mu się jednego razu na robocie, aż Bartek posłyszał i rzekł:

– Poniechajcie go, płacą mu za to, by poganiał! – Nie rozumiał stary.

– Nawet pies mnie mierzi, kiej po próżnicy szczeka.

– Za bardzo bierzecie do serca, jeszcze się wama<sup>149</sup> zapieczę wątrobą, a uważam, że i do roboty gorącej się...

– Bo mi zimno – rzucił byle co.

– Z wolna trza wszystko, po porządku, z wolna, a i Pan Jezus mógł świat stawić w jeden dzień, a wołał go robić bez<sup>150</sup> cały tydzień, odpoczywający... robota nie ptak, nie pofrunie, a narywać<sup>151</sup> się la<sup>152</sup> młynarza czy tam innego, jaka wam wola i mus... a Mateusz jest od tego, kiej ten piesek, co strzeże chudoby, będziecie się to nań żlili za szczekanie?...

– Powiedziałem, jak to uważam. Gdzieście to latową porą bywali, zem was we wsi nie ujrzał? – zapytał, aby zmienić rozmowę.

– Niecoś się robiło, niecoś świat Boży oglądało, oczy pasło i duszy rosnać pomagało... – powiadał wolno obciosując drzewo

---

<sup>149</sup> *wama* (gw.) – wam. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> *bez* (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>151</sup> *narywać się* – przepracowywać się, przedźwigać się. [przypis edytorski]

<sup>152</sup> *la* (gw.) – dla. [przypis edytorski]

z drugiej strony, prostował się czasem, rozciągał, aż mu stawy trzaskały, a fajki z zębów nie puszczał i rad prawić.

– Robiłem z Mateuszem przy nowym dworze, ale że poganiał i zwiesna<sup>153</sup> była na świecie, pachniało słonko, tom go rzucił, a szli natenczas ludzie do Kalwarii – poszedłem z nimi, by odpustu dostąpić i świata coś niecoś przejrzeć.

– Daleko to do onej Kalwarii?

– Dwa tygodnie szlim, aż za Krakowem, alem nie doszedł. W jednej wsi, gdzieśmy połedniowali, stawiał gospodarz chałupę, a tyle się na tym rozumiał, co koza na pieprzu, zeżliłem się, skląłem juchę, bo drzewa namarnował, i ostałem u niego, że to i prosił. Bez dwa miesiące wyrychtowałem mu dom, że na dwór patrzył, aż mnie za to chciał swatać ze swoją siostrą, wdową, co w podle na pięciu morgach siedziała.

– Pewnikiem stara.

– Bogać ta młoda, ale niczego jeszcze, a jakże, tyła że ino łysawa zdziebko, koślawa i świdrem patrzała, ale na gębie gładka, kiej bochen, którego myszy bez parę niedziel obgryzały, galanta<sup>154</sup> kobieta, dobra, wyżerkę miałem sielną – a to jajecznicę z kielbasą, a to gorzałka z tłustością, a to inne smaki były, a tak się znarowiła do mnie, że dzień w dzień pod pierzynę była puszczać gotowa... ażem w nocy się wyniósł we świat...

– Nie było się to przyżenić, zawždy pięć morgów...

– I zawszony kożuch po nieboszczyku. A mnie co po kobiecie!

---

<sup>153</sup> *zwiesna* (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *galanty* (gw.) – elegancki, porządny. [przypis edytorski]

Z dawna mi już obmierzło to babie nasienie, z dawna! A to nic jeno krzyczy, wrzeszczy, lata, jako te sroki na płocie, wy słowo, a ona dwudziestu kiej grochowinami trzęsie... wy macie rozum, a ona ino ozorem zamiata. Mówisz kiej do człowieka, a ta ni wyrozumie, ni rozważy, jeno bele co klepie. Powiadają, że Pan Jezus dał kobiecie ino pół duszy i musi być to prawda... a drugą połówkę diabeł miał narządzić...

– Są i mądre pono, są... – rzekł melancholijnie.

– To i białe wrony pono są, ino że nikto ich nie widział!

– Nie mieliście to swojej kobiety, co?

– Miałem, miałem!... – urwał nagle, wyprostował się i zapatrzył siwymi oczami w dale, stary już był, zeschły na wiór, żyłasty, prosty – ino się jakoś przygarbił teraz i fajka mu latała w zębach, a łypał powiekami prędko, prędko.

– Schodzi, wciągać! – wrzeszczał chłop od pił.

– Prędzej tam, Bartek, nie stójcie, bo i piły staną – wrzeszczał

Mateusz.

– Hale, głupi, rychlej nie można, niżli poradzi. Wlazła gapa<sup>155</sup> na kościół, kracze i myśli, że jest księdzem na ambonie – mruknął ze złością, ale musiało mu się cosik zrobić na wewnątrz, bo częściej odpoczywał, wzdychał i za południem się oglądał.

Dobrze, że zaraz przyszło, bo jakoś i kobiety się już pokazały z dwojakami, a Hanka wychodziła z za węgła młyna. Tartak stanął, poszli wszyscy jeść do młynicy. Antek zaś, że dobrze znał się z młynarczykiem, bo niejedną flachę wypili ze sobą,

---

<sup>155</sup> gapa (gw.) – wrona. [przypis edytorski]

wpakował się do jego izdebki, nie uciekał już od ludzi ni stronił od nich, ino im takie oczy pokazywał, że sami go omijali.

W gorącu takim, że ledwie można było dychać, siedziało paru chłopów w kozuchach i pogadywało wesoło, byli to ludzie z dalszych wsi, co do młyna przywieźli i czekali na zmielenie, dokładali torfu do czerwonego już piecyka, kurzyli papierosy, że cała izdebka tonęła w dymie, i rajcowali.

Antek usiadł na jakichś workach pod okienkiem, dwojaki wziął pomiędzy kolana i łakomie pojadał kapustę z grochem, a potem kluski ziemniaczane z mlekiem, a Hanka ukucnęła mimo i z rozczuleniem wpatrywała się w niego. Wysechł był od pracy, poczerniał, a od tego robienia na mrozie twarz mu miejscami łuszczyła się ze skóry, ale mimo to urodny się jej widział jak nikt drugi na świecie. Juści, że tak było, wysoki, prosty, śmigły, w pasie cienki, w barach rozrosły, gibki; a twarz miał długawą, suchą, nos kiej ten dziób jastrzębi, jeno nie tak garbaty, oczy wielkie, siwozielone, a te brwie, to jakby kto węglem krychę pociągnął przez całe czoło, od skroni prawie szły do skroni, że kiedy je w gniewie ściągnął, to aż straszno było patrzeć, a czoło miał wyniosłe, ino na pół przysłonięte równo obciętymi, ciemnymi, prawie czarnymi włosami i wąsy golił do cna jak wszyscy, że mu ino te białe zęby grały w czerwonych wargach jako sznur paciorków... urodny był całkiem, że nigdy dość napatrzeć się nie mogła na niego.

– Nie mógł to ociec przynieść, będziesz to co dnia tyle drogi biegała!

– Gnoju mieli urzucić spod jałówki, a samam wołała ci przynieść!

Zawsze tak kierowała, by samej obiad przynosić i chociaż popatrzeć na niego.

– Cóż tam? – spytał dojadając.

– A cóż by! – oprędałam już worek wełny i odniosłam organiście pięć proników. Kuntentna<sup>156</sup> była wielce... Pietrus ino jakiś rozpalony, jeść nie je i matyjasi ciągiem...

– Obżarł się i tyła.

– Pewnie, że tak, pewnie... A i Jankiel zachodził po gęsi...

– Sprzedasz to?

– Hale, a na zwiesnę<sup>157</sup> to kupowała będę!

– Jak uważasz, tak zrób, twoja w tym głowa.

– I u Wachników znowu się pobiły, aż po księdza chodzili, żeby rozbroił... a u Paczesiów ciełę pono się udławiło marchwią.

– Co mi ta po tym – mruknął niecierpliwie.

– Organista jeździł po snopkach – powiedziała po chwili, ale już nieśmiało.

– Cóżżeś dała?

– Dwie przygarście lnu oczesanego i cztery jajka... Powiedział, że jak nam będzie potrzeba, to da wóz owsianki i poczeka na pieniądze do lata albo i na odrobek da. Nie wzięłam, po cóż nam brać od niego... przecież... należy nam się jeszcze paszy od ojca, wzielim ino dwa wozy, a z tyłu morgów...

---

<sup>156</sup> *kuntentny* (gw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>157</sup> *zwiesna* (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

– Nie pójde się upominać i tobie zakazuję. Weź od organisty na odrobek, a nie, to się ostatnie bydłę sprzeda, a pókim żyw, ojca o nic prosił nie będę, rozumiesz...

– Rozumiem, od organisty wziąć...

– A może i zarobię tyła, że starczy, nie bucz ino przy ludziach.

– Dyć nie płaczę, nie... ale weź od młynarza z pół korczyka jęczmienia na kaszę, to taniej wyjdzie niżli gotową kupować.

– Dobrze, powiem dzisiaj i zostanę na któren wieczór, to się zmiele.

Hanka wyszła, a on pozostał jeszcze kurząc papierosa, nie wtrącając się do rozmów, jakie chłopci wiedli, a mówili właśnie o bracie dziedzicowym z Wólki.

– Jacek mu było, znałem go dobrze! – zawołał Bartek wchodząc na ten czas do izdebki.

– To wiecie pewnie, że powrócił z dalekich krajów.

– Nie, myślałem nawet, że już dawno pomarł!

– Żywie, bo coś ze dwie niedziele temu, jak przyjechał.

– Wrócił, ale powiadali, że coś niespełna rozumu. We dworze nie chce mieszkać i przeniósł się do lasu do borowego, sam se wszystko narządza, czy jadło, czy też ubiór, aż to dziwno wszystkim, a wieczorami na skrzypkach wygrywa, często gęsto to i po drogach go spotykają, po tych mogiłkach różnych, na których przygrywa...

– Mówili mi, że po wsiach chodzi i wszystkich się wypytuje o jakiegoś Kubę...

– O Kubę! Nie jednemu psu Łysek.

– Przewiska nie powiada, Kubę jakiegoś szuka, którego miał pono z wojny wynieść i od śmierci uchronić!

– Był ci i u nas Kuba, którego do boru z panami poszedł, ale ten pomarł! – rzucił Antek i podniósł się, bo już Mateusz wrzeszczał za ścianą:

– Wychodźta, co to, do podwieczorku będzieta poledniowali! Antka porwała złość, że wybiegł i zawołał:

– Nie drzyj się po próznicy, słyszymy wszyscy.

– Obżarł się mięsem, to krzykaniem ulgę sprawia kałdunowi – powiedział Bartek.

– I... krzyczy, by się przed młynarzem zasłużyć – dorzucił któryś.

– Przy jadle się wylegają, poradzają, gospodarzy juchy udają, a całych portek nie pokażą... – mamrotał wciąż Mateusz.

– Do was pije, Antoni, do was!

– Zawrzyj pysk i weź ozór za zęby, bym ci go nie przyciął, a od gospodarzy ci wara! – wrzasnął Antek, gotowy już na wszystko.

Ale Mateusz zamilkł, ino jak ten zbój spoglądał, a już cały dzień słowa nie przemówił do nikogo, ale za robotą Antkową pilnie baczył i stróżował go na każdym kroku, ino przyczepić się nie mógł, bo tamten tak robił rzetelnie, że sam młynarz, którego parę razy dziennie przychodził na robotę, to spostrzegł i przy pierwszej wypłacie tygodniowej postąpił mu na całe trzy złote.

Mateusz się wściekał potem, młynarzowi do oczów skakał, ale ten rzekł:

– Dobryś mi ty, dobry mi i on, dobry mi każdy, którego

rzetelnie pracuje.

– To ino mnie przez złość pan jemu postąpił.

– Wart jest tyle co Bartek, a może i więcej, tom postąpił. Sprawiedliwy człowiek jestem, niech każdy o tym wie.

– A bo cisnę wszystko do stu diabłów i niech se pan sam staje do roboty – groził.

– A ciśnij, poszukaj bułek, kiedy ci chleb nie smakuje, idź, tartak poprowadzi Boryna, i do tego za cztery złote na dzień! – powiedział młynarz ze śmiechem, bo ano tak z rozmysłem wszystko rychtował, by mieć taniej robotnika.

Pomiarkował się wnet Mateusz, że młynarz nie ustąpi i nie da się nastraszyć, to nie nastawał więcej, schował złość do Antka głęboko za pazuchę, że go tam żywym ogniem piekła, ale dla ludzi zrobił się jakby miększym i wyrozumialszym, spostrzegli to w lot, a Bartek splunął na to i rzekł do drugich:

– Głupi jako ten psiak, co nie mógł ugryźć buta, dostał w zęby, to się teraz do niego łasi. Myślał, że łaskę posiadł, a tak samo go przegonią, niech się tylko lepszy trafi... zawsze tak z bogaczami bywa...

Antkowi zaś zarówno wszystko było, ani rad był z podwyżki, ani cieszyło go zbytnio, że Mateuszowi zmiękła rura i że wieś z niego przekpiwała, o czym powiadali na robocie, tyle go to obchodziło razem, co ten łoński rok albo i mniej. Nie dla płacy robił, to ino Hankę cieszyło, robił, bo mu się tak podobało, a gdyby zechciał brzuchem do góry wylegiwać – wylegiwałby się, choćby się tam nie wiem co stało. A że upodobał sobie w robocie,

to się w niej prosto zapamiętał i chodził jak ten koń w kieracie, co i nie popędzany, a w kółko biega, póki go nie zatrzymają.

I tak szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem aż do samych Godów w ciężkiej i bezustannej pracy, aż mu z wolna przycichła dusza i jakby skrzepła na lód, że zgoła niepodobny był do dawnego. Dziwowali się temu ludzie i różnie o tym mówili. Ale to było jeno z wierzchu, dla ludzkich oczów, bo na wewnątrz całkiem było różnie – jako w tej wodzie bystrej i głębokiej, którą mróz w lody okuje i śniegi przysypią – a bełkocze ciągiem, szumi, huka, że ani człek się spodzieje, kiej pęknie powłoka i wody luną... Tak ci było i w nim; robił, harował, pieniądze co do grosza oddawał żonie, w domu przesiadywał wieczorami, a dobry był jak nigdy, cichy, spokojny, dzieci zabawiał, pomagał w gospodarstwie, marnego słowa nie rzekł nikomu, nie wyrzekał i jakby o wszystkich krzywdach zapomniał – ale nie zwiódł tym wszystkim Hanczynego serca, nie; juści, że radowała się tej przemianie i dziękowała za nią Bogu gorąco, a zabiegała koło niego, jak mogła, w oczy mu ciągiem patrzyła, by odgadnąć, czego potrzebuje, służką mu była najwierniejszą i najpamiętliwszą, ale i często łapała oczami jego smutne spojrzenia, często nasłuchiwała strwożona jego wzdychów cichych, często opadały jej ręce i z zamartwym sercem oglądała się dokoła, chcąc przewidzieć, skąd przyjdzie nieszczęście, bo dobrze czuła, że w nim waży się cosik straszne, cosik, co ino przez moc zdzierza, co ino przywarło, przytańło się, a ssie mu duszę, ssie...

On zaś ani słowa nie rzekł, źle mu jest czy dobrze, z roboty wracał prosto do domu, o świtaniu się zrywał, kiedy przedzwaniali na roraty, że co dnia przechodził koło oświetlonego kościoła, co dnia zatrzymywał się wprost kruchty posłuchać grania organów, tych muzycznych głosów, tych brzmień rozzwonionych, cichych, przejmujących, co jakby z mrozów dźwięczały, jakby z tej przedświtowej szarości się rodziły, jakby z tych zórz miedzianych pobrzękiwały, z lodowych przysłon i z ziemi przemarzłej niosły się tęsknym, łamiącym marzeniem długiego snu, ciężkiego snu zimy, i co dnia przyspieszał kroku, by go nie ujrzeli zasłuchanego, i biegł drugą stroną stawu, dłuższą, byle ino nie przechodzić koło ojcowego domu i nie spotkać nikogo.

Nikogo!

Dlatego też i w niedziele przesiadywał kamieniem w domu, mimo próśb Hanki, by szedł z nią do kościoła. Nie i nie. Bał się spotkania z Jagną, dobrze wiedział, że nie zdierży, nie wytrzyma!

A przy tym wiedział od Bartka, z którym się niezgorzej stowarzyszył, i sam czuł, że wieś wciąż się nim zajmuje, że go pilnują i śledzą na każdym kroku jak złodzieja, jakby się zmówili na niego – nieraz bowiem spostrzegał przyczajone za węglami oczy, nieraz czuł, jak się oglądają za nim, jak lecą ciekawe, chwytne spojrzenia, co rade by do dna duszy sięgnąć i wypatroszyć ją z każdego zamysłu, i przejrzeć na wskroś. Bolały go te oczy, bo jakby świdrem szły przez duszę, srodze

bolały.

– Nie przegryzicie, ścierwy, nie przegryzicie – szeptał nienawistnie, zacinając się w coraz sroższym gniewie na wszystkich, że jeszcze bardziej unikał ludzi.

– Nie potrzeba mi nikogo. Tyle mam ze sobą przyjacielstwa, że ledwie temu poradzę – powiedział Kłębowi, któren mu wyrzucał, że nigdy do niego nie zajrzy.

I prawdę rzekł, że ledwie ze sobą poradził, prawdę; wziął się był mocno w garść, skiełznał duszę niby w ten kantar żelazny i trzymał krzepko, nie popuszczał z uwięzi – ale już mu coraz częściej mdlała dusza z utrudzenia i coraz częściej chciało mu się ciepnąć wszystko i zdać na dołę. Zła będzie czy dobra – zarówno mu było, bo życie mu mierzło i przeżerał go smutek – głęboki smutek, co jak ten jastrząb wczepił się w serce pazurami i darł, i ozdierał.

Ciężko mu było w tym jarzmie, ckno, ciasno i duszno, jak temu spętanemu koniowi w zagrodzie, jak temu psu na łańcuchu, jak... że i nie wypowiedzieć!

Czuł się jako to drzewo rodne, obłamane przez wichę i na zagładę skazane, a schnące powoli w samym środku kwitnącego, zdrowego sadu.

Boć wokoło żyli ludzie, była wieś, życie wrzało zwykłym głębokim bełkotem, pluskało jako ta woda bieżąca, rozlewało się wciąż jednakim, bujnym, rzeźwym strumieniem. Lipce żyły zwykłym, codziennym życiem: a to chrzciny wyprawiali u Wachników; zrękowiny odbywały się u Kłębów, choć i bez

muzyki, ale zabawiali się, jak na adwent przystało; to znowu zmarło się komuś, bodaj że temu Bartkowi, którego to po kopaniach zięciaszek tak pobił, że chyrlał, kwękał, aż się i przeniósł do Abramka na piwo; to Jagustynka zapozwała znowu dzieci do sądów o wycugi<sup>158</sup>; to insze jeszcze sprawy szły, drugie, a w każdej niemal chałupie coś nowego, że naród miał o czym radzić, z czego się śmiać albo i markocić; a zaś po różnych chałupach w długie wieczory zimowe zbierały się kobiety z kądzielą na oprzęd – co tam śmiechu było, mój Jezus, co zabawy, co gadek, co krzykań, że aż po drogach szły te gzy wesole! A wszędy co swarów, przyjacielstw, zmawiań, zalecanek, wystawań przed chałupami, krętaniny, bijatyk, przemawiań uciesznych – jakoby w tym mrówczym albo pszczelnym rojowisku – że ino huczało w chałupach.

A każdego żył po swojemu, jak mu się widziało, jak mu sposobniej było, a społecznie z drugimi, jak Pan Bóg przykazał.

Kto biedował, zabiegał, kłopotał się, kto się zabawiał i rad w kieliszki przedzwaniał z przyjaciół, kto się puszył i wynosił nad drugie, kto za dzieuchami się uganiał, kto chyrlał i na księżą oborę poglądał<sup>159</sup>, kto na ciepłym przypiecku legiwał, komu radość była, komu smutek, komu zaś ni jedno, ni tamto – a wszyscy żyli gwarno, z całej mocy, duszą całą.

Ino on jeden był jakby poza wsią, poza ludźmi i czuł się

---

<sup>158</sup> *wycug* – dożywotnie utrzymanie, jakie należy się rodzicom od dzieci, na które przepisali majątek. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *na księżą oborę poglądać* – szykować się na śmierć. [przypis edytorski]

jako ten ptak obcy, strachliwy a głodny – że choć się tłucze koło jarzących okien, choć wzdycha do pełnych brogów<sup>160</sup>, choć rad by duszą całą do ludzi – a nie wleci; kołuje ino, zagłada, nasłuchuje, męką się żywi, tęsknicę pije, a nie wleci.

Chyba, żeby Pan Jezus co przemienił... a na dobre.

Ale bał się jeszcze myśleć o takiej przemianie.

Jakoś na dni parę przed Godami spotkał się rano z kowalem, chciał go wyminąć, ale tamten zastąpił mu drogę, pierwszy wyciągnął rękę i rzekł miętko, jakby z żalem:

– Czekałem, że przyjdiesz jak do rodzonego... poradziłbym, pomógł, chociaż i u mnie się nie przelewa...

– Mogłeś przyjść i pomóc!

– Jakże... pierwszy to miałem się napraszać, żebyś mnie wygonił jak Józkę...

– Juści, kogo nie boli, temu zawsze powoli.

– Nie boli! Jednaką nas krzywda spotkała, to i bolenie jednakie.

– Nie cygań w żywe oczy, hale, myśli, że z głupim ma sprawę...

– Jak tego Pana Boga kocham, tak czystą prawdę rzekłem.

– Lis jucha; leci, wywachuje, kręta się, a ogonem ślad zaciera, żeby nawet wiatru za nim nie złapać i szkody nic pomścić.

– Że na weselu byłem, o toś, widzę, krzyw na mnie! Prawda, byłem, nie wypieram się, musiałem ano pójść, sam ksiądz

---

<sup>160</sup> *bróg* – oparte na czterech słupach słomiane zadaszanie, pod którym składowano siano lub niewymłócone zboże. [przypis edytorski]

namawiał i niewolił, żeby obrazy boskiej z tego nie wyszło, że dzieci osobno, a ociec osobno.

– Z namowy księdza poszedłeś, powiedz to drugiemu, uwierzy, ale nie ja. Drzesz ty starego za to przyjacielstwo, jak się ino da, z próżnymi rękami nie odchodzisz...

– Ino głupie nie bierą, jak im dają, ale przeciw tobie nie nastają, nie, niech cała wieś powie, spytaj się Jagustynki, ona cięgiem przesiaduje u starego, już nawet mówiłem ojcu o zgodzie z tobą... zrobi się to... uładzi... wyrychtuje na glanc...

– Psów se gódź, nie mnie, słyszysz! Nie prosiłem cię o wojnę, to mie i ze zgodą nie żeń, widzisz go, jaki mi przyjaciel! Zrobiłbyś zgodę, byś ino mógł mi zwlec z grzbietu choćby ten kozuch ostatni... Mówię ci raz jeszcze, całkiem mnie poniechaj i z drogi mi schodź, bo jak mnie kiedy złość rozbierze, to ci tych wiewiórczych kudłów nadrę i żeber pomacam, nie obronią cię i strażniki, choć z nimi trzymasz. Zapamiętaj to sobie!

Odwrócił się i poszedł nie obejrzawszy się nawet na tamtego, którego z rozdziawioną gębą na środku drogi ostał.

– Cygan ścierwa, ze starym trzyma i do mnie z przyjacielstwem występuje, a obu by nas z torbami puścił, by ino mógł.

Nie uspokoił się rychło po tym spotkaniu, bo do tego nie wiedło mu się jakoś dzisiaj od samego rana; ledwie był wziął się do ciesania, wyszczerbił się topór na sęku, a potem zaś, zaraz z przypołudnia, drzewo przygnietło mu nogę, cud prawdziwy, że nie pękła, ale musiał but zezuwać i okładać lodem, bo napuchła

i srodze bolała... A do tego i Mateusz dzisiaj był rozżarty jak ten pies, kłócił się ze wszystkimi, wciąż mu było źle, wciąż mało, krzyczał, poganiał, a z nim to jakby wyraźnie zwady szukał, że ino, ino do czego gorszego nie przyszło.

Tak się już dziwnie składało, bo nawet tej kaszy, którą miał Franek zrobić na dzisiaj, a o którą Hanka mu co dnia głowę suszyła, nie zrobił i zastawiał się brakiem czasu.

W chałupie też było niezwyczajnie, Hanka chodziła strapiona i zapłakana, bo Pietruś leżał w gorączce jakoby w ogniu, że musiała wołać Jagustynki, aby chłopca okadziła i przemierzyła, bo obsunąć się musiał.

Właśnie przyszła podczas kolacji, przysiadła przed kominem, rozglądała się kryjomo po izbie i dziwną ochotę miała gadać, ino że mało wiele odpowiadali oboje, to zaraz wzięła się oglądać chłopca i lekować...

– Pójdę do młyna, przypilnuję, bo inaczej nie zrobią! – powiedział biorąc za czapkę.

– Ociec nie mogliby to iść zasypywać?...

– Sam pójdę, to pewniej kasza będzie! – I poszedł spiesznie, zły był, wzburzony i tak na wnątrzu rozciepany, jako to drzewo samotne na wichurze, a przy tym drażniło go wszystko w chałupie, niecierpliwiło, a najbarzej te obmacujące, złodziejskie oczy Jagustynki.

Wieczór był cichy, niemroźny, bo jakoś od rana sfolzało mocno, gwiazd było niewiele, ino gdzieniegdzie, jak przez zasłony, drgała jaka w dalekościach, wiatr pociągał od lasów,

a z nim szedł daleki szum, głuchy, jakby przed odmianą, psy gęsto naszczekiwały po wsi, a co trochę suły się kurzawą śniegi, otrząsane z drzew... dymy tłukły się po drodze – a powietrze było wilgotnawe, przejmujące.

We młynie, że to przed świętami, sporo było ludzi; ci, których zboże się mełło, warowali przy gankach, reszta siedziała w izdebce młynarczyka, a w pośrodku nich Mateusz snadź coś ciekawego powiadał, bo co chwila wybuchali śmiechem.

Antek cofnął się prawie z progu izdebki i poszedł na młyn szukać Franka.

– Rozprawia się na grobli z Magdą, wiecie, tą wypędzoną od organistów! Młynarz chciał go wygonić, jeśli dziewczkę raz jeszcze spotka w młynie, a przesiadywała tu całe noce, bo i gdzież się podzieje biedota! – objaśnił go chłop jeden.

– Kto na zwiesnę<sup>161</sup> za czym bryka, od tego zimą umyka! – dorzucił ze śmiechem inny.

Antek przysiadł pod cylindrem, gdzie się najprzedniejszą mąkę robiło, a tak jakoś wprost wywartych drzwi izdebki, że widział Mateuszowe plecy i głowy innych, pochylonych ku niemu i zasłuchanych, mógł być słyszeć nawet, co mówili, bo niedaleko było, ino turkot młyna nie pozwalał, a i sam słuchać nie chciał.

Uwalił się prawie na worach i jakby drzemał nieco ze znużenia.

Młyn turkotał bez przerwy, trząsł się cały, dygotał i pracował wszystkimi gankami, koła trzepały się tak mocno, jakby sto

---

<sup>161</sup> *zwiesna* (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

kobiet prało kijankami a bez przerwy, woda z bełkotliwym krzykiem waliła się przez nie, rozbijała w piany wrzące, w śnieżyste drzazgi i waliła z rykiem do rzeki.

Antek czekał może z godzinę na Franka, ale podniósł się wreszcie, by iść go poszukać na dworze, a zarazem by się orzeźwić nieco, bo śpik go morzył. Drzwi wychodne prowadziły tuż przy izdebce, przeszedł i biorąc już za klamkę przystanął nagle, posłyszał prawienie Mateusza.

– ...a stary sam warzy mleko, to herbatę i do pierzyny jej nosi... – mówili, że nawet sam koło krów chodzi i z Jagustynką wszystko obrządza, byle ino ona se rączków nie powalała... pono kupił w mieście porcelenę<sup>162</sup>, by się nie przeziębiła za stodołę wychodzić...

Gruchnęli śmiechem ogromnym i dowcipy jak grad się posypały. Antek, sam nie wiedząc dlaczego, cofnął się na dawne miejsce, padł na worki i bezmyślnie patrzył w długą, czerwoną smugę światła, bijącą przez wywarte drzwi izdebki. Nie słyszał nic, turkot przygłuszał rozmowy, młyn dygotał bezustannie, szary tuman pyłów mącznych przysłaniał młynnice, lampki wiszące u sufitu gdzieniegdzie migotały z kurzawy białej, żółciły się jak te kocie oczy zaczajone i drygały raz po raz na sznurach. Ale nie mógł wysiedzieć, podniósł się znowu i cicho, na palcach podsunął się pod same drzwi i słuchał.

– ...wszystko mu wytłumaczyła – mówił Mateusz – bez<sup>163</sup>

---

<sup>162</sup> *porcelena* (gw.) – porcelana; tu: nocnik. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *bez* (gw.) – przez. [przypis edytorski]

plot pono się spieszyła i bez to – Dominikowa przytwierdziła, jako się to często przytrafia dzieuchom, że i ją to samo spotkało w panieństwie... Każda teraz może zganiać na przełaz ostry... a stary baran uwierzył. Taki mądrała, a uwierzył...

Śmiali się tak, aż ten rehot po młynicy się rozlegał, aż się pokładali.

Antek przysunął się bliżej, prawie w progu stanął, a blady jak trup z zaciśniętymi pięściami, skurczony w sobie, gotowy do skoku.

– A to, co o Antku powiadali – podjął znowu Mateusz, gdy się wyśmiali – że się tam z Jagusią dobrze znali, nieprawda, wiem najlepiej. Sam słyszałem, jak skamlał u drzwi komory niby ten pies, aż go mietłą musiała odganiać. Przyczepił się do niej jak rzep do psiego ogona, ale go przeganiała...

– Widzieliście to?... inaczej na wsi mówili... – zapytał któryś.

– Jakże, raz to byłem u niej w komorze? Raz mi się to żaliła na niego?

– Łiesz jak ten pies! – krzyknął Antek przestępując próg.

Mateusz się porwał w ten mig do niego, ale nim mógł zmiarkować co bądź, już Antek skoczył jak ten wilk wściekły, chycił go jedną ręką za orzydle<sup>164</sup>, przydusił, aż tamten dech i głos stracił, drugą ujął za pas, wyrwał z miejsca jak kierz<sup>165</sup>, nogą drzwi wywalił na dwór i poniósł go prędko za tartak, do rzeki ogrodzonej płotem, i cisnął z całej mocy, aż cztery żerdki

---

<sup>164</sup> *orzydle* (daw.) – część koszuli pod szyją, przód kołnierza. [przypis edytorski]

<sup>165</sup> *kierz* (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

trzaśły kiej słomki, a Mateusz niby kloc ciężki padł we wodę.

Rejwach się uczynił i krzyk wielki, bo rzeka w tym miejscu bystra była i głęboka, rzucili się ludzie na ratunek i wyciągnęli go rychło, ale był nieprzytomny, ledwie się go docucili. Przyleciał wnet młynarz, przywiedli w parę pacierzy Jambroża, naszło się ludzi ze wsi, aż go przenieśli do młynarzowego domu, bo ciągiem mdłał i rzygał krwią. Po księdza nawet posłali, tak się źle z nim widziało, myśleli, że i ranka nie doczeka.

Antek zaś, kiedy Mateusza wynieśli, siadł spokojnie na jego miejscu przed kominem i grzał sobie ręce, i pogadywał z Frankiem, który się znalazł – a skoro ludzie popowracali i uspokoiło się nieco, rzekł tak głośno, by wszyscy słyszeli, a mocno, by sobie każdy zapamiętał:

– Kto ino będzie mnie szarpał i nastawał na mnie, każdemu tak zrobię albo jeszcze lepiej!

Nikt się nie odezwał, patrzeli na niego z głębokim podziwem, z szacunkiem, bo jakże, żeby takiego chłopca jak Mateusz wziąć tak letko niby ten snopek słomy, ponieść i rzucić do wody! Jeszcze nikto o takim mocarzu nie słyszał!... No, bo żeby się pobili, zmagali i jeden drugiego przemógł, poprzetrącał mu kości, zabił nawet – rzecz zwyczajna! Ale nie, ino wziąć kiej tego szczeniaka za uszy i ciepnać do wody! Że mu ta żebra popękały od żerdeń, nic to, wylekuje się, ale taki wstyd, taki wstyd, tego chyba Mateusz nie przeniesie!... Tak owstydzić człowieka na całe życie!...

– No, no wiecie, moiściewy, tego jeszcze nie było – szeptali

między sobą.

Ale Antek na nich nie zważał, zmełł kaszę i koło północks poszedł do domu; świeciło się jeszcze u młynarza w tej izbie, gdzie złożyli Mateusza.

– Nie będziesz się, ścierwo, przechwalał więcej, żeś u Jagny w komorze bywał! – szepnął nienawistnie i splunął.

W domu nic nie powiedział, choć Hanka jeszcze nie spała zajęta przedzeniem, ale rano nie poszedł do roboty, był pewny, że go odprawią, zaraz jednak po śniadaniu przyleciał sam młynarz.

– Chodźcież do roboty, co macie z Mateuszem, to wasza sprawa, nic mi do tego, a tartak stać nie może, dopóki nie ozdrowieje; prowadźcie robotę, cztery złote i obiad będę wam płacił.

– Nie pójdę, da pan tyle, co Mateuszowi, stanę i nie gorzej poprowadzę.

Młynarz się wściekał, targował, ale przystać musiał, bo nie było rady, zaraz go też zabrał i poszli.

Hanka nic z tego jeszcze nie pojęła, bo o niczym nie wiedziała.

## IV

W Wigilię przed godnymi świętami już od samego świtania wrzał przyspieszony, gorączkowy ruch w całych Lipcach.

W nocy czy też dopiero na odedniu mróz był znowu krzepko chycił, a że przyszedł po paru dniach miętkich i wilgnych mgieł, to obwalił drzewa sadyą jakby tymi szklanymi strużynami albo zasie puchem co najbielszym; słońce się nawet całkiem wyłupalo i świeciło na modrym, jakby oprzędzonym w cieniuśkie, przejrzyste mgły niebie, jeno że blade było, ostygłe kiej ta Hostia w monstrancji utajona, nic nie grzejące, a naprzeciw, bo mróz brał na dzień, podnosił się jeszcze i przejmował taką skrzytwą, że dech zapierało i stworzenie wszelkie chodziło w parach oddechów, niby w kłębach mgieł, ale świat się cały rozśłonecznił i stanął w takich migotliwych, jarzących blaskach, w takich ostrych skrzeniach, jak żeby kto diamentową rosą przyokrył śniegi, aż oczy bolały patrzeć.

Okólne pola, przywalone śniegiem, leżały białe, roziskrzzone, a głuche i martwe, ino czasami ptak jakiś łopotał wskroś bielizn mieniających, że ino cień jego czarny migotał po zagonach albo to stadko kuropatw skrzykiwało się pod zasypanymi krzami<sup>166</sup> i płochliwie, czujnie ciągnęło chyłkiem ku ludzkim siedzibom, pod brogi<sup>167</sup> pełne; gdzie znów, ale nieczęsto, zajączek jaki

---

<sup>166</sup> *kierz* (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

<sup>167</sup> *bróg* – oparte na czterech słupach słomiane zadaszenie, pod którym składowano

zaczerniał, kicał po śniegach, stawał słupka i drapał stwardniałą skorupę dobierając się do zboża, ale spłoszony szczekaniem psów, uciekał z nawrotem do borów oszroniałych, zawalonych śniegiem, zmartwiałych z zimna! – Pusto i głucho się czyniło na tych nie objętych okiem równiach śnieżnych, a tylko gdzieś, w dalekościach modrawych, majaczyły wsie, siewiały sady, mrozczały gąszcze, połyskiwały zamarźłe strumienie.

Chłód przejmujący i od tych mroźnych brzasków świetlisty wionął światem całym i przenikał na wskroś zlodowaciałą ciszą.

Żaden krzyk nie rozdarł zakrzepłego milczenia pól, żaden głos żywy nie zadrgał ni nawet poświst wiatru nie zaszeleścił w suchych, roziskrzonych śniegach – ledwie niekiedy, czasami, od dróg zgubionych w zaspach, tłukł się jękliwy głos dzwonka i skrzyp sanic, ale tak słabo i odległe, że jeszcze nie chycił całkiem, nie rozeznał skąd i gdzie, a już przebrzmiało i zgoła przepadło w cichościach.

Ale po lipeckich drogach, z obu stron stawu, rojno było od ludzi i wrzaskliwie; radosny nastrój święta drgał w powietrzu, przenikał ludzi, nawet w bydłatkach się odzywał; krzyki dźwięczały w słuchliwym, mroźnym powietrzu kieby muzyka, śmiechy rozgłośne, wesołe leciały z końca w koniec wsi, radość buchała z serc; psy jak oszalałe tarzały się po śniegach, szczekały z uciechy i ganiały za wronami, tłukącymi się około domów, po stajniach rżały konie, z obór wyrywały się przeciągłe, tęskne ryki, a nawet ten śnieg jakby radośniej skrzypiał pod nogami,

płozy sań piskały na twardych wyszlichtanych drogach, dymy były modrymi słupami a prościuteńko, jakby strzelił, okna zaś chałup grały tak w słońcu, aż raziło – a wszędzie pełno było wrzawy, dzieci, rwetesu, gęgliwych głosów gęsich, co się trzepały po przyrębłach, nawoływać; pełno było po drogach ludzi, przed domami, w opłotkach, a wskroś ośnieżonych sadów raz po raz czerwieniły się wełniaki kobiet, przebiegających z chałupy do chałupy, że raz po raz trącane w biegu drzewiny i krze<sup>168</sup> sypały strugami okiści niby tą srebrną kurzawą.

Młyn nawet dzisiaj nie turkotał, stanął na święta całe, a tylko zimne szkliwo wody przejrzystej, puszczonej na upust, dzwoniło bełkotliwie, a gdzieś za nim, w błotach i w oparzeliskach, z oparów kurzących się mgłami wydzierały się krzyki dzikich kaczek i całe ich stada kołowały.

A w każdej chałupie, u Szymonów, u Maćków, u wójtów, u Kłębów, i kto ich tam zliczy a wypowie wszystkich, przewietrzano izby, myto, szorowano, posypywano izby, sienie, a nawet i śnieg przed progami świeżym igliwem, a gdzieniegdzie to i bielono poczerniałe kominy; a wszędzie na gwałt pieczono chleby i one strucle świąteczne, opraviano śledzie, wiercono w niepolewanych donicach mak do klusek.

Boć to Gody szły, Pańskiego Dzieciątka święto, radosny dzień cudu i zmiłowania Jezusowego nad światem, błogosławiona przerwa w długich, pracowitych dniach, to i w ludziskach budziła się dusza z zimowego odretwienia, otrząsała się z szarzyzny,

---

<sup>168</sup> kierz (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

podnosiła się i szła radosna, czująca mocno na spotkanie narodzin Pańskich!

I u Borynów był taki sam rwetes, krętanina i przygotowania.

Stary jeszcze był do dnia pojechał do miasta po zakupy z Pietrkiem, którego przyjął do koni na Kubowe miejsce.

A w chałupie uwijano się żwawo, Józka przyśpiewywała cichuśko i strzygła z papierów kolorowych one cudackie strzyżki, które czy na belkę, czy też na ramy obrazów nalepić, to widzą się kieby pomalowane w żywe kolory, od których aż gra w oczach! A Jagna, z zakasanyimi po ramiona rękawami, miesiła w dzieży ciasto i przy matczynej pomocy piekła strucle tak długachne, że widziały się jako te lechy w sadzie, na których pietruszkę zasiewają, to chleby bielsze nieco z pytlowej mąki – a zwijała się żywo, bo ciasto już kipiało i trza było wyrabiać bochenki, to poglądała za Józiną robotą, to zaglądała do placka z serem i miodem, któren wygrzewał się już pod pierzyną i czekał na piec, to latała na drugą stronę do szabaśnika, w którym buzował się tęgi ogień.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.